

Susan Howatch

CASHEMARA

Część piąta

Maxwell Drummond

Ambicja 1884—1887

*[Roger Mortimer był pełen determinacji,
ambitny [...] bez skrupułów [...] cieszył się sławą za brawurę [...]
umiejętność postępowania z kobietami [...]
wydaje się, że posiadał wszelkie instynkty współczesnego gangstera...*

Thomas Costain, *Trzech Edwardów*

ROZDZIAŁ PIERWSZY

I

Odeszła od niego.

Odeszła od męża, zostawiła dom i porzuciła nawet dzieci. Oczywiście miała jakiś plan odzyskania ich później, ale kiedy zrozumiała, że MacGowan nigdy nie pozwoli jej wyjechać z czwórką dzieci czepiających się spódnic, wyruszyła do Ameryki sama.

Ja już tam byłem, czekałem na nią. Nigdy nie zapomnę tego czekania. Przez całe tamto lato czekałem i przez całą jesień, aż do zimy. Czekałem tak, aż wydało mi się, że zostaną tu już na zawsze, uwięziony w tym piekielnym mieście, w którym z całą pewnością było goręcej niż w piekle. Koszula kleiła się do pleców już o ósmej rano, a noce były tak duszne, że łatwiej było wyzionać ducha niż spać. Sądziłem, że przeszedłszy przez więzienie hrabstwa Galway, wiem już wszystko o czekaniu—Jezu, ta cęła w Galway! — ale tak naprawdę nie wiedziałem nic, dopóki razem z imigrantami nie zostałem wyrzucony z tego statku w Nowym Jorku w czerwcu 1884 roku.

Sporo musiałem się nauczyć, ale uczyłem się szybko, a przez cały ten czas czekałem — żeby Sara przemknęła się przez sieci MacGowana, żeby lody na rzece Hudson ruszyły, żeby jej luksusowy statek wpłynął do portu nowojorskiego. Czekałem, aż w końcu nie potrafiłem sobie wyobrazić chwili, kiedy już nie będę musiał czekać. A gdy wreszcie ta chwila nadeszła, nie musiałem już dłużej czekać. Poszedłem na nabrzeże i ujrzałem jej luksusowy statek wchodzący do portu. Zdało mi się, że to tylko sen. Rzeczywiście mógłbym przysiąc, że to był sen, gdyby od błękitnej rzeki nie zalaływał ranie taki fetor i gdyby od hałasu nabrzeża nie bolały mnie uszy. To miasto było nieprawdopodobne. Było miejscem nienormalnym — bezpiecznym, rozwrzeszczanym, swobodnym we wszystkim i dla każdego, koszmarną wyprawą do czyścica. „Dobry Boże — zwykłem się modlić — uchroni mnie od zła, niebezpieczeństwa i całego miasta Nowy Jork. Amen.”

Zaczęli schodzić pomostem, bardzo eleganckim, białym i błyszczącym. Oficerowie w mundurach ze złotymi galonami skłaniali głowy i trzaskali obcasami przed wytwornymi pasażerami, a ja czekałem,

wyężając wzrok, aby ją dojrzeć. Bolała mnie szyja, zaciskałem pięści, w ustach czułem pustynną suchość. Czekałem i czekałem, aż nagle, jak cud, objawiła się.

Wtedy oszalałem. Rozpychałem się łokciami przez tłum — Nowy Jork przynajmniej tego mnie nauczył. Usłyszałem, jak ktoś powiedział: „Chryste, jeszcze jeden pijany Irlandczyk!” — ponieważ w tym mieście panują straszliwe uprzedzenia, co przy tak wielu narodowościach kotłujących się u stóp drabiny fortuny powinno być w pełni zrozumiałe. Nie obchodziły mnie jednak potwarze, nie obchodziło mnie nic, pragnąłem tylko dostać się do Sary przed tym jej nadętym braciszkiem, który zgarnąłby mi ją sprzed nosa do swego marnego pałacyku. Zobaczyłem Charlesa Mariotta i jego pacholków przecierających dla niego ścieżkę w tłumie. Dostrzegł mnie, ponieważ wzdrygnął się, jakby zobaczył wesz. **S**otarłem jednak do pomostu przed nim, pokonałem go — i ja pierwszy ślałem powitać Sarę z powrotem w tym jej jak piekło śmierdzącym rojnym mieście. Pędziła po kładce pomostu, potykając się z pośpiechu, a ja pędziłem ku niej, i wszystko co najgorsze poszło w niepamięć — wygnanie, czekanie i dręcząca tęsknota, która noc w noc zalewała mnie potem. Złapałem ją tak gorączkowo, że tylko cudem nie wpadliśmy do wody, a wszystko, co pamiętałem, gdy przywarłem do niej całym ciałem, to widok lorda de Salisa przysięgającego w sądzie w dniu, w którym skazano mnie na więzienie, że pobiłem jego kochankę i okłamałem żonę czy zrobiłem inne takie świństwa, które okryją mnie hańbą aż po grób.

II

Moi wrogowie twierdzą, że jestem zwykłym zbrodniarzem i dziesięcioletni wyrok powinienem odsiedzieć co do dnia; nawet moja żona Eileen, która nigdy nie przeczyła, że mnie skazano niesprawiedliwie, prawdopodobnie wciąż powtarza naszym dzieciom, że w niczym nie jestem lepszy od wieśniaka i nigdy nie otrzymałem porządnego wykształcenia. Ale to wszystko kłamstwa, ponieważ chodziłem do najlepszej szkoły wiejskiej na zachód od Shannon — w każdym razie nazywaliśmy ją szkołą wiejską, gdyż mieściła się w tej samej stodole co za starych złych czasów, kiedy anglosascy tyrani zabronili Irlandczykowi pobierać nauki katolickie. W rzeczywistości jednak była ona czymś więcej niż zwykłą szkółką wiejską, a jej sława rozciągała się aż po Clonbur i Cong. Poza tym zanim jeszcze poszedłem do szkoły, ojciec nauczył mnie czytać i pisać. Ojciec pochodził z Ulsteru i do Connaught przyjechał tylko dlatego, że był najmłodszym z dziewiątki rodzeństwa i w domu jego ojca niedaleko Donaghadee nie było dla niego ziemi. Teraz moi wrogowie mówią, że był

Szkotem, lecz to też jest kłamstwo; ludzie z Connaught mówią tak o każdym z Ulsteru, ale powszechnie wiadomo, że w przeszłości Drummondowie byli biskupami w hrabstwie Fermanagh, a rodzina mojej matki, O'Malleyowie, to potomkowie samej królowej Grace O'Malley, cieszącej się wiekopomną sławą i chwałą.

Jestem więc Irlandczykiem z krwi i kości, a co do mojego imienia, przez wszystkich mylnie uważanego za anglosaskie, to mogę tylko powiedzieć, że otrzymałem je po dobrym przyjacielu mojego ojca, który może i był potomkiem szkockich heretyków, ale musiał być dobrym katolikiem, ponieważ ojciec nigdy nie dalby mi imienia po czarnym protestancie. Poza tym mnie się podoba. Dobrze brzmi i dodaje mi pewności siebie, której być może nie miałbym, gdybym nazywał się Paddy Murphy. Kiedy zalecaliśmy się do siebie, Eileen powiedziała mi, że brzmi jak imię dżentelmena. Zapamiętałem to na zawsze. Prawdą jest, że urodziłem się na skromnej farmie w Connaught, lecz otrzymałem imię dżentelmena.

Ta farma zresztą nie była taka znowu skromna. Eileen twierdziła, że tak, ale było to zawsze najlepsze gospodarstwo w dolinie, odkąd mój ojciec wzenił się dobrze w rodzinę O'Malleyów i zaczął się zaharowywać, uprawiając pszenicę i owies, miast zadowalać się tylko kartoflami. Mieliśmy dwadzieścia pięć akrów ornej ziemi i tyle samo trzęsawisk, a z tych gruntów ornych dziesięć było pod uprawą, resztę zaś zarastała trawa. Teren na pastwiskach był zbyt nierówny i za stromy na jakąkolwiek uprawę, odpowiadał jednak owcom, a i krowy jakoś tam sobie radziły. W zimie krowy schodziły na dół, na trzęsawisko, i wyciągały czarne pędy, które miały białe soczyste korzenie długie na ponad sześć cali — przypuszczam, że wtedy odżywiały się lepiej niż na trawie. Z trzęsawiska był także inny pożytek — dostarczało mi wrzosów na podściółkę dla osła i sutego zapasu opału; zawsze zgodzę się z tymi, którzy twierdzą, że odrobina trzęsawiska to wspaniała rzecz dla mądrego farmera.

W starych czasach czynsz, który płaciliśmy, wynosił dwadzieścia sześć funtów (funt za każdy akr ziemi ornej i funt za trzęsawiska), lecz po klęsce głodu stary lord de Salis wyróżnił mojego ojca specjalną darowizną ziemi z obniżonym czynszem. Była to długoletnia dzierżawa, co znaczyło, że ziemie są jakby nasze przez następne pięćdziesiąt lat. Przestaliśmy być zwykłymi dzierżawcami — to było jak cud. Wciąż jeszcze pamiętam moją matkę roniącą łzy radości i ojca triumfującego z butelką samogonu i wychwalającego pod niebiosa lorda de Salisa.

Żyliśmy zatem dobrze, mieliśmy w domu nawet książki, a lady de Salis (druga żona starego) wstępowała do nas regularnie. Byliśmy szacownym rodem, może nie tak świetnym, jak by chciała Eileen, ale świetniejszym niż jakakolwiek inna rodzina majątku

Byłem jedynakiem. Podobało mi się to, gdyż dzięki temu ojciec zawsze miał dla mnie czas, a matki nie doprowadzało do szaleństwa pół tuzina innych dzieci nieustannie płaczących się jej pod nogami. Oznaczało to także, że było u nas zawsze dosyć jedzenia, zawsze miałem porządne ubranie i buty. Tak więc wbrew temu, co mówiła Eileen, wcale nie zadzierałem nosa, kiedy dawno temu w Dublinie powiedziałem jej, że mój ojciec był drobnym ziemianinem. Naprawdę uważałem, że stoję o szczebel wyżej od wszystkich innych w dolinie, ponieważ moja matka pochodziła z O'Malleyów i była krewną połowy Clonareen. Czy można się zatem dziwić, że gdy ojciec Donal powiedział mi — miałem wtedy kilkanaście lat — iż dla dobra mojej nieśmiertelnej duszy powinienem ożenić się młodo, zignorowałem wszystkie wiejskie dziewczyny i wybrałem córkę nauczyciela?

Na początku, kiedy poznaliśmy się w Dublinie, Eileen uważała mnie za odpowiednią partię. Stary lord de Salis, posyłając mnie na naukę do Kolegium Rolniczego, dał mi wcześniej pieniądze, a ja większość wydałem na ubrania, żeby inni studenci nie patrzyli na mnie z góry. Ci dublińczycy zawsze patrzą z góry na ludzi z Connaught, jeżeli tylko mają po temu okazję, i było pewne, że mimo nowego ubrania i tak będą na mnie spoglądać, jakbym przyszedł prosto od wycinania torfu na bagnie. Nie podobało mi się w Kolegium Rolniczym. Mówiąc szczerze, była to strata czasu, cała ta gadka o rzeczach, które mnie nie interesowały. Kiedy więc powiedzieli, że brak mi wykształcenia, bym mógł z tego skorzystać, pomyślałem: cóż, skoro brakuje mi wykształcenia, to do diabła z tym, bo przecież dość już się nauczyłem. Czyż nie znałem łaciny i greki ze szkółki wiejskiej, i całej klasycznej mitologii, czyż nie potrafiłem recytować na wrywki „Bitwy pod Clontarf”, w której Brian Boru (niech spoczywa w chwale) zwyciężył Wikingów? Pewnie, że byłem wykształcony! Eileen też tak uważała, kiedyśmy czytali razem gazety i dyskutowali o polityce — słuchała dosyć uważnie, gdy mówiłem o dniu uwolnienia Irlandii spod tyranii, a gdy przerwałem dla nabrania oddechu, stwierdziła, że z pewnością skończę jako polityk w Westminsterze u boku bohaterskiego O'Connella.

W tamtych dniach, kiedy to była o mnie tak dobrego zdania, mieszkalem w domu jej ojca. Lord de Salis załatwił mi locum w rodzinie jednego z nauczycieli, ponieważ wiedział, że na początku życie w mieście wyda mi się dziwne; sądził, że ojciec Eileen dobrze się mną zaopiekuje.

Jednakże Eileen opiekowała się mną lepiej. Bardzo długo nasze małżeństwo było szczęśliwe, choć ona rzecz jasna teraz nie pamięta o tym. Wiem, że przeżyła szok po przybyciu na farmę, ale pozbierała się, przysięgam, mimo tego, co powiedziałem w czasie naszej pierwszej straszliwej kłótni.

Nie kłóciliśmy się nigdy aż do dnia, kiedy po raz pierwszy ujrzałem Sarę de Salis. Musiałem zabrać Eileen z lecznicy, ponieważ w domu

przydarzył się wypadek. Pamiętam, że byłem rozgniewany; uważałem, że powinna siedzieć w domu, zamiast bawić się w pielęgniarkę w Clonareen. Potem odkryłem, że ona także była zła, bo zachowałem się w stosunku do niej niegrzecznie przy lady de Salis.

— Mógłbyś okazać przynajmniej odrobinę ogłady — powiedziała gorzko.

— A ty mogłabyś siedzieć w domu! — warknąłem na nią.

Odparła, że niby dlaczego miałyby nie popracować trochę dobroczynnie, a poza tym że to pewne urozmaicenie, jeśli może okazjonalnie porozmawiać z kulturalną szlachetną damą, jaką jest panna Madeleine de Salis.

— A od kiedy to twoja rodzina nie jest dla ciebie dość dobra? — krzyknąłem zagniewany jak nigdy. Powiedziałem jej, że czas najwyższy, żeby siedziała w domu i poświęcała więcej uwagi mężowi i dzieciom.

— Poświęcam ci uwagę! — rzuciła.

— Nie dosyć! — ja na to. — Jedyne, co od ciebie ostatnio otrzymuję, to raz w tygodniu dziesięć minut uwagi po ciemku, a i to tylko wtedy, jeśli mam szczęście, a często go nie mam!

Jeżu, aleśmy się wtedy pokłócili! Wylała wszystkie żale — że gadać to potrafię, ale czy ja poświęcam jej choć trochę uwagi? Ciagle upijam się z O'Malleyami albo robię z siebie widowisko na zebraniach politycznych — jakże więc mogła oczekiwać, że znajdę dla niej czas? Czy mogła mieć czelność, żeby o to pytać? Albo czy ma się zadowolić odgrywaniem roli zmienniczki Rosie Costelloe, kiedy akurat najdzie mnie ochota? Powiedziałem więc, że Rosie Costelloe służy mi dobrze za pieniądze. A wtedy — dobry Boże! — kłótnia jeszcze bardziej rozgorzała i nie było nic, czego byśmy sobie oszczędzili. Eileen wyzwała mnie od najgorszych. Odparłem, że nawet jeśli kilka razy ją zdradziłem, nic to nie znaczyło, ponieważ chciałem ją tylko oszczędzić. Zapytała, jak śmiem mówić podobne rzeczy, i że niby kiedy prosiła o oszczędzanie siebie? Powiedziałem, że rzecz jasna nigdy, była zbyt posłuszna na to, ale jako człowiek bliski mogłem się tego domyślić, czyż nie?

To ją rozwścieczyło. Obrzuciła mnie dalszymi wyzwiskami. Powiedziała, że jestem sprośny i grubiański i że wychodząc za mnie popełniła megalians, czego zawsze żałowała.

— Zawsze? — zapytałem. To mnie głęboko zraniło.

— Zawsze! — odparła. — Czy sądzisz, że nie wolałabym żyć jak dama w przyzwoitym domu w Dublinie niż jak wieśniaczka w tej zadymionej norze?

— To jest porządne gospodarstwo — rzekłem — i nie żyjemy jak wieśniacy.

Rozeźmiała się. Nigdy jej tego nie wybaczyłem. Załagodziliśmy jakoś tę kłótnię, ale zostawiliśmy daleko za sobą chłopaka i pannę, którzy pędzili do ołtarza w Dublinie — i obydwójemy o tym wiedzieli. Gdybym

był łajdakiem, jak nazwała mnie Eileen, obwiniłbym ją za obcość, jaka zapanowała między nami na długo przed naszą ostateczną separacją, ale nie zrobię tego. Chcę być uczciwy, wobec tego nie mam wyboru i muszę powiedzieć, że wina leżała nie po stronie Eileen, lecz po mojej. Mnie trzeba winić, ponieważ nie mogłem jej wybaczyć, że traktowała mnie jak najzwyczajszego wieśniaka. A ja wiedziałem, że sama lady de Salis by mi się oddała, gdybym miał szansę spędzić z nią więcej niż pięć minut.

III

Może Eileen miała rację, nazywając mnie w czasie naszej najgorszej kłótni oszustem i sukinsynem — ale trudno mi wyobrazić sobie żywego mężczyznę, który nie pragnąłby Sary de Salis od pierwszego wejrzenia.

Była bardzo, bardzo piękna.

Piękno to było niezwykle. Nie przypominała nikogo, kogo kiedykolwiek widziałem. Miała wąskie oczy, które wydawały się jednocześnie ciemne i jasne, ponieważ były złotobrazowe, i wystające kości policzkowe, jak damy na chińskich parawanach w jej sypialni w Cashelmarze. Jej skóra była gładka i blada, nie tknięta wiatrem, deszczem czy słońcem, a usta pełne — trzymała je zaciśnięte, jakby się obawiała, że wygląda zbyt słodko; dopiero gdy się śmiała, widać było, jak śliczne są te usteczka (choć kiedy ją poznałem, nie śmiała się często). Jej długie, gęste włosy po rozpuszczeniu sięgały talii. Gdy była naga, trudno było uwierzyć, że urodziła aż czwórkę dzieci, ponieważ nie miała zwiędniętego, przejrzałego wyglądu, tak powszechnego wśród Irlandek po dwudziestym piątym roku życia. Miała bardzo wąską talię, wyborne, cudownie krągłe, lecz nie nazbyt rozbudowane biodra, idealne piersi i długie śliczne nogi.

Zawsze wiedziałem, że jej pragnę, lecz nigdy nie wierzyłem, że jesteście dla siebie stworzeni — póki nie sprzedała swojej obrączki ślubnej, żeby wykupić mnie z więzienia. Bo w końcu — wybaczone mi cynizm — łatwo jest pożądać pięknej kobiety, ale daleko trudniej jest wiedzieć, co z nią począć, gdy już się ma to, czego się chciało. Tak więc zwykłem marzyć o Sarze na jawie, kiedy dołem krowy czy młóciłem cepem, nigdy jednak nie wyobrażałem sobie nic ponad to, że jakimś cudem znajduję się z nią w tym łożu z baldachimem i zaspokajam swoje pragnienia, czując dotyk luksusowych lnianych prześcieradeł i miękkich białych poduszek. Ten mój sen na jawie wydawał mi się tak nieprawdopodobny, że nigdy nie przyszło mi do głowy zastanawiać się, co przydarzy się później. Zastanawiałem się jednak — kiedy już wykupiła mnie z więzienia. W pierwszej chwili pomyślałem: co za kobieta! A gdy

przypomniałem sobie, jak wiele miesięcy wcześniej siedziałem z nią w bibliotece Cashelmary i piłem za wieczne potępienie MacGowana, zachwyciłem się: co za partnerka!

Między ucieczką z więzienia a podróżą do Ameryki widziałem ją tylko raz. Nie było wtedy łoża z baldachimem ani delikatnych prześcieradeł czy miękkich poduszek. Ja zdjąłem kaftan, ona płaszcz, rozścieliłem je na twardej, wilgotnej podłodze zrujnowanej chaty i ani przez moment nie myślałem o moich dawnych snach na jawie. Bo nie była już tylko piękną kobietą, której pragnąłem. To była Sara — dzielna i przerażona, pełna nadziei i balansująca na krawędzi rozpacz, roześmiana ze szczęścia i popłakująca. Mieliśmy tak mało czasu i żadne z nas nie wiedziało, kiedy znowu się zobaczymy. W moich snach na jawie wyobrażałem sobie, że będzie chętna, lecz opanowana, podczas gdy ja jak zwykle wezmę, czego pragnąłem, a gdy będzie już po wszystkim, z podziwem popatrzę na krajobraz; „władczy” — takim mianem określałem siebie myśląc o tego rodzaju rozrywce. Nagle jednak odkryłem, że to nie rozrywka, a ja nie jestem już panem i władcą. Sara nie była opanowana ani też chętna, ponieważ ten pijaczyna i zбочeniec, jej mąż, sprawił, że miała tak złe mniemanie o sobie, iż śmiertelnie bała mi się oddać. Ledwie spostrzegłem jej strach, sam zacząłem się bać. Pomyślałem: Matko Boska! jeśli ją zranię, wszystko będzie skończone; Boże, proszę, nie pozwól mi jej zranić. Znalazłem się w okropnej sytuacji. Sara była damą, tak delikatną i kruchą, a ja czułem się szorstki i niezdarny, jakbym naprawdę był nie lepszy od najuboższego wieśniaka w dolinie.

Wtedy Sara wyjaśniła wszystko.

— Kocham cię. Nie chcę nikogo innego, nigdy — powiedziała.

I kiedy na nią spojrzałem, nie widziałem już delikatnej damy, ponieważ miałem świadomość, że ona nie dostrzega już we mnie wieśniaka. Nie było w niej lekceważenia ani pogardy. Trapiło ją nie to, czy ja jestem dość dobry dla niej, lecz czy ona jest dość dobra dla mnie. Wtedy łagodność i czułość przyszły mi łatwo i wszystko było tak różne od wszelkich wcześniejszych doznań.

Dużo później, gdy już odzyskaliśmy mowę, rzekła:

— Czuję się jak nowo narodzona.

Powiedziałem, że ja także. Czułem się tak, jakbym przestąpił próg innego świata. Kiedy ponownie na nią spojrzałem, pomyślałem: z tą kobietą potrafię osiągnąć wszystko. Wtedy właśnie przestałem wyobrażać sobie przyszłość bez niej.

— Jedź ze mną — powiedziałem. — Razem pojedziemy do Ameryki. — Ale z uporem pokręciła głową i stwierdziła, że musi poczekać, póki nie załatwi, żeby dzieci mogły jechać razem z nią. Oświadczyła, że ma pewien plan i musi go zrealizować, w przeciwnym razie wszystko będzie stracone. Pracowała nad tym od tak dawna i nie może teraz zrezygnować.

— Ale ponad wszystko chciałybym z tobą pojechać — rzekła z płaczem. Wtedy ponownie kochałem się z nią, tym razem już nie tak bardzo łagodnie, a gdy odpowiedziała na moją namietność, zamarzyło mi się, jakie to czekają nas noce, kiedy zamieszka ze mną jako żona.

Ten czas jednak był jeszcze daleko. Musiał minąć niemal rok, zanim znowu ją zobaczyłem. Jedenaście miesięcy tęsknoty za domem, cierpienia i rozpacz dla mnie, a dla Sary jedenaście miesięcy nie kończących się machinacji, knowań i intryg.

IV

Grecy mają na to określenie. Nemesis. Mój nauczyciel ze szkółki wiejskiej powiedział, że to znaczyło zło i nieszczęście, i złośliwy los, wszystko zebrane do kupy. Nigdy tego nie zapomniałem. Gdy zaczął się mój konflikt z Hughem MacGowanem, słowo to pierwsze przemknęło mi przez głowę.

MacGowan był małym człowieczkiem z wielkimi aspiracjami. Nie chcę powiedzieć, że małym fizycznie — nie był karłem, ale miał mały, ciasny mózdzek z garstką skarłowaciałych namietności do kompletu. Tylko jego ambicje i chciwość były wielkich rozmiarów, a jego pracodawca stale je nagradzał, to i wciąż rosły. Ja jednak stałem mu na drodze. To był czas przebudzenia w Irlandii, świt dnia, który należał do Charlesa Stewarta Parnella, i wszyscy mieliśmy powyżej dziurek w nosie czarnych protestantów, jak MacGowana, w roli zarządców. „Proponujcie swoim panom tylko takie czynsze, jakie uważacie za sprawiedliwe i właściwe — powiedział Parnell — a jeśli nie przyjmą ich, nie płaćcie wcale.” Cóż, zaproponowaliśmy — i odmówiono nam. Czyją więc było winą, że w dolinie pojawiły się problemy? My byliśmy tylko uczciwi i rozsądni. To MacGowana i jego chciwość trzeba winić za to, że nieomal został zlinczowany. Tylko on ponosi odpowiedzialność za moje niesłuszne aresztowanie, osądzenie przez stronnicych anglosaskich sędziów i wtrącenie mnie do lochów.

Rzecz jasna, gdy ściągnąłem na nas tyle kłopotów, Eileen uważała mnie za durnia.

— Masz długoletnią dzierżawę — powiedziała. — Jesteś bezpieczny na tej ziemi do 1900 roku i masz płacić tylko czynsz gruntowy. Dlaczego musisz mieszać się w te waśnie i przywozić nas do ruiny?

Cóż, były chwile w więzieniu, gdy zupełnie traciłem ducha i myślałem, że może i miała rację. Ale nie miała, widzę to teraz. Nie tylko, choć częściowo tak, było kwestią moralnego obowiązku stać po stronie O'Malleyów, moich krewnych, którzy znaleźli się w kłopotach. Wiązało

CASHELMARA

się to także z tym, że Parnell przemawiał do wszystkich Irlandczyków — tych bezpiecznych, jak ja, i tych bez żadnego zabezpieczenia, jak moi kuzyni, zdanych całkowicie na łaskę swoich panów.

— Powstańcie i zjednoczcie się! — powiedział Parnell.

I cóż by ze mnie był za Irlandczyk, gdybym stał z boku i nie kiwnął nawet palcem, żeby pomóc moim powinowatym, kiedy MacGowan wyciskał z nich ostatni grosz i burzył ich chałupy, aż w końcu byli bezdomni i pozbawieni środków do życia?

MacGowan powiedział, że istnieje nowa ustawa parlamentu, która pozwala nam iść do sądu i protestować, jeśli nie podobają nam się czynsze — ale na co mogły się zdać sądy? W sądach zasiadali Anglosasi, o czym wiedział każdy dureń, a ci z pewnością trzymaliby stronę lorda de Salisa i jego zarządcy. Poza tym kiedy człowiek jest zdesperowany, a zarządca stoi na jego progu z maszyną do rozbiórki, to nie ma głowy do tego, żeby iść po prośbie do zmyślnych prawników i ich zależnych od kaprysu sądów. Parnell o tym wiedział, dlatego obiecał, że wykaże bezsens tej ustawy, organizując pokazowe sprawy w sądach. Wiedział, że ustawa jest jeszcze jednym anglosaskim szachrajstwem. Parnell był wielkim człowiekiem już wtedy, we wczesnych latach osiemdziesiątych. „Wynoście się z naszej ziemi — powtarzał Anglosasom — i pozwólcie nam, żebyśmy rządili się sami poprzez nasz własny parlament w Dublinie, ponieważ nie znamy sprawiedliwości, póki będziemy obiektem waszego tyrańskiego prawa stanowionego w Westminsterze.”

Można by sądzić, że MacGowan, Szkot, powinien wiedzieć wszystko o tyranii Anglików, lecz on był tym typem Szkota, który w Irlandii przysporzył swojej nacji złej sławy. Sprzedałby własną babkę, gdyby mógł na tym zarobić. Myślał wyłącznie o pieniądzach. Musiał je mieć, nawet gdyby miał spędzić życie łasząc się do nóg Anglosasom.

MacGowan, mój wróg, moje nemesis... i nemesis Sary też. Człowiek, który rządził Cashelmara i trzymał Sarę z daleka ode mnie przez wszystkie, te miesiące po mojej ucieczce do Ameryki. Wtedy, przed wyjazdem, nie wiedziałem jeszcze, do jakiego stopnia ją sterroryzował, rządząc także sypialnią, ale gdybym wiedział, nigdy nie pozwoliłbym jej wrócić do tego domu.

Wróciła jednak, a ja pojechałem do Ameryki. Jako zbieg, nie mogłem zwracać na siebie uwagi, podróżując trzecią czy czwartą klasą na porządnym statku. Gdy po spotkaniu z Sarą wróciłem do Galway, moi przyjaciele z Claddaght zorganizowali mi przejazd do Queenstown i przemycili mnie na pokład straszliwej starej balii. Jezus, już po tygodniu na morzu czułem się tak brudny, głodny i schorowany, że bałem się, iż umrę, zanim ujrzę ląd. Nie umarłem jednak, a kiedy wreszcie stanąłem na suchym lądzie w Castle Garden i poddano mnie kuracji w szpitalu dla imigrantów, natychmiast cudownie ozdrowiałem. Dobrze znałem szpitale — to były takie miejsca, gdzie łąpało się gorączkę i umierało.

Wymknąłem się więc co prędzej z Castle Garden, okpiłem wszystkich tych sztukmistrzów od oskubywania nowo przybyłych, rozgoiłem włóczęgów piszczących o miłosierdzie i jakimś cudem znalazłem dom noclegowy, gdzie mogłem się wylegiwać, dopóki nie poczułem się lepiej.

Trzy razy podczas snu niemal okradziono mnie z pieniędzy — nigdy nie znałem takiego miejsca jak Nowy Jork: pod względem złodziejstwa i niegodziwości był nawet gorszy od Dublina. Uratowałem jednak pieniądze (a niewiele ich już zostało) i kiedy poczułem się zdrowy, kupiłem trochę nowych ubrań, kostkę mydła, proszek na robactwo i udałem się do najbliższej łaźni. Pieniądze prawie mi się skończyły, ale zostało mi akurat na wizytę u golibrody. Miałem wybór — to albo uczciwy posiłek, lecz byłem głodny już od tak dawna, że mój żołądek mógł jeszcze trochę poczekać. Wiedziałem, że muszę uczynić wszystko, by nie zjawić się w domu rodzinnym Sary wyglądając jak pierwszy lepszy ubogi irlandzki imigrant prosto z łodzi ze Starego Świata.

Sara dała mi list do swojego brata i natychmiast, gdy zacząłem się jako tako prezentować, poszedłem wzdłuż wyspy Manhattan na Piątą Aleję, żeby złożyć mu wizytę.

Wytworne dzielnice Nowego Jorku! Czuję, jak oczy wyłazą mi na wierzch. Takie to wszystko było okazałe — nie tak imponujące jak Dublin, rzecz jasna, nie chciałbym przesadzać, ale wszystko takie ogromne. Rany, tor wyścigowy z Letterturk zmieściłby się na Washington Square trzy razy! A te domy! Jezu, jakie pałace! Wzdłuż całej Piątej Alei stały ściana w ścianę wspaniałe rezydencje, wszystkie tak duże jak , a niektóre nawet większe. Byłem w takim stanie, że nawet nie poczułem, kiedy wyciągnięto mi portfel — nie miało to zresztą znaczenia, bo i tak był już pusty. Szedłem i szedłem, gapiąc się tak baczenie, że przysięgam, zapomniałem mrugać. Wszędzie widziałem olbrzymie powozy, piękne konie i nawet chodniki wyglądające tak, jakby zostały zrobione dla dam w złotych pantofelkach. No dobra, wystarczy — tak naprawdę Nowy Jork nigdy mi się nie podobał, ale Matko Przenajświętsza, gdybym miał szansę pomieszkać w tej wytwornej dzielnicy, uznałbym to miejsce za wcale przyjemne. Jestem pewien, że tak właśnie myślał Charles Marriott, wracając codziennie z Wall Street do swego bajecznego domu przy Piątej Alei.

Całe dwie minuty straciłem zbierając odwagę, by przejść przez złoczone bramy i dziedzińce, i następne dwie, zanim się przemożem i użyłem dzwonka przy drzwiach.

— Dzień dobry panu — powiedziałem do majordomusa, który był najczarniejszym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek widziałem, i... najwynioślejszym. — Chciałbym zobaczyć się z panem Charlesem Marriottem, jeśli można.

— Pana Marriotta — rzekł majordomus — nie ma w domu.

— Cóż, jeśli jest poza domem — oświadczyłem — poczekam. Mam dla niego list od jego siostry, lady de Salis z Cashelmary, niech Najświętsza Dziewica i wszyscy święci mają ją w swojej opiece.

Myślałem, że zabrmi to z największym szacunkiem i uprzejmością, ale nie przełamało lodów między nami, ponieważ mi nie uwierzył. W następnej chwili wybuchła krzykliwa wymiana zdań, potem wrzasnął do lokaja, żeby mnie wyrzucił. Wtedy właśnie zjawił się Marriott. Oczywiście cały czas był w domu. Zszedł po schodach na dół i powiedział:

— Whitney, co się, do diabła, dzieje?

Kiedy zdołałem pomachać mu przed nosem listem Sary, wyciągnął delikatną białą rękę, żeby przytrzymać kopertę i przekonać się, iż to jej charakter pisma. Po długim milczeniu powiedział:

— Dziękuję. Widzę, że pochodzi rzeczywiście od mojej siostry. — I wyłóż mi z kieszeni dolara, wręczył mi go tak niedbale, jakbym był włóczęgą z Bowary.

— Najmocniej pana przepraszam, z całym szacunkiem — powiedziałem, resztką sił starając się zachować panowanie na sobą — ale jestem przyjacielem pańskiej siostry, a nie tylko posłańcem.

Przyjrzał mi się raz jeszcze — a ja przyjrzałem się jemu.

Miał jakieś trzydzieści pięć lat, tak mi się zdawało, i od razu zauważyłem, że jest typem człowieka spędzającego większość życia w zamkniętym pomieszczeniu — wpadłby we wściekłość, gdyby odrobina błota chlapnęła mu na buty. W jego wyglądzie odnalazłem pewne podobieństwo do Sary, lecz trzeba się było uważnie przyglądać, żeby to zauważyć. Miał podobną długą szyję — u mężczyzny wyglądało to dziwnie — i takie same wystające kości policzkowe, oczy za to ciemnobrązowe, a wargi wąskie i poza paroma jasnymi włosami zaczesanymi na bok, był łyśy jak kolano. Mówił ze śmiesznym, gardłowym akcentem amerykańskim. Później zorientowałem się, że lubi używać wyszukanego języka, co sprawiało, że jego wypowiedzi brzmiały tak, jakby połknął słownik. Także później dowiedziałem się, że w charakterze dodatku do swojego drogiego domu utrzymuje kosztowną żonę — starszą od siebie, do tego wyfiokowaną i kłótniawą. To mnie jednak nie zaskoczyło. Charlesowi Marriottowi nie przeszkadzało posiadanie nieatrakcyjnej żony, ponieważ igraszki w sypialni uważał, w co nie wątpię, za coś w rodzaju taniego sportu dla niewykształconych mas.

Znienawidziliśmy się od pierwszego wejrzenia.

— Kim pan jest? — zapytał. — Jak się pan nazywa?

— Nazywam się Maxwell Drummond — odparłem i jak zawsze moje imię dodało mi pewności siebie, więc pozwoliłem sobie mówić tak, jakbym był mu równy. — Jestem drobnym właścicielem ziemskim, moje grunta leżą około dwóch mil na wschód od Cashelmary.

— Siostra nigdy o panu nie wspominała.

— Cóż, jeśli chce pan jakiejś wzmianki — powiedziałem — dlaczego nie przeczyta pan jej listu?

Muszę przyznać Charlesowi Marriottowi, że szalenie, choć na swój sztywny sposób, kochał Sarę, toteż kiedy skończył czytać, jedyne, co mogłem zrobić, to powstrzymać go, by nie pognał do Irlandii pierwszym lepszym statkiem siostrze na ratunek. Był tak wzburzony tym, co przeczytał, że zupełnie zapomniał o swojej niechęci do mnie i pośpiesznie zaciągnął mnie do swojego gabinetu, gdzie mogliśmy w cztery oczy omówić położenie Sary.

— Pierwszą rzeczą, z której powinien pan zdać sobie sprawę — rzekłem, w pełni panując już nad sytuacją — jest to, że nie może pan galopować wokół Cashelmary jak słoń po polu pszenicy. Sara powiedziała, żebym zadbał, aby było to dla pana jasne. Pan George de Salis zrobił tak i teraz leży w grobie.

— Ależ nie mogę uwierzyć, żeby morderstwo nie zostało wykryte!

— Dlaczego nie? — odparłem. — W Irlandii jest to na porządku dziennym.

— Ale...

— Proszę posłuchać, panie Marriott. Sara chce się wydostać stamtąd ze wszystkimi dziećmi. Jeśli będzie próbowała zbiec, MacGowan sprowadzi ją z powrotem i ukarze, ponieważ utrzymanie tego małżeństwa leży zarówno w jego interesie, jak i lorda de Salis. Lord de Salis chce zatrzymać dzieci i ani on, ani MacGowan nie chcą, żeby świat dowiedział się o ich zbrodni. Zatem jeśli Sara ma wyjechać, to tylko za zgodą MacGowana, a jedyny sposób na zdobycie zezwolenia MacGowana, to dostarczyć mu żelazny pretekst do wyjazdu... I tu właśnie pan wkracza do akcji. Nie wiem dokładnie, co napisała w liście, ale...

— O pieniądzech. Ten człowiek, MacGowan, jest chciwcem. — Wciąż jeszcze był oszołomiony.

— Ach, więc pieniędzmi musi pan pomachać mu przed nosem, żeby go skusić. Powinien pan napisać do swojego szwagra i...

— Racja — rzekł gwałtownie i zauważyłem, że przypomniał sobie, kim obaj jesteśmy. — Może być pan pewien, że zrobię wszystko co niezbędne. Będę pana informował na bieżąco.

— Cóż, w tej chwili nie potrzebuję informacji — powiedziałem gładko — choć pewnie bardzo będę się z nich cieszył. Potrzebuję pieniędzy. Wydałem ostatniego centa, żeby przywieźć panu list od siostry. Sara powiedziała, że pan dopilnuje, abym nie głodował. — A kiedy znowu zaczął grzebać po kieszeniach, dodałem: — Proszę darować sobie dobroczynność, nie jestem żebrakiem i nie zamierzam nim być. Proszę dać mi zatrudnienie, a ja już zadbam o siebie.

Zmierzył mnie wzrokiem od stóp do głów. Niemal słyszałem, jak myśli: mój Boże, co ja mam z nim począć?

— Czy umie pan czytać i pisać? — odezwał się w końcu z powątpiewaniem.

Ty anglosaski sukinsynie, pomyślałem, łatwo zauważyć, że idąc śladami twoich przodków, dojdzie się do Cromwella.

— Chodziłem do najlepszej szkoły na zachód od Shannon — powiedziałem — a zakończyłem moją edukację w Królewskim Kolegium Rolniczym w Dublinie.

Rzucił mi krótki cyniczny uśmiech i powiedział, że mógłby mi znaleźć posadę urzędnika w jego biurach przy Wall Street.

— Dobrze — rzekłem. — Wezmę miesięczną pensję z góry i może zmienię zdanie na temat dobroczynności. Co by pan powiedział na dwieście dolarów nagrody za dostarczenie listu?

Wstał.

— Słuchaj no, Drummond...

— Radzę być dla mnie szczerym — przestrzegłem. — Sarze by się nie podobało, gdyby się dowiedziała, że nie potraktował mnie pan jak przyjaciela rodziny.

Obserwowałem go, jak nabierał głębokiego matowoczerwonego zabarwienia. Kiedy odzyskał mowę, odezwał się ze znacznie silniejszym niż zwykle nosowym akcentem:

— Nie wiem, jaki jest pański związek z moją siostrą... Trudno mi uwierzyć, żeby panu kiedykolwiek przyzwoliła nazywać siebie po imieniu...

Roześmiałem się. Jeszcze bardziej poczerwieniał.

— ...ale ze mną nie jest pan w żaden sposób związany i nie czuję się w obowiązku udzielać panu jakiegokolwiek pomocy. Czy to jasne? Mógłbym pana wrzucić do rysztoła, a proszę mi wierzyć, że nigdzie nie ma rysztołów równie plugawych jak w Nowym Jorku. Otrzyma więc pan ode mnie miesięczną pensję z góry i ani centa więcej, i na Boga, jeśli do czasu przybycia mojej siostry nie chce pan być żebrakiem, przyjmie pan to, co daję, i będzie za to wdzięczny.

Przyznaję, nigdy nie sądziłem, że będzie miał śmiałość mówić do mnie w ten sposób, więc zatkało mnie ze zdumienia. Starałem się jednak tego nie okazać. Wzruszyłem ramionami i powiedziałem, że to znakomicie — skoro w taki sposób postanowił traktować gościa z obcego kraju i przyjaciela swojej siostry, do Boga należy wymierzenie mu sprawiedliwości, nie do mnie.

— Powiem więc dziękuję i nie będziemy więcej o tym rozmawiać — dodałem. — Nie jestem człowiekiem, który żywi urazy.

Nie było to zgodne z prawdą, ale instynkt podpowiadał mi, żeby próbować go ugłaskać, zanim wycofa swoją ofertę pracy i pieniędzy.

Następne dwa tygodnie były dla mnie bardzo przykre. Charles Marriott odegrał swoją rolę: napisał do lorda de Salisa pytając, czy mógłby się zobaczyć z Sarą i dziećmi; przypomniał szwagrowi, że jest

bogatym człowiekiem, na dodatek bezdzietnym. Jestem pewien, że wszystko zostało ubrane w wyszukane słowa, jednak nie mogło to przeszkodzić MacGowanowi w wychwyceniu wiadomości o pieniądzach. Jak powiedziała mi Sara, od czasu klęski głodu w roku 79 pieniądze były w Cashelmarze rzadkim dobrem, a MacGowan nie należał do tych, którzy godziliby się na utrzymywanie spadku zysków.

Skoro Charles Marriott odegrał swoją rolę, ja musiałem grać swoją. Podjąłem pracę w jego domu rachunkowości czy też biurze, jak to nazywał, ale nienawidziłem tego i po tygodniu zrezygnowałem. Przywykłem być panem siebie i spędzać każdy dzień na świeżym powietrzu, jak zatem mogło mi się podobać siedzenie całymi dniami na wysokim stołku i przepisywanie rzędów cyfr? Nic rozumiałem, jak ktokolwiek może tak żyć — powiedziałem to Charlesowi, kiedy rzucałem pracę.

— I jak zamierza pan teraz zarabiać na życie? — zapytał bardzo sarkastycznie.

— Ależ, panie Marriott — odparłem — proszę się tym nie kłopotać, przecież, do cholery, to nie pańska sprawa.

— Cóż, tylko proszę nie przychodzić do mnie, kiedy będzie pan głodny — rzekł.

Nie zrobiłem tego, ponieważ nie głodowałem.

Trafiłem już na innych Irlandczyków—mieszkali w domu, w którym najmowałem pokój. Wkrótce poznałem bary i jadłodajnie oraz irlandzkie klany i znalazłem pracę, jakiej szukałem. Spotkałem pewnego człowieka, Jima O'Malleya — musiał być moim krewnym i obaj pochodziliśmy od samej królowej Grace. Miał garkuchnię na południe od Canal Street z hazardem w pokojach na tyłach i dziewczynkami na górze. Potrzebował kogoś, kto by od czasu do czasu, gdy atmosfera zbyt się ożywiła, zaprowadził porządek. Dostałem karabin, a wszystko, co trzeba było umieć, to trzymać rękę na pulsie. Niebawem zaczęło mi się dobrze powodzić—miałem dwa nowe garnitury i lepsze mieszkanie, a co wieczór stek na obiad na koszt firmy. Radziłem sobie świetnie, nie ma co. Sara jednak wciąż była w Cashelmarze.

Lord de Salis — pisząc pod dyktando MacGowana, nie wątpił w to — oświadczył, że nie może pozwolić, aby czwórka małych dzieci odbyła długą, wyczerpującą podróż do Ameryki, a jego żona nie potrafi się z nimi rozstać. Gdyby jednak Charles Marriott miał ochotę przebyć Atlantyk...

Charles Marriott odpisał, że obecnie w żadnym wypadku nie może zostawić swoich interesów, a poza tym dzieci nie są takie małe i prawdopodobnie podróż morska bardzo by im się podobała. Ma nadzieję, że będzie mógł przywitać je z Sarą w Nowym Jorku przed końcem jesieni.

W odpowiedzi lord de Salis znowu uciekł się do wykrętów i uświadomiłem sobie z wściekłością, że ta wymiana listów może trwać w nieskoń-

czoność. Charles Marriott był jednak nie tylko cierpliwy, ale i bardzo przebiegły. Nie poddał się łatwo ani też nie popędził przez Atlantyck wymachując dużym kijem.

— To tylko kwestia czasu, Drummond—powiedział, kiedy złożyłem mu cotygodniową wizytę, by usłyszeć nowe wieści. — W końcu wyczerpią mu się wymówki... albo pieniądze...

Zegary odmierzają czas. Jim O'Malley kupił salon gier przy Broadwayu, szalenie modny, i zainwestował w luksusowy burdel, a ludzie z innego irlandzkiego klanu, O'Flahertych, zaczęli pchać się do niego na chłama — miałem więc pełne ręce roboty. Ci O'Flaherty zawsze byli bandą dzikusów, co wie każdy, kto choć raz był w Galway City, w Nowym Jorku zaś, gdzie wszyscy działali w klanach i gdzie można było zrobić duże pieniądze, jeśli weszło się we właściwy interes, rozbastwili się ponad wszelką miarę. Tylko raz udało nam się nawiązać z nimi współpracę, gdy i nas, i ich zaczęli przyciskać Niemcy. Zabawny był ten świat, w którym żyliśmy. Skakaliśmy O'Flahertym do gardła przez cały tydzień, a w niedzielę maszerowaliśmy z nimi do kościoła na mszę. Przypominało mi to strony rodzinne — Joyce'ów i O'Malley'ów tłukących się wzajemnie na miążgę w potyczkach rodowych, a następnego dnia mieszkających się spokojnie w kościele... Bardzo dużo myślałem o domu, najczęściej w kościele lub podczas deszczu. W Nowym Jorku deszcze były ulewne i obce. Nie zdarzała się delikatna irlandzka mżawka; zamiast spacerować po mokrych zielonych polach, mozolnie kroczyłem przez brudne, mroczne ulice miasta. Nienawidziłem tego miasta, zawsze, nawet wtedy, gdy dobrze mi się powodziło. Dzień w dzień tęskniłem za Sarą i domem.

Lord de Salis napisał, że to bardzo miłe ze strony Charlesa, iż tak interesuje się jego majątkiem, więc gdyby miał na zbyciu dwadzieścia tysięcy dolarów, mógłby rozważyć projekt pewnej inwestycji... Charles Marriott odpisał, że owszem — mógłby, i że omówi to z Sarą, kiedy przyjedzie na wiosnę z dziećmi do Nowego Jorku.

Można by sądzić, że w miarę upływu dni coraz mniej tęskniłem za Sarą, lecz było dokładnie na odwrót — brakowało mi jej coraz bardziej. Przestałem nawet mówić księdzu o sprośnych snach, które miewałem, ponieważ po pewnym czasie zmęczyło mnie szokowanie go w konfesjonale.

— Jesteś żonatym mężczyzną pożądanym zameężnej kobiety — pływały znajome słowa — więc twoje myśli są podwójnie grzeszne.

— Ale udzielisz mi rozgrzeszenia, ojcze? — błagałem, bo mówiąc prawdę, pod wieloma względami prowadziłem bardzo niebezpieczny tryb życia i moim jedynym lękiem było to, że zginę nagle, nie otrzymawszy odpuszczenia grzechów. Zawsze starałem się być w stanie łaski, lecz po pewnym czasie moje grzeszne myśli rozgniewały księdza, przestałem więc chodzić do spowiedzi:

To mnie przygnębiło, ponieważ byłem religijny jak każdy przyzwoity Irlandczyk. Oczekiwałem kary, ale nic takiego nie nastąpiło poza tym, że Jim O'Malley dał mi podwyżkę i zaproponował najlepsze dziwki ze swojego burdelu.

— Dziękuję ci, Jim — powiedziałem. — Jesteś szczodrym człowiekiem, nie ma co.

Nie mogłem patrzeć na inną kobietę dłużej niż przez dwie sekundy, by nie myśleć zaraz, jakim jest zerem w porównaniu z Sarą. Poza tym bałem się tych chorób, które można złapać od miejskich dziewcząt — obrazki, jakie widywałem w Nowym Jorku, i zasłyszane opowieści wystarczały, żeby każdemu zjeżyć włos na głowie. Nigdy nie przejmowałem się zbytnio nakazem wstrzeźliwości, teraz jednak po raz pierwszy w życiu byłem czysty jak benedyktyński mnich.

Nie ułatwiało mi to życia w Nowym Jorku.

Lord de Salis napisał, że naprawdę nie może udzielić zgody na wyjazd dzieci do Ameryki, bo to za daleko, ale jeśli Sara zechce wybrać się bez nich, nie stanie jej na drodze.

Obudziłem się pewnego niedzielnego poranka w lutym, całe ogrzewanie było wyłączone i panował tak cholerny ziąb, że -sprzedałbym duszę diabłu, byle móc posiedzieć przy torfowym piecu. Zostałem w łóżku i myślałem o Irlandii. Nie sądzę, bym kiedykolwiek był bardziej przygnębiony. Byłem w tak fatalnym nastroju, że nawet nie poszedłem na irlandzką mszę.

„Teraz — myślałem — Bóg z pewnością dosięgnie mnie z nieba i ukarze. Najpierw przestałem chodzić do spowiedzi, a teraz odwróciłem się od samego świętego sakramentu. Boże, pomóż mi, bo inaczej na pewno stanie się coś strasznego.”

Nic się jednak nie stało. Tego tygodnia wygrałem dwieście dolarów w faraona, a Charles Marriott zakomunikował mi, że Sara zdecydowała się odwiedzić Nowy Jork w kwietniu — bez dzieci.

Potem nigdy już nie poszedłem na mszę. Chciałem, ale nie mogłem dłużej udawać, że przejmuję się cudzołóstwem, a skoro nie mogłem już okłamywać siebie, jak mógłbym okłamywać Boga? Obchodziła mnie tylko Sara. Nie wzruszało mnie, że byliśmy poślubieni innym, ponieważ nasze pożycie miało być wspanialsze niż jakiegokolwiek małżeństwa, Sara zaś miała znaczyć dla mnie więcej niż najlepsza na świecie żona dla swojego kochającego męża.

V

Nie mogliśmy się doczekać. Pojechała do domu z bratem, a ja z nią, lecz gdy tylko zebrała się na odwagę, powiedziała, że chciałaby wyjść ze mną i przespacerować się wzdłuż Piątej Alei. Marriott pozwolił, choć był bardzo zły, żadne z nas jednak się tym nie przejmowało.

Poszliśmy do mojego najmowanego mieszkania. Miałem już dwa ładnie umeblowane pokoje przy Czwartej Alei — w kamienicy co prawda, ale są dwie klasy kamienic, o czym wie każdy, kto kiedykolwiek żył w Nowym Jorku: wytworna, zamieszkiwana przez szanowanych pracujących ludzi, i niższa, nie lepsza od kloaki, przynosząca ogółowi kamienic złą sławę. Moja kamienica była czysta i dobrze utrzymana, a kiedy Sara wkroczyła do moich apartamentów, wydały się królewskie. Nie potrafiłem uwierzyć, że taka jest piękna. Osłupiałem i mogłem jedynie obserwować, jak drżącymi palcami usiłuje rozpiąć guziki sukienki. Potem i ja próbowałem rozpiąć te guziki, lecz byłem w takim stanie, że wciąż wyslizgiwały mi się z palców. Jezu, obydwójce byliśmy tak niezdarzni, że w końcu nie pozostało nam nic innego, jak roześmiać się w głos. Znowu byliśmy sobą, a tortura długiej rozłąki nareszcie się skończyła.

Straciłem praktykę do tego stopnia, że przysięgam, gdybym był widzem, wygwizdałbym siebie. Sara jednakże była tak namiętna, że niebawem spróbowaliśmy znowu, a potem nie wiem, co się porobiło z czasem, w każdym razie nagle za oknem panowała ciemność.

Później, gdy Sara zapaliła świecę, zapytała, czy byłem jej wierny. Kiedy odparłem, że tak, oświadczyła, że mi nie wierzy, a ja powiedziałem, że także w to nie wierzę, ale to prawda. Znowuśmy się roześmiali, potem Sara się rozpłakała i błagała, żebym nigdy jej nie opuszczał, a ja powiedziałem, że to raczej ja powinienem błagać o to, nie ona. Wciąż nie mogła uwierzyć, że ją kocham. Musiałem powtarzać jej to wiele razy i udowodnić raz jeszcze, aż w końcu ją przekonałem.

Była północ, kiedy odprowadziłem ją do domu Marriotta. Charles czekał na nią. Było jasne, że jest wściekły, lecz Sara objęła go i prosiła o wybaczenie tak żarliwie, że chcąc nie chcąc musiał złagodnieć. Kiedy jednak poszła na górę, powiedział do mnie:

— Nie chcę żadnego skandalu, Drummond, dla dobra Sary. Nie życzę sobie, żeby moja siostra stała się pośmiewiskiem nowojorskiego towarzystwa. Może cię widywać, kiedy tylko zechce, nie spodziewaj się jednak zaproszeń na obiady w tym domu czy przyjęcia, w których Sara prawdopodobnie będzie uczestniczyć. Musi także spędzać wszystkie noce pod tym dachem, jeśli łaska, a następnym razem byłbym zobowiązany, gdybyś odprowadził ją do domu nie później niż o dziesiątej wieczór. Nie mówię tego kierowany osobistą animozją, chyba to rozumiesz, lecz

mając na względzie dobro Sary. Jeśli choć trochę ci na niej zależy, przyznasz, że mówię rozsądnie.

— Ach, więc to nazywa się rozsądek? — powiedziałem. — A ja myślałem, że to przesady. — On i jego „osobiste animozje!” Jednak ani ja, ani Sara nie chcieliśmy kłócić się z nim po tym wszystkim, co dla nas zrobił, starałem się więc jak mogłem używać tylko grzecznych słów, Sara zaś dbała o to, by nie przynieść mu wstydu w wyższych sferach Nowego Jorku.

Lord de Salis zaczął pisywać do Sary pytając, jak tam oferta Charlesa Marriotta dotycząca inwestowania w majątek i kiedy wraca do domu.

Pizez jakiś czas Sara pozostawiała listy bez odpowiedzi, a gdy wreszcie napisała, udzieliła wymijającej.

— Mój plan jest prosty — powiedziałem do Sary. — Muszę pozostać w Ameryce, aż uzyskam niewinnienie od królowej. Póki to nie nastąpi, nie mogę wracać do Irlandii, gdzie zostałem na powrót wtrącony do więzienia.

— Ale jak możesz uzyskać niewinnienie? — zapytała z rozpaczą.

To było pytanie, które tak często sobie zadawałem, że miałem gotową gładką odpowiedź.

— Pomoże mi Liga Celtycka — rzekłem z przekonaniem. — Wiesz, to członkowie tajnej ligi irlandzko-amerykańskiej walczącej o wyzwolenie Irlandii. W Bostonie i Nowym Jorku aż roi się od nich. Jeśli zasilę odpowiednią kwotą ich fundusze, oni i dzielny Parnell zajmą się moją sprawą, a Parnell przedstawi ją samej królowej. Nie ma co do tego wątpliwości. — Nie miałem pojęcia, ile było w tym prawdy, lecz przekonałem sam siebie, że prawdopodobieństwo sukcesu jest wielkie. Nie potrafiłbym wytrzymać w Nowym Jorku, gdybym choć na chwilę uwierzył, że już nigdy nie wrócę do Irlandii. — A kiedy zostanę niewinniony — mówiłem, tonąc coraz głębiej w marzeniach — przepłynę Atlantycką i dopilnuję, by MacGowan pożałował, że w ogóle przyszedł na ten świat.

— Jeśli to kwestia pieniędzy — powiedziała Sara zaniepokojona — to może Charles...

— Twój brat nie pożycz mi złamanego centa — odparłem gorzko — a nawet gdyby to zrobił, nie przyjąłbym jego pieniędzy. Zrobię forszę po swojemu i w gniewu oka.

— Ale jak długo...

— Rok.

— Obiecujesz?

To było niebezpieczne. Co innego przechwalać się, by ją rozgodzić, a co innego z premedytacją okłamywać. ...

— Nie — powiedziałem w końcu. — Nie mogę*bbiecać. Coś może się nie udać. Mogę ci przysiąc tylko tyle, że zrobię wszystko co w mojej mocy.

— Chodzi o dzieci — powiedziała, rozkładając ręce. — Nie mogę znieść myśli, że tak długo musiałabym zostać z dala od nich.

— Cóż, jasne, to musi być dla ciebie okropne — przyznałem. Zawsze czułem się bardzo niezręcznie, kiedy rozmowa, a często się to zdarzało, schodziła na jej dzieci. — Nie trać jednak ducha... Może w końcu uda nam się nakłonić twojego męża, żeby się z nimi rozstał.

Jednakże jakoś nie potrafiłem sobie tego wyobrazić, zwłaszcza że lord de Salis nie dawał jej spokoju. Kiedy zamierza wrócić? Czy Charles zmienił zdanie w sprawie pieniędzy? Dzieci codziennie pytają, kiedy ją znowu zobaczą.

— Codziennie! — powiedziała Sara z płaczem. Prawie nie było dnia, żeby nie wybuchała płaczem na myśl o dzieciach. — Och, Maxwellu, co ja mam robić? Nie mogę znieść ciągłego oddalenia od nich, jestem na to za słaba, ale nie mogę też wrócić, na to również nie jestem wystarczająco silna...

— Odzyskasz dzieci — powiedziałem, lecz tak byłem zaniepokojony możliwością jej nerwowego załamania, że pozbyłem się dumy i ubłagałem Charlesa Marriotta o tajną rozmowę.

— Może mógłbyś pojechać do Irlandii — powiedziałem z pokorą — i poprosić lorda de Salis, żeby pozwolił ci zabrać dzieci do Ameryki.

— Nie mogę tego zrobić — odparł natychmiast. — To jasne, że de Salis nie zamierza wypuścić dzieci. One stanowią dla niego gwarancję powrotu żony.

— I co, pewnie uważasz, że świetnie by się stało, gdyby wróciła! — wybuchnąłem, nie mogąc poniżyć się ani sekundy dłużej. — Uważasz, że lepiej jej będzie w Cashelmarze z tym zbrojeńcem niż ze mną w Nowym Jorku!

— Tego nie powiedziałem — odparł bardzo chłodno. — Oczywiście nie może wrócić do Cashelmary. Uważam jednak, że powinna wrócić do Londynu... albo do Dublina, jeśli małżeństwo podlega jurysdykcji irlandzkiej, i szukać porady prawnej, żeby dostać rozwód. Jakkolwiek patrzeć na tę sytuację, jedno jest pewne: Sara nigdy nie zobaczy dzieci, jeśli sąd nie przyzna jej opieki nad nimi.

— Ale ja nie mogę jechać do Anglii czy Irlandii, dopóki nie uzyskam uniewinnienia...

— Racja — rzekł Charles Marriott. — Wybacz mi to, co powiem, ale nie mogę oprzeć się myśli, że to nawet dobrze. Twoja obecność u jej boku mogłaby tylko zmniejszyć jej szanse na uzyskanie rozwodu.

— Sara nie zostawi mnie.

— Jesteś tego pewien? — powiedział zimno.

Nie byłem. Doszedłem do tego, że co rano budziłem się zlanym zimnym potem ze strachu, że Sara pojechała do Irlandii. Wiedziałem aż nazbyt dobrze, jak wiele znaczą dla niej dzieci.

— Musimy sprowadzić dzieci tutaj! — zawołałem z rozpaczą. — Mu-

sisz tam znowu napisać, musisz pomachać pieniędzmi przed nosem MacGowana...

— Nie próbuj mi mówić, co mam robić! — przerwał mi z furją.
— Mam dosyć twoich rozkazów!

Rozkaz musiała mu więc wydać Sara.

— Zdaję sobie sprawę, że Patrick nigdy mi nie odda całej czwórki dzieci — powiedziała. Biedna Sara, kamień by zmiękł na jej widok, gdy mówiła to tak spokojnie i próbowała być dzielna. — Ale może byśmy spróbowali namówić go do rozstania z jednym... lub z dwojgiem...

Charles Marriott zaczął coś przebąkiwać o powrocie i rozwodzie, lecz nie chciała o tym nawet słyszeć.

— Nie bez Maxwella — powiedziała, a moje serce niemal pękło z dumy i poczucia ulgi. — Nie zamierzam ponownie się z nim rozstawać. Nigdy!

Po tym oświadczeniu Charlesowi Marriottowi najwyraźniej zrobiło się słabo — ale co mógł rzec? Sara była jego siostrą i bez względu na to, jak bardzo mnie nie akceptował, chciał jednak zrobić dla niej wszystko, co tylko mógł. Powiedział więc:

— Napiszę do Patricka, że myślę uczynić Neda moim spadkobiercą. Może to skłoni go do wystąpienia przynajmniej Neda na drugą stronę Atlantyku, żeby mógł mnie poznać.

I tak 14 grudnia 1885 roku po raz pierwszy spotkałem jaśnie wielmożnego Patricka Edwarda de Salis, syna i spadkobiercę jedenastego barona de Salis z Cashelmary.

ROZDZIAŁ DRUGI

I

Miał dwanaście lat i ze wszystkich dzieci Sary był tym, którego wspominała najczęściej. Była zbyt dobrą matką, żeby kogoś faworyzować. Jeśli jednak miała faworyta, to był nim Ned.

— Kocham wszystkie moje dzieci — powtarzała mi na okrągło. — Wszystkie są dla mnie wyjątkowe. — I było to zdumiewające, nie tylko dlatego, że było prawdą, ale również dlatego, że większość kobiet w jej sytuacji miałyby prawo czuć coś zgoła odmiennego. Na przykład drugi jej syn, John, był bardzo ograniczony i wielu rodziców uznałoby spółnienie takiego prostaczka za zniewagę dla siebie — ale nigdy nie słyszałem, żeby Sara mówiła o nim źle. Zachwycała się natomiast jego łagodną naturą i nie wspominała, że nie umie czytać ani pisać. Ja jednak wiedziałem, ponieważ Eileen słyszała o tym od panny Madeleine de Salis w lecznicy, a panna de Salis z całą pewnością nigdy w życiu nie skłamała. Dalej była młodsza córka, Jane, poczęta w sposób, który oburzyłyby samego diabła — mały zarozumialec, jeśli wierzyć pannie de Salis.

— Ale Jane ma taką kochaną buźkę i kiedy dorośnie, będzie bardzo atrakcyjna, nawet bardziej niż Eleanor, nie ma co do tego wątpliwości — powiedziała Sara tak szczerze, że zacząłem się zastanawiać, czy panna de Salis nie jest jednak kłamczucha. — Rzecz jasna, jest trochę niegrzeczna, ale wszystkie dzieci przechodzą przez ten etap.

O Jane słyszałem więcej niż o Johnie i Eleanor, lecz najwięcej słyszałem o Nedzie.

* Udałem się z Sarą na nabrzeże, by powitać jego statek, choć Charles Marriott nie chciał, żebym z nią szedł. Powiedział Sarze, że nie zgadza się jechać do portu, chyba że ja będę się trzymał z daleka. Sara zaś nie chciała o tym słyszeć. Pokłócili się i Charles, śmiertelnie obrażony, został w domu, podczas gdy Sara i ja pojechaliśmy jego powozem na nabrzeże.

Sara była tak zdenerwowana, że myślałem, iż za chwilę zemdleje. Kiedy pasażerowie zaczęli schodzić na ląd, mówiła bez przerwy — o niczym szczególnym — i uczepliła się mojego ramienia, jakby się obawiała potknąć o swoje podniecenie. Przez cały czas wytyżała wzrok, starając się dojrzeć swojego ukochanego chłopca.

Dziwne, ale mimo jej gorliwości ja zobaczyłem go pierwszy. Przechylał się przez reling pokładu i badawczo przyglądał tłumowi na dole. Widziałem go wcześniej kilkakrotnie, jadącego konno z ojcem, i rozpoznałem złoty połysk jego włosów.

Sara zaczęła płakać, lecz były to łzy ekstatycznej radości. Wciąż powtarzała, że nie może uwierzyć, iż naprawdę przyjechał. Kiedy spojrzałem na jej rozpromienioną twarz, pomyślałem tylko: a więc stało się. Miałem dość czasu, żeby przywyknąć do myśli o Nedzie dołączającym do nas i chociaż nie podobał mi się pomysł dzielenia Sary z kimkolwiek, wiedziałem, jak wiele znaczy dla niej jego obecność. W minionych miesiącach również przeżywałem bolesne chwile tęsknoty za swoimi dziećmi i w końcu pogodziłem się z faktem, że jeszcze długo żadnego nie zobaczę. Wiedziałem, co znaczy tak tęsknić za widokiem syna. Do czasu przyjazdu Neda zdołałem przekonać siebie, że sprawi mi radość mieć znowu chłopca, którym trzeba się opiekować. Oczywiście zdawałem sobie sprawę, że początkowo trudno mu będzie traktować mnie jak ojczyma, od samego początku jednak byłem przygotowany na przyjęcie go jak syna. „Bądź co bądź — powtarzałem sobie — ten biedny huncwot ma najgorszego ojca, jakiego można sobie wyobrazić, a ja przynajmniej potrafię dać mu przykład, jakiego zawsze mu brakowało.”

Zszedł po pomoście.

Rzeczywiście był przystojnym zuchem, jak na swój wiek wysokim, w pewnym sensie — kawał młodego dżentelmena, zwłaszcza w sposobie trzymania wysoko głowy. Był szalenie podobny do ojca, postanowiłem jednak nie brać mu tego za wadę. Początkowo szedł powoli, niemal spacerowym krokiem, jakby chciał pokazać światu, jaki to jest dorosły, ale kiedy zobaczył twarz Sary, zbiegł na dół prosto w jej ramiona.

— Urosłeś! — to było wszystko, co mogła wykszusić. Znowu płakała z radości. — Ależ urosłeś!

Roześmiał się. Zobaczywszy, jak próbuje się uwolnić z jej objęć, uśmiechnąłem się, ponieważ wiedziałem, że żaden dwunastoletni chłopak nie lubi, kiedy matka całuje go zbyt długo. Gdy jednak okazało się to zbyt trudne, poddał się wdzięcznie i uścisnął ją czule, aż z zachwyty zabrakło jej tchu.

— Jesteś sam? — zapytała, kiedy wreszcie odzyskała oddech. — Twój ojciec obiecał, że przyśle z tobą nauczyciela... Jesteś o wiele za młody, żeby podróżować samotnie...

— Mój nauczyciel złożył wymówienie, a pan MacGowan powiedział, że zaoszczędzi się pieniądze na dodatkowym bilecie. Poza tym, rzecz jasna, nie jestem za miody, mamgo!

— Rzec jasna! — zgodziłem się z uśmiechem. — Jesteś prawie dorosły.

Odwrócił się. Na mój widok zeszywniał tak gwałtownie, że Sara go puściła.

— Maxwellu, muszę cię przedstawić — powiedziała do mnie szybko.
— Pozwól, że ci przedstawię Neda... Ned, to jest pan Maxwell Drummond. Spodziewam się, że przypominasz sobie to nazwisko.

Stał jak rażony piorunem.

— Czołem Ned, jak się masz? — zagadnąłem i wyciągnąłem rękę.

Zignorował ją.

— Dla ciebie jestem paniczem de Salis, jeśli łaska — rzekł lodowato, a odwracając się na pięcie do matki, zapytał jak pierwszy lepszy smarkacz:

— Kiedy, do diabła, wracasz do domu?

II

Jezu miłosierny, nie ma co, chwila była mocno niezręczna. Na szczęście jednak Sara trwała w takim uniesieniu, że nie sposób było ją zasmucić.

— Kochanie, proszę — powiedziała łagodnie — nie bądź niegrzeczny dla pana Drummonda. Odkąd przyjechałam do Nowego Jorku, szalenie mi pomógł.

Postanowiłem nie czekać na komentarz Neda na ten czy jakikolwiek inny temat.

— Poczekam na bagaż, Saro — rzuciłem. — Wy idźcie już do powozu.

— Znakomicie... Ned, ile masz walizek?

— Jeden kufer i jedną skrzynię — odparł i opuścił kąciki ust.

Nadaśany szczeniak! Gdyby którykolwiek z moich chłopców zachował się w ten sposób, bez zastanowienia wyciągnąłbym najlepszy skórzany pas.

Odebranie bagażu zajęło mi dobrą chwilę, w końcu jednak znalazłem tragarza, który zaniósł go do powozu Marriottą. Otworzyłem drzwi, żeby pożegnać się z Sarą.

— Wpadnę jutro o zwykłej porze — powiedziałem. Pracę zaczynałem o piątej po południu, a ranki zwykle miałem wolne. — Może wszyscy będziemy mogli zjeść lunch w „Delmonico”?

Jeśli chłopak zobaczy, że stać mnie na zabranie jego matki do lokalu takiego jak „Delmonico”, zastanowi się, zanim spojrzy na mnie z tych swoich arystokratycznych wyżyn.

— Cudownie. — Uśmiechnęła się i jej twarz znowu pojaśniała. Zastanawiałem się, czy odważy się pocałować mnie przy synu, ale zrobiła to. Miała wiele odwagi i uczciwości i nigdy nie kochałem jej bardziej niż wtedy.

Patrząc za powozem odjeżdżającym z turkotem po brudnych kocich łąkach, przypomniałem sobie własnych chłopców, Maxa i Denisa, siedzących daleko w Dublinie, i zanim dotarłem do mieszkania, tkwiłem — jak to mówią Amerykanie — po kolana w czarnych myślach. Wypiłem trochę whisky, lecz cała whisky świata nie zdołałaby tych czarnych myśli odegnąć, a potem kiedy, próbowałem napisać do synów, opanowało mnie zniechęcenie, ponieważ wiedziałem, że nie odpowiedzą. Miałem jednak świadomość, że pewnego dnia zrozumieją, dlaczego musiałem walczyć z MacGowanem i ryzykować utratę wszystkiego, co posiadałem; pewnego dnia rozumieją, że to wina MacGowana i wieków złych rządów, i anglosaskich prześladowań...

Kontynuowałem rozważania w tym nastroju, aż w końcu przestałem wspominać moich chłopców i myślałem już tylko o zemście, która dokona się, kiedy wrócę do Irlandii. To odeгнаło smutki dosyć szybko. Odstawiłem whisky, wziąłem karabin, włożyłem najlepszy garnitur poszedłem do pracy.

Następnego ranka wstąpiłem do Sary.

Przyjęła mnie w ciasnym saloniku, w którym — zgodnie z naleganiami pani Charlesowej Marriott — musiałem się ukrywać, gdy tylko przekraczałem progi ich domu. W jednej sekundzie zorientowałem się, że wczorajsze radosne spotkanie przerodziło się w poważny problem.

— Rozmawiałam z nim i rozmawiałam — rzekła poruszona, gdy już pocałowaliśmy się na powitanie — ale nie mogę się zdobyć, żeby powiedzieć mu prawdę. Charles twierdzi, że Ned jest zbyt młody, żeby zrozumieć. Tylko że jeśli nie dowie się prawdy, to jak zrozumie, że mam powody, aby nie wracać do Patricka?

— Poczekaj. — Objąłem ją mocniej i trzymałem w ramionach, póki nie przestała drżeć. — Usiadźmy i pomówmy o tym spokojnie.

Usiedliśmy więc na zbyt wypchanej kanapie, a przed nami na ciemnoczerwonej ścianie wisiał ogromny obraz rzeki Hudson i ryba w szklanej gablocie. Ryba zawsze zdawała się nas obserwować. Ilekroć spoglądałem na nią, zastanawiałem się nad człowiekiem radosnego ducha, który ją wypchał, zamiast zjeść, jak na to zasługiwała.

— Przede wszystkim — zacząłem, trzymając dłoń Sary i starając się mówić klarownie i logicznie — jasne jest, że Ned musi się dowiedzieć, co się dzieje w tamtym domu. Ma dwanaście lat, a chłopcy w jego wieku wiedzą już wszystko, co trzeba.

— Nie, nieprawda! Nigdy nie był w szkole. Nikt z nim o tym nie rozmawiał. Jestem pewna, że jest zupełnie niewinny.

— Bzdura — odparłem. — To niemożliwe.

— Maxwellu, ty nie rozumiesz. Chłopiec jego klasy... — Zagryzła wargę. — Cóż, może masz rację — rzekła po chwili — ale z moich rozmów z nim wnioskuję, że z całą pewnością nie wie, co się dzieje. Nie śmiałam go jednak pytać wprost na wypadek... Maxwellu, boję się mu powiedzieć,

a równocześnie chcę, żeby wiedział. Gdyby tylko poznał prawdę, jestem pewna, że wszystko by mi wybaczył.

— Oczywiście powiedziałaś mu, że nie wracasz.

— Tak, ale nie chciał o tym słuchać. Powiedział, że muszę zmienić zdanie. Dlatego jestem pewna, że nie rozumie...

— Cóż, najwyższy czas, żeby zrozumiał — rzekłem. — Pomówię z nim.

— Ale Charles twierdzi...

— Mniejsza o Charlesa. Nie myślę stać z boku i milczeć, gdy jakiś durny chłopak mówi ci, żebyś wracała i żyła z pijanym zbrodnicem.

— Ale, Maxwellu... — urwała.

— Tak?

— Może byłoby lepiej, gdyby Charles z nim porozmawiał. Chcę powiedzieć...

— Dlaczego?

— Cóż... — Jednakże nic jej nie przychodziło do głowy.

— Nie ufasz mi?

— Oczywiście, że ci ufam! Ale byłoby łatwiej, gdyby usłyszał prawdę od Charlesa, swojego wuja...

— Słuchaj — powiedziałem, — ktokolwiek go poinformuje, dla Neda i tak nie będzie to łatwe. Zrozum, twój brat nie ma synów, a ja mam dwóch i wiem, jak rozmawiać z chłopcami w tym wieku. Poza tym twojemu bratu najwyraźniej z trudem przychodzi rozmowa z własną żoną o cudzołóstwie, a cóż dopiero mówić o rozmowie z siostrzeńcem o zbrodni. Ja to załatwię, Saro, nie musisz się o nic martwić.

— Będiesz dla niego miły, prawda? — zapytała, próbując postrzymać łzy. — Będiesz delikatny?

— Jest twoim synem, a ja chciałbym zająć się nim jak swoim. — „Jeśli mi na to pozwoli”, dodałem w myślach. Nie powiedziałem jej jednak, że zaczynam się zastanawiać nad tym zarozumiałym małym snobem, którego ściągnęła do Ameryki. Niebawem zacząłem nawet żałować, że byłem taki szybki w ocenie zachowania Sary w stosunku do niego. Ledwie się z nią rozstałem, miałem pewność, że będzie to piekielnie trudna rozmowa.

III

Postanowiłem schodzić mu z drogi przez tydzień, żeby miał czas ochłonać, aż Sara poinformowała mnie, że sytuacja uległa poprawie. Charles wykazywał zainteresowanie siostrzeńcem i wypowiadał się w jego obronie. Nedowi przeszły dąsy; postanowił nie myśleć o domu i cieszyć

się pobyt w Nowym Jorku. Popołudniami Sara zabierała go do zoo, Central Parku i teatru, a Charles organizował mu przejażdżki konne z dziećmi swoich przyjaciół. Dopiero kiedy dowiedziałem się od Sary, że Ned znowu poruszył temat Cashelmary, zdecydowałem wkroczyć do akcji.

— Zabiorę go na obiad — oznajmiłem. Założyłem, że będzie mniej skłonny do kłótni ze mną, jeśli wystąpię w roli gospodarza w publicznym miejscu. Znałem pewną przyzwoitą restaurację między Grammercy Park a Broadwayem, w której mogłem liczyć na zniżkę. — Pozwól mi spotkać się z nim jutro, kiedy tu przyjdę, to go zaproszę.

Miałem tylko nadzieję, że w ogóle zechce się ze mną zobaczyć. W tym względzie liczyłem na Sarę i jej dar przekonywania. I wyobraźcie sobie, kiedy przybyłem, przyszedł z nią do saloniku i stał sztywno pod wypchaną rybą. Tym razem nie popełniłem błędu i nie wyciągnąłem do niego ręki. Uśmiechnąłem się tylko i zapytałem, jak się bawi w Nowym Jorku.

— Cóż, to bardzo pouczające, jak sądzę — odparł wyniośle — nie mogę jednak powiedzieć, żebym lubił miasta.

— Przynajmniej w tym jesteśmy do siebie podobni — powiedziałem — ponieważ ja także ich nie cierpię. Może zechciałbyś zrobić mi zaszczyt i zjeść kiedyś ze mną obiad? Przez godzinę, może dwie będziemy mogli porozmawiać o Irlandii.

Zerknął na matkę. Rzuciła mu to rzewne spojrzenie, które każdego mężczyznę przyprawiłoby o zawrót głowy, i Ned znowu opuścił kąć ust.

— Wyśmienicie — rzuciłem. Nie padło ani „dziękuję”, ani „sir”, ani nawet „panie Drummond”. Uparty był jak osioł. — To co, może jutro? — zapytałem, a kiedy nadąsany skinął głową, dodałem: — Przyjdę po ciebie w siódmej. — I odwróciłem się do Sary, chcąc uniknąć dalszej rozmowy.

— Jadę teraz na przejażdżkę z panem Drummondem — zapowiedziała. — Chciałbyś wybrać się z nami, kochanie?

Kochanie odparło, że nie, dziękuję bardzo, więc mogłem wymknąć się z Sarą do mojego mieszkania na zwykłe poranne igraszki. Z ogromną ulgą opuszczałem ten dom, cóż, kiedy wkrótce na powrót musiałem się tam zjawić i czekać, aż Ned zejdzie na dół. Kazał mi czekać całe dziesięć minut, a kiedy wreszcie wkroczył powoli do saloniku, nie zaszczycił mnie ani jednym słówkiem przeprosin.

Piechotą ruszyliśmy do Grammercy Park.

Wybrana przeze mnie restauracja należała kiedyś do Ryana z Irving Place. Jim O'Malley właśnie odkupił ją od Ryana. Jej szef, Liam Gallagher, był moim starym przyjacielem. Był to lokal wysokiej klasy, znacznie lepszy niż inne restauracje Jima. Główną salę oświetlały lampki z olbrzymimi kolorowymi abażurami — lampy Tiffany'ego, tak je

nazywano, tyle że oryginalne wykonywano z prawdziwego barwionego szkła i były tak drogie, że jedynie bardzo bogaci mogli sobie na nie pozwolić, tutaj zaś zadowalano się imitacją. Ściany restauracji wyłożono boazerią, na stołach lśniły śnieżnobiałe obrusy. Co się tyczy jedzenia, było pyszne — żadne tam francuszczyzny rozmoczone w sosie i śmierdzące czosnkiem, ale proste, uczciwe, prawdziwe jedzenie, na które Irlandczykowi ślinka cieknie. Serwowano olbrzymie steki i grube, soczyste kotlety, a także tradycyjne dania z bekonu, lepszych zaś pieczonych ziemniaków nie próbowałem nigdy wcześniej — były tak wyborne w smaku, że nie potrzebowały masła, żeby sprawić rozkosz podniebieniu. Pieczone kartofle u Ryana były dla mnie najwspanialszą ucztą, a mój przyjaciel Liam Gallagher dbał już o to, abym dostał odpowiednio dużą porcję. Amerykanie skapią sobie ziemniaków, ponieważ wszyscy są tak subtelni, co więcej, część ludzi w Nowym Jorku w ogóle ich nie jada, tylko jakieś obrzydliwe białe paskudztwa, którym nadają wszelkie możliwe pogańskie nazwy.

Upredziłem Liama, że przyjdę z przyjacielem. Zarezerwował dla nas stolik w rogu przy oknie.

— Max, kim jest twój młody przyjaciel? — zapytał Liam.

— To jego wysokość Patrick Edward de Salis — odpowiedziałem gładko — syn i dziedzic lorda de Salis z Cashelmarty. Panie de Salis, czy mogę ci przedstawić pana Liama Gallaghera?

Jak można się było spodziewać, Liam osłupiał, a kiedy doszedł do siebie na tyle, żeby powitać Neda, zapytał, co chciałby zjeść.

— Czy jest tu jakieś menu? — rzucił Ned wyjątkowo wyniośle.

Liam podał mu kartę i mrugnął do mnie.

— Max, dla ciebie jak zawsze stek?

— Nie, dzisiaj proszę o kotlety baranie. I nie zapomnij o ziemniakach.

— Jasne, jak bym śmiał! I kufelek portera?

— Znakomicie. Ned, czy napijesz się łyczek portera do obiadu?

Potrząsnął głową. Liam życzliwie zaproponował mu napój jabłkowy, ale także odmówił. Niebawem Joe, kelner, przyniósł mi piwo i koszyk świeżego chleba, jeszcze ciepłego, prosto z pieca, i naczynko z masłem tak tłustym, jakby pochodziło z mojej własnej maślnicy.

— Poczęstuj się — zaproponowałem Nedowi.

Potrząsnął głową po raz trzeci.

Moja cierpliwość się wyczerpała. „Dobrze — pomyślałem — jeśli tego chce, niech tak będzie.” I przestałem się odzywać. Milczenie się przeciągało. Wypiłem trochę portera, zjadłem nieco chleba, a kiedy przyniesiono kotlety, bez słowa wziętem do ręki nóż i widelec. Ned zaczął się czuć nieswojo. Kręcił się niespokojnie na krześle i choć próbował jeść kotlet, zostawił go w połowie. W końcu zrobiło mi się go żal. Ostatecznie był tylko chłopcem i może nie tak śmiałym, jakiego przede mną odgrywał.

• — Deser? — zapytałem zwięźle.

— Nie, dziękuję — odparł z oczami wlepionymi w talerz. Wiedziałem, że zrobił się przystępniejszy.

Zamówiłem sernik i herbatę. U Ryana robili herbatę prawidłowo, nie tak jak w innych lokalach Ameryki, które mógłbym wyliczyć, i zawsze wypijałem duży dzbanuszek po obiedzie. Kiedy tylko Joe zrealizował zamówienie, pochyliłem się do przodu, wykonując ten ruch tak szybko, aż Ned podskoczył. Powiedziałem do niego jak najłagodniej:

— Twoja matka prosiła, żebym porozmawiał z tobą o pewnych sprawach. Czy zamierzasz wysłuchać mnie grzecznie, czy też będę musiał jej przekazać, że byłeś zbyt nieuprzejmy, by o czymkolwiek z tobą rozmawiać?

Przełknął ślinę i z trudem odparł:

— Ależ bardzo proszę, mów, co masz do powiedzenia.

— Zwracaj się do mnie „sir” — zażądałem. — Masz dwanaście lat, a ja przekroczyłem już czterdziestkę i choćby ze względu na różnicę wieku winieneś mi odrobinę szacunku.

Wpatrywał się w obrus. Posąg nie mógłby być bardziej nieruchomy.

— Dlaczego tak trudno przychodzi ci zachowywać się grzecznie w stosunku do mnie? — zapytałem. — To, że twoja matka jest moją kochanką, nie może być jedynym powodem, bo kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy, nie wiedziałeś jeszcze, że ona i ja dzielimy łóżę.

Podniósł wzrok tak gwałtownie, jakby go coś użądliło. Ujrzałem popłoch w jego oczach.

— A więc wiesz, co to znaczy — powiedziałem, przyglądając mu się. — Przypuszczam, że będziesz wiedział.

Odebrało mu mowę. Poczzerwieniał, usta miał zaciśnięte, i nagle uświadomiłem sobie, że jest bliski łez. Był bardzo młody.

— Posłuchaj — rzekłem, łagodząc głos i starając się mówić jak najogłędniej. — Nie mam wobec ciebie złych zamiarów. Kocham twoją matkę i zamierzam dbać o nią, a jeśli chodzi o ciebie, bardzo bym chciał, żebyśmy zostali przyjaciółmi. Byłem z tobą szczery, może więc teraz ty powiesz mi otwarcie, czemu zawsze traktujesz mnie jak ostatniego gnojka?

Próbował coś powiedzieć, ale nie wydobył z siebie ani słowa.

— To dlatego, że uważasz, iż nie jestem dość dobry dla twojej matki, prawda? — zapytałem. — To jest ten powód.

— Nie — odparł — nie dlatego. Dlatego, że jesteś wrogiem mojego ojca.

Patrzyłem na niego nie bardzo wiedząc, dlaczego jestem aż tak stropiony — może dlatego, że nigdy nie przyszło mi do głowy, iż mógłby się przejmować opinią swojego ojca. W końcu taka kreatura jak de Salis... A może de Salis był mądrzejszy, niż sądziłem?

— Jestem wrogiem MacGowana, Ned — powiedziałem, instynktow-

nie czując, że nie mogę mówić obraźliwie o de Salisie, a w konsekwencji postanawiając przerzucić cały ciężar krytyki na MacGowana. — Mój żal do twojego ojca płynie wyłącznie z tego, że nazbyt łatwo ulega MacGowanowi, a MacGowan zadał twojej matce więcej cierpień, niż jakakolwiek kobieta mogłaby znieść.

Ku mojemu zaskoczeniu nareszcie ożywił się nieco. Wyprostował plecy i znowu podniósł głowę.

— Wiem, że moja matka była w domu nieszczęśliwa — powiedział — ale tylko dlatego, że nie umiała podejść do swojego małżeństwa w sposób praktyczny. Ojciec wszystko mi powiedział. Odbyliśmy bardzo długą rozmowę, kiedy stało się jasne, że nie zamierza wracać z Ameryki. Wszystko mi wyjaśnił.

— Wszystko? — powtórzyłem bardzo już zdezorientowany.

— Tak, sir. Powiedział, że on i moja matka nigdy nie byli ze sobą zbyt szczęśliwi, choć obydwójce bardzo się starali, aż w końcu zrobili się tak nieszczęśliwi, że matka nie chciała już żyć z nim dłużej, jak powinna żona. Powiedział, że zrozumiał to, ponieważ on także nie chciał z nią żyć. Najlepszym rozwiązaniem było więc prowadzić osobne życie, choć dla dobra nas, dzieci, oficjalnie pozostali mężem i żoną i dzielili ze sobą dom. Papa mówił, że mama nie była przygotowana na to, by pozwolić mu prowadzić oddzielne życie. Chciała, żeby nadal kłamał, a on kłamać nie chciał. Chciał być uczciwy. Kochał pana MacGowana bardziej niż ją. Powiedział, że pan MacGowan jest najlepszym przyjacielem, jakiego kiedykolwiek miał, i że w jego towarzystwie zawsze czuł się szczęśliwy i spokojny. Powiedział, że łatwo mu było żyć z MacGowanem jako przyjacielem, ale niemożliwe żyć z matką jako mężem.

Przerwał. Teraz mnie z kolei odebrało mowę, a on, mylnie biorąc moją osłupiałą minę za dezaprobatę, dodał pośpiesznie:

— Papa przyznał, że żal mu było mojej matki, ale znacznie lepiej było stawić czoło prawdzie, niż jej unikać. Powiedział, że moja matka nie przyjmowała tej prawdy do wiadomości i chciała rozdzielić rodzinę, zabierając nas, dzieci, od niego, tylko że on za bardzo nas kocha, żeby jej na to pozwolić. Stwierdził, że gdyby naprawdę nas kochała, nie opuściłaby Cashelmary. Nie sądzę, żeby w tym miał rację, sir, ponieważ wiem, że mama naprawdę nas kocha. Ale uważam, że powinna wrócić do domu. Nie chodzi o mnie, bo jestem prawie dorosły i nie potrzebuję już matki, za to moje siostry są bardzo małe i brat nie jest taki dorosły jak ja. Wiem, że mama nie lubi pana MacGowana, ale on i kuzynka Edith odbudowują Clonagh Court. Papa mówi, że kiedy mama wróci, będzie mogła znowu zostać panią własnego domu i że MacGowan nie będzie jej wcale niepokoił...

— Ned... — odezwałem się.

— Tak, sir?

— Myślę, że nie do końca rozumiesz to, co próbował ci powiedzieć ojciec. On i MacGowan nie poprzestają na trzymaniu się za ręce, wiesz?

Jego twarz była bez wyrazu. Wtedy wszystko zrozumiałem. De Salis był szczery, lecz nie całkiem, chłopiec wyrozumiały, lecz naiwny. Wiedziałem, że na tym etapie muszę być bardzo ostrożny. Zastanowiłem się przez chwilę. Nie wolno mi było obrazić de Salisa, musiałem jednak odsłonić Nedowi prawdę. Przyznać, że de Salis był uczciwy, ale wykazać, że nie do końca. Podkreślić piekło, przez jakie przeszła Sara, i opisać MacGowana jako diabelskie nasienie, chłopcu pozostawiając decyzję o tym, w jakim świetle stawia to jego ojca. „Śpiesz się powoli, bądź ostrożny, idź na palcach.”

— Ned, przypuśćmy, że pan MacGowan jest kobietą — usłyszałem wreszcie swój beznamiętny głos. — Czy nadal byś twierdził, że twój ojciec ma prawo wymagać, aby żona do niego wróciła?

— Ale on nie jest kobietą — odparł Ned.

— Zgadza się — przytaknąłem. — I to stanowi tym poważniejszy powód, żeby twoja matka nie chciała wracać do domu.

Spojrzał na mnie. Obserwowałem, jak wyraz zaskoczenia znika z jego twarzy, aż stała się bardzo gładka, świeża i młoda. Wtedy odwrócił wzrok. Spojrzał na imbryczek z herbatą i mój talerz z nie tkniętym sernikiem. Przyjrzał się śnieżnobiałemu obrusowi lśniącemu pod lampą Tiffany'ego.

— Twój ojciec miał rację — ciągnąłem, starając się mówić zrównoważonym, obojętnym tonem. — Lepiej stawić czoło prawdzie, a prawda jest taka, że oczekiwał od twojej matki, że przebaczy mu jego nienaturalny romans z zarządcą. Jedynym powodem, dla którego twoja matka zносиła to tak długo, było to, że nie chciała opuścić was, dzieci, ale MacGowan uczynił z jej życia takie piekło, że cudem to przetrwała. Na pewnym etapie była tak przerażona, że nosiła ze sobą nóż dla obrony, ponieważ twój ojciec z całą uczciwością, co przynajmniej powiedział jej, że jeśli MacGowan zdecyduje się ją skrzywdzić, on nie kiwnie nawet palcem, aby go powstrzymać.

Przerwałem. Wokół nas restauracja huczała pogłosem rozmów i brzękiem szkła i sztućców.

— I jeśli rzeczywiście pragniesz uczciwości... — Nie mogłem już dłużej mówić obojętnie. Chciałem, ale na myśl o przeszłych cierpieniach Sary rozwścieczyłem się tak bardzo, że straciłem zdolność oceny sytuacji, zamroczyło mnie i na chwilę zapomniałem, iż powinienem panować nad sobą. — Jeśli rzeczywiście oczekujesz uczciwości — powiedziałem gwałtownie — to zdradzę ci, że ostatnim razem, gdy twój ojciec zapragnął odegrać rolę męża, musiał mieć ze sobą w sypialni MacGowana. Dopiero wtedy mógł zachować się wobec twojej matki jak mężczyzna. Nie mówmy więc o jej powrocie do Cashelmary, bo nie tyle powinieneś być zły z powodu jej odejścia, co wdzięczny, że została tak długo.

Udało mi się przemilczeć fakt, że MacGowan zgwałcił Sarę, ale i tak przeklinałem siebie, że powiedziałem więcej, niż zamierzałem. Oddech miałem urywany, pięści mocno zaciśnięte. Ned ani drgnął. Przyglądał się serwetce na swoich kolanach i nie mogłem zobaczyć wyrazu jego oczu. Jego twarz była blada i nieruchoma.

— Przepraszam — wykrztusiłem. — Nie chciałem mówić ci tego wszystkiego, ale chciałem, żebyś zrozumiał, jakie cierpienia zadawano twojej matce przez ostatnie kilka lat...

Krzesełko stuknęło o ścianę. Chłopak wstał. Jego serwetka poszybowała na podłogę.

— Ned...

— Proszę mi wybaczyć, sir — powiedział uprzejmie i wybiegł z sali. Zerwałem się na równe nogi i zawołałem do Joego:

— Powiedz Liamowi, że zapłacę później.

Wybiegłem za Nędem na ulicę. Goniłem go przez całą drogę do Grammercy Park i zrównałem się z nim wtedy dopiero, kiedy zatrzymał się po północnej stronie. Oparłszy się o ogrodzenie, chwycił je oburącz, przycisnął czoło do żelaznych prętów i zwymiotował.

Biedny, nieszczęsny szczeniak, pomyślałem. Trzymałem się z daleka czekając, aż skończy. Mnie samemu było trochę niedobrze. Wiedziałem, że choć zacząłem tak wspaniale, spartaczyłem wszystko i teraz mogłem tylko powtarzać sobie na okrągło: nadrobię to. Będę wyjątkowo uprzejmy i życzliwy dla niego. I pewnego dnia, jeśli kiedykolwiek zwróci się do mnie o pomoc, pomogę mu najlepiej, jak tylko chłopak mógłby sobie wymarzyć.

Kiedy skończył wymiotować, zaproponowałem, że zabiorę go do domu. Znowu próbował uciec, w końcu doszło na chodniku do małej szamotaniny.

— Zabieram cię do domu — powtórzyłem. — Odprowadzę cię do samych drzwi. Jestem za ciebie odpowiedzialny. Twoja matka nigdy by mi nie wybaczyła, gdybym cię zostawił i kazał samemu znaleźć drogę powrotną.

Próbował mnie uderzyć, ale potem się poddał. Twarz miał zalaną łzami.

Zastanowiłem się, czyby nie przejść na Broadway i nie wziąć do-rożki, uznałem jednak, że nocny spacer dobrze mu zrobi. Ruszyliśmy więc na piechotę do Czternastej Ulicy i przez Union Square do Piątej Alei. Dzieciak szedł obok mnie potykając się i nie odzywał się ani słowem. Co jakiś czas docierało do mnie jego żałosne chlipanie. Kiedy byliśmy już o krok od rezydencji Marriotta, rękawem próbował wysuszyć oczy.

— Możemy poczekać chwilkę, zanim wejdziemy do środka, jeśli chcesz — zaproponowałem, zatrzymując się przy bramie. Potrząsnął gwałtownie głową, lecz znowu zaczął płakać, poczekaliśmy zatem.

Oparłem się o mur i zapaliłem papierosa. Po jakimś czasie Ned zdołał powiedzieć cichym, drżącym głosem:

— Chcę wrócić do domu i chcę, żeby matka pojechała ze mną. Obiecałem, że przywiozę ją z powrotem. Co się teraz z nami stanie?

. — Ja zabiorę was obydwójce do domu... już niedługo — odparłem.

— Twoi rodzice wyjaśnią nieporozumienia przed sądem i znowu wszystko się ułoży, obiecuję.

— Ale ja chcę mieszkać w Cashelmarze. Nie chcę gdzie indziej.

— Jasne! A dlaczego miałbyś tam nie mieszkać?! — rzekłem. — Ty jesteś dziedzicem i pewnego dnia będzie twoja. — I nagle pomyślałem: Najświętsza Panienko, to dopiero jest pomysł, bezbłądny!

— Przecież jeśli rodzice nie będą mieszkać razem i ja będę musiał opiekować się mamą...

— Zaraz, zaraz — powiedziałem głosem miękkiem i delikatnym jak jagnięca wełna — nie będziemy o tym myśleć w tej chwili. Najlepiej jest przekraczać mosty, kiedy się do nich dotrze.

Jednakże ja pokonywałem już most za mostem. Pozbyć się MacGowana. De Salisowi nie zależy ani na Irlandii, ani na Cashelmarze, dlaczego więc miałby tam zostać bez MacGowana? Może jechać do Anglii i zamieszkać z braćmi. Oczywiście lekka perswazja może się okazać niezbędna, ale... dostanie takie karty, że zadowolili to nas wszystkich. Pozwolimy mu okazjonalnie widywać się z dziećmi, damy jakąś pensję. Wtedy Sara zamieszka w Cashelmarze z dziećmi, a ja... Cóż, Ned będzie chyba potrzebował kogoś, kto zajmie się majątkiem dopóki on nie dorośnie. A kto mógłby być lepszym zarządcą od człowieka znającego tak dobrze dolinę jak ja i pilnującego jego interesu jak własnego? Mógłbym nawet prosić moich chłopców, żeby przyjechali mi pomóc. I nagle ujrzałem wypisane ich charakterem pisma na kopertach: Szanowny Pan Maxwell Drummond, , hrabstwo Galway...

— Myślę, że wejdę teraz do środka, sir — powiedziało nieszczęsne dziecko u mojego boku.

— Oczywiście, Ned — odparłem żarliwie. — Mam nadzieję, że nasze następne spotkanie będzie weselsze.

Patrzyłem, jak przecina dziedziniec i mozolnie wdrapuje się po frontowych schodach, ale nawet kiedy już majordomus otworzył mu drzwi, nie odszedłem. Spojrzałem na złocone bramy i pomyślałem o Cashelmarze. Wszystkie moje ambicje, jakie kiedykolwiek miałem, sprawiły, że krew zaczęła mi szybciej krążyć w żyłach.

ROZDZIAŁ TRZECI

I

Oczywiście Sara i ja często dyskutowaliśmy o przyszłości, ale żadnemu z nas nigdy nie przyszło do głowy, że moglibyśmy razem zamieszkać w Cashelmarze. Sara sądziła, że kontrakt rozwodowy umożliwi jej nabycie małego domu na wsi i kawałka ziemi uprawnej. Planowałem udać się na poszukiwanie czegoś stosownego, podczas gdy ona będzie układać się z prawnikami. Chciałbym wrócić do Krainy Joyce'ów, gdzie stała , lecz dostrzegałem korzyści płynące z zacyznania wszystkiego od początku gdzie indziej. Ponieważ dla Sary mieszkanie w Irlandii byłoby sporym poświęceniem, uważałem, że to ja powinienem się poświęcić, rezygnując z Connaught na rzecz Ulsteru. Ta prowincja nie była mi zupełnie obca, ponieważ mój ojciec zabrał tam całą rodzinę w czasie najgorszej z klęsk głodowych w latach czterdziestych; miałem wtedy zaledwie kilka lat, toteż moje wspomnienia się zatarły. W Ulsterze jednak wieś była bogata, wiedziałem to, i gdybym tylko miał tam przyzwoitą farmę, zarobiłbym na niej więcej, niż kiedykolwiek udało mi się w rodzinnym domu nad jeziorem Naffoe. Nie żeby pieniądze znaczyły wszystko — zresztą Sara miałaby własny dochód z kontraktu rozwodowego, ale przecież nie mogłem pozostawać na jej utrzymaniu. Potrzebowałem tyle pieniędzy, bym mógł żyć jak dżentelmen. Nie można spać z damą i nie zatroszczyć się o porządne prześcieradła. Nauczyła mnie tego Eileen.

Następnego dnia po obiedzie z Nedom wstałem wcześniej rano, zaparzyłem sobie duży czajnik herbaty i siedziałem, chrupiąc resztki czerstwego chleba. Wciąż czułem się nie w porządku wobec Neda, ponieważ jednak nie ma sensu płakać nad rozlanym mlekiem, zmusiłem się, by rozważać plany życia w Cashelmarze. Zastanawiałem się, jak przedstawię je Sarze. Wiedziałem, że dla niej wiąże się z nieprzyjemnymi wspomnieniami i że wobec tego będę musiał rozegrać to ostrożnie, koncentrując się głównie na przyszłości Neda... Sięgnąłem po ostatnią kromkę chleba i rozsmarowałem na niej złoty resztek smalcu z bekonu. Dopiero wtedy spojrzałem na swój złoty zegarek, który pewnego dnia wygrałem w pokera. Ósma. Czas wyszykować broń przed wizytą u Marriottów i odebraniem Sary.

Miałem jeden ze sławnych modeli „P” Colta, kaliber 36, znany pod różnymi nazwami: „rozjemca” albo „pojedyncza szóstka” — w Ameryce mają talent do nazywania broni. Był to rewolwer jednostrzałowy, to znaczy przy każdym strzale trzeba było odciągnąć ręcznie ten cholerny kurek, ale Amerykanie klną się, że ten typ jest dokładniejszy i w niczym nie ustępuje rewolwermom samopowtarzalnym zza Atlantyku. Prawdopodobnie mają rację. Miałem kiedyś w rękę broń Smitha-Wessona i potem cieszyłem się, że wróciłem do mojego „rozjemcy”.

Właśnie rozebrałem rewolwer i bawiłem się smarowaniem, kiedy ktoś nieśmiało zapukał do drzwi.

— Kto tam? — krzyknąłem. Czułem się bezbronny ze swoim bezużytecznym rewolwerm rozłożonym na stole, a w Nowym Jorku nigdy nie wiadomo, co się za chwilę wydarzy. Chwyciwszy nóż kuchenny, podkradłem się do drzwi, zwolniłem blokadę zasłaniającą wziernik, który wydrążyłem w drewnie, i zerknąłem na gościa dokładnie w tym samym momencie, w którym usłyszałem szept Sary:

— To ja.

Wciągnąłem ją do środka.

— Przyszłaś sama! — zdumiałem się.

— Nie mogłam się doczekać dziesiątej. Powiedziałam więc Evadne, że wcześniej rano jadę ze służącą do Stewartów. Wzięłam powóz, zanim zdążyła odmówić. — Evadne była jej szwagierką, wyfiokowaną żoną Charlesa. — Maxwellu, jestem bardzo zmartwiona tym... Co to jest?

— Och, nic takiego. To tylko broń.

— Broń!

— Ochrona zawsze nosi broń, nie mówiłem ci? — Myślałem o tym, jak elegancko i ślicznie wygląda w futrzanej czapce i z mufką. Poczułem się przy niej jak niechluj. Wciąż byłem tylko w koszuli, nie ogolony, wyglądałem dokładnie jak zbieg, którym w istocie byłem.

— Dajmy spokój broni — powiedziałem, wycierając ścierką umorusane smarem ręce. — Siadaj i napij się herbaty. Przypuszczam, że Ned jest powodem twojego zmartwienia? — Mówiąc to, postanowiłem, że nie wyznam jej, jak bardzo wstydzę się za siebie; chciałem oszczędzić jej dodatkowych trosk i niepokoju.

— Tak, Ned jest strasznie przygnębiony — stwierdziła — i ja także... — Zapytał ją, czy to, co powiedziałem mu o jego ojcu i MacGowan, jest prawdą, a kiedy potwierdziła, zamknął się w swoim pokoju i nie chciał z nią rozmawiać.

— Daj mu trochę czasu — poradziłem, uświadamiając sobie z ulgą, że Ned nie wdał się w szczegóły naszej rozmowy. — Przejdzie mu. To jasne, że doznał szoku.

— Ale dlaczego jest na mnie taki zagniewany? — zapytała z niepokojem w głosie. — Sądziłam, że kiedy pozna prawdę o ojcu, stanie po mojej stronie.

— I tak też zrobi — rzuciłem uspokajająco.

— Maxwellu, nie mówięś mu o...

— O czym? — wtrąciłem stanowczo za szybko, rad, że mogę szczerze powiedzieć, iż nie pisałem słówka o gwałcie, nawet jeśli wypaplałem o obecności MacGowana w sypialni. Dzięki Bogu jednak Sara miała na myśli tylko nasz związek.

— Owszem, powiedziałem mu — odparłem, skrywając ulgę. — Cemu nie?

— Cóż, ja...

— Od kiedy się tego wstydzisz?

— Nie o to chodzi... Ale dla Neda musiało to być za dużo... wszystko naraz... czy nie dostrzegasz tego?

— Chciałem, żeby się dowiedział, że cię kocham i zamierzam o ciebie zadbać. Zrozum, słodczy moja, mam wspaniały pomysł, który zachwyci Neda i sprawi, że wkrótce będzie nam jadł z ręki... — I opowiedziałem jej o moim planie powrotu do Cashelmary.

W pierwszej chwili tylko wzruszyła ramionami, lecz dokładnie tego się spodziewałem.

— Miałam nadzieję, że pókim żywa, nie będę musiała tam wracać.

— To oczywiste, ale pewnego dnia stanie się własnością Neda, prawda? A jeśli nie będzie tam ani twojego męża, ani MacGowana...

Coś w jej twarzy powstrzymało mnie. W jej oczach pojawił się błysk, jak zawsze, gdy mowa była o MacGowanie, kolory zabarwiły łagodnie jej policzki, a usta rozchyliły się i zwilgotniały.

— Nie zapomnisz o moim naszyjniku, prawda? — odezwała się, a kiedy roześmialiśmy się obydwój, jej namiętna nienawiść roznieciła we mnie ogień. Zapragnałem jej.

Ten naszyjnik był naszym prywatnym żartem, datującym się od owego pamiętnego wieczoru, kiedy piliśmy za potępienie MacGowana; obiecałem jej wtedy jego dzwonki nanizane na sznur niczym perły.

— Ty i twój naszyjnik! — rzuciłem przekornie i wzięłem ją w ramiona. Zapomniałem, że ręce mam umazane smarem. Niebawem smar był wszędzie — na halce i staniku, na jej biodrach i piersiach, aie żadne z nas tym się nie przejmowało. Sara powtarzała tylko:

— Kochaj mnie. Proszę.

Zrobiłem to więc, bo Bóg mi świadkiem, że nie potrzebowałem zachęty. Po wszystkim powiedziała:

— Nie wiem, co zrobić, jeśli cię utracę. — Jakbym był o krok od porzucenia jej dla innej kobiety.

— Dlaczego miałabyś mnie utracić? — zapytałem, uśmiechając się do niej. — Nie jestem z tych nieostrożnych! — Ale wiedziałem, że dopadła ją chandra. Domyśliłem się, że mimo wszystkich moich zapewnień, wciąż niemądrze martwi się o tego chłopca.

— Nie wolno ci zamartwiać się Nedom — powiedziałem, przechodząc do zlewu i wyciągając cynową balię. — Znajdź mu jakieś zajęcie, żeby nie chodził osowiały jak kwoka. Niech Charles załatwi mu nauczyciela. Wtedy zajmie się lekcjami. — Sięgnąłem po dzbanek i zacząłem napełniać balię wodą. — Później, gdy już przyzwyczai się do mnie, zabiorę go tu i tam. Chciałbym tego. Nie dalej jak kilka dni temu myślałem o wszystkich tych eskapadach, które moglibyśmy razem odbyć.

— Jeśli tylko cię zaakceptuje...

— Jasne, że to zrobi — odparłem z przesadnym optymizmem. — Jaki ma inny wybór? Musi stanąć po twojej stronie, a kiedy zda sobie z tego sprawę, zrozumie, że musi przyjąć i mnie. A pomyśl tylko, jak będzie zaskoczony, gdy odkryje, że nie jestem takim ludożercą, za jakiego mnie ma.

Wykapaliśmy się. Smar przykleił się do nas jak łajno do kół furmanki, ale zdrapując wszystkie te plamy, bawiliśmy się świetnie.

— Szkoda, że nie jesteśmy w domu Charlesa — powiedziała Sara, chichocząc niczym siedemnastolatka. — Tam jest sześć łazienek, wszystkie z marmurową posadzką i solidnymi złożonymi kranami, a wanny są tak duże, że można by w nich pływać. — I zaraz dodała szybko: — Zaczyna mnie bardzo męczyć życie pod dachem Charlesa, z nim i Evadne nie aprobującymi niczego, co robię.

— Jasne, ja też tego nie znoszę... Jak by ci się podobało życie w Bostonie przez jakiś czas?

— W Bostonie!

— W Bostonie! — Owinąłem nas ręcznikiem i pocałowałem ją. — Mój przyjaciel, Liam Gallagher, ma tam brata, który znalazłby dla mnie pracę. Mógłbym zarobić furę pieniędzy, więcej niż jestem w stanie wyciągnąć tutaj. Gdyby nie przeszkadzało ci życie w małym miasteczku...

— Z tobą zamieszkałabym byle gdzie — odparła. — Wiesz o tym. Ale, Maxwellu, musisz oszczędzać pieniądze, a nie wydawać je na mnie. W przeciwnym razie nigdy nie wrócisz do Irlandii. Spróbuję wytrzymać u Charlesa, póki nie zdobędziesz potrzebnej sumy.

— Nie myślę stać z boku i patrzeć, jaka jesteś nieszczęśliwa!

— Póki mogę widywać cię codziennie, jestem szczęśliwa — odparła. Wpadliśmy w nie pościelone łóżko, narzuciliśmy na siebie* koce i ogrze[^]waliśmy się uświęconym przez wieki sposobem, aż było nam tak gorąco, że cisnąłem koce na podłogę. Zapaliłem papierosa, Sara także zażyczyła sobie pociągnąć, a kiedy wypuściliśmy dym na siebie, stwierdziłem, że się tu udusimy. Przeszliśmy więc do saloniku i tam trochę pomęczymy meble. W południe w sofie pękła sprężyna, a my byliśmy kompletnie wykończeni, toteż zwaliliśmy się na łóżko i zapadliśmy w kamienny sen. Słyszałem kiedyś, że po czterdziestce siły zawodzą mężczyznę, ale to nieprawda — jeśli człowiek ma kobietę równie namiętą jak Sara, zachowa diabelską męskość aż do dziewięćdziesiątki.

Chyba że od początku jest tylko w połowie mężczyzną, jak ten wymoczek de Salis.

Tego popołudnia złożyłem tradycyjną wizytę w nowojorskiej centrali Ligi Celtyckiej- Irlandzkie Bractwo Republikańskie mogło zmieniać nazwy równie często jak bogata kobieta kapelusze, lecz żyło i rozkwitało na amerykańskiej ziemi. Wielu twierdziło, że Liga różni się od Bractwa, ale ja stawiam sześć do osiemnastu, że jest inaczej. Wystarczy spojrzeć na to w ten oto sposób: w roku 1858 zorganizowano amerykańską odmianę Irlandzkiego Bractwa Republikańskiego i nazwano ją Amerykańskim Bractwem Fenian albo Fenianami, których celem, jak wszyscy wiemy, było odłączenie Irlandii od Anglii i utworzenie niepodległej republiki. Amerykańscy Fenianie różnili się od irlandzkich (to znaczy od Bractwa), choć obie organizacje miały ten sam cel. Napytali sobie biedy, gdy usiłowali przeniknąć do Kanady, a pod koniec lat sześćdziesiątych rozpadli się na frakcje i cała sprawa ugrzęzła w piekielnym bałaganie.

Ostatecznie w roku 1869 powstała Liga Celtycka. Pierwszą rzeczą, którą zrobiła, było uznanie Bractwa w Irlandii i wlanie jego członkom odrobiny oleju do głowy. Cóż, Liga odniosła sukces i w mgnieniu oka wchłonęła Fenian i wszystkie tajne stowarzyszenia w Irlandii (z wyjątkiem jednego — Irlandzkiej Konfederacji O'Donovana Rossa), zawarła również przymierze z ruchem politycznym, na którego czele stał Parnell. To właśnie nazywano Nową Orientacją. Wszyscy pracowali dla tej samej sprawy — unieważnienia unii z Anglią i utworzenia wolnej Irlandii, z tym że jeśli celem Parnella było tylko uzyskanie autonomii, to Liga, jako bardziej radykalna, żądała od razu republiki. Wtedy powstała Irlandzka Narodowa Liga Rolna, posiadająca również swoją wersję amerykańską, już niebawem jednak za sprawą morderstw w Park Phoenix (dokonanych przez członków tajnej organizacji o nazwie „Niezwyciężeni”, którą powinna była wchłonąć Liga, lecz tak się niestety nie stało), Liga Rolna została zdyskredytowana. Przemianowano ją wówczas na Ligę Narodową, w Ameryce noszącą nazwę Amerykańska Liga Narodowa. Pod koniec roku 1883 Liga Celtycka rozpadła się na dwie części: pierwszą — zachowującą dawną nazwę Bractwo, i drugą (większą) — przyjmującą skrót USA.

Jasne? Jasne jak słońce, naprawdę, jeśli tylko się nad tym zastanowić. Cóż, nie jestem pewien, gdzie w tym wszystkim była Irlandia, ale wiem, że zachęciło mnie to do składania wizyt w nowojorskiej siedzibie Ligi, której byłem członkiem.

Wstąpiłem do Ligi wkrótce po osiedleniu się w Nowym Jorku. Wszyscy liczący się Irlandczycy do niej należeli, a poza tym natychmiast się zorientowałem, że to jedyna droga, która może doprowadzić mnie do uniewinnienia. Co wcale nie znaczy, że zapisałem się do Ligi z czysto egoistycznych pobudek. Oczywiście uniewinnienie wiele dla mnie znaczyło i zrobiłbym wszystko, żeby je uzyskać, ale ponadto podziwia-

łem cele i idee organizacji i z radością je popierałem. Kierowałem lokalnym tajnym stowarzyszeniem «Czarnych Butów» (powinienem raczej powiedzieć: Fenian), potem prowadziłem nawet całą agitację opartą na polityce Ligi Rolnej. Zawsze byłem politycznie bardzo aktywny, zawsze walczyłem o irlandzką wolność, byłem więc rad, że mogłem zostać członkiem Ligi. Przyjęto mnie w sierpniu 1884 roku dzięki rekomendacji mojego przyjaciela Liama Gallaghera, który prowadził restaurację Ryana. Dostanie się do organizacji było jednak diabelnie trudną sprawą — gdy już przeszedłem przez krzyżowy ogień pytań, głosowanie i zaprzysiężenie, od całej tej ceremonii kręciło mi się w głowie.

Jednakże kiedy już znalazłem się w środku, czekało mnie tam kilka niesprzyjmych niespodzianek. Pierwszą było to, że choć Liga mówiła bardzo dużo, robiła bardzo mało — przynajmniej dla ludzi takich jak ja. Jej członkowie bez przerwy rozprawiali o wyrównywaniu irlandzkich krzywd, ale gdy przychodziło do wyrównania krzywdy pojedynczego Irlandczyka, kończyło się na obietnicach, że napiszą do „ważnych ludzi” w Irlandii i poproszą o dodatkowe datki na szczytny cel. Wszystko bardzo pięknie. Przez jakiś czas nie miałem nic przeciwko wspieraniu, lecz nie zamierzałem łożyć na nich w nieskończoność. Drugą rzeczą irytującą mnie w Lidze było to, że jej członkowie przez cały czas dystansowali się wobec Parnella. Twierdzili, że nie jest dość radykalny, że jego prawdziwym celem nie jest utworzenie republiki, że to tylko Anglik mający Irlandczyków pięknymi hasłami o autonomii. A co to właściwie była autonomia? Nie republikanizm, to na pewno. Była to po prostu inna nazwa anglosaskiego panowania, tyle tylko że prawa zamiast w Westminsterze, powstawałyby w Dublinie.

— Ale jeśli uda nam się osiągnąć autonomię, będziemy w pół drogi do republiki! — zawołałem, lecz oni tego nie rozumieli. Dla nich liczyła się tylko republika albo nic. — Przecież Anglosasi nigdy nie dopuszczą do tego, żebyśmy tak od razu mieli własną republikę! — powiedziałem. Byłem zdumiony ich brakiem zrozumienia tej prawdy oczywiście. — Współcześnie żaden żyjący Anglosas nie zgodzi się na republikę, gdy tymczasem niemało jest takich, którzy nie są wrogo nastawieni do pomysłu, by Irlandczycy, pozostając w ramach imperium, zarządzili się sami z Dublina. Poza tym wielu Anglosasów szanuje Parnella...

— Ponieważ wyraża się i wygląda jak oni — powiedział ponuro Starszy Mistrz mojej loży.

— Ależ on uosabia zjednoczoną Irlandię... on nas wszystkich pojednał... pomógł nam uzyskać uczciwe umowy czynszowe...

— On nigdy nie da nam republiki — orzekli amerykańscy Irlandczycy, co jak z wściekłością odkryłem, było zawsze ich ostatnim słowem na ten temat. Cały kłopot polegał na tym, że oni nigdy nie mieszkali w Irlandii i nie rozumieli olbrzymiego praktycznego znaczenia zwycięstw Parnella. Byli zbyt głęboko pochłonięci swoimi marzeniami i teoriami,

żeby potrafili być praktyczni. Nie leżało w ich możliwościach dostrzeżenie faktu, że walka Parnella i osiemdziesięciu pięciu irlandzkich posłów do parlamentu przyniosła Irlandii więcej pożytku niż wszystkie wybuchające w Londynie bomby.

— No cóż, Sean — powiedziałem, wchodząc do zagraconego pokoiku Starszego Mistrza w ubogiej dzielnicy (Sean to nie było jego prawdziwe imię, rzecz jasna, i nie wyjawię, gdzie znajduje się ta kamienica). — To znowu ja. Czy są jakieś wieści na temat mojego uniewinnienia?

— Ach, to ty, Drummond — odparł. — Max, wejdź i popatrz na nową bombę, którą konstruujemy, żeby wysadzić gmach Parlamentu.

Rzuciłem okiem na rysunki i powiedziałem, że to najznakomitsza, najśliczniejsza i najpożyteczniejsza bomba, jaką kiedykolwiek widziałem.

— A czy miałeś jakieś wieści od Ligi Narodowej na temat mojej sprawy? — dodałem grzecznie.

— Ach, z Ligi nadeszły wspaniałe wieści — odpowiedział. — Twierdzą, że rząd lorda Salisbury nie utrzyma się dłużej niż sześć miesięcy, a kiedy Gladstone znowu obejmie władzę, wniesie projekt ustawy o autonomii. Wtedy Charles Stewart Parnell, jeśli jest prawdziwym Irlandczykiem, będzie mógł lansować prawdziwą republikę i zaświta ten dzień, gdy wszyscy Irlandczycy obudzą się i zrzucą kajdany tyranii.

— Amen — rzekłem tłumiąc w sobie chęć do sprzeczki. — A co z moimi kajdanami, Sean? Co z niesłuszną eksmisją i niesprawiedliwym wyrokiem, wiszącym nad moją głową niczym kamień nagrobny?

— Pewnie, że to straszna rzecz, Max — on na to. — Pracujemy nad tym, pilnując, by sprawiedliwości stało się zadość, ale takie sprawy trochę trwają, a te anglosaskie diabły nie rozumieją słowa sprawiedliwość tak jak my. Gdybyśmy teraz mogli przesłać w twoim imieniu nieco więcej pieniędzy...

— Zapłaciłem wam już wystarczająco dużo — powiedziałem. — Teraz wy pokażcie mi efekty. Czy Liga zatrudniła jakiegoś adwokata do zbadania mojej sprawy?

— Jeszcze nie. Ale kiedy ustawa o autonomii zostanie przegłosowana i narodzi się prawdziwa republika, każdemu będzie oddana sprawiedliwość, więc gdybyś tylko zechciał troszkę poczekać...

Wyszedłem. Wiedziałem, że nie wolno mi go obrazić. Był jedynym ogniwem łączącym mnie z Ligą Narodową, a pośrednio z samym Parnellem. Skinąłem jedynie głową, a nawet dorzuciłem trochę pieniędzy, choć miałem pewność, że poszły prosto do jego kieszeni; Sean pochodził z hrabstwa Cork, a dla nikogo nie jest tajemnicą, że wszyscy jego mieszkańcy to banda chytrosów.

Potem wyszedłem i spałem się. W ten sposób nigdy nie doczekam się uniewinnienia, nigdy nie wrócę do Irlandii, nigdy nie stanę twarzą w twarz z MacGowanem.

Musiałem tam wrócić. Cóż, może Parnell wygra swoją batalię o autonomię?

Parnell jednak przegrał. Odrzucono ustawę o autonomii. Czytałem o tym w gazetach. Za projektem było sto czterdzieści trzy głosy na trzy-sta trzysta możliwych, a pan Gladstone powiedział później, że obawia się, iż „nie narodzone dziecko przeklinać będzie wynik tego głosowania”. W Belfaście wybuchły zamieszki. Liga Celtycka poprzysię-gła straszliwą zemstę. Moja słabnąca nadzieja na niewinnienie powę-drowała z łoskotem do rynsztoku. Wtedy napisałem te listy. Napisałem do Parnella i do namiestnika Irlandii, napisałem nawet do królowej. Tymczasem przyszedł lipiec, piekielnie upalny, i Charles Marriott zaczął przebąkiwać o wyjeździe z miasta do swojego letniego domu w dolinie Hudson.

— Chce, żebym z nim jechała — powiedziała Sara. — Rzecz jasna nie zrobię tego, choć taki wyjazd przydałby się Nedowi.

Tego dnia spóźniłem się do niej, ponieważ dużo czasu zajęło mi ułożenie listu do królowej Wiktorii, tak że kiedy przybyłem do rezyden-cji, była już pora lunchu.

— Dlaczego nie zjemy tutaj? — zaproponowała Sara, widząc mój smutek i starając się mnie rozchmurzyć. — Charles nigdy nie wraca z Wall Street przed trzecią, Evadne pojechała na Manhattan odwiedzić przyjaciół, a Ned poszedł ze swoim nauczycielem do Muzeum Historii Naturalnej. Mamy więc dom tylko dla siebie.

— Łazienki też? — Nie mogłem się powstrzymać, by nie zadać tego pytania, a kiedy się roześmiała, poczułem się lepiej.

Nigdy nie miałem okazji obejrzeć domu Marriotta poza tym ciasnym salonikiem. Sara zaprowadziła mnie do wytwornej jadalni ze srebrnymi świecznikami rozstawionymi na stole i żyrandolem zwisającym z sufitu. Wszystko było bardzo szlachetne — z wyjątkiem jedzenia. Kucharka zalała jajka jakimś obrzydliwym sosem, posypując po wierzchu natką pietruszki, a lokaj podał trochę bułek z masłem zamiast warzyw.

— Jezu! — zawołałem. — Czy Charles Marriott nie przechowuje w spiżarni mięsa i ziemniaków?

Sara zachichotała. Lokaj wybałuszył oczy, a majordomus pozieleniał na twarzy.

Kiedy szliśmy na górę do salonu, byliśmy już w szampańskich humorach. Chciałem zapalić papierosa, ale Sara powiedziała, że nie wolno, ponieważ Evadne wyczuje zapach dymu. Wyszliśmy więc na chwilę na piękny kamienny taras. Potem zaproponowałem, żebyśmy obejrzeli łazienki.

— Jezu! — zawołałem z zachwytem, gdy prowadziła mnie od pokoju do pokoju. Zatrzymywałem się w każdej łazience, odkręcając krany i sprawdzając, czy rzeczywiście działają. Działały wszystkie! To było zdumiewające. Potem zafascynowały mnie klozety i zacząłem pociągać za

każdy łańcuch. — Jezu! — powtarzałem, a raz czy dwa zawołałem: — Święta Mario! — Sara zaśmiewała się tak głośno, że nie mogła mówić, a ja jej wtórowałem. W końcu wybraliśmy łazienkę z pięknym, kunsztownym, wielkim zwierciadłem — i pławiliśmy się wesoło w olbrzymiej wannie jak dwie małe świnki taplające się w błocie. Przygnębienie przeszło mi już zupełnie i byłem w jak najlepszej formie.

— Czas na zbadanie sypialni — powiedziałem, owijając purpurowy ręcznik wokół bioder. Poszliśmy na palcach wzdłuż korytarza. Sara chichotała na myśl, że możemy się natknąć na służącego.

— Stój! — wydyszała. — Mam kolkę w'boku i nie mogę się ruszać.

— Cóż, to problem, który da się łatwo rozwiązać — rzuciłem i przeniosłem ją przez próg najbliższej sypialni. Zupełnym przypadkiem była to sypialnia Charlesa. Niebawem przekonałem się, że sprężyny jego ogromnego łóża zadowolilyby nawet akrobatę.

— Twój brat przesuwają się o kreskę w górę na mojej skali ocen — powiedziałem, próbując kilku podskoków.

— Nie możemy tu zostać.

— Czemu? Mnie się tu podoba. Jezu, co za łóżko!

Zostaliśmy więc, lecz Sara była tak zdenerwowana, że wycofałem się i zaproponowałem, abyśmy przenieśli się do jej pokoju.

— Może tak będzie bezpieczniej — przyznała z ulgą, kiedy jednak zapytałem, czy przed wyjściem zamierza wyrównać narzuty, okazała się tak rozplomieniona, że postanowiła zrobić to potem.

Co nigdy nie nastąpiło.

Kiedy dwie godziny później przemykaliśmy się właśnie korytarzem tak, żebym mógł się wyślizgnąć z domu przed powrotem Neda, na półpiętrze natknęliśmy się na samego pana domu.

— Charles! — zawołała Sara z poczuciem winy. — Ależ dziś wcześniej wróciłeś!

— Wróciłem jakiś czas temu — odparł, rzucając jej wyjątkowo twarde spojrzenie. — Zajęty byłem doprowadzaniem do porządku mojej sypialni i łazienki w północnym skrzydle, zanim służący mogli zobaczyć bałagan i wyciągnąć wnioski.

Sara poczerwieniała. Nie była kobietą, która łatwo się rumieni, ale kiedy już to robiła, nie dało się tego ukryć.

— Charles...

— Cicho bądź! — powiedział ostro i gwałtownie zwrócił się do mnie: — Wynos się. I nigdy więcej nie pokazuj się w tym domu.

— Jedną minutkę! — odparłem. Żaden nowojorski lalusz z nosem wyżej czubka głowy nie będzie mi mówił, co mam robić. — Jeśli jestem wystarczająco dobry dla twojej siostry...

— Nie jesteś — odparł. Nie podniósł głosu, ale mówił znacznie szybciej. — Jesteś zbiegłym skazańcem i zarabiasz na życie jako rewolwerowiec przestępczego irlandzkiego klanu w dzielnicy biedoty.

Czy wyniesiesz się z tego domu natychmiast, czy też mam rozkazać służbie, żeby wezwała policję?

— Charles — błagała Sara — proszę...

— Nie będę go dłużej tolerował w tym domu, Saro. To jest mój dom i mam prawo odmówić wstępu do niego każdemu, jeśli zechcę.

— Ale...

— I jak śmiesz przyprowadzać go tu i zachowywać się jak ladacznica! Tylko nie udawaj. Traktowałaś to miejsce jak burdel! Czy nie masz za grosz wstydu, za grosz poczucia przyzwoitości? Czy nic dla ciebie nie znaczy, że twoje imię stało się głośne w wyższych sferach Nowego Jorku? Gdziekolwiek pójde, słyszę szeptę ludzi: „A oto i Charles Marriott, jego siostra zabawia się z tym irlandzkim chłystkiem”...

— Ty...

— Maxwell! — krzyknęła Sara i jakoś zdołała wślizgnąć się między nas, zanim zdążyłem zrzucić go ze schodów.

— To prawda! — krzyknął Charles Marriott. — Wszyscy przyjaciele żartują z tego za moimi plecami. Nawet Evadne traktowana jest z lekceważeniem, gdyż jej szwagierka jest niewiele lepsza od ulicznicy!

— Cóż to za tragedia dla was obojga! — krzyknęła Sara. — Wyśmienicie, jutro się wyprowadzę.

— Wyprowadzisz się? Czyś ty postradała zmysły, Saro? Temu człowiekowi zależy tylko na twoich pieniądzech! Nie zechce pokrywać kosztów twojego utrzymania!

— Cholera! — wrzasnąłem. — Utrzymam Sarę, nawet gdyby przyszło mi zapisać duszę diabłu, żeby zapłacić czynsz! Zejdź mi z drogi i pozwól zabrać twoją siostrę z tego pieprzonego domu!

Usłyszawszy ostre słowa, zbladł. Próbował złapać Sarę za rękę.

— Saro, nie pójdziesz z tym człowiekiem. Kategorycznie zabraniam! A co z Nedem? Jeśli uważasz, że ten człowiek jest właściwym towarzyszem dla chłopca w jego wieku...

— Ned jest moim synem! — krzyknęła Sara. — Nie twoim! I ja będę decydować, kto jest dla niego dobrym towarzyszem!

— Wydziedziczę go. Wstrzymam wypłacanie ci pensji. Nie dostaniesz ode mnie ani centa, póki będziesz żyć z tym człowiekiem!

W dali zadźwięczał dzwonek przy drzwiach.

Spojrzelśmy na dół i zobaczyliśmy zadarte do góry twarze gapiących się na nas służących. Po chwili majordomus ochłonął na tyle, by podejść wolno do drzwi.

To był Ned ze swoim nauczycielem. Wrócili z muzeum.

— Przyjdę jutro — rzuciła do mnie Sara drżącym głosem. — Muszę spakować rzeczy i porozmawiać z Nedem. Ale jutro rano przyjdę.

Nic nie powiedziałem, pocałowałem ją tylko i zacząłem schodzić na dół. Ned patrzył na mnie. Coś w jego wyrazie twarzy zwróciło moją uwagę, jakby kogoś mi to przypominało, ale nie bardzo wiedziałem kogo.

— Dzień dobry, panie Drummond — powiedział. Od czasu obiadu u Ryana zawsze był dla mnie bardzo uprzejmy, chociaż moje nadzieje na wspólne eskapady spełzły na niczym. Miał wybitny talent do wymyślania wymówek, po pewnym czasie przestałem go więc zapraszać.

— Czołem, Ned — odparłem, uśmiechając się do niego dokładnie tak jak zawsze.

Opuściłem dom Charlesa Marriotta po raz ostatni, a wychodząc przez złoconą bramę na Piątą Aleję, splunąłem na nią.

ROZDZIAŁ CZWARTY

I

Kupiłem Sarze obrączkę ślubną, wygrawerowałem na niej nasze inicjały i datę. Cały wieczór zastanawiałem się, czy kiedykolwiek będziemy mieć ślub kościelny. Nie bardzo wiedziałem, jak mogłoby do tego dojść — chyba że byśmy przeżyli naszych małżonków. Choć myśl o de Salisie w trumnie napawała moje serce radością, to obraz Eileen w grobie był nie do zniesienia. Bezsensem było żywić nadzieję, że rozwód cokolwiek załatwi — Bóg nie uznaje rozwodów, wszyscy to wiedzą. Ale gdyby się zdarzyło (co broń Boże), że Eileen by umarła, i gdyby de Salis zapił się na śmierć... Sara przeszłaby na katolicyzm, co heretycy często robią, a wtedy moglibyśmy pobrać się prawidłowo, z księdzem. Wciąż myślałem, jaką byłoby to ulgą, gdybyśmy znowu mogli uczestniczyć we mszy, mając czyste sumienie, nie zmacone tą straszliwą obawą, że nie jesteśmy w stanie łaski. Przyzwyczaiałem się do życia poza Kościołem, ale od czasu do czasu budziłem się w ciemności i na myśl o czyścicu ogarniało mnie przerażenie.

Cóż, nie ma sensu tym się zamartwiać, powtarzałem sobie następnego ranka po niespokojnej nocy. Wolę cierpieć wieczne ognie piekielne, niż rzucić Sarę. Nie mam więc wyboru — muszę żyć dniem dzisiejszym i nie zadrezczać się przyszłością.

Poza tym łatwo było zapomnieć o czyścicu, gdy Sara przeprowadziła się już do mojego mieszkania.

Przywiozła ze sobą dwa kufrы, dwie torby i Neda.

— Powiedziałam służącej, że przyślę po nią później — poinformowała. — Zdecydowałam, że nie potrzebuję reszty bagażu przywiezionego z Irlandii. — Ubrana była w niebieski kostium spacerowy z masą granatowych naszywek wzdłuż szwów na przedzie i duży kapelusz z kwiatami. U jej boku czułem się elegancki i dostoyny jak lord siedzący na dziesięciu tysiącach akrów.

— To wielki dzień — powiedziałem. — Rozgośćcie się, a ja skoczę i kupię szamparfa.

Pobiegłem więc do sklepu monopolowego, kiedy zaś wróciłem, zastałem Sarę przecierającą kieliszki. Ned siedział spokojnie na brzegu sofy.

— Zdejmij marynarkę i podciągnij rękawy — rzuciłem do niego. Musiało mu być niewygodnie w ciasnej dwurzędowej marynarce. Ściągnął ją posłusznie, lecz nadal siedział w swoim kącie cicho jak myszka. Obawiałem się, że będzie nadąsany, ale był dobry jak złoto.

— Musisz napić się z nami szampana — odezwałem się do niego z uśmiechem, a kiedy także się uśmiechnął i powiedział „dziękuję, sir”, ledwie mogłem sobie przypomnieć, jaki był wobec mnie niegrzeczny przy naszym pierwszym spotkaniu. Pomyślałem: dogadamy się, teraz za-przyjaźnimy się w mgnieniu oka.

— Wczoraj wieczorem widziałem się z moim przyjacielem, Liamem Gallagherem — powiedziałem do Sary. — Twierdzi, że jego brat w Bostonie na pewno znajdzie dla mnie pracę. Zamierza napisać do niego i dowiedzieć się czegoś więcej. Liczę na to, bo jestem już zmęczony Nowym Jorkiem. Wszystkim nam taka odmiana dobrze by zrobiła. Poza tym — dodałem, myśląc o moim uniewinnieniu — może Liga w Bostonie prędzej udzieli mi pomocy niż tutejsza.

— Byłam w Bostonie przed wielu laty — powiedziała Sara — ale pamiętam to miasto jako śliczne i staromodne. Chciałabym znowu tam pojechać. — I zaczęła opowiadać Nedowi o wzgórzach Bostonu i sławnym torze jeździeckim Paula Revere'a.

Ned kiwał głową, a kilka razy, spoglądając na szampana, wybąkał: „tak, mam”. Gdy skończyła, zapytał, czy mógłby się przejść po okolicy. Mimo niechętnej miny Sary odparłem, że czemu nie. Był już wystarczająco duży, żeby uważać na siebie, a sąsiednie ulice nie miały złej sławy.

— Tylko nie odchodź za daleko, Ned — powiedziała Sara z niepokojem, kiedy wychodził. Miała skłonność do nadopiekuńczości; wiedziałem, że będę musiał położyć temu kres. Dorastający chłopak musi mieć trochę swobody, jak powtarzał mój ojciec matce, gdy zanadto się o mnie niepokoiła. Prawdą jest, że kobiety nie powinny mieć pod opieką tylko jednego dziecka, bo wtedy zbyt trudno jest im zachować umiar.

Po wyjściu Neda rzekłem do Sary:

— Ten człowiek w Bostonie, Phineas Gallagher, jest bogaty i podobno wpływowy. Więc może jeśli on zajmie się moją sprawą, Liga zechce mnie porządnie wysłuchać, a wtedy w przyszłym roku o tej porze będziemy z powrotem w Irlandii, żyjąc jak mąż i żona. — Potem wręczyłem jej obrączkę ślubną, napełniłem kieliszki i byliśmy bardzo szczęśliwi.

— Zrobię wszystko, by nie być dla ciebie ciężarem, Maxwellu — powiedziała, gdy było już po wszystkim. — Mam wszystkie potrzebne ubrania. Obawiam się jednak, że rachunki za pranie mogą być wysokie. I nie wiem, co zrobimy z posiłkami. Sądziś, że mogłabym znaleźć kogoś, kto by nauczył mnie gotować?

— Wykluczone! — zawołałem. — Cóż za pomysł! Dopóki jesteśmy w Nowym Jorku, będziemy jeść na mieście, a kiedy przeniesiemy się do

Bostonu, najmiemy większe mieszkanie z kuchnią i zatrudnisz służącą, która będzie przychodziła codziennie gotować i sprzątać.

— Ale koszty... nie chcę być ciężarem...

— W Bostonie będę dobrze zarabiał. Gdy opuścimy to miasto, wszystko się ułoży, jestem o tym przekonany. Zobaczysz, tam szczęście uśmiechnie się do nas.

Wyjechaliśmy z Nowego Jorku tydzień później, i Bogu dzięki. Moje mieszkanie było za małe dla nas trojga. Choć Ned był tak spokojny, że ledwie zauważaliśmy jego obecność, to jednak krępowała nas świadomość, że gdy my idziemy do łóżka, on w drugim pokoju leży na sofie.

— Przykro mi, że cię tracę, Max — rzekł Jim O'Malley, gdy nadszedł czas pożegnania wszystkich moich przyjaciół. Próbowiałem oddać mu rewolwer, ale roześmiał się i powiedział, żebym zatrzymał go na jakiś czas.

— Zabierz go ze sobą do Irlandii i strzelaj do Anglosasów — dodał — a potem odeślij mi go z ich krwią na lufie. — Jego ojciec został eksmitowany przez lorda Luncana z hrabstwa Mayo w czasie klęski głodu. Jim, wówczas sześciolatek, widział, jak angielscy żołnierze spalili doszczętnie jego dom rodzinny.

— Zawiadomiłem mojego brata Phineasa, kiedy przyjeżdżasz — wyjaśnił Liam Gallagher. — Czy jedziecie porannym pociągiem?

— Zgadza się — odparłem. W skrytości bałem się trochę pociągów. — Z pewnością będzie to straszna podróż.

— Lepszy pociąg niż statek-trumna — powiedział Liam, a ja pomyślałem: Jezu, ależ ci amerykańscy Irlandczycy są pamiętliwi! Prawdą jest, że wszyscy Irlandczycy lubią grzebać się w przeszłości, po samogonie sam niejednokrotnie rzucałem klątwy na ludzi Cromwella. Ale ci amerykańscy są bardziej irlandzcy niż krajowi, co obserwowałem nieraz, odkąd stanąłem na amerykańskiej ziemi.

Podróż pociągiem była dokładnie tak straszna, jak się tego spodziewałem, choć nie tak fatalna, muszę to przyznać, jak statek emigrantów. Wybraliśmy jednak na tę podróż upalny dzień i przegapiliśmy rezerwację w najlepszym wagonie; nigdy wcześniej nie jechałem pociągiem i nie znałem wszystkich tajników rezerwacji i „nadawania” bagażu. Jechaliśmy pierwszą klasą, ale ponieważ niemal wszystkie pociągi w Ameryce są pierwszej klasy, nic to nie znaczyło. Prawda jest taka, że przez sześć godzin byliśmy wciśnięci w długi, duszny, zatłoczony wagon, podobny do gigantycznego cygara.

Próbowałem prosić Sarę o wybaczenie, lecz odpowiedziała, że to nie ma najmniejszego znaczenia, jest ogromnie szczęśliwa, że jedzie ze mną, i to jej wystarczy. Kiedy to powiedziała, poczułem wielką dumę i pomyślałem, że naprawdę jest wielką damą, tak silną i szlachetną, zawsze lojalną i nigdy nie pozwalającą sobie na choćby słówko skargi. Ned także nie narzekał. Siedział w swoim kącie z jakąś książką w ręku; wagonem

jednak zbyt kołysało, żeby można czytać, spędził więc większość czasu wyglądając przez okno.

Ja starałem się nie zerkać za okno zbyt często. Osobiście uważam, że taka szybka jazda jest pogańska i niebezpieczna — gdyby Bóg chciał, żeby człowiek poruszał się szybciej niż na koniu, stworzyłby porządne zwierzę, które by to załatwiło. Ale sznur wagonów pędzących po wąskich torach! W jakiś sposób nie było to naturalne, a zresztą kto do diabła potrzebuje gnać średnio czterdzieści mil na godzinę?

Zanim jednak przebyliśmy pół drogi do Bostonu, nie tylko znałem odpowiedź na to pytanie, ale żałowałem, że średnia nie wynosi osiemdziesiąt mil — tylko w ten sposób ta nieznośna podróż mogłaby skończyć się szybciej. Przypuszczam, że istniał tam jakiś system chłodzenia powietrza, tylko nie działał, kiedy więc wreszcie dotarliśmy do celu, moje ubranie było mokre od potu, na dodatek mdliło mnie od tego bujania i podskakiwania.

— Na tę noc znajdziemy jakiś hotel — powiedziałem do Sary.

— Najbliższy hotel przy stacji.

Sara była zbyt wyczerpana, żeby mówić, toteż tylko kiwnęła głową z wdzięcznością.

Potykając się, ruszyliśmy wzdłuż peronu. Było tak gorąco, że zastanawiałem się, czy przypadkiem nie umarłem, sam jeszcze o tym nie wiedząc, i nie smażę się już w ogniach piekielnych. Ludzie wpadali na nas i coś krzyczeli. Sara wyglądała tak źle, że obawiałem się, iż lada chwila zemdleje.

— Ned — odezwałem się, ledwie mogąc dobyć z siebie głosu — podprowadź matkę do tamtej ławki i posiedźcie chwilę, a ja znajdę bagaż.

— Maxwell... — Sara uczepliła się mojego ramienia i wskazała na peron. — Patrz!

Patrzyłem osłupiały. Kilka jardów dalej stał olbrzymi, nienagannie ubrany Murzyn, w rękach trzymał duży karton, na którym ktoś napisał węglem: MAXWELL DRUMMOND.

— Najświętsza Matko Boska — wyszeptałem. — Pewnikiem to wiadomość od samego Najwyższego. — Potykając się, ruszyłem wzdłuż peronu. Obawiałem się, że cudowna wizja zniknie. Ale posłaniec stał twardo na swoim miejscu i z zainteresowaniem obserwował, jak przedzieram się ku niemu.

— Jestem Maxwell Drummond — wydyszałem.

— Dzień dobry, psze pana — odparł Murzyn, unosząc kapelusz i kłaniając się z szacunkiem. — Proszę ze mną, psze pana.

— Poczekaj... moja żona... syn... bagaże...

Murzyn delikatnie wyjął kwity z moich rąk i powiedział, że zajmie się bagażem. Zacząłem machać gorączkowo do Sary i Neda, a kiedy wstali z ławki, ktoś poklepał mnie po ramieniu.

Obróciłem się. Naprzeciw mnie stał tęgi mężczyzna mniej więcej w moim wieku. Ubrany był w najlepiej uszyty płaszcz, jaki kiedykolwiek widziałem; trzymał laseczkę ze srebrną rączką i uśmiechał się po irlandzku.

— Witaj w Bostonie, Max — powiedział pogodnie. Jego błękitne oczy miały kolor jeziora w Cashelmarze. Pomyślałem: dobry Boże, czy jest jeszcze jakaś inna rasa, która trzyma się razem tak jak Irlandczycy? Łzy napłynęły mi do oczu. Myślałem o nas wszystkich, skazanych na wygnanie tysiące mil od domu rodzinnego, a jednak powstających z popiołów zarazy i prześladowań, by zatriumfować nad wszystkimi przeciwnościami losu. Tak, wiem, było to sentymentalne, ale jestem Irlandczykiem i Bóg mi świadkiem, że nigdy nie czułem się z tego powodu bardziej dumny niż wtedy, gdy ów nieznajomy podszedł do mnie w obcym mieście, wyciągnął rękę na powitanie i nazwał mnie po imieniu.

— Nazywam się Phineas Gallagher — mówił — i każdy przyjaciel mojego brata jest moim przyjacielem. Chodźmy do powozu. Pozwól, że zabiorę was do mojego domu na Beacon Hill...

II

Wiedziałem, że brat Liama odniósł spory sukces. Było dla mnie jednak niespodzianką, gdy odkryłem, że nie przesadziłem mówiąc Sarze, iż jest bogaty i wpływowy. Wiedziałem, że podobnie jak Jim O'Malley maczał palce w hazardzie, lecz Liam nigdy nie wspominał o rzeczywistej podstawie jego majątku — kompanii i korporacji. Być może zazdrościł trochę bratu, bo Phineas był od niego młodszy, a obaj zaczęli w Ameryce z niczym, jeśli pominąć te szmaty, które mieli na grzbiecie.

Od momentu zejścia ze statku-trumny Phineas przebył daleką drogę. Należał teraz do elity; Boston to było miasto snobów, jeszcze gorsze niż Nowy Jork. Żoną Phineasa była pogodna irlandzka dziewczyna, niewiele starsza od Sary. Wiedziała wszystko o wykwintnych manierach oraz eleganckich akcjach dobroczynnych, które należało wspierać. Pomyślałem, że podobałaby się Eileen. Cztery córki uczyły się gry na fortepianie i włoskiego oraz wyszywały kołnierzyki.

Dom Gallaghera nie był tak duży jak rezydencja Marriotta, ale znacznie zabawniej się w nim żyło. Pokoje urządzone były z cudowną, wesołą niedbałością. Jeden z saloników wykończony został szmaragdową zielenią z marmurkowymi koniczynkami na obramowaniu kominka, a w każdej sypialni znajdowała się kolorowa gipsowa figurka Dziewicy z Dzieciątkiem. Co się tyczy jadalni, to była marzeniem głodomora. Cudowne steki wielkości talerza, ziemniaki jeszcze smakowsze od tych,

które serwował Liam u Ryana, kaszanka, irlandzka kiełbasa, ser — mięki, nie myślcie sobie, irlandzki ser, a nie to twarde świństwo o wyglądzie stearyny, i kwaśne mleko, tak gęste, że krasnoludek mógłby na nim tańczyć. A jeśli chodzi o whisky...

— Jezu! — wykrzyknąłem. — Mocna jak samogon! — Niemal płakałem z zachwytu, że znalazłem się w prawdziwym irlandzkim domu. Już zapomniałem o niezbyt pochlebnej opinii, jaką miałem o amerykańskich Irlandczykach.

— Szkoda, że nie ma tu chłopców, z którymi mógłbyś się bawić, Ned — powiedziała Sara, a ja już myślałem, że te cztery dziewczynki mogą mu się świetnie przysłużyć. Wszystkie były tłuściutki — trudno się dziwić, zważywszy na jedzenie, które serwowała ich matka — wszystkie dużo chichotały i wszystkie nosiły imiona irlandzkich miejsc. Trudno było je rozróżnić, ale według Wzrostu nazywały się: Clare, Kerry, Connemara i Donegel. Dwie ostatnie, znane jako Connie i Donagh, miały poniżej dziesięciu lat, Kerry była dwunastolatką, a Clare o dwa lata starsza. Ned miał więc towarzystwo w swoim wieku.

Pragnąłem jak najszybciej zacząć pracę i nie nadużywać gościnności, lecz Phineas Gallagher był wcieleniem gościnności. Upiera! się, że powinniśmy spokojnie poszukać mieszkania. Tymczasem powierzył mi opiekę nad hazardem w swoim nowym salonie i obiecał wynagrodzenie niemal dwukrotnie wyższe od tego, które miałem u Jima O'Malleya.

Wiedziałem, że coś kombinuje, lecz nie mając mu nic więcej do zaferowania, zdecydowałem przyjąć jego szczodrość bez wnikania w szczegóły. Byłem zresztą pewien, że podobam mu się tak samo jak on mnie i uważałem, że wszyscy jesteśmy ze sobą znakomicie zgrani. Pewnie, że pojawiła się drobna niezręczność, gdy przychodziło do mszy niedzielnych, ale kiedy tylko spostrzegł moje zażenowanie, powiedział błyskawicznie:

— Nie jestem księdzem, Max, i nie będę cię osądzał. — Przyniosło mi to wielką ulgę, równie dobrze bowiem mógł być mocno przeciwny cudzołóstwu. Phineas wiedział od Liama, że Sara i ja nie jesteśmy małżeństwem, za to nie wiedziała o tym ani jego żona, ani żadna z dziewczynek. Naszą nieobecność na mszach złożono na karb protestantyzmu, co niedziela rano odprowadzałem więc Sarę do kościoła Świętej Trójcy na Copley Square. Nigdy nie wchodziłem do środka. Mogłem być złym katolikiem, miałem jednak swoje zasady.

W połowie sierpnia Phineas zaprosił nas na wspólny miesięczny pobyt w jego willi w Newport.

— Oczywiście, że aie możemy jechać — powiedziała Sara natychmiast, kiedy poinformowałem ją o zaproszeniu. — To naprawdę byłoby nadużywaniem ich gościnności, Maxwellu. Nie sądzisz, że teraz wreszcie powinniśmy poszukać mieszkania?

— Co złego widzisz w spędzeniu miesiąca nad morzem? — zapytałem. — Sądziłem, że będzie ci się to podobało.

— Wolałabym, żebyśmy byli sami — odparła — w naszym własnym domu. — Sposób, w jaki rozejrzała się po sypialni, powiedział mi wszystko.

— Nie lubisz ich, prawda? — rzekłem nagle. — Nie lubisz Phineasa ani Maury. Dlaczego?

Milczała.

— Saro?

— Och... — Wykonała pełen wdzięku gest rękoma i odwróciła się. — Są oczywiście bardzo mili — usłyszałem — i bardzo gościnni, ale... cóż, są tacy tandetni, po nowojorsku „nouveau riche”...

— Dziękuję — rzekłem — ale mieszkałem w Nowym Jorku wystarczająco długo, żeby wiedzieć, co znaczy „nowobogacki”.

— Chcę powiedzieć... cóż, popatrz na ten dom! Okropne meble, ohydne tapety, do tego te tanie, wulgarne figurki religijne! A wysiłki Maury Gallagher, by wspiąć się po drabinie społecznej, są, mówiąc delikatnie, żałosne. Tylko dlatego, że stać ją na to, żeby od czasu do czasu przekazać tysiąc dolarów na jej ulubioną organizację dobroczynną i dać tym swoim dziewczynom wychowanie daleko powyżej ich pozycji, myśli, że...

Zobaczyła moją twarz i zamilkła. Na chwilę zapadła cisza.

— Nie chcę być niemiła — dodała pośpiesznie. — Nie chciałam...

Znowu przerwała. Zaczęła kręcić obrączkę na palcu.

— Przepraszam — powiedziała wreszcie. — Oczywiście jeśli chcesz, możemy jechać do Newport. Przepraszam, Maxwellu, źle się wyraziłam. Nie to miałam na myśli.

— O, nie, tak właśnie myślałaś! — odparłem. — Ty snobistyczna mała dziwko!

Zaczęła płakać, powtarzając na okrągło, że jest jej przykro.

— Posłuchaj mnie — rzekłem, chwytając ją za ramiona i potrząsając, aż się uciszyła. — Co jest wystarczająco dobre dla mnie, jest też wystarczająco dobre dla ciebie, a jeśli tego nie rozumiesz, możesz wracać do tego swojego błękitnookiego męża pijaczka i blasku. Zawsze mogę sobie znaleźć inną kobietę do łóżka.

Straszne słowa. Wiedziałem, że były okropne, ale nie potrafiłem się powstrzymać. Spojrzałem na nią — i nagle patrzyłem poprzez nią w przeszłość. Słyszałem Eileen nazywającą moją farmę norą i mówiącą, że żałuje, iż popełniła mezalians wychodząc za mnie. Poczułem się tak, jakby ktoś wbił mi nóż w brzuch i obracał ostrze w rozdartym ciele.

Sara szlochała. Twarz miała wykrzywioną smutkiem. Zdzierała gorączkowo ubranie, oferując mi siebie. Powtarzała, że zrobi wszystko, absolutnie wszystko, byłem tylko obiecał, że jej nie opuszczę.

Rozsądek mi wrócił, jakby ktoś wylał na mnie kubeł zimnej wody. Wyciągnąłem rękę, nasunąłem rozdartą halkę na jej piersi. Głaszcząc ją po włosach, przytuliłem do siebie. Po dłuższej chwili powiedziałem, że jest mi przykro. Przeszała płakać.

— Oczywiście, że nigdy cię nie opuszczę — dodałem. — Jak sądzisz, dlaczego dałem ci obrączkę? Jesteś najwspanialszą kobietą na świecie, a ja przy tobie jestem najszczęśliwszym z mężczyzn.

— Gdybyśmy tylko mogli się pobrać — rzekła. Próbowała otrzeć łzy.

— Gdyby tylko... — I znowu zaczęła płakać.

Natychmiast pojąłem, o czym myśli, bo zbyt często o tym wspominała.

— Słodyczy moja, już dawno zgodziliśmy się, że to nawet lepiej, że nie możesz mieć dziecka.

— Tak, wiem, ale czułabym się bezpieczniejsza... spokojniejsza...

— Wobec tego poniosłem straszliwą porażkę, jeśli możesz być mnie pewna tylko z dzieckiem w ramionach.

— To nie tak. Ale ja tak bardzo kocham dzieci i tak bardzo bym chciała... bardzo...

— Wiem. — Rzeczywiście, współczułem jej, ponieważ wiedziałem, jak bardzo żałuje, że przebyta choroba uczyniła ją bezpłodną. Jednocześnie patrzyłem na to jak na szczęście w nieszczęściu. Gdybyśmy mieli dziecko, cieszyłbym się, to oczywiste. Każdy romans jednak w jakiś tajemniczy sposób rozmywa się z chwilą zawinięcia pierwszej pieluszki. A poza tym przecież każde z nas dało już światu dzieci.

— Mamy przynajmniej Neda — powiedziała Sara, z całej mocy starając się być rozsądną. — Jestem pewna, że spodoba mu się wycieczka na wybrzeże.

— Nie pojedziemy na cały miesiąc — rzekłem. — Tylko na jakiś tydzień, żeby nie urazić Phineasa, a potem wrócimy do Bostonu i znajdziemy sobie ładne mieszkanie. — Zastanawiałem się, czy Ned w głębi ducha także uważa nowe otoczenie za tandetne, ale choć uważnie mu się przyglądałem, nie zauważyłem oznak niezadowolenia. Wrócił mu apetyt; jak wygłodzony wilk połykał talerz za talerzem pysznego irlandzkiego jedzenia, potem słyszałem jego śmiech, gdy bawił się z dziewczynkami w ogrodzie. One chichotały i piskały, a Ned był niemal hałaśliwy.

— Cudownie jest patrzeć, jak świetnie bawi się młodzież — powiedział Phineas Gallagher dobrotliwie. Było to wieczorem w przeddzień naszego wyjazdu do Newport. Siedzieliśmy po obiedzie sami w jadalni. — Poczęstuj się cygarem, przyjacielu — dodał z właściwą sobie gościnnością — i pogawędzimy sobie przyjemnie.

Żaden kot nie podkraść się nigdy do myszy tak zgrabnie, jak Phineas Gallagher podszedł mnie na palcach tamtego wieczoru.

— Pozwól, że zdradzę ci pewien sekret — zaczął, kiedy zapaliliśmy cygara i napełniliśmy szklanice porto. — Zamierzam się zająć polityką.

— Polityką! Ależ to wspaniały pomysł, Phineas!

— Cóż... — westchnął. — Chciałbym coś zrobić ze swoimi pieniędzmi, a odrobina władzy jeszcze nikomu nie zaszkodziła. W Ameryce polityka niewiele znaczy, ale gdybym został burmistrzem Bostonu, dałoby to trochę do myślenia tym małym snobom. Wtedy nie mogliby na mnie patrzeć z góry, prawda? Nigdy nie przypuszczałem, że mogłoby mnie obchodzić to, co myślą te snoby. A jednak... Zdumiewające, jak zmienia się system wartości człowieka, gdy lekceważą jego żonę, a córki doprowadzają do płaczu z powodu czegoś, co nie jest ich winą... To niesprawiedliwy świat, nie ma co!

— Ten świat jest obrzydliwy, Phineas — powiedziałem, zabierając się za swoje porto.

— Teraz chcę tylko jednego — rzekł, wypuszczając kłęby dymu — chcę szacunku. To moje największe marzenie. Chcę, żeby moja żona i dziewczynki były szczęśliwe i traktowane jak damy.

— Bardzo słusznie — przyznałem, myśląc, jak dobre jest to porto.

— Wyzbywam się więc tego interesu hazardowego — rzekł — i odprzedaję udziały w burdelach. Moja forsa będzie czysta jak najczystsze pieniądze w Bostonie. Polityka to brudna gra, Max, obaj dobrze o tym wiemy, i człowiek robi sobie wrogów, których nic nie powstrzyma, by obrzucić go błotem i upewnić się, że będzie się go trzymało.

Zapomniałem o porto.

— Sprzedajesz kasyna? — zapytałem nerwowo, myśląc o swojej pracy.

— Zgadza się, Max, ale nic się nie martw, nie zawiodę cię. Naprawdę bardzo cię polubiłem, Max, i zrobię co w mojej mocy, żeby ci pomóc. Tak naprawdę nie pamiętam, kiedy ostatnio spotkałem człowieka, którego lubiłbym tak jak ciebie.

Poprzysięgliśmy sobie dozgonną przyjaźń i wysusziliśmy szklanice. Zastanawiałem się, do czego Phineas zmierza.

— No więc, Max — ciągnął, gdy obaj pykaliśmy cygara — otworzyłem się przed tobą i wyjawiałem moje najskrytsze marzenie. A jakie jest twoje, jeśli wolno zapytać? Czy zechcesz być ze mną szczerzy?

— Jasne, Phineas — rzekłem. — Moim najskrytszym marzeniem jest wrócić do Irlandii i wyrównać stare rachunki z zarządcą mojego pana, który doprowadził mnie do ruiny.

— Jeśli się nie mylę, ma to jakiś związek z niewinnieniem, prawda? Liam wspominał coś o tym, ale może nie zrozumiał dobrze, w czym rzecz.

Opowiedziałem mu o MacGowanie i moim procesie. Nie zrobiłem tego wcześniej, ponieważ nie chciałem, żeby wiedział, iż jestem zbiegłym skazaricem. Powiedziałem mu po prostu, że opuściłem Irlandię po kłótni z moim panem.

— Nie ma co, to największa pomyłka sądowa, o jakiej kiedykolwiek słyszałem! — wykrzyknął Phineas. — Napij się jeszcze porto.

Z roztargnieniem sięgnąłem po karafkę.

— Stronnicza ława przysięgłych, mówisz — rzekł Phineas — a twój pan i jego zarządca to sypiający razem obrzydliwi zbrodniarze, niech Bóg zlituje się nad ich duszami.

— Całe ich działanie było niezgodne z prawem — wyjaśniłem, zgniatając cygaro. — Nie byłem zwykłym dzierżawcą, miałem na piśmie przyznaną długoletnią dzierżawę gruntów. Lord de Salis nie mógł mnie eksmitować tak jak innych. Kiedy wojsko mnie aresztowało, podpalili mój dom. Twierdzili, że to wypadek, ale zrobili to specjalnie, żeby zniszczyć mój akt dzierżawy. Potem lord de Salis mógł powiedzieć, że nic nie wiedział o dokumencie i że zmyśliłem całą historię oraz że jestem takim samym dzierżawcą jak wszyscy inni, wobec czego może mnie usunąć. Chciałem mieć adwokata, ale byłem bez grosza, a zresztą nie pozwolili mi widzieć prawnika. Nie mogłem nic zrobić, tylko czekać w celi na proces. W trakcie rozprawy ten bękart MacGowan łągał jak najęty. Wszyscy przysięgli byli protestantami, a sędzia urodził się w Warwick, w Anglii, więc był typowym Anglosasem, choć występował jako sędzia irlandzki.

— Nie zdziwiłbym się, gdyby się okazał przyjacielem lorda de Salis — zauważył Phineas.

— Na pewno był przyjacielem domu. Stary lord de Salis miał kiedyś majątek w Warwickshire tuż obok Warwick.

— Zasługujesz przynajmniej na nowy proces, Max. A w najlepszym razie...

— W najlepszym razie muszę być niewinny. Phineas, nigdy nie wydałem rozkazu podpalenia Clonagh Court i nigdy nie kazałem strzelać do MacGowana. Łatwo jest oskarżać mnie o spisek, tylko spisku nie było. Był pewien ruch, do którego przystąpili wszyscy, mając jeden cel na widoku: przeciwstawić się temu łajdakowi MacGowanowi i ochronić nasze rodziny i domy. Ale zgromadzili przeciwko mnie fałszywe dowody, MacGowan zadbał o to, a de Salis zawsze był rnoim wrogiem, odkąd ponad dwadzieścia lat temu przyczyniłem się do wygnania do Niemiec jego pierwszego kochanka...

— To jest czysta sprawa, Max — rzekł Phineas. — Niewinny, człowiek ofiarą zbrodni. Naszej kochanej królowej bardzo by się to nie podobało.

— Napisałem do królowej — wtrąciłem gorzko — ale rzecz jasna mój list nigdy do niej nie dotarł. Napisałem też do Parnella i...

— Kiedy to było?

— Wtedy jak odrzucili ustawę o autonomii.

— Dokąd wysłałeś list?

— Do Londynu. Do Izby Gmin.

— Hm... Mógł go nie otrzymać, ale nic nie szkodzi. Wiem, jak do niego dotrzeć. — Wyciągnął w moją stronę drewniane pudełko. — Weź jeszcze jedno cygaro.

Wiedziałem, że Phineas jest w Lidze Celtyckiej figurą, nie domyślałem się jednak, jak ważną. Wiedziałem też, że spotkał się kilka razy z Parnellem podczas jego wizyty w Ameryce, ale nigdy mi nie powiedział, że ze sobą korespondują. Świadomość, że Liga potrafiła dochować tajemnicy, działała uspokajająco.

— Parnell jest wielkim przywódcą, Max — powiedział Phineas. — Modne jest teraz tracić do niego cierpliwość, ale gdyby wrócił do Ameryki, tłoczyłyby się tłumy, żeby zobaczyć choćby skrawek jego płaszcza. Napiszę do niego w twoim imieniu.

Byłem już tak podekscytowany, że ledwie mogłem mówić. Marzyłem o pomocy na tę skalę, lecz tak naprawdę nigdy nie wierzyłem, żeby ten sen mógł się spełnić.

— Ty... on... czy on ciebie wysłucha? — wyjąkałem. — Jeśli napiszesz? O mnie?

Phineas roześmiał się.

— No pewnie, że wysłucha, Max! Włożyłem w Irlandię masę pieniędzy. Czyżbyś nie wiedział, że cały ruch autonomiczny finansowany był z amerykańskich pieniędzy? Sądzę, że Charles Stewart Parnell jest za to wdzięczny.

— Jezu Chryste!... — wyjąkałem. Pociągnąłem solidny łyk porto, żeby się uspokoić.

— Posłuchaj — mówił Phineas swobodnie. — Zanim on coś zdziała, minie trochę czasu. Królowa go nie lubi, jak to sobie pewnie możesz wyobrazić, ale Parnell ma wpływy w Westminsterze i znajdzie jakiś sposób, żeby zająć się twoją sprawą. Poproszę go, by zatrudnił adwokata, który załatwi ci zwrot ziemi natychmiast po powrocie do Irlandii.

— Ale co do Parnella, to skąd masz pewność, że twój list do niego dotrze? Mówią, że on nigdy nie odpowiada na listy... nawet ich nie czyta.

— Czyta, jeśli dochodzą do domu pewnej damy, którą zdarzyło mi się poznać. Już ty się nie martw, Max. List trafi do Parnella i ostatecznie twoja sprawa znajdzie się przed królową. Ach, kochana królowa! Była taką uroczą dziewczynką, gdy przyjechała do Dublina w 49 roku, wszyscy tak mówią, i pewien jestem, że sam bym wtedy wiwatował, gdybym dwa lata wcześniej nie został wypędzony z Irlandii przez pewnego przekłętą Anglosasa, niech ich wszystkich piekło pochłonie. Ona jest Niemką, wiesz? — dodał, kiedy ryknąłem obowiązkowe „amen” — i to nie jej wina, że musi być królową Anglii.

— Niech Bóg ma ją w swojej opiece! — zawołałem. — I pomyśl tylko, Phineas, kiedy mnie uniewinni, będę mógł w końcu wrócić do mojego kochanego domu. Wreszcie spojrzę na pola rozciągające się aż po jezioro — kochane jezioro! — i znowu będę się przechadzał ulicą w Clonareen i modlił się w świętym kościele...

Boże, ależ ja byłem pijany! On także, rozrzewnił się bowiem dokładnie tak samo jak ja. Nazwał mnie najdroższym przyjacielem i powiedział, że

nie ma takiej rzeczy, której by nie zrobił, byłem wrócił w chwałę do mojej doliny, gdzie mieszkać będę w pokoju z moją damą, niech Święta Panienka i Wszyscy Święci mają nas obydwójce w swojej opiece.

Niemal rozpłakałem się nad jego wielkodusznością. Musieliśmy powtórzyć nasze ślubowania wiecznej przyjaźni.

— Jak ja ci się odwdzięczę? — zapytałem z łezką w oku. — Najdroższy przyjacielu, jak ci się zdołam odpłacić?

— Cóż, zrobiłbym to wszystko ani wspominając o wdzięczności rzecz jasna — rzekł ocierając łzy. — Ale skoro pytasz, przyjacielu, to jest jeden drobiazg, który mógłbyś dla mnie zrobić.

— Co tylko zechcesz — odparłem. — Co tylko zechcesz, Phineas, najdroższy, najmilszy przyjacielu. Powiedz tylko, o co idzie, a będziesz to miał.

— Wiem, że to tylko złudne marzenie, Max — odparł wycierając następną łezkę — ale nic nie podobałoby mi się bardziej, jak pewnego dnia móc powiedzieć tym wszystkim snobom, którzy nazywają mnie łapserdakiem, że mam irlandzkiego para za zięcia.

Nie byłem na tyle pijany, żeby nagle nie zrozumieć powodu jego zdumiewającej gościnności, ale za dużo wypiłem, żeby się zdziwić lub obrazić. Bądź co bądź gdyby on zjawił się na moim progu z przyszłym baronem, czyż nie pragnąłbym tego cennego dziedzica dla jednej z moich czterech córek? Wydawało mi się to bardzo sensownym pomysłem. Czułem się przygnębiony tylko dlatego, że wiedziałem, iż nie mam żadnego wpływu na przyszłość Neda.

— To piękny plan, Phineas! — zawołałem. — Tylko że Ned nie jest moim synem... nie mam żadnej kontroli...

— Ale przecież jesteś jego opiekunem, nie?

— Tak, ale...

— Słuchaj no, Max. Jasne, że swatanie to obecnie zanikająca sztuka, a dzisiejszy świat różni się od tego, w którym dorastali moi rodzice w hrabstwie Wicklow. Ale jest coś takiego jak stwarzanie młodym okazji. Rzecz jasna, nic im nie powiemy, bo jakbyśmy to zrobili, na pewno rozbiegliby się każde w inną stronę. Ale gdybym później wysłał jedną z moich córek do Irlandii, żeby spędziła nieco czasu z Sarą i Nedom, kto wie, co by z tego wynikało. Sara mogłaby ją nauczyć, jak być prawdziwą damą, i przedstawić na zamku w Dublinie...

Przyszła mi do głowy pewna bardzo trzeźwa myśl: jeśli chcę uzyskać uniewinnienie, lepiej będzie poruszyć niebo i ziemię dla jego córki.

— Którą córkę masz na myśli, Phineas? — zapytałem z zainteresowaniem.

— Cóż, Connie i Donagh są za młode, Clare jest najstarsza, ale kocha dom i jest zbyt nieśmiała jak na tak zuchwałe przedsięwzięcie. Myślałem o Kerry. To moja ulubienica — dodał sentymentalnie. — Jest

dzielna jak lew i zuchwała jak chłopak. Kiedy podrośnie, wyjazd do Irlandii uzna za świetną przygodę.

Pomyślałem: Ned nie będzie musiał się z nią żenić. Nawet sam Phineas przyznał, że w dzisiejszych czasach nie zawiera się małżeństw na rozkaz. Sara i ja możemy zrobić dla dziewczyny co w naszej mocy, a potem bez żadnej szkody wróci do Ameryki.

— Będzie miała wspaniały posag, to pewne — powiedział Phineas. — Wiem, że kontrakt małżeński blokuje pieniądze, ale mogę to tak urządzić, że miałbyś trochę gotówki do swojej dyspozycji. Może się zdarzyć, że kiedy ponownie osiądziesz w Irlandii, znajdziesz się w trudnej sytuacji, Max. Co tu dużo gadać, Sara jest najwytworniejszą damą, jaką kiedykolwiek widziałem, i będzie miała określone oczekiwania, które będziesz musiał spełnić. A nic nie okalecza mężczyzny bardziej niż brak pieniędzy, zwłaszcza gdy w grę wchodzi kobieta.

Zapadło milczenie. W końcu się odezwałem:

— To prawda.

— Powiedzmy, jedna trzecia teraz — rzekł Phineas — i dwie trzecie po ślubie.

— A jeśli się nie pobiorą?

— Zatrzymasz tę część, którą dam ci teraz.

— Ile?

— Wystarczy na godny powrót do Irlandii, na załatwienie twojego wroga MacGowana i utrzymanie was do czasu, kiedy Sara dogada się ze swoim mężem.

Znowu zapanowała cisza.

— Dla mnie byłaby to dobra inwestycja — powiedział Phineas — a dla ciebie wielka szansa. Co ty na to?

— To rozdanie dobre dla nas obu — rzekłem.

— A więc umowa stoi. Max, jesteś uczciwym człowiekiem, z którym z przyjemnością robi się interesy, nie ma co. Przysięgam na święty krzyż, że nikogo innego nie nazwałbym przyjacielem. Moi prawnicy przygotowują umowę, żebyś wiedział, że zamierzam dotrzymać słowa.

— Twoje słowo mi wystarczy! — zaprotestowałem, ale niezbyt stanowczo, bo w końcu nie zaszkodzi mieć obietnicę na piśmie. Uważałem, że umowa jest korzystna. Dostanę trochę pieniędzy bez stawiania niewygodnych warunków, nie będę musiał ich zwracać, jeśli Ned ostatecznie powie Kerry, że ma inną panienkę na oku.

— Rzecz jasna, jeśli po powrocie do Irlandii zmienisz zdanie i nie będziesz chciał gościć Kerry w swoim domu — zastrzegł Phineas — oczekuję zwrotu pieniędzy. Ale nie obawiaj się, Max, moi prawnicy rozważą to i umieszczą wszystko w umowie. Za to właśnie płaci się prawnikom: za myślenie o wszystkim, co może się wydarzyć.

Postanowiłem, że przeczytam każde słowo umowy co najmniej trzy razy.

— Jasne, to wspaniałe mieć dobrych prawników — odparłem. — Nie zapomnij szepnąć im, że cała umowa zależy od tego, czy wygrasz dla mnie uniewinnienie, dobrze?

Roześmiał się.

— Zdobędę dla ciebie uniewinnienie, Max! — Podniósł swoją szklanicę. — Wypijmy za zdrowie kochanej królowej, która ci je przyzna.

— Kochana mała królowa! — krzyknąłem z entuzjazmem.

I oto my, dwaj pijani Irlandczycy, nienawidzący wszystkich Anglosasów, piliśmy zdrowie królowej, jakby była naszą najdroższą krewną, i układaliśmy plan wyswatania irlandzkiej dziewczyny za chłopca, w którego żyłach płynęła wyłącznie anglosaska krew.

— Czy kiedykolwiek istniała rasa równie wspaniała jak Irlandczycy? — zawołałem namiętnie do Sary, zataczając się do łóżka. Zasnąłem, nim usłyszałem odpowiedź.

ROZDZIAŁ PIĄTY

I

Nie wspomniałem Sarze o umowie, którą zawarłem z Phineasem, przez całe trzy tygodnie, póki nie znaleźliśmy pięknego mieszkania z pomocą do gotowania i sprzątanania, zgodnie z tym, co jej obiecywałem. Przedtem spędziliśmy tydzień nad oceanem w Newport. Ned bawił się wyśmienicie, całymi dniami obskakując dwie rozchichotane dziewczynki. Guwernantka była oburzona i powiedziała Maurze Gallagher, że nie wypada pozwalać dziewczynkom na swobodne bieganie po świeżym powietrzu przez cały dzień. Maura uśmiechnęła się tylko i odparła, że dobrze im to zrobi i że nie ma powodów do żartów, gdy gromadka dzieci cieszy się odrobiną słońca.

— Będą bardzo rozpuszczone — zauważyła Sara. — I piegowate. — Poza tym jednak nie krytykowała niczego. Przez cały tydzień była bardzo czarująca dla Gallagherów i namiętna, kiedy zostawaliśmy sami.

Niegdyś Newport był wioską rybacką w stylu Starego Świata, teraz jednak rozrósł się i był bardzo modny, pełen murowanych pałaców zbudowanych przez milionerów. Phineas nie miał pałacu, choć nie wątpiłem, że mógłby sobie na jakiś pozwolić. Jego willa była dokładnie w Gallagherowym stylu — wygodna i rodzinna, jak dom w Beacon Hill. Ogród ciągnął się aż do przybrzeżnych skał, a z każdego okna widać było morze.

Uznałem, że mimo wszystko lubię morze. Doświadczenia ze statku wiozącego imigrantów pozostawiły mi pewien niesmak, wkrótce jednak odkryłem, że nie ma nic przyjemniejszego jak pospacerować po plaży czy zanurzyć się w wodzie. Chodziłem nad morze po zmroku, kiedy nikt nie mógł mnie widzieć; ubranie zostawiałem na brzegu. Za dnia wszyscy robili wokół kąpania wiele ceregieli, a ja nigdy do tego nie miałem cierpliwości. Istniała cała masa zasad dotyczących tego, w co należało się ubrać i kiedy można było wejść do wody, nie obrażając kąpiących się dam. Morze było ciepłe, o niebo cieplejsze niż lodowate wody jeziora Naffoey. Zwykłem unosić się spokojnie na powierzchni, obserwując gwiazdy i rozmyślając o Irlandii.

Ponieważ pobyt w Newport okazał się tak przyjemny, powrót do miejskiego życia nie był miły. Nasze nastroje uległy poprawie, gdy przeprowadziliśmy się do nowego domu. Trochę się tego lękałem, gdyż moja tygodniowa pensja z ledwością mogła wystarczyć na taki dom, jakiego pragnęła Sara, a nie chciałem wyładować w North End z innymi irlandzkimi imigrantami. Jednakże Phineas znowu przyszedł na ratunek. Miał dom przy bocznej uliczce od Marlborough Street, w przyzwoitej zamożnej okolicy, i zaaranżował, żebyśmy mogli tam zamieszkać nie płacąc czynszu. Był to nowoczesny dom z kuchnią w piwnicy, ręczną windą w spiżarni i pokojami dla co najmniej pięciorga na poddaszu. Ledwie wiedzieliśmy, co zrobić z taką masą miejsca, ale — jak powiedziałem Sarze — od przybytku głowa nie boli. Zamknęliśmy więc poddasze, zatrudniliśmy dochodzącą służącą i było nam bardzo wygodnie. Obawiałem się, że Sara zacznie wybrzydzać na meble, lecz była tak zachwycona faktem posiadania własnego domu, że zdawała się w ogóle ich nie dostrzegać.

Kamień spadł mi z serca. Wkrótce po zainstalowaniu się na nowym miejscu postanowiłem powiedzieć jej o targu, którego dobiłem z Phineasem.

— Maxwellu! — zawołała Sara oburzona.

— A jaki miałem wybór? Zresztą Ned nie musi się żenić z tą dziewczyną!

— No, ja myślę! To znaczy — rzekła, dochodząc do siebie — dwie młodsze dziewczynki są bardzo miłutkie, a najstarsza ma dobre maniery, za to Kerry jest strasznie przemądrzała. Cóż, niespecjalnie odpowiada mi pomysł, żeby ją gościć przez kilka miesięcy.

— Zanim przyjedzie, poprawi się, przynajmniej tak przypuszczam. Poza tym jeśli oznacza to, że otrzymam uniewinnienie...

— Tak, oczywiście. To najważniejsza sprawa. Rozumiem to, naprawdę.

Zdecydowałem, że nie jest to najlepsza chwila na wyjawienie szczegółów ustaleń finansowych. Powiedziałem więc tylko, że w ramach dodatkowej nagrody za ewentualną opiekę nad Kerry, Phineas zaoferował pomoc w opłaceniu naszego powrotu do Irlandii.

— Jest bardzo szczodry — zauważyła Sara uprzejmie, wiedziałem jednak, że myśl o moich układach z Phineasem Gallagherem nadal ją niepokoi.

Wkrótce po przeprowadzce do nowego domu Sara wywiedziała się o wszystko związane z edukacją Neda. Phineas, który zaproponował pokrycie opłat, powiedział jej, dokąd wszystkie snoby posyłają swoich synów. Niebawem dyrektor piał z zachwytu witając ucznia, który miał przed nazwiskiem „jego wysokość” i barona za ojca. Ponowne podjęcie nauki wydawało się najwłaściwszym rozwiązaniem, ponieważ od powrotu z Newport Ned szwendał się bez celu, nie bardzo wiedząc, co ze

sobą zrobić. Rzecz jasna uważałem, że szkoła to dobra rzecz, ale dla Neda taka perspektywa okazała się nieznośna i rozjuszył się jak muł, którego ugryzł giez.

— Szkoły są jak więzienia — powiedział nadąsany.

— Gdybyś choć raz był w więzieniu — odparłem — śmiałybyś się teraz z siebie. Zresztą nie idziesz do internatu. Jak możesz czuć się uwięziony, jeśli codziennie po południu będziesz mógł wracać do domu?

Nadaśał się jeszcze bardziej i opuścił kąciki ust.

Oczywiście Sara martwiła się tym niemądrze. Uwierzyła mi tylko w połowie, kiedy powiedziałem, że jedynym powodem dąsów Neda jest to, że nigdy wcześniej nie był w szkole i najwyczałniej się jej boi. Pierwszego dnia nauki chciała iść z nim, lecz uznałem, że Ned czułby się niezręcznie. zaproponowałem, że raczej ja go odprowadzę. Żaden trzynastoletni chłopak nie lubi wyglądać na maminsynka.

Nie chciał, żebym z nim szedł, ale odprowadziłem go do bramy i dopiero wtedy pożegnałem.

— Dam ci jedną radę — powiedziałem przed rozstaniem, ponieważ rzeczywiście był bardzo błądy i nieswój. — Broń się. Jeżeli ktokolwiek będzie cię zaczepiał, bo jesteś nowy, bo nie mówisz jak Amerykanin, przyłóż mu. Tego nauczyłem się, kiedy wysiadałem ze statku w tym kraju, i przekazuję ci to, bo warto. Powodzenia i na razie, zobaczymy się po południu.

Wrócił spokojny do domu kilka godzin później i zakomunikował nam niedbałym, bezceremonialnym tonem, że ma dwóch nowych przyjaciół, a na weekend zaproszenie na przejażdżkę konną.

— A jak poszły lekcje, skarbie? — zapytała niecierpliwie Sara.

— Och, mają zabawne wyobrażenia o historii Anglii — odparł Ned. — Powiedziałbym, zupełnie zacofane. I nikt nie zna francuskiego.

Odtąd Sara martwiła się o niego nieco mniej. Niestety, nie oznaczało to jednak, że jej zmartwienia miały się skończyć. Napisała do swojego brata, prosząc o przesłanie reszty jej rzeczy; zbliżała się zima i zależało jej na ciepłych ubraniach. Charles do dwóch olbrzymich kufków dołączył stertę listów z Cashelmary.

Tylko jeden był do niej, pozostałe do Neda.

— Nie mogę pozwolić, żeby Ned je zobaczył — powiedziała Sara wystraszona. — To by go rozstroiło. Mogłoby go przygnębić.

— Dlaczego tak mówisz? Przecież w Nowym Jorku otrzymywał listy od ojca, prawda?

— Tak, ale wtedy Patrick myślał, że na jesieni Ned wróci do domu, nawet beze mnie. Teraz zdał sobie sprawę, że wyjechaliśmy z Nowego Jorku, zorientował się, że został oszukany. Jestem pewna, że Charles napisał mu o naszym wyjeździe.

— A więc twój mąż nakazuje Nedowi zostawić cię i wracać do domu... i cóż z tego? — Tasowałem niedbale listy, jakby były talią kart. — Ned go

nie posłucha. Czy w ciągu ostatnich sześciu miesięcy słyszałaś choć raz, żeby wspomniał imię ojca?

— Ale Patrick z pewnością mnie obraża... pisząc straszne rzeczy... to zdezorientuje i zrani Neda, więc...

— Cóż, jest tylko jeden sposób na to, by się uspokoić — odparłem. — Otworzymy listy i sami je przeczytamy.

Sara nie chciała tego zrobić, ale w końcu ustąpiła.

— O Boże — jęknęła, kiedy ostatni list dołączył do leżącej na stole kupki. — Maxwellu, nie możemy dopuścić do tego, żeby je zobaczył.

Nie odpowiedział wprost.

— Co jest napisane w twoim liście?

Był bardziej obraźliwy niż te, które wcześniej otrzymywała. Patrick zaczął od tego, że Charles poinformował go, iż Sara jest moją kochanką. Z racji tego „upodlenia” pozostałe dzieci zobaczyć może tylko pod warunkiem, że natychmiast wróci do niego. Przrzekał, że nie ma się czego obawiać ze strony „Hugh’a”, który gotów jest traktować ją z największym szacunkiem. Jeśli nie pojawi się w domu na Boże Narodzenie, nie uzyska przebaczenia i może na zawsze pożegnać się z dziećmi. Podejmie także kroki, żeby odzyskać Neda; oddalenie nie będzie w tym względzie żadną przeszkodą. Zleci tę sprawę najlepszym prawnikom, a ponieważ on sam prowadzi przykładowe życie, podczas gdy ona obnosi się z namiętnością, która stała się nowojorskim skandalem, nie ma wątpliwości, komu sędzia będzie sprzyjał. Zakończył swoim tradycyjnym nikczemnym chwytem, że dzieci co wieczór płaczą do poduszki, bo tak bardzo za nią tęsknią.

— Nie wierz ani jednemu jego słowu, Saro — powiedziałem natychmiast. — Ten fragment o sędzim i prawnikach to kłamstwo, żeby cię zastraszyć. Jeśli sprawa trafi do sądu, jest pewne, że Patrick nie zdoła utrzymać w tajemnicy swojego zbrojenia, a to gorsze niż cudzołóstwo, sam Bóg tak powiedział i napisał czarno na białym w Biblii. A co do zdania o dzieciach płaczących co noc do poduszki, temu też nie wierz. Jasne, że tęsknią za tobą, ale on bardzo przesadza, rozdmuchuje to, żeby cię zniszczyło poczucie winy.

— Wiem — rzekła ze znużeniem. — Przywykłam już do takich uwag. Spodziewam się, że masz rację co do sytuacji prawnej. Ale, Maxwellu, te pozostałe listy... nie możemy pozwolić, żeby Ned je zobaczył!

— Hm... — Podniosłem jeden. — „Najdroższy Nedzie, myślę, że twoja matka niesprawiedliwie oczerniła mnie przed tobą... Mam prawo prosić cię o powrót, a ty masz obowiązek posłuchać mnie. Nie chcę jednak mówić o prawach i obowiązkach, wolałbym raczej pomówić o miłości. Dlatego powiem, że jeśli kochasz mnie tak jak dawniej, proszę, przyjedź do domu i nie słuchaj dłużej swojej matki... Nie powiem o niej złego słowa, bo wiem, że ją także kochasz, ale wiem też, że znalazła się pod wpływem człowieka, którego uważam za łajdaka bez zasad, człowieka,

który nie może być dobrym towarzyszem ani dla ciebie, ani dla niej... Wiem, że jesteś bardzo mądry i dojrzały, znacznie mądrzejszy i dojrzałszy niż ja, kiedy byłem w twoim wieku, mimo to wciąż jesteś za młody, by znać ten świat. Pewno nie zdajesz sobie sprawy, że ten człowiek, Maxwell Drummond, nie cofnie się przed niczym, by zrealizować swoje własne ambicje; jest człowiekiem, któremu morderstwo i gwałt przychodzą równie łatwo jak innemu rozdawanie kart..."

— Pokażemy listy Nedowi — stwierdziłem. — Zna mnie już na tyle dobrze, by wiedzieć, że te oskarżenia są stekiem kłamstw.

— Nie — zaprotestowała Sara.

Popatrzyliśmy na siebie. Roześmiałem się.

— Kiedy stajesz twarzą w twarz z bykiem — rzuciłem lekko — złap go za rogi.

— Maxwellu, to nie jest gra w pokera...

— A ja nie próbuję blefować! Co cię dręczy, słodczy moja?

— Jeśli Ned przeczyta te listy, stanie po stronie ojca... uwierzy każdemu słowu Patricka. Zrozum, on został wychowany na tej historii...

— Że jestem diabelskim nasieniem?

— Że jesteś odpowiedzialny za zamordowanie Derry'ego Stranahana.

— Ach, więc to morderstwu Derry'ego Stranahana zawdzięczam sławę! — powiedziałem, wciąż się uśmiechając. — A to, że tego dnia byłem w Leenane i kupowałem popiół z wodorostów od Tomsy'ego Mulligana, to co?

— Tak — odparła. — Wiem, że byłeś w Leenane.

— I myślisz, że wynająłem kogoś z moich krewnych, by wbił nóż w plecy Derry'ego!

— Tego nie powiedziałam — rzekła Sara bardzo zdenerwowana, a kiedy znowu się roześmiałem, dodała pośpiesznie: — Nienawidziłam Derry'ego i cieszyłam się z jego śmierci. Jeśli zaaranżowałeś to morderstwo, mógłbyś mi o tym powiedzieć. Nie zmieni to moich uczuć do ciebie. Nic nie może ich zmienić. A jednak chciałabym znać prawdę. Czy jesteś odpowiedzialny za śmierć Derry'ego?

— Kochanie — rzekłem, przytulając ją do siebie i całując — przysięgam na grób mojej zmarłej matki, że we wszystkich rozmowach, jakie prowadziłem z krewniakami o Derrym Stranahanie, słowo „morderstwo” nigdy nie padło z moich ust.

Oparła się o mnie. Widziałem swoją twarz w lustrze, ale jej była zasłonięta. Kiedy przywarła do mnie całym ciałem, czułem kształt jej piersi; kosmyk ciemnych, gęstych włosów otarł się o mój policzek.

— Mimo wszystko, Maxwellu — usłyszałem — myślę, że w tej chwili lepiej ukryć te listy przed Nedem. Mogą go tylko przygnębić. Nie wyrzucę ich, to by było niewłaściwe, ale na razie mu ich nie dam.

— Jak uważasz, kochanie — odparłem. Podniosłem jej twarz i pocałowałem ją w usta.

Na następną godzinę zapomnieliśmy o listach, lecz kiedy Sara przypomniała sobie o nich, przysłała jej do głowy pewna nieprzyjemna myśl.

— Maxwellu, przypuśćmy, że Patrick przyjedzie do Ameryki, żeby zabrać Neda?

— Jezu, Saro — odparłem — nie mogli zebrać pieniędzy, żeby wysłać gubernera z Nedom. Zanim zaoszczędzą na bilet, my będziemy z powrotem w Irlandii.

W głębi ducha miałem co do tego pewne wątpliwości, ale uznałem, że trzeba tak mówić z całym przekonaniem, aby oszczędzić jej bezsensnych nocy. Tymczasem to dla mnie zasypianie okazało się trudne. W Bogu pokładałem nadzieję, że otrzymam uniewinnienie przed Bożym Narodzeniem.

Tego wieczoru napisałem swoją porcję listów. Posłałem Eileen nieco pieniędzy i poleciłem jej kupić za nie gwiazdkowe prezenty dzieciom. Napisałem też do mojej ulubionej córki Sally i nakazałem jej, by była ostrożna z młodzieńcami z Dublina, którzy na pewno już za nią biegają. Napisałem do Maxa i Denisa, obiecując, że uratuję ich od miasta i zabiorę z powrotem na wieś. Potem czekałem na odpowiedzi — które nigdy nie nadeszły. Wreszcie po wielotygodniowym czekaniu dostałem list od Eileen informujący, że Sally wyszła za mąż i wyemigrowała do Anglii; że chłopcy (ale nie dziewczynki) wiedzą, iż żyje w cudzołóstwie — niech Bóg i Wszyscy Święci zlitują się nad moją duszą.

„Od siostry ojca Donala dowiaduję się, że głośno o tym w Clonareen — pisała — ponieważ służba z Cashelmary mówi, że lord de Salis chodzi tylko i złorzeczy na was oboje. Bogu dzięki, że nie muszę być w tej dolinie i patrzeć, jak wszyscy litują się nade mną i dziewczynkami okrytymi hańbą. Mam nadzieję, że uzyskasz uniewinnienie i wrócisz do Irlandii, ponieważ żadnemu Irlandczykowi nie życzyłabym wygnania. Ale bardzo proszę, nie pukaj do moich drzwi, chyba że przyjdiesz jako mąż, który pragnie pojednania z żoną — a nawet wtedy nie wiem, czy zdołam ci wybaczyć, choć sądzę, że ksiądz kazałby mi popróbować. Lecz ty nie wrócisz, prawda? Znowu mierzysz za wysoko, zawsze to robiłeś, przez całe swoje życie. Nigdy nie byłeś zadowolony z tego, co już miałeś. Nie wystarczyło ci, że byłeś grubą rybą w małym stawie, prawda? Zawsze chciałeś większych, okazalszych stawów, w których mógłbyś poszaleć. Jak przypuszczam, teraz masz to, czego chciałeś. Ale ja powiem tylko, żebyś uważał, ponieważ w tych dużych stawach są ryby większe od ciebie i zniszczą cię, jeśli zbyt często będziesz żerował na ich terenie. Gdybyś miał choć odrobinę rozsądku, zadowolilibyś się tym, co miałeś, zamiast wypływać na zbyt głębokie wody, gdzie nigdy nie będziesz u siebie.”

• Dopiero za tydzień czy dwa pokazałem ten list Sarze, kiedy uświadomiłem sobie, że ją zżerają podejrzenia.

— Oczywiście, że Eileen ma prawo być rozgoryczona—powiedziała.

— Dlaczego? Nasza miłość wygasła na długo przed tym, zanim pokochałem ciebie. Ona jest jak pies ogrodnika: sama mnie nie chce, ale też nie odda nikomu innemu.

Nie podobało mi się, że córki się mnie wstydzą, synowie nie odpowiadają na listy, a Eileen wylewa rozgoryczenie na kogo popadnie. Ponownie napisałem do niej. Poinformowałem, że uszanuję jej pozycję jako mojej żony i po powrocie do Irlandii dopilnuję, by niczego jej nie brakowało. Wyjaśniłem, że nie chciałem jej ranić ani okryć hańbą, ale musi zdawać sobie sprawę, że nie mogę nic poradzić na to, iż tak bardzo kocham Sarę. To nie ma nic wspólnego z moimi ambicjami. Nie można traktować mnk jak wyrachowanego potwora, który kocha głową, nie sercem. Nie można też tłumaczyć mojego postępowania wedle rozsądku, ponieważ nie podlega ono rozumnym wyjaśnieniom.

„To wola Boga — pisałem zuchwale, choć wiedziałem, że diabeł, a nie Bóg popycha dwoje ludzi do cudzołóstwa. — • Bezsensem jest używać tu pojęcia grzechu. Pewnie, że wołałbym żyć w stanie łaski i chodzić na mszę w każdą niedzielę. O grzechach mogą mówić księża i ludzie, którzy nigdy nie byli wystawieni na pokusy, jakim nie oprze się żaden cz?owiek.”

Nie sądziłem jednak, by Eileen to zrozumiała, i nie zaskoczyło mnie, że nie dostałem odpowiedzi.

Eileen wprawdzie nie pisała, ale listy z Irlandii przychodziły nadal. Tuż przed Bożym Narodzeniem nadeszła z Cashelmary przesyłka z paroma listami, w tym również od dzieci, które nigdy wcześniej do Sary nie pisały.

„NAJDROŻSZA MAMO — napisał drukowanymi literkami John, rysując wszystkie „R” brzuskami do przodu. — UMIEM JUŻ PISAĆ PROSZĘ PRZYJEDŹ DO DOMU KOCHAM CIĘ JOHN.”

Eleanor, zaledwie siedmioletnia, miała piękny charakter pisma. „Najdroższa mam, naprawdę bardzo tęsknimy za tobą i Nedem i pragniemy znowu cię zobaczyć. To już drugie święta Bożego Narodzenia, które spędzamy bez ciebie. Jane nawet nie pamięta, jakie to były święta, gdy ty byłaś z nami tutaj. Opowiadam Jane o tobie codziennie, żeby cię nie zapomniała. Niania mówi, że z pewnością wkrótce wrócisz do domu, żeby nas zobaczyć. Kiedy to będzie? Proszę, ucałuj Neda ode mnie. Kochająca cię bardzo i oddana córka, ELEANOR.”

Jane przysłała rysunek z trzema tłustymi pomarańczowymi zwierzkami i podpisem: „MOJE KOTY”.

De Salis uzupełnił paczkę dwoma listami — typowym do Neda i niezwykłym do Sary. Ten ostatni najwyraźniej pisany był pod dyktando MacGowana,

„...i czuję, że będzie z mojej strony uczciwie, gdy ostrzegę cię, że jeśli nie wrócisz na Wielkanoc, wystąpię o odebranie ci praw rodzicielskich, co przygotuje mi drogę do złożenia pozwu o rozwód pod zarzutem cudzołóstwa i porzucenia. Rzecz jasna otrzymam wtedy wyłączną opiekę nad dziećmi. Rathbone zapewnił mnie, że ty nie będziesz miała żadnych podstaw, aby się ze mną rozwieść, ponieważ jeśli zarzucisz mi zdradę, będę w stanie udowodnić, że domniemane niewłaściwe zachowanie zostało wybaczone. Co do mojej obecnej konduity, to mogę zapewnić, że jest przykładowa, i nie zdołałabyś dowieść, że jest inaczej. Pozostaję twoim oddanym i kochającym mężem...”

— Maxwellu... — wybąkała Sara z przerażeniem. Łzy spływały jej po twarzy. — Maxwellu...

— To blefi — rzuciłem. — Ile razy mam ci powtarzać, że on blefuje? Nigdy nie spełni swoich pogroźek, nigdy!

Przez cały czas myślałem z wściekłością: MacGowan, mój wróg, moja nemesis.

— Ale, Maxwellu...

— Jeśli oni blefują, my też poblefujemy — powiedziałem. — Odpisz, że poważnie rozważasz możliwość powrotu. Napisz tak, jakbyś miała wrócić na Wielkanoc. Porozmawiam raz jeszcze z Phineasem o moim uniewinnieniu.

Adwokaci Ligi Narodowej wciąż jednak badali mój przypadek, a choć Parnell odpisał na interwencyjny list Phineasa, nie miał nic do zakomunikowania.

W kwietniu poradziłem Sarze:

— Napisz do de Salisa, że będziesz w domu we wrześniu, kiedy Ned skończy rok w szkole i spędzi wakacje w Newport.

Wszystko to było jak partia pokera. Niemal widziałem zielony rypś, talię kart i rosnące słupki żetonów. Po drugiej stronie stołu siedział MacGowan, mój wróg, moja nemesis, udając, że ma najlepsze karty, podjudzając, bym raz jeszcze sprawdził jego blef.

Pod koniec maja wyszedłem od Gallaghery i biegiem pokonałem całą drogę do domu przy Marlborough Street.

Zastałem Sarę w okropnym stanie. Oczy miała czerwone i zapuchnięte, a ręce jej drżały tak bardzo, że ledwie zdołała pokazać mi nakaz sądowy, który adwokaci de Salisa przysłali w celu rozpoczęcia postępowania o odebranie jej praw rodzicielskich.

— I spójrz na ten list, który napisał do mnie pan Rathbone! — wyszlochała. — Patrz na to!

— Patrz na list, który napisała do mnie królowa! — wrzasnąłem, machając nad głową pergaminem ministra sprawiedliwości. — Jedziemy do domu, Saro! Jedziemy do domu!

II

Było to sześć bardzo trudnych miesięcy.

Niegdyś Sara była tą, która czuła się niepewnie, ale potem przeszło to na mnie i przez sześć miesięcy wisało nade mną jak sęp nad zwłokami. Choć wciąż powtarzałem sobie, że mnie nie opuści, wcale nie byłem tego pewny. Zamartwiała się nieprzytomnie dziećmi i pogrózkami de Salisa. Wiedziałem, że traci cierpliwość. Zaczęła wątpić w moje uniewinnienie. Podejrzewała, że kłamię, by zatrzymać ją przy sobie. Kłóciliśmy się, rozpaczliwie godzili i natychmiast kłócili znowu. Im bardziej się obawiałem, że mogę ją utracić, tym bardziej stawałem się zaborczy; im bardziej ona martwiła się o dzieci, tym mniej garnęła się do tego, bym ją posiadał. Zacząłem pić więcej niż powinienem, a kiedy szedłem do pracy, traciłem panowanie nad sobą przy najdrobniejszej prowokacji. Sara płakała, ja się dąsałem, a Ned kiedy tylko mógł, spędzał czas w domu Gallaghera na Beacon Hill.

To jest tak blisko, myślałem codziennie, a równocześnie tak daleko. I tęskniłem za Irlandią tak niepohamowanie, że co noc śniłem, jak zjeżdżam konno do doliny ku Cashelmarze, bajecznej Cashelmarze, migoczącej tajemniczo jak niewypowiedziana obietnica, przywołująca mnie we wszystkich snach.

— Nasza kochana królowa nareszcie ci wybaczyła, Max — powiedział Phineas Gallagher.

Ujrzałem okrągły hol i marmurową posadzkę w Cashelmarze, i bibliotekę ze ścianami pokrytymi książkami, i olbrzymie biurko stojące przy oknie. Pamiętałem starego lorda de Salisa, siedzącego za tym biurkiem i zapowiadającego, że posyła mnie do Królewskiego Kolegium Rolniczego w Dublinie. Przypomniałem sobie, jak później mówił, że ponieważ zmarnowałem swoją szansę, nie chce więcej mieć ze mną nic wspólnego. Stary de Salis był najtwardszym Anglosasem, jakiego kiedykolwiek spotkałem. Był najlepszym panem na zachód od Shannon i jedynym człowiekiem, który budził we mnie prawdziwy respekt. Przypomniałem sobie, jak się wtedy podniósł — był bardzo wysokim mężczyzną, daleko wyższym ode mnie, trzymał się prosto, a oczy miał ciemnoniebieskie.

— Zamilcz — powiedział do mnie. — Nie chcę dłużej wysłuchiwać twoich zuchwałstw. Mógłbym zniszczyć cię choćby jutro, gdybym tylko chciał. Nie zapomnij o tym. — Jego głos był gładki jak polerowana stal i choć ani razu go nie podniósł, budził we mnie strach. Dopiero co się ożeniłem, miałem ciężarną żonę i nie był to najlepszy czas na wypadanie z łask dobroczyńcy. Stary lord de Salis był grubą rybą, jak by go określiła Eileen, i pływał w stawie, nad którym nigdy nie zachodziło słońce. Ale to wszystko było dawno, dawno temu i nigdy już nie spojrzę w jego twarz.

Zamiast tego usiądę przy tym biurku, przy którym on siadywał, w jego domu, w Cashelmarze, i nazywać go będę domem rodzinnym...

— Musimy to uczcić! — rzuciła Sara.

Ubraliśmy się wszyscy i wyszliśmy na obiad do Locke-Obsera, to jest najwytworniejszej restauracji w Bostonie. Sara obawiała się, że może być tam za drogo, lecz ja zdecydowany byłem zabrać ją do lokalu, gdzie ludzie będą podziwiali jej urodę i rozpoznają po twarzy, że jest utytułowaną damą.

— To był uroczy obiad, Maxwellu — westchnęła, kiedy splukaliśmy już wyborne jedzenie szampanem. Gdy się uśmiechnęła, serce mi omal nie pękło z radości — że znowu jest szczęśliwa po długich miesiącach oczekiwania.

Wróciliśmy do domu, poszliśmy do łóżka — i wszystko między nami było dobrze. Ciężkie chwile odeszły w niepamięć. Kiedy wreszcie zasnąłem, nie śniła mi się , lecz MacGowan przejeżdżający konno przez bramy do krainy wiecznego potępienia.

III

— Maxwellu — zapytała Sara — co zamierzasz zrobić z MacGowanem?

Było to rankiem nazajutrz po naszym triumfalnym obiedzie. Ned wyszedł już do szkoły. Byliśmy w sypialni, Sara układała sobie włosy, ja paliłem papierosa. Z kuchni dobiegały odgłosy zmywania naczyń po śniadaniu.

— A jak sądzisz? — odparłem z uśmiechem, wydmuchując kółka dymu pod sufit.

Odwzajemniła mi uśmiech do lustra.

— Ani trochę mi nie ufasz, prawda? — powiedziała.

— Ależ osłaniam cię, oto co robię! Dama nie powinna zaprzętać sobie głowy rozmyślaniami o takim draniu jak MacGowan.

Wypuściłem następne kółko dymu pod sufit. Położyła się obok mnie.

— Nie zatrzymuj swoich planów tylko dla siebie — rzekła. — Pozwól mi je dzielić.

Spojrzelśmy sobie w oczy. Po chwili milczenia powiedziałem:

— Lepiej, żebyś nie wiedziała za dużo. Dzięki temu łatwiej przyjdzie ci później odegrać zaskoczenie i niewinność.

— Ale...

— Saro, będę ryzykował. Jest jednak pewna granica, której nie przekroczę, nawet dla ciebie.

— Ależ możesz powiedzieć mi przynajmniej...

— Pewnie, że mogę. Twoje pragnienie zemsty na MacGowanie zostanie zaspokojone.

— W pełni?

— W pełni. No, może z wyjątkiem tego naszyjnika. Podarowałbym ci go, lecz na ciele nie może być żadnych śladów, które nie dadzą się wytłumaczyć upadkiem z konia.

Roześmiała się i zadrżała.

— Przecież to zawsze był tylko żart!

— Czyżby? — rzekłem, ale nie odpowiedziała.

Po chwili poczułem, że znowu drży.

— Maxweliu, bardzo się boję. Nie chcę, żebyś po raz drugi skończył w więzieniu. Wolałabym już, żeby MacGowan uszedł bez kary.

— MacGowanowi nic nie ujdzie płazem — odparłem — a ja nie wyładuję w więzieniu. Nic się nie bój, słodczy moja, wszystko będzie dobrze, obiecuję ci. Musimy tylko bardzo uważać i przedsięwziąć wszelkie możliwe środki ostrożności. Na przykład myślałem o tym, że powinniśmy zjednać sobie braci twojego męża, a ponieważ nie lubią MacGowana, nie powinno być z tym kłopotu. Dlaczego nie napiszesz do nich, że wracasz do Irlandii z Nedem i że chciałabyś spotkać się z nimi w Galway, by omówić sytuację?

— Czy powinnam wspomnieć o tobie?.

— Nie. Zjawią się w Galway, jeśli będą myśleć, że przyjeżdżasz tylko z Nedem.

Napisała więc do młodszych braci de Salisa. Ponieważ planowaliśmy wyjechać z Bostonu pod koniec miesiąca, nie było szansy, żebyśmy otrzymali odpowiedź przed wypłynięciem.

— Sądzę, że powinnam porozmawiać z Nedem — zauważyła Sara nerwowo. — Co ja mu powiem?

— Powiedz mu, że wujowie będą czekać na nas w Galway i że pomogą ci dogadać się z jego ojcem. Nie ma potrzeby mówić nic więcej... To wystarczy, żeby go uspokoić.

Ned jednak nie uważał, że to wystarczy. Sytuacja zrobiła się dość niezręczna, Ned bowiem wyraźnie się uparł.

— Co powiedzą wujowie, kiedy zobaczą pana Drummonda? — zapytał, wysłuchawszy wyjaśnień Sary.

— Skarbie, jestem pewna, że Thomas i David rozumieją, że wolałam nie podróżować bez opieki...

— Czy oni wiedzą, że żyjesz z panem Drummondem? Co powiedzą, kiedy się dowiedzą, że jesteś kochanką pana Drummonda? Czy po powrocie do Irlandii zamierzasz nadal otwarcie żyć w grzechu?

— Ned! — krzyknęła Sara śmiertelnie zakłopotana. Sądzę, że damy nie lubią słuchoać, jak ich synowie mówią o takich rzeczach.

— Może zostawisz nas na chwilę samych, Saro? — powiedziałem. — Omówimy to sobie z Nedem.

Sara wyszła posłusznie. Ned zdawał się być nieprzystępny. Wtedy zorientowałem się, że chciał ją zawstydzić.

— A więc, Ned, odpowiedzi na twoje pytania brzmią następująco — zacząłem. — Twój wujowie z pewnością wiedzą, że żyję z twoją matką, ponieważ wie o tym twój ojciec. Nie będziemy niedyskretni, kiedy wrócimy do Irlandii, ponieważ nie chcemy, żeby twoja matka straciła szanse na uczciwą rozprawę rozwodową w sądzie. Zadowolony?

— Chyba tak. Panie Drummond, zdaję sobie sprawę, ile pan zrobił, by pomóc mojej matce. Proszę mi wierzyć, nikt nie jest panu bardziej wdzięczny niż ja. Ale naprawdę nie mogę pozwolić, aby nadal kłopotał się pan naszą sprawą. Jestem już wystarczająco dorosły, by zaopiekować się matką, i uważam...

— Słuchaj, synku — przerwałem mu. — Czy chcesz spędzić następne kilka lat w Cashelmarze, czy nie?

— No tak, chcę, oczywiście, ale...

— Daj mi więc szansę na takie rozdanie, żebyśmy obaj byli zadowoleni. Wiem, że wolałbyś, gdyby twoja matka żyła cnotliwie jak mniszka, ale ona tego nie zrobi. Nie jest to taka znowu katastrofa, bo wierz mi, że całe tabuny mężów i żon oddałyby duszę diabłu za takie szczęście jak nasze, a poza tym zamierzam walczyć o nią twardziej, niż jakikolwiek mąż walczył o swoją żonę. Zaufaj mi więc i bądźmy współnikami, jak powinno być, ponieważ jeśli się kłócimy, twoja matka cierpi bardziej niż my, a z pewnością jest to ostatnia rzecz, której chcemy.

— Tak, sir — mruknął nie patrząc na mnie, lecz w jego głosie usłyszałem szacunek i wiedziałem, że tę bitwę wygrałem.

Właśnie westchnąłem z ulgą, kiedy powiedział:

— Jakie karty szykuje pan dla pana MacGowana?

— Och, pan MacGowan będzie musiał opuścić Cashelmarę — odparłem. — Oszukiwał twojego ojca i wyciągnął od niego zbyt dużo pieniędzy. Zawsze można zwolnić zarządcę za nieuczciwość, wiesz?

— Kto go zwolni?

— Cóż, zdziwiłbym się, gdyby twoi wujowie nie zdołali tego zaaranżować. Wystarczy, że pójdą do sądu i oświadczą, że twój ojciec jest słabego zdrowia. Ale być może MacGowan zrezygnuje dobrowolnie, gdy się zorientuje, że gra skończona.

— Aha, rozumiem. A ja nie będę musiał widzieć się z ojcem, prawda?

— Oczywiście, że nie.

— A czy on nie zostanie w Cashelmarze?

— Bez MacGowana?

— Och, sądzi pan, że ojciec odejdzie z panem MacGowanem, a ja będę mógł zabrać mamę z powrotem do Cashelmary?

Uśmiechnąłem się tylko.

— Teraz, kiedy już wiem, co się dzieje, czuję się lepiej — powiedział

Ned. — Przepraszam, że byłem dla pana niegrzeczny. Wiem, że robi pan co w pańskiej mocy, by nam pomóc.

— Oczywiście! — odparłem łagodnie. — Czy dawno temu w Nowym Jorku nie obiecałem ci, że pewnego dnia zabiorę cię i twoją matkę do Cashelmary? Czy uważasz, że jestem typem człowieka, który nie dostrzymuje obietnic?

— Oczywiście, że tak nie myślę, sir — powiedział pośpiesznie. Znowu byliśmy przyjaciółmi. Choć przynaję, przestraszył mnie tymi wszystkimi pytaniami. Był dociekliwym chłopakiem, z dnia na dzień docieklivszym.

Po kilku tygodniach przygotowań pod koniec czerwca wypłynęliśmy do Irlandii. Wszyscy Gallagherowie stawili się na nabrzeżu, by nas pożegnać. Podróżowaliśmy najlepszym parowcem, rzecz jasna dzięki szczerości Phineasa. Kiedy tylko ujrzałem ogromnego potwora siedzącego na powierzchni wody, wiedziałem, że moja druga podróż przez Atlantyk będzie doświadczeniem zupełnie różnym od pierwszego.

Widząc, że Ned odjeżdża, dwie najmłodsze dziewczynki rozpłakały się, Clare także uroniła łezkę, ale Kerry chichotała.

— Nie wypadnij za burtę!. — powiedziała do Neda i Ned także zachichotał. Ubrana była w różową sukienkę, w której wyglądała na jeszcze pulchniejszą niż zwykle. Podskakiwała dookoła z zadartą spódnicą. Zauważyłem dziury w obu jej pończochach.

— Takie brzydkie dziecko — powiedziała potem Sara. Musiałem się z nią zgodzić: Kerry rzeczywiście była brzydka jak noc. Sara oniemiała, gdy Ned powiedział do dziewczynki:

— Odwiedź kiedyś Irlandię.

— Jasne, czemu nie? — odparła Kerry. — Wszyscy pojedziemy, prawda, papciu?

Phineas przyznał, że bardzo by chciał odwiedzić ojczyznę, a kiedy Kerry odwróciła się doń plecami, rzucił mi dobrotliwe porozumiewawcze spojrzenie.

Wypłynęliśmy. Świeciło słońce. Amerykański brzeg powoli ginął w rozedrganej mgiele, a potem między nami a Irlandią nie było już nic z wyjątkiem trzech tysięcy mil roziskrzonego morza.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

I

Zobaczyłem irlandzkie niebo z pędzącymi po nim chmurami, a kiedy wzeszło słońce, światło było miękkie i łagodne, jakże inne od tego oślepiającego blasku dni w Bostonie czy Nowym Jorku.

— Jak cudownie jest widzieć znowu ląd! — zawołała Sara z ulgą, lecz ja nie byłem w stanie słowa wymówić. Ujrzałem ciemnoniebieskie zamglone wzgórza Clare, a w oddali Zatokę Galway skapaną w słońcu. Czułem się tak, jakbym już był na drodze do Oughterard, zmierzając na północ do Connemary i Krainy Joyce'ów.

— Jak dziwnie będzie znowu ujrzeć Galway — powiedziała Sara z trudem, ale ja nie widziałem już nic poza roziskrzoną plamą na wodach pod irlandzkim niebem.

— Popatrzcie na te łąki nad Salthill! — zawołał zachwycony Ned. — Patrzcie na barwy pól!

Na spotkanie wyszedł nam łagodny irlandzki deszcz, choć daleko nad górami wciąż świeciło słońce.

— Patrz, mamó! — wołał Ned. — Patrz na te wieże... i wszystkie te łodzie... i te domy w Claddagh stłoczone razem jak pudełka.

Mogłem tylko myśleć: Boże, ulituj się nad wszystkimi tymi amerykańskimi Irlandczykami, którzy nigdy nie ujrzą ponownie tego widoku. Pomyślałem o Phineasie i jego pieniądzach i zrobiło mi się go żal.

— Naprawdę pięknie to wygląda od strony morza — mówiła Sara do Neda. — Stąd nie widać brudu i nędzy.

— Nikt, kto żyje w Irlandii, nie jest nędzarzem — powiedziałem. Sara z uśmiechem ścisnęła moją dłoń, mówiąc, że wyobraża sobie, jak ekscytujący dla mnie musi być ten powrót.

Pomyślałem o lodowatych wiatrach smagających długie ulice Nowego Jorku i o brudnych, śmierdzących chodnikach zalatujących w upalne dni fetorem potu. Pomyślałem o zapalaniu świecy i widoku karaluchów, o leżeniu w ciemności i słuchaniu szczurów. Raz jeszcze ujrzałem pijanych wykolejeńców rozciągniętych na ulicach i uszmin-kowane wraki kobiet w kabaretach, pokrzywionych żebraków śmierdzących ściekiem.

— Już po wszystkim — powiedziałem. — Wracamy do domu.

Fetor ryb, i gorszych rzeczy, wisiał w powietrzu, lecz to nie miało znaczenia, a kiedy dotarliśmy do nabrzeża, ledwie dostrzegałem żebraków i wąskie brukowane ulice zaśmiecone gnojem. Stałem znowu na irlandzkiej ziemi i irlandzkie głosy brzęczały w moich uszach, i — Boże! — przysięgam, że byłem w tym momencie najszcześliwszym z ludzi.

— Wróciłem! — krzyknąłem, wyrzucając kapelusz w powietrze. — Wygrałem! Pokonałem ich wszystkich! Jestem w domu! — I złapałem kwiaciarę, która tkwiła żałośnie przy łokciu Sary, ucałowałem ją i dałem jej złotego suwerena. — Nie zapomnij wypić dziś wieczorem za moje zdrowie, kochana! — krzyknąłem, chwytając sześć bukietów fiołków, podczas gdy ona niemal zemdląła z wrażenia. — Bo jestem Irlandczykiem, który wrócił do domu z własnego grobu!

— Powóz, wasza wielmożność? — zapytał woźnica, który dojrawszy blask złota, wyprzedził swoich rywali.

— Dorożka! — rzuciłem po wielkopańsku, pobrzękując złotymi monetami w kieszeni. To byłem ja, spełnienie marzeń każdego Irlandczyka — człowiek, który pojechał do Ameryki w jednej koszulinie, a wrócił z kieszeniami pełnymi złota.

— Do hotelu Great Southern Railway! — rozkazałem woźnicy. Nazwa najwytworniejszego hotelu w Galway City zadźwięczała tak prawdziwie i czysto jak rozśpiewane monety w mojej kieszeni. Sara uczepliła się mojego ramienia. Śmiała się. Wyglądała ładnie, elegancko i wesoło, ja zaś czułem się tak, jakbym już wypił galon samogonu, a następny tańczył na stole przed moimi oczyma.

— Dobry Jezu! — wy dyszałem. — Jestem w niebie!

— Wszyscy jesteście w niebie! — zawołała Sara, całując mnie.

Dorożka wspinała się na wzgórze do rynku. Wjechaliśmy do najświetniejszej części Galway.

— Proszę o najlepszy apartament z łazienką — powiedziałem do witającego nas recepcjonisty. — Nie dbam o cenę, ale muszę mieć najlepszy. I chcę szampana, bardzo schłodzonego, w wiaderku z lodem, do tego kawior na srebrnej tacy i ziemniaki pieczone w koszulkach z miseczką masła.

— Tak, sir — odparł recepcjonista, wybałuszając oczy.

Gdzieś z daleka jakiś męski głos powiedział z niedowierzaniem:

— Sara?

Obróciłem się. Naprzeciw nas stał wrzecionowaty młody człowiek z marchewkowymi włosami i sowimi okularami na nosie.

— Thomas! — krzyknęła Sara z zachwytem i rzuciła się w ramiona szwagra.

II

Był dla niej czymś więcej niż tylko szwagrem — był też kuzynem, dzieckiem jej ukochanej ciotki. Miała więc wszelkie powody, by cieszyć się jego widokiem, lecz ja pomyślałem, że wygląda na ograniczonego Anglosasa i wcale nie spodobało mi się spojrzenie, jakim mnie obrzucił. Wiedziałem jednak, że muszę być wobec niego potulny i miły, uśmiechnąłem się więc uprzejmie, czekając na oficjalną prezentację.

— A David też tu jest? — spytała Sara.

— Jest na górze. Przyjechaliśmy zaledwie godzinę temu... Wielkie nieba, ale Ned urósł! Jak się masz, Ned?

Nastąpiły dalsze rodzinne powitania.

— Widzę, że pan Drummond był na tyle miły, żeby ci towarzyszyć — powiedział Thomas.

Sara niemal się zachłysnęła, dokonując formalnej prezentacji, i prosiła mnie za zwłokę.

— Jakby to miało jakieś znaczenie — odparłem, uśmiechając się do niej. Zastanawiałem się, czy młody de Salis wyciągnie do mnie rękę.

Zrobił to. Na mojej skali ocen podskoczył o kilka kresków.

— Dzień dobry, panie Drummond — rzekł uprzejmie i zaproponował, żebyśmy wszyscy spotkali się później, gdy już odpoczniemy po podróży.

— Kochany Thomas! — powiedziała uszczęśliwiona Sara, kiedy prowadzono nas do apartamentu na górę. — Zrobił się bardzo podobny do Marguerite.

— Nieważne, kogo przypomina z wyglądu — wtrąciłem z ulgą. — Przyjechał tutaj, by spotkać się z nami, tylko to się liczy, bo oznacza, że on i jego brat stają po twojej stronie przeciwko MacGowanowi.

Dostaliśmy apartament z widokiem na skwer. W oknach wisiły zasłony ozdobione złotymi frędzlami, na podłodze leżał gruby dywan, a meble w salonie obite były czerwonym welwetem.

— Może być — rzuciłem. — Czy jest tu łazienka?

Była. Nie dorównywała łazienkom w domu Marriotta, ale orzekłem, że też może być.

— Jest ślicznie — powiedziała Sara. — Możemy spać w głównej sypialni, a Ned w tej mniejszej po drugiej stronie saloniku.

Służba zaczęła wnosić nasze bagaże. Następne pół godziny poświęciliśmy na rozprostowanie kości. Przyniesiono szampana, kawior i ziemniaki, potem Ned zapytał, czy mógłby wyjść na spacer.

— Jasne, jeśli chcesz — odparłem, a kiedy zostaliśmy sami, powiedziałem do Sary: — Słuchaj, nie zależy mi na długiej rozmowie z twoimi szwagrami dziś wieczorem, poza tym rozumiem, że woleliby zjeść obiad

tylko z tobą i Nedom. Czy mogłabyś mnie jakoś wytłumaczyć? A jednocześnie dać do zrozumienia, że nie chcę być natrętem? Chciałbym wyrzucić na nich dobre wrażenie.

— Tak, oczywiście... Co mam powiedzieć, jeśli zapytają o plany na przyszłość?

— Powtórz to, co napisałaś im w liście. Powiedz, że twoją największą troską jest jak najszybciej otrzymać decyzję sądu o przyznaniu opieki nad dziećmi. Na pewno aprobują ten pomysł, inaczej nie byłoby ich tutaj, żeby cię powitać. Napomknij o rozwodzie i zwróć uwagę, czy to również aprobują. Dowiedz się, co słychać w Cashelmarze. Powiedz, że gotowa jesteś mieszkać tam z dziećmi, jeśli uda się usunąć stamtąd MacGowana i twojego męża. Musimy uzyskać od twoich szwagrów zgodę na to, by twój mąż zamieszkał z nimi w Anglii.

— Co mam powiedzieć, jeśli zaczną wypytywać o MacGowana?

— Mów o legalnych sposobach pozbycia się go. Mów o legalnych możliwościach wszystkiego: separacji, rozwodu, praw rodzicielskich, kontroli nad majątkiem, o wszystkich tych przeklętych rzeczach. Nic nie sprawia Anglosasom większej przyjemności jak długa i głośna gadka o prawie.

— Szczególnie zależy mi na tym, by się dowiedzieć, co sądzą o próbie zdobycia przez Patricka wyłącznych praw rodzicielskich. Jeżeli Patrick naprawdę nie ma zamiaru ruszać tej sprawy, jeśli rzeczywiście był to tylko plan MacGowana, by doprowadzić mnie do obłądu...

— Oczywiście, że tak było! Czyż nie powtarzałem ci tego do znudzenia?

— Tak, ale wiem, że Patrick szczerze pragnął powrotu Neda i chciał zatrzymać pozostałe dzieci...

— A MacGowan wykorzystał tę szczerość do tego, by mieć jeszcze jedną okazję do znęcania się nad tobą! Nie zwracaj już sobie więcej głowy MacGowanem, kochanie. Jutro rano pojedę pierwszym pociągiem do Krainy Joyce'ów.

— Maxwellu, obiecaj mi, że będziesz ostrożny!

— Będę ostrożny, jakbym miał do czynienia ze zgniłym jajkiem — odparłem z uśmiechem. Gdy wyszła, zastanawiałem się znowu, do jakiego stopnia bracia de Salis gotowi są nam pomóc.

Więści okazały się dobre. Wróciwszy z obiadu, Sara powiedziała mi, że lord de Salis coraz bardziej się rozpija. Choć żaden z braci od wielu miesięcy nie potrafił zdobyć się na wizytę w Cashelmarze, wiedzieli od siostry lorda de Salisa, że bardzo podupadł na zdrowiu. Obaj uważali, że Patrick nie ma najmniejszych szans ani na wygranie sprawy rozwodowej, ani na otrzymanie wyłącznych praw rodzicielskich. I obaj zapewnili, że jeśli będzie trzeba, gotowi są iść do sądu, by zaświadczyć, że ich przyrodni brat nie zasługuje na zaufanie jako ojciec, i doprowadzić do usunięcia MacGowana z posady.

— Ależ będą mieli niespodziankę, gdy się okaże, że chodzenie do sądu nie jest konieczne — powiedziałem całując Sarę, a kiedy uczci-
liśmy dobre wieści, nie traciłem czasu na zamartwianie się, lecz zapadłem
w sen bez marzeń.

III

Powóz opuścił Galway City o ósmej następnego ranka. Kołysząc się
i podskakując, przemierzał wzgórza i pofalowane pastwiska. Początkowo
padało, lecz za Oughterard deszcz ustał i przed nami na horyzoncie widać
było Twelve Bens, góry Connemary, wznoszące się do nieba niczym
w modlitwie. Chmury rozstały się i wyrzało słońce. Nagle mijane
jeziorka stały się błękitne jak klejnoty, a uginające się miętko brązo-
wo-zielone bagna ciągnęły się hen aż do wzgórz.

Potem, kiedy łąki zostały daleko w tyle, a puszyste plisowane pola
jaskrów były tylko wspomnieniem, nic nie przyciągało wzroku, tylko góry
podchodzące od horyzontu, tylko czyste linie i bezruch jakiegoś magicz-
nego snu i boski spokój innego świata. Wielokrotnie podróżowałem tą
drogą, lecz nigdy w życiu nie widziałem tego tak jak teraz, po trzech latach
spędzonych na wygnaniu w obcych miastach. Jeśli ktoś pragnie za-
smakować prawdziwego nieba, powinien pomęczyć się w rynsztoku
Nowego Jorku, a potem przejechać się z Galway przez Oughterard do
najbardziej niesamowitej krainy na ziemi.

Wreszcie góry otoczyły nas jak bajeczny pierścień. Poczułem się tak
bezpieczny, było mi tak błogo, ciepło i wygodnie, jakbym znalazł się
z powrotem w domu mojego ojca i wygrzewał się przy rozpalonej kuchni.
Góry były wysokie, proste i silne; żadne drzewo nie zakłócało błysz-
czących linii. Były piękne jak naostrzone noże i iskrzyły się w słońcu
blaskiem nagiej stali.

— Wasza wielmożność życzył sobie następne skrzyżowanie? — za-
wołał woźnica, a przede mną słońce kładło się na drodze wiodącej do
Letterturk.

— Zgadza się — odparłem — ponieważ skręcam do Cashelmary
i miasteczka Clonareen.

Ruszyłem na piechotę. Było cudownie cicho; w pobliżu szumiał tylko
strumyczek, co najwyżej jakaś owca beknęła na zboczcu nade mną.
Szedłem i szedłem wązowem pod górę, ku przełęczy. Patrzyłem na
chmury, które bez ustanku sunęły po niebie i kładły się cieniem na
rosnących tu jak okiem sięgnąć, spowitych mgiełką krzakach janowca.

Doszedłem do przełęczy między Bummacunneem i Knocknafaughy,
a poniżej mnie, jak oszałamiający sen, leżało długie, wysmukłe jezioro

Zatrzymałem się na chwilę. Wokół mnie wiatr huczał na przełęczy, woda spadała kaskadami w przepaść do odległej doliny.

Ruszyłem na dół. Przeciąłem rzekę Fooey, minąłem bramy Cashelmary i wzdłuż jeziora poszedłem do Clonareen. Wszyscy moi krewni wyszli mi na spotkanie, dołączyły do nich pozostałe rodziny, nawet Joyce'owie, a do głównej ulicy Clonareen dotarłem na ramionach, które niosły mnie wysoko ponad wiwatującym tłumem. Zupełnie jakby wszyscy już wiedzieli, że przybyłem, by uratować ich od ich nemesis — Hugh'a MacGowana.

IV

Parę godzin później w chacie Jeremiaha O'Malleya położyłem na stole moją broń.

— Podarował mi to nasz kuzyn z Nowego Jorku — powiedziałem. — Nazywa się Jim O'Malley. Choćbyście zjeździli Amerykę wzdłuż i wszerz, nie znajdziecie drugiego człowieka tak szlachetnego jak on. Jego rodzina została wyeksmitowana w czasie wielkiego głodu przez lorda Luncana, niech Bóg rzuci kłatwę na to protestanckie nasienie, i od tamtego straszego dnia Jim O'Malley ślubował zemstę.

Ktoś usłużnie napełnił mój kubek samogonem, przerwałem zatem, aby się napić.

— Więc kiedy Jim O'Malley dał mi tę broń — ciągnąłem — powiedział mi: „Maxwellu Drummondzie, nie chcę widzieć tej broni, póki nie jest splamiona anglosaską krwią. Zatrzymaj ją, a kiedy już spełni swoje zadanie, odeślij mi ją razem z tym dzielnym człowiekiem, który uwolni Irlandię od jeszcze jednego tyrana, nasłanego na nas przez Anglosasów.” — Przerwałem na kolejny łyk samogonu i rozejrzałem się. Można było usłyszeć odgłos szpilki spadającej na podłogę. — Odpowiedziałem mu: „Pewnie, Jim, ;iujchy!niej osobiście zwróciłbym ci broń, ale moja sława wśród Anglosasów jest teraz tak wielka, że nie pozwoliliby mi po raz drugi uciec do Ameryki. A poza tym mam szansę nauczyć lorda de Salisa, jak być dobrym panem, i będę potrzebny w dolinie, by pomóc moim krewnym.” A on na to ze łzami w oczach: „To szkoda, Max, naprawdę, ale przyslij mi najdzielniejszego spośród swoich krewnych, a też będę rad”.

Znowu podniosłem broń. Błysk smaru zamrugał na bębenku. Osiem głów wyciągnęło się gorliwie do przodu, by zobaczyć to cacko.

— Pozwól mi go zabrać z powrotem do Jima O'Malleya, Max — poprosił młody Tim.

— Nie, ja zabiorę — sprzeciwił się jego ojciec, Jerry.

— Nie, dla mnie jest ta chwalebna szansa — błagał Shaneen. — Bo jestem najmłodszy z całej dziewiątki i nie mam ani jarda własnych ziemniaków, a te wszystkie pieniądze czekające w Ameryce...

— Dobry Boże, pozwól mi przed śmiercią ujrzeć Amerykę — westchnął jego brat Joe.

— Pozwól mnie...

— Nie, mnie...

— No dobra, ciągnijmy losy — powiedziałem. — Dokonamy wyboru szybko i uczciwie, jak należy. I niech wygra najlepszy.

Wzięliśmy więc żdźbła słomy z podłogi i wyrównaliśmy je, jedno zostawiając dłuższe. Wygrał Shaneen, co mnie ucieszyło, ponieważ naprawdę niewiele trzymało go w dolinie i od lat mówił o emigracji. *

— Co mam zrobić, Max? — zapytał gorliwie.

— Bądź przy bramie Cashelmary jutro przed południem, ukryj się wśród głązów i czekaj na mnie. Najpierw jednak pozwól, że ci pokażę, jak się posługiwać tą bronią.

— Jezu, a co będzie, jeśli spudłuję? — dopytywał się Shaneen nerwowo.

— Niemożliwe, będziesz za blisko — odparłem. Wiedziałem, że ma dobre oko i potrzebuje tylko pewności siebie. Bractwo miało kiedyś broń w obiegu na tym terenie, a Shaneen, ja i kilku innych zostaliśmy wybrani do przeszkolenia. Trzy razy w tygodniu chodziliśmy wysoko w góry i uczyliśmy się strzelać do celu; chodzilibyśmy codziennie, gdyby nie to, że ilość amunicji była bardzo ograniczona.

Niebawem, kiedy samogon znowu zaczął krążyć wokół stołu, powiedziałem im, że mam nadzieję zostać zarządcą Cashelmary.

— A jeśli zostanę zarządcą — rzuciłem z uśmiechem — możecie być pewni, że dolina będzie krainą mlekiem i miodem płynącą, taką, jaką Bóg obiecał Mojżeszowi, i nikt nie będzie eksmitowany, a każdy będzie płacił lordowi de Salis tylko taki czynsz, jaki uzna za uczciwy i rozsądny.

— Ale jak to możliwe, żeby lord de Salis właśnie ciebie wybrał na zarządcę, Max? — zapytał Joe.

— Cóż, lord de Salis wybiera się do Anglii ze swoimi braćmi na kurację odwykową — wyjaśniłem — a lady de Salis wstawi się za mną, możecie być pewni.

W ciszy, która zapanowała, wyczułem zakłopotanie. Nagle się okazało, że nikt nie potrafi mi spojrzeć w oczy.

— Dobry Boże — rzekłem wstrząśnięty — chyba nie wierzycie tym paskudnym plotkom, że uwiodłem lady de Salis? Ja, mający żonę i szóstkę dzieci w Dublinie! Lady de Salis może być najświetniejszą i najpiękniejszą damą świata, ale nie zrobiłem nic, czego by nie zrobił każdy inny mężczyzna, pragnący pomóc zrozpaczonej damie.

Ujrzałem ulgę na ich twarzach i nabrałem pewności, że słusznie postąpiłem mijając się nieco z prawdą. Zwalczanie anglosaskiego wroga to jedno, cudzołóstwo — to zupełnie co innego.

— Max, czy będziesz odbudowywał swój dom i ściągał Eileen z powrotem? — zapytał Jerry.

— Pewnie, odbuduję dom — odparłem. — Czyż nie mam dzieci, o które muszę zadbać? Ale jeśli Eileen postanowi zostać w Dublinie, nie będę mógł nic zrobić, żeby ją tu sprowadzić.

— Eileen zawsze zadzierała nosa — powiedział ktoś.

— I może Max też będzie — dodał żartobliwie kto inny — gdy zostanie zarządcą u lorda de Salisa.

— Proszę Boga, żeby nigdy nie nastał dzień — rzekłem pogodnie — kiedy będę się wstydził przekraczać wasze progi i odrzucał waszą gościnność.

Rzeczywiście, tak dobrze było znowu przebywać wśród tych ludzi, którzy byli dla mnie jak bracia. Rozmawialiśmy bardzo długo i poszedłem spać wtedy dopiero, gdy na wschodzie zaczynało świtać, a ostatnia kropla samogonu została wylana ze słoja.

V

Pożyczyłem konia od pana O'Shaughnessy, lichwiarza (zawsze miał najlepsze konie w dolinie) i pojechałem drogą do Cashelmary. Była jedenasta, słońce stało wysoko, a chłodny wiatr wywiął mi ból z głowy, zanim odjechałem na milę od Clonareen.

Dotarłem do wielkiej żelaznej bramy. Nie tylko nie była zamknięta na klucz, ale stała szeroko otworem. Zobaczywszy to, uśmiechnąłem się, ponieważ wiedziałem, że w ten sposób wróg rzuca mi rękawicę. Przejechałem przez bramę. Nie obawiałem się zasadzki — MacGowan nie zastrzeliłby mnie z zimną krwią, chyba że mógłby udowodnić, iż sprowokowałem go do tego, a nawet anglosaski sąd nie dopatrzyłby się żadnej prowokacji w składaniu porannej wizyty.

Przywiązałem konia do drzewa na skraju posiadłości i poszedłem ciemnym, krętym podjazdem do żwirowanego półkola przed drzwiami frontowymi. Podjechałbym pod same schody, gdyby nie to, że nie zamierzałem wyjeżdżać tą samą drogą, którą przybyłem.

Żwir chrzęścił pod moimi stopami. Wysmukłe okna obserwowały, jak zbliżam się do nich.

Zadzwoniłem do drzwi, poczekałem, a kiedy nie było odpowiedzi, waliłem pięścią tak długo, aż pan Timothy O'Shaughnessy, brat lichwiarza, uchylił drzwi i wyjrzał przez szparę.

— Rany! Toż to Timothy O'Shaughnessy! — zawołałem. — Uszanowanie, Timothy! Nie spodziewałem się ujrzeć cię w stroju kamerdynera! Próbował się cofnąć, lecz wsunąłem nogę między drzwi a framugę.

— Jeżeli szukasz lorda de Salisa, Maxwellu Drummondzie...

— Lorda de Salisa? — zawołałem. — Co też ci przyszło do głowy? Nie, Timmy, nie szukam lorda de Salisa. Przyszedłem zobaczyć się z panem MacGowanem.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

I

Przyszedł do biblioteki, gdzie czekałem na niego. Nie słyszałem jego kroków, dopiero dźwięk otwieranych drzwi, i kiedy się odwróciłem, nareszcie znaleźliśmy się twarzą w twarz. MacGowan, mój wróg, moja nemesis. Człowiek, który mnie zrujnował i zabrał wszystko, co miałem.

Czekał przy drzwiach. Już zapomniałem, jak pospolicie wygląda. Byliśmy podobnego wzrostu, lecz był ode mnie szczuplejszy, miał przeredzone brązowe włosy i bezbarwne oczy.

Z jego postawy domyśliłem się, że jest uzbrojony.

— Witaj z powrotem — rzucił.

Uśmiechnął się błado swoimi wąskimi ustami, więc ja także się uśmiechnąłem. Milczałem jednak.

— Uniewinnienie od królowej, jak rozumiem — powiedział.

— Otrzymałem już wiadomość z Dublina, że twoje ziemie mają być ci zwrócone w całości. Zdobyłeś w Ameryce wpływowych przyjaciół, prawda?

— Ależ te wieści szybko się rozchodzą! — odparłem.

— Wpływowych przyjaciół i dobrze urodzoną dziewczynę na kochankę. Awansowałeś, Drummond. Chyba powinienem ci pogratulować.

Widziałem, że stara się mnie zdenerwować, więc się roześmiałem. Usiadłem na brzegu biurka i niebadałym ruchem podniosłem ciężki szklany przycisk do papieru.

— A więc pamiętasz jeszcze Sarę — powiedziałem. — Myślałem, że mogłeś już o niej zapomnieć.

— Mam dobrą pamięć.

— Ja również — rzekłem, bawiąc się przyciskiem — podobnie jak ona.

Wszedłszy do biblioteki zamknął drzwi, ale teraz je otworzył i wskazał w stronę holu.

— Jestem wzruszony, że wpadłeś złożyć uszanowanie — zapewnił — ale teraz, jeśli nie masz nic więcej do powiedzenia, proszę cię, żebyś wyszedł. Pan Rathbone, londyński adwokat, posiada kopię twojej wieloletniej dzierżawy i kiedy sporządzi z niej odpis, wkrótce ci ją odeśle. Co

do twojej ziemi, to możesz z nią robić, co zechcesz. Ale przyjmij moją radę: osiadź na niej spokojnie, ponieważ jeśli sprowokujesz jakieś problemy, ani się obejrzysz, jak wrócisz do więzienia. Żegnam.

Nadal podrzucałem przycisk do papieru.

— Odważna mowa — zauważyłem uprzejmie — ale cóż za rozrzutność w słowach!

Zostawił drzwi i posunął się kapkę do przodu.

— Natychmiast opuść ten dom, jeśli łaska.

— A jakie maniery! — dodałem. — Też mi się podobają.

— Daję ci pięć sekund na wyniesienie się.

— T-t-t! — cmoknąłem prowokująco.

— Raz... dwa... trzy... — Wymanewrował sprytnie za krzesło z wysokim oparciem. Przeszedłem wolno od biurka do najbliższej ściany z książkami. — Cztery... pięć...

Wyciągnął broń, lecz ja pierwszy rzuciłem przyciskiem do papieru. Według amerykańskich standardów był bardzo wolny i miałem mnóstwo czasu.

Uchylił się, ale nim doszedł do siebie, już byłem przy nim, usiłując odebrać mu broń.

Jezu, ależ był silny! Pchnąłem go tak, że stracił równowagę. Chwyciłem za przedramię, ale nadgarstek miał sztywny jak wycior. Zamachnął się wolną ręką, jednakże już się zataczał ku ścianie, a ja, trzymając go kurczowo za nadgarstek, zablokowałem niebezpieczną rękę za jego plecami. Kopał i rzucał się — i wciąż nadgarstek miał jak ze stali. Przyblokowałem mocniej jego drugą rękę. Obaj dyszeliśmy już ciężko. Serce waliło mi jak młotem.

Stał zgięta się nareszcie. MacGowan krzyknął z bólu, broń stuknęła o podłogę.

Odsunąwszy ją dalej, zwolniłem uchwyt. Wyciągnąłem własną broń.

— Ani słowa — powiedziałem — albo dostaniesz kulkę między oczy;

Milczał. Wciąż ciężko dyszał, oczy błyszczały mu z wściekłości.

Podniosłem jego broń i wetknąłem za pasek.

— Wstawaj.

— Ty cholerny durniu — wycodził. — Dopilnuję, żebyś wrócił do więzienia jeszcze przed zachodem słońca.

— Najpierw ja zobaczę ciebie na drodze do piekła! — odparłem gwałtownie, uzmysławiając mu, że mogę go zabić na miejscu. — Siadaj za biurkiem.

— Po co? — zapytał. Wyraźnie próbował zyskać na czasie, kombinując, jak by mnie podejść.

— Czy masz służącego?

— Czy mam... Do diabła, o co ci chodzi?

— Czy masz służącego?

— Tak, jeśli idzie o ściśłość, to mam, tak. Ale dlaczego...

— Wobec tego siadaj przy tym biurku albo przysięgam na Boga, że pokaleczę cię w miejscach, gdzie nawet twój służący nie odważyłby się zajrzeć.

Rozpoznał pogroźkę, którą niegdyś rzucił Sarze. Twarz mu stężała.

— No co? Zamierzasz usiąść czy...

Usiadł.

— Teraz lepiej — powiedziałem, opierając się nonszalancko o marmurową obudowę kominka. — Napiszesz liścik. Weź kartkę papieru listowego i pióro.

Po chwili urobił, jak mu kazałem.

— Do Wielmożnych Panów Thomasa i Davida de Salis — zacząłem — St. James's Square, Londyn. Szanowni Panowie... — przerwałem, by dać mu czas na pisanie. Pióro poskrzypując sunęło po grubym papierze. — Piszę do Panów, by złożyć rezygnację z posady zarządcy u lorda de Salis w majątku

...

Roześmiał się, lecz poleciłem sucho:

— Dalej.

Pisał więc, choć teraz z uśmiechem.

— Lord de Salis jest zbyt chory, żebym mógł zwrócić się w tej sprawie bezpośrednio do niego — dyktowałem — wobec czego nie mam wyboru i muszę złożyć rezygnację na wasze ręce jako jego braci. Już od pewnego czasu rozważałem możliwość opuszczenia Cashelmary, ponieważ jego lordowska mość nie docenia moich zasług tak, jak zwykł to robić w przeszłości, a obecnie jego pijaństwo osiągnęło takie rozmiary, że pozostało mi tylko wyjechać jak najszybciej. Na Boga, zaklinam was, przyjdźcie i uratujcie go przed nim samym. Będę wyjeżdżał z Cashelmary dziś o drugiej po południu. Udam się z moim ojcem do Szkocji, gdzie dołączy do mnie żona, kiedy tylko uporządkuje sprawy w Clonagh Court. Pozostaję uniżonym i pełnym szacunku sługą obu panów...

Znowu wybuchnął śmiechem.

— Chyba nie sądzisz, że naprawdę wyjadę? — zapytał, wciąż skrobiąc niedbale piórem.

— Podpisz ten list. Bardzo dobrze. Teraz daj mi go i zaadresuj kopertę.

— Nie ma tu kopert.

Przesunąłem się i stanąłem za nim.

— Znajdź jakąś.

Nie podobał mu się mój oddech na jego szyi. Pośpiesznie wyciągnął kopertę z pierwszej lepszej szuflady i chwycił pióro. Zerknąłem na list, by sprawdzić, czy jest w porządku.

— Dobrze — powiedziałem, kiedy koperta była już zaadresowana.

— Włóż list do środka i zalakuj.

— Co ty sobie właściwie wyobrażasz? — zapytał rozbawiony, roz-

grzewając wosk. — Nie bardzo widzę cel tej szarady. Nie możesz zmusić mnie do opuszczenia Cashelmary!

— O ile się załóżysz?

Gorący wosk kapał mu na palce, lecz nie zwracał na to uwagi. Patrzył na mnie twardo, a na jego ustach grał uszczypliwy uśmiezek.

W końcu powiedział pośpiesznie:

— Nie śmiałyś tknąć mnie palcem.

— Śmiałybym zrobić znacznie więcej—odparłem. — Gdybym chciał, mógłbym cię teraz zabić i pochować twoje ciało gdzieś na terenie posiadłości. Nikt by się nie domyślił, a list w sprawie rezygnacji wyjaśniłby twoje zniknięcie.

Był przerażony. Niezdarnie zapieczętował list, palce mu drżały.

— A więc zamierzasz mnie zabić?

— Nie, jeśli zrobisz to, co ci każę. Opuść ten dom o drugiej po południu i jedź do swojego ojca. Możesz jechać konno, a bagaż zabierz na osła albo załatw, żeby wysłano ci go później, jak wolisz. Musisz jednak jechać sam. Bez służącego, bez de Salisa, bez... czy twoja żona jest tutaj?

— Nie, jest w Clonagh Court. Dlaczego muszę jechać sam?

— Nie będziesz sam, kiedy dotrzesz do domu ojca. Ty i twój ojciec opuście tę dolinę razem, zgodnie z tym, co napisałeś w liście, i nie pokażecie się tu nigdy więcej. Jeśli was tu zobaczę...

— Zabijesz mnie — dokończył pośpiesznie. — Żądam gwarancji bezpiecznego przejazdu do domu ojca. Chcę...

— Nie obchodzi mnie, czego chcesz — powiedziałem. — Możesz jechać, dokąd chcesz, i robić, co ci się żywnie podoba, kiedy tam dojedziesz. Jeśli lord de Salis zechce do ciebie później dołączyć, ja pierwszy pomacham mu na pożegnanie. Ale opuścisz ten dom dziś o drugiej po południu, a jeśli nie, naślę na ciebie moich krewnych i nie będę odpowiadał za skutki. Zrozumiałeś? To dobrze. Daj mi list i wstawaj.

— Dokąd idziemy?

— Przejdziemy się trochę — rzekłem łagodniej i z uśmiechem — i porozmawiamy sobie o starych czasach. Gdzie lord de Salis?

— W łóżku. Rano nie czuł się dobrze.

— A dzieci?

— W swoich pokojach z guwernantką, tak sądzę.

— Wyśmienicie, chodźmy. Ale pamiętaj, jeśli kogoś spotkamy, milczysz jak grób. Ani słowa. Ja zajmę się wyjaśnieniami.

Wyszliśmy do pustego holu.

— Otwórz drzwi frontowe.

Na podjeździe MacGowan zadrżał od zimnego podmuchu wiatru.

— Dokąd idziemy? — powtórzył pytanie.

— Do kaplicy.

— Do kaplicy! Na miłość Boską, po co?

— Ach, to takie przyjemne, spokojne i zaciszne miejsce! Myślę — wyjaśniłem — że świetnie się nadaje na miłą, spokojną pogawędkę.

Kiedy się odwrócił by na mnie spojrzeć, spostrzegłem krople potu na jego czole.

— Słuchaj no, Drummond, zrobię, co zechcesz. Wyjadę o drugiej. Nie wrócę. Udam się do Szkocji. Patrick może jechać i zamieszkać ze mną. Nie zależy mi na pozostaniu tutaj. Wszystko, czego pragnę, to być z nim. Ja...

— Cicho bądź — przerwałem. Budził we mnie odrazę. Pomyślałem o nim i de Salisie mizdrzących się do siebie i poczułem, że robi mi się niedobrze. — Ruszaj.

Na tyłach domu weszliśmy do ogrodu. Nigdy w życiu nie widziałem czegoś podobnego — Bóg jeden wie, ile to musiało kosztować. Olbrzymie, wybujałe kwiaty rozpierały się na żyznej ziemi, która mogłaby wykarmić setkę przymierających głodem rodzin. Wśród przyprawiającej o mdłości orgii kolorów rosła soczysta, gęsta trawa, na której nie wolno było wypasać bydła. Pomyślałem o historii mojego kraju — o bogatych zdobywcach, którzy mieli tak dużo, że mogli sobie pozwolić na rozrzutność, i o biednych ciemiężonych Irlandczykach, zamkniętych na ziemie za wysokimi murami. Ten ogród wydał mi się plugawy, równie ohydny jak człowiek, który szedł przede mną.

Kaplica była mała, naga i mroczna, tak jak słyszałem, i zalatywała stęchlizną. Nie czułem, że jestem w kościele, co nie powinno dziwić, ponieważ była to świątynia protestancka, a nie prawdziwy kościół.

— Zdejmij ubranie — rzuciłem do MacGowana.

Był tak sparaliżowany strachem, że nie mógł się ruszać.

— No, dalejże — ponagliłem, poruszając niecierpliwie bronią. — Pośpiesz się.

— Co zamierzasz zro...

— Zadajesz stanowczo za dużo pytań — odparłem. — Rób, co ci każe.

— Zamierzasz mnie torturować — wybełkotał w panice, ledwie łapiąc oddech.

— Zamknij się, do cholery, i wyskakuj z tego przeklętego ubrania!

Wyrzekał się z niego z trudem i z ciekawością mu się przyjrzałem. Był harmonijnie zbudowany, lecz skórę miał śmiertelnie białą jak u nieboszczyka i prawie nie owłosioną.

— Jezu — powiedziałem — cóż za niesmaczny widok. Oprzyj się o ten słup.

Posłuchał, cały roztrzęsiony. Wyciągnąłem z kieszeni sznurek, wykręciłem mu ręce do tyłu, związałem je, potem spętałem nogi.

Zaczął krzyczeć, lecz nie zwracałem na to uwagi. Po prostu usiadłem na ławce i zapaliłem papierosa.

Słownictwo miał bardzo barwne, szybko jednak wyczerpały mu się przekleństwa. Znowu zaczął skamleć, pytając, co zamierzam z nim zrobić.

Paliłem papierosa i nic nie odpowiadałem.

W końcu stracił panowanie nad sobą i wpadł w histerię. Wygłaszał tyrazy, coś bełkotał, szlochał i wił się, a ja tymczasem wypaliłem papierosa i obserwowałem go w milczeniu.

Kiedy wyrzuciłem niedopałek, powiedziałem:

— Teraz już wiesz, co znaczy żyć w zagrożeniu gwałtem przez dziesięć minut. Sara żyła w takim zagrożeniu przez pięć lat. Pomyśl o tym przez chwilę, dobrze? Chciałbym, żebyś się nad tym zastanowił.

Zapaliłem następnego papierosa. Był teraz spokojny. Co kilka minut wstrząsał nim niekontrolowany dreszcz. Gdy skończyłem palić, wyjąłem z kieszeni nóż i leniwie przesunąłem palcem po jego ostrzu.

— Kiedyś obiecałem coś Sarze — rzekłem. — Czy chciałbyś wiedzieć, jaka to była obietnica?

Znowu zaczął skamleć. Był obrzydliwy.

— Powiedziałem, że pewnego dnia dam jej w prezencie twoje...

Wrzasnął, zanim zdążyłem skończyć zdanie. Czekałem, wciąż przesuwając palec tam i z powrotem po ostrzu, a kiedy w końcu zapadł prerażony w milczenie, odezwałem się:

— Okaleczanie nigdy nie było moją ulubioną rozrywką. — Wsunąłem nóż do kieszeni, wstałem z ławki i zbliżyłem się do niego. — Zanim pomyślisz, że uda ci się wyjść cało — mówiłem — pozwól, że dam ci to... — wymierzyłem mu cios w twarz — za wszystkie miesiące, które spędziłem w celi, i to... — uderzyłem go raz jeszcze — za wszystkie lata spędzone na wygnaniu, a to — rzekłem, wyzwalając każdą uncję rozpalonego do białości gniewu — jest za to, co wycierpiała Sara, za jej strach, poniżenie i wstyd. — Kiedy otworzył usta, by krzyknąć, kopnąłem go mocno poniżej pasa i uderzyłem w głowę kolbą rewolweru. Wtedy zemdłał.

Stałem długo i przyglądałem się zwisającej na słupie sylwetce. Odzyskawszy nad sobą panowanie, przeciąłem sznury. Osunął się twarzą na podłogę. Ubrałem go na wypadek, gdyby ktoś przyszedł do kaplicy i znalazł go, zanim odzyska przytomność. Nie chciałem zostawić za sobą nic, czego nie mógłbym później wyjaśnić; siniaki łatwo było wyjaśnić, trudniej przyszłoby mi wytłumaczyć, skąd się wzięło nagie ciało przywiązane do słupa. Dopiero kiedy był już ubrany, przypomniałem sobie o jego broni, którą wsunąłem za pasek. Nie chciałem ryzykować, żeby znaleziono ją u mnie, ale też, rzecz jasna, nie miałem zamiaru oddać jej MacGowanowi. W końcu schowałem ją między dwa kłęczniki za ostatnią ławką — nie najlepsza to była kryjówka, ale ponieważ MacGowan będzie myślał, że broń zabrałem, uważałem za mało prawdopodobne, by tracił czas na jej poszukiwanie. Potem wepchnąłem do kieszeni wszystkie sznury, rozejrzałem się szybko wokół, upewniając się, że o niczym nie zapomniałem, i wyszedłem na zewnątrz.

Niedaleko stał mur otaczający teren posiadłości. Wdrapałem się na rozłożyste drzewo, rozhuściłem się na mocnej gałęzi jak małpa i wylądowałem ostrożnie na szczytowych ceglach usianych potłuczonym szkłem. Na szczęście miałem dobre, ciężkie buty. Przeżegnałem się i zeskoczyłem, modląc się, bym nie złamał nogi.

Nie złamałem. Szczęście mi sprzyjało. Po kilku minutach byłem już przy swoim koniu. Przy bramie wydałem ostatnie rozkazy mojemu krewniakowi.

— On wkrótce nadejdzie, Shaneen — powiedziałem. — Znalazłeś sobie kryjówkę?

Znalazł. Obejrzałem to miejsce: były tam trzy głazy leżące tuż nad drogą.

— Znakomicie — rzuciłem. Dałem mu moją broń i kilka dodatkowych naboju.

— A pieniądze? — zapytał.

— Będę je miał dla ciebie w Leenane — zapewniłem. Co prawda był moim krewnym i bardzo go kochałem, nigdy jednak nie zaszkodzi być przezornym w sprawach pieniędzy, zwłaszcza kiedy tak wiele wchodzi w grę.

— Gdzie cię znajdę?

— Przy łodzi Mulligana. Powodzenia, Shaneen.

Uścisnęliśmy się. Wsiadłem na konia i zjechałem ze wzgórza ku drodze do Leenane.

II

W gospodzie oddałem konia do stajni i poszedłem szukać Tomsy'ego Mulligana. Nie ma nic przyjemniejszego jak zaglądać do starych przyjaciół. Posiedzieliśmy z Tomsym na pomoście, wspominając ów dzień sprzed trzech lat, gdy przewoził mnie, zbiegłego skazańca, łodzią z Leenane do Galway. To był ten sam dzień, kiedy spotkałem się z Sarą w zrujnowanej chałupie powyżej Cashelmary, dzień, w którym została moją kochanką. Jeszcze tego samego popołudnia udałem się do Leenane, skąd Tomsy zabrał mnie do Galway, tam inny członek naszego stowarzyszenia odstawił mnie łodzią do Queenstown, gdzie wsiadłem na pokład statku imigranckiego płynącego do Ameryki.

— Ale to było dawno, Tomsy — powiedziałem z uśmiechem — a teraz znowu jestem szanowanym dżentelmenem.

Tomsy odparł, że szacunek to wspaniała rzecz dla mężczyzny, i zaczął opowiadać o dwóch swoich wnukach, którzy zostali duchownymi.

Kiedy go w końcu opuściłem, wróciłem do gospody i zakomunikowałem właścicielowi, że zostanę tu na noc, a następnego dnia pojedę autobusem do Galway.

Było to znakomite popołudnie na poszwendanie się po okolicy. Ja zobaczyłam Leenane, Leenane zaś obejrzało mnie. Miałem całkiem towarzyski dzień; wieczorem jadłem wieprzowinę i kaszankę, a córka gospodarza postawiła przede mną kufel portera.

Ściemniało się bardzo późno, lecz kiedy zapadł zmrok, ziewając powiedziałem do gospodarza, że przejdę się trochę przed snem.

Na dworze było chłodno. Ciemne słone wody portu Killary migotały pod nocnym niebem. Był przypływ. Spojrzałem na pomost. Łódź Tomsy'ego Mulligana unosiła się na falach jak korek.

— Nie ma go jeszcze? — zawołałem szeptem do Tomsy'ego.

— Ani widu.

Czekałem. Przypływ jeszcze podniósł wody. Wracałem do gospody, gdy usłyszałem, że Shaneen nadchodzi drogą.

— Max...

— Tak, to ja. Tędy. — Poprowadziłem go z drogi między drzewa przy gospodzie. Syknał, gdy dotknąłem jego ręki. Poczułem lepkość krwi.

— Jezu Chryste, co się stało?

— Wszystko w porządku — powiedział, osuwając się na ziemię — ale słaby jestem jak kociak. Muszę posiedzieć chwilę.

— Pozwól, niech zobaczę. — Potarłem zapałkę.

— To naprawdę tylko zadraśnięcie — rzekł. — Nie martw się, Max.

— Nawet zadraśnięcie trzeba opatrzyć. — Podałem mu piersiówkę. — Łyknij tego — poleciłem. Z kieszeni wyjąłem czystą chusteczkę i obandażowałem go, jak potrafiłem.

— Teraz czuję się lepiej. — Wypił, wstrząsnął się i wypił znowu. — Dobry Boże, co za dzień.

— Spudłowałeś za pierwszym razem?

— Tak, ale posłuchaj, co się stało! Czekałem tam na niego po południu, ty pojechałeś, a Timothy O'Shaughnessy, jest tam teraz majordomusem...

— Wiem.

— No więc wypada ci on na wózku zaprzężonym w osła i pędzi przez most do starego MacGowana, jakby wszystkie diabły z piekła uczepiły się jego kół. Wraca później razem ze starym, a stary ma karabin.

— Boże Wszchemocny!

— No to co ja mogłem zrobić, Max? Pomyślałem, że lepiej nie strzelać do niego, bo jeśli nie dotrze do Cashelmary, Hugh MacGowan będzie się bał wychylić nosa za bramę. Pozwoliłem więc staremu przejechać, ale już wiedziałem, że kiedy Hugh MacGowan w końcu wychyli nosa, będzie ze starym i obydwaj uzbrojeni po zęby.

— Gdybym tylko zostawił z tobą drugiego człowieka...

— Nie ma sprawy, Max, bo kawał ze mnie chlopa i poradziłem sobie

z nimi dwoma, Wszyscy Święci poświadczą. — Przeżegnał się i znowu łyknął samogonu. — Dostałem najpierw Hugh'a, bo doszedłem do wniosku, że on jest najważniejszy. Zwaliłem go drugim strzałem. Spadł z konia, jakby sam Bóg poraził go z wysokości. Ale wtedy stary strzelił do mnie, i jak widzisz, nie najgorzej. Wypaliłem znowu i trafiłem konia. Biedna bestia została tak draśnięta, że jak demon pognała do jeziora i stary wyleciał z siodła. Początkowo myślałem, że udaje, ale kiedy go obejrzałem, okazało się, że skrecił kark. Hugh jeszcze żył, więc musiałem jeszcze raz strzelić i... O Święta Matko, Max, miałem już nogi jak z waty. Gdyby nie to, że Hugh MacGowan był łajdakiem, diabli to wiedzą, myślę, że uciekłbym do Ameryki, nie wystrzeliwszy ani jednej kuli więcej. Ale wysłałem go na wieczne potępienie. Obydwu, Max. Będę teraz bohaterem doliny, prawda? Uwolniłem nasz biedny cierpiący kraj od dwóch anglosaskich tyranów i na pewno któregoś dnia sam Bóg wychyli się z nieba, żeby dać mi nagrodę.

— Właśnie ludzie tacy jak ty, Shaneen — powiedziałem — pomogą Irlandii powstać znowu z popiołów i zetrzeć Imperium Brytyjskie w pył, jak na to zasługuje. Naprawdę jesteś najlepszym patriotą, jakiego kiedykolwiek spotkałem, a nie ma większego zaszczytu dla mężczyzny jak walka za ojczyznę przeciw tyranom, którym nawet diabeł nie dorównuje w znęcaniu się nad milionami niewinnych ludzi.

— Niech Bóg ma Irlandię w swojej opiece! — powiedział Shaneen ze łzami w oczach.

— Niech Bóg nas wszystkich ma w opiece! Słuchaj, Shaneen. Oto są pieniądze, których potrzebujesz. Tomsy Mulligan zabierze cię do Galway, potem pójdziesz do Claddagh i znajdziesz człowieka nazwiskiem Brian Ó'Hagan. Zaopiekuje się tobą do czasu zorganizowania ci podróży do Queenstown i miejsca na statku imigranckim. Najlepiej, gdybyś płynął z Queenstown, bo policja będzie cię szukać w Galway. Podróż będzie ciężka, ale jak dotrzesz do Nowego Jorku, Jim O'Malley da ci pracę. Tutaj napisałem ci adres, tylko go nie zgub.

— Niech cię Bóg błogosławi, Max — odparł. Łzy spływały mu po policzkach. — Nigdy nie zdołam ci się odpłacić, nigdy.

— Nie gadaj o odpłacaniu, Shaneen, po tym wszystkim, co zrobiłeś dzisiaj. Jak będziesz w Nowym Jorku, zapal za mnie świecę w kościele Św. Patricka i powiedz Jimowi O'Malleyowi, że posyłam mu najdzielniejszego mężczyznę na zachód od Shannon, żeby zwrócił mu broń.

Poszedłem z nim do łodzi. Patrzyłem, jak Tomsy odbija od brzegu. Łódeczka zaczęła oddalać się od pomostu i w ciągu kilku sekund zniknęła wśród wielkich cieni gór.

Wróciłem do gospody.

— Robi się strasznie wilgotno — powiedziałem do gospodarza. — Jutro ani chybi będzie padać! — A kiedy mi przytaknął, poszedłem na górę do pokoju. Zasnąłem, ledwie przyłożyłem głowę do poduszki.

III

Obudziwszy się następnego dnia, nie mogłem uwierzyć, że jest już po wszystkim. Pomyślałem: MacGowan nie żyje. Rachunki zostały wyrównane i nigdy go już nie zobaczę. Na tę myśl ogarnął mnie smutek; odczułem pustkę, jakbym stracił coś bardzo cennego. Aż do tej chwili nie wiedziałem, do jakiego stopnia moja nienawiść do MacGowana stała się częścią mnie samego, jak ręka czy noga, i jak utrzymywała mnie przy życiu przez wszystkie te lata wygnania. Wyrównanie krzywd z MacGowanem tak długo zaprzętało moje myśli, że trudno mi było wyobrazić sobie przyszłość bez tej zemsty. Rzecz jasna, miałem masę planów. Musiałem zająć się Sarą i jej dziećmi oraz dobrze poprowadzić majątek — czekało mnie tyle roboty, że nie powinienem mieć chwili wytchnienia. Tego ranka czułem się jednak apatyczny jak chory pies i oszołomiony, jakbym dochodził do siebie po uderzeniu w głowę. Od ponownego spotkania z MacGowanem żyłem w bezustannym napięciu, a teraz, w triumfie, odprężyłem się bardziej, niż zamierzałem.

Do Galway jednak było daleko, tak że kiedy już dotarłem do hotelu, czułem się znowu sobą. Zastałem braci de Salis przy podwieczorku z Sarą i Nedom w naszym apartamencie. Po pierwszej fali podniecenia zostałem przedstawiony Davidowi, młodszemu z braci. Był jeszcze bardziej wymoczkowaty niż Thomas. Miał białą skórę, różowe policzki i miękkie uścisk dłoni.

— A więc batalia wygrana—powiedziałem, starając się nie patrzeć na Sarę. Wyjąłem list z kieszeni i podałem go braciom. — Oto jego rezygnacja. Teraz powinien być ze swoim ojcem w połowie drogi do Szkocji.

Zapanowało wielkie poruszenie.

— Czy wszystko poszło dobrze? — zapytała Sara bez tchu. — Och, Maxwellu, na miłość Boską, powiedz nam, co się stało!

Popatrzyłem na nią surowo, nakazując jej spokój, zanim bracia dostrzegli jej podniecenie.

— Rzeknawicie, jak u licha przekonałeś go, żeby zrezygnował z posady? — zawołał David z podnieceniem w głosie.

— Cóż, było to bardzo proste — powiedziałem. — Odbiliśmy króciutką rozmowę, a potem on napisał list, po czym przeszliśmy się razem do ogrodu, by ustalić szczegóły. MacGowan chce, żeby lord de Salis pojechał z nim do Szkocji, ale ja powiedziałem, że byłoby mądrzej, gdyby najpierw odbył kurację. Ale rzecz jasna — zwróciłem się uprzejmie do braci — ta decyzja zależy już od was.

David i Sara zaczęli znowu wydawać okrzyki zdziwienia, ja zaś cieszyłem się ich radością tak bardzo, że zaskoczyło mnie niemile, kiedy Thomas powiedział ostro:

— Wciąż czekam na pełne wyjaśnienia, Drummond.

Rzuciłem mu twarde spojrzenie i spostrzegłem, że on także uważnie mi się przygląda. A więc nie doceniałem go.

— Proszę mi wierzyć, panie de Salis — rzekłem, natychmiast przyjmując pełen szacunku ton — nietrudno było przekonać MacGowana do wyjazdu. Kiedy tylko usłyszał o moim powrocie, musiał zdać sobie sprawę, że w dolinie jest skończony. Jestem ważną osobą wśród moich krewnych, jak pan się zapewne orientuje, a oni wszyscy ledwie mnie ujrzeni, rwali się do zemsty. Wstąpiłem do Cashelmary, żeby powiedzieć MacGowanowi, że jeśli chce zostać, nie mogę zagwarantować mu bezpieczeństwa. Odparł, a bardzo był łagodny, że ponieważ zrobił już na majątku fortunę, gotów jest przenieść się na jakieś zielerisze pastwiska. Powiedział mi to, żeby mnie zdenerwować, nie mam co do tego wątpliwości. Nie chciał, żeby mi się wydawało, że go wypędzam. Ale oczywiście wypędziłem go, bo nie pozostawiłem mu żadnego wyboru. Musiał wyjechać.

— Ależ to jasne — zawołał David radośnie. — Thomas, czy nie widzisz tego? To wszystko idealnie pasuje. Otwórz list i zobaczmy, co MacGowan pisze.

Thomas z ociąganiem złamał pieczęć.

— Używa wymówki, że z Patrickiem nie da się pracować — powiedział później do brata.

— O rany! — westchnął David. — Co my zrobimy z Patrickiem?

— Będzie musiał poddać się leczeniu — oświadczył Thomas — zanim pomyśli o wyjeździe za MacGowanem do Szkocji. Jeśli tego zechce. — Rzucił mi kolejne ostre spojrzenie. Postanowiłem nie zwracać na to uwagi. — Jutro pojedziemy z bratem do Cashelmary — rzekł do mnie gwałtownie. — Porozmawiamy z lordem de Salisem i moją siostrą. Spróbujemy podjąć stosowne kroki korzystne dla jego zdrowia.

— Dzieci... — szepnęła Sara.

— Natychmiast odesłamy je do ciebie. Jak ci mówiłem, David i ja dawno już chcieliśmy zabrać je z tego domu. Patrick później, gdy będzie zdrowszy, poszuka rozwiązania w kwestii praw rodzicielskich, ale w tej chwili jest zupełnie niezdolny do sprawowania opieki nad dziećmi. Powiem mu to wprost, jeśli będzie próbował je zatrzymać.

— Dobrze nieba! — zawołał David. — Czyż to nie zdumiewające, jakie wszystko stało się proste, kiedy nie musimy mieć do czynienia z MacGowanem?

— MacGowan walczyłby ze mną o dzieci do utraty tchu — powiedziała Sara. — To była osobista wendeta. — Jej głos był trochę niespokojny. Spojrzałem na nią. Zauważyłem, że oczy jej błyszczą, jakby miała gorączkę. Opanowało mnie pożądanie jak zawsze, kiedy widziałem jej namiętną, rozpaloną nienawiść. Stłumiłem podniecenie i niedbałym krokiem przeszedłem do drzwi sypialni.

— Jeśli zechcecie mi wybaczyć, przebiorę się — rzuciłem przez ramię. — Jestem zakurzony jak włóczęga po tyłu godzinach drogi.

— Drummond.

To był Thomas. Poruszając się nadal niedbale, odwróciłem się ku niemu.

— Chciałbym zamienić z tobą słówko na osobności, jeśli można.

— Oczywiście — odparłem. — Tyle słów, ile tylko pan zechce, sir.

Poszedł ze mną do sypialni i zamknął drzwi.

— Chciałbym ci tylko powiedzieć — rzekł — że jeśli nadal będziesz dzielić ten pokój z Sarą, dzieci zostaną w Cashelmarze. Wybacz mi obcesowość, ale nie jesteś głupcem i musisz zdawać sobie sprawę, że mam pewne obowiązki wobec moich bratanic i bratanków. Może więc zechciałbyś zamieszkać w innym pokoju, jeśli nie zamierzasz natychmiast wracać do Clonareen.

— Oczywiście, zajmę osobny pokój — powiedziałem, rozumiejąc, że w tej chwili najlepiej unikać utarczek. — I nie potrzebuje się pan martwić, że po powrocie do doliny Sara i ja nie zachowamy dyskrecji. Nie chcemy robić niczego, co mogłoby zmniejszyć szanse Sary na otrzymanie rozwodu i uzyskanie praw rodzicielskich.

Po raz pierwszy ujrzałem na jego twarzy ulgę.

— Czy chciał pan coś jeszcze powiedzieć? — zapytałem, ale potrząsnął głową.

— Nie trzeba. Dziękuję, Drummond — rzekł i poszedł pokornie do saloniku.

Minęło dziesięć minut, zanim Sara zdołała pozbyć się braci i wysłać Neda po jakieś sprawunki. Rozebrałem się do bielizny i leżałem na łożku, dając odпочać zmęczonym mięśniom. Zamknąłem oczy i nie otworzyłem ich usłyszawszy, że wchodzi do pokoju. Wiedziałem, że ledwie ją ujrzę i poczuję pożądanie, powiem jej wszystko.

— Maxwellu...

— Wszystko w porządku — powiedziałem.

— Opowiedz mi.

— Opowiem, ale jeszcze nie teraz.

— Dlaczego nie?

— Bo kiedy twoi szwagierkowie wrócą w pośpiechu z Cashelmary, chcę, żebyś była równie niewinna jak Ewa przed spotkaniem węża.

— Ależ ty mnie musisz uważać za złą aktorkę! Słabą i marną.

— Wiesz, że nie o to chodzi, ale...

— Więc przestań traktować mnie, jakbym była z porcelany!

Otworzyłem oczy — i byłem zgubiony.

— O, nie — powiedziała dokładnie w chwili, kiedy dalsze milczenie stało się już ponad moje siły. — Jeśli ty mi nie ufasz, dlaczego ja miałabym ufać tobie?

Powiedziałem jej więc. Powiedziałem wszystko. A później posiadałem ją jak nigdy dotąd. Połączyła nas przemoc jak rozpalone do białości żelazo. Kiedy oderwaliśmy się w końcu od siebie, Sara wyczerpana zapadła w sen, ja natomiast nawet nie zmrużyłem oka. Leżałem przy niej myśląc, jak los potrafi lepić człowieka w różne kształty. Potem pocałowałem ją, nakryłem kołdrą, żeby nie zmarzła, i otworzyłem szafę w poszukiwaniu świeżego ubrania.

Po przebudzeniu była bardzo spokojna, a kiedy próbowała upiąć włosy, wybuchnęła płaczem.

Milczałem. Usiadłem przy niej na taborecie i otoczyłem ją ramieniem.

— Tak dziwnie się czuję—powiedziała. — Jakby część mnie umarła.

— Ja też się tak czułem.

— Czasem myślę, że MacGowan doprowadził mnie do obłądu. Ale nie jestem obłąkana, prawda? A skoro jest po wszystkim, to już nigdy nie będę obłąkana... Dopiero teraz potrafię zrozumieć, dlaczego nie chciałeś mi powiedzieć.

— Powiedziałbym ci później.

— Tak... w odpowiedniej chwili. Przepraszam. Obiecuję jednak, że cię nie zawiodę. Będę bardzo silna i zrobię wszystko jak trzeba.

— Wiem, kochanie — odparłem. — Wiem.

Bracia de Salis wyjechali następnego ranka. Nie przeniosłem się do osobnego pokoju, ale poprosiłem Sarę, by powiedziała, że to zrobiłem, gdyby Thomas pytał. Sara nie potrafiła już myśleć o niczym innym jak o ponownym spotkaniu z dziećmi. Nie bardzo wiedziała, co ze sobą zrobić. Gorączkowo przemierzała pokój tam i z powrotem, wyglądała przez okno. Jakby powóz de Salisa już wjeżdżał na skwer.

— Mogą być tutaj za trzy dni — powiedziała, odliczając dni na palcach. — Dzień na podróż Davida i Thomasa, dzień na pakowanie, dzień na podróż...

— Nie zapominaj, że de Salis może robić trudności.

— Ale wiem, że Thomas i David będą nalegać, i Patrick ustąpi. Będzie zbyt zdruzgotany stratą MacGowana, żeby przejmować się czym innym. O Boże, jak ja to wytrzymam! Umrę z niecierpliwości, wiem, że umrę.

Thomas wrócił jednak przed końcem drugiego dnia. Przybył sam. Sara ledwie go ujrzała, wybuchnęła płaczem.

— Nie pozwoli im wyjechać? — szlochała, choć obaj próbowaliśmy ją uspokoić.

— Przyjadą jutro — rzekł Thomas, całując ją. — Cicho, cicho, Saro, przykro mi. Musieli się spakować, wiesz przecież. Niania powiedziała, że nie mogą wyjechać wcześniej...

— Ale dlaczego na nich nie poczekałeś? Dlaczego wróciłeś tak szybko?

— Ponieważ są pewne sprawy, które wymagają wyjaśnienia.

Był wczesny wieczór. Siedzieliśmy w saloniku naszego apartamentu. Ned czytał gazetę przy stoliku koło okna, Sara cerowała jakieś ubrania, a ja rozliczałem w notesie swoje wydatki. Czekając, aż Thomas się odezwie, rozejrzałem się wokół. Jaka to spokojna, rodzinna scenka, pomyślałem.

— Jakież sprawy wymagają wyjaśnienia? — powtórzyła Sara. Zauważyłem, jak jej palce zaciskają się na igle, gdy ponownie podniosła robótkę.

— Tak, dotyczy to sytuacji w Cashelmarze. — Thomas stał, przyglądając się nam. — Patrick jest bardzo chory. W noc przed naszym przybyciem zapił się niemal na śmierć. Madeleine zamierza go zabrać do pierwszorzędnej prywatnej kliniki niedaleko Londynu. Będziesz więc mogła swobodnie wrócić do Cashelmary wraz z dziećmi, kiedy Patrick poczuje się na tyle dobrze, by stamtąd wyjechać.

— A MacGowan? — zapytała Sara z niepokojem. — Czy wyjechał, jak obiecał? Czy Patrick nie chce z nim jechać?

Spojrzał na nią, ale był najwyraźniej w pełni usatysfakcjonowany tym, co zobaczył. Odwrócił się, by popatrzeć na mnie.

— MacGowan nie żyje — powiedział.

Zapadła cisza. Choć przyglądałem się Thomasowi, czułem, że Ned zerknął na mnie przez ramię. Wcześniej podszedł do drzwi, by ucisnąć dłoń wuja, i wracał teraz do swojego stolika przy oknie.

— Ha! więc nie żyje! — zawołałem z zachwytem, nie starając się maskować zadowolenia. — W samą porę, złodziejskie nasienie! To najlepsza wiadomość od wieków!

— Został zamordowany — poinformował Thomas.

— Cóż, to oczywiste. Żaden łajdak pokroju MacGowana nie umarł jeszcze naturalną śmiercią. A kto jest tym bohaterem, który wbił mu nóż w serce?

— MacGowana zastrzelono — wyjaśnił Thomas. — Obaj, on i jego ojciec, zostali zabici. Mordercy nie znaleziono.

— Niech mu się jak najlepiej wiedzie—powiedziałem, zagłębiając się ponownie w fotelu.

Przez moment myślałem, że Thomas nie złapie się na ten haczyk, w końcu jednak go połknął.

— Drummond, nie mogę się oprzeć wrażeniu, że zachowujesz się niestosownie. Wiem, że MacGowan miał paskudny charakter, i masz wszelkie prawo żywić do niego urazę, ale pochylać morderstwo, lekceważyć sprawiedliwość...

Na to właśnie czekałem.

— Okropność! — rzekłem. — A mówi to Anglik. Angielskie prawa nigdy nie przyniosły Irlandczykom niczego dobrego, panie de Salis. Hughowi MacGowanowi pozwolono przez całe lata płądrować i grabić moją dolinę. A dlaczego? Dlatego, że Anglicy od wieków płądrowali

i grabili Irlandię. A wszystko w imię prawa i porządku, sprawiedliwości, praworządności i religii.

— Nie mam najmniejszego zamiaru wdawać się w polityczną dyskusję, bo doskonale wiem, czym by się zakończyła. Ani chybi porównałbyś mnie do tego nędznego Cromwella — powiedział Thomas zdumiewająco otwarcie. — Wiem, że w przeszłości ten kraj sporo wycierpiał, ale Irlandia powinna błogosławić los, że może iść przez dziewiętnasty wiek u boku Anglii, a nie jakiegoś innego kraju, choćby Rosji. Wtedy naprawdę mielibyście na co narzekać. Anglia włożyła w Irlandię masę pieniędzy. System opieki społecznej jest tu bardziej rozwinięty niż gdziekolwiek w Europie...

— My nie chcemy waszych przeklętych pieniędzy! — zaproponowałem. — Chcemy wolności.

— Chcę wrócić do średniowiecza — odparł Thomas — a kiedy się nad tym zastanowić, być może tam właśnie jest wasze miejsce.

— Chcemy żyć w świecie, w którym będziemy właścicielami naszej ziemi — powiedziałem. — W świecie, w którym nie będziemy musieli lękać się złych żniw, w którym ludzie typu MacGowana nie będą mogli grabić nas, bić i eksmitować z domów rodzinnych. W świecie, w którym człowiek nie będzie sądzony przez stronnictwą ławę przysięgłych i więziony za zbrodnie, których nie popełnił. W takim świecie, w którym słowo „morderca” nie będzie po prostu synonimem „patrioty” i „bohatera”.

— Czy mam to traktować jako wyznanie, że to ty zabiłeś Hugh’a MacGowana? — zapytał Thomas, bardzo już śmiały i beczelny. — Bo na to wychodzi.

— Thomas! — Sarze zaparło dech. Zagrała to idealnie. Wstała, lecz natychmiast usiadła gwałtownie, jakby nie była w stanie tego znieść.

— Saro, zostaw nas lepiej — powiedział Thomas. — Ned, odprowadź mamę do sypialni i zostań tam z nią, póki cię nie zawołam.

Ned jednak ani drgnął.

— Spokojnie, kochanie — rzekłem do Sary, pochylając się nad nią i ściskając porozumiewawczo jej dłoń. — Pozwól, że ja cię odprowadzę.

Poddała się, oszołomiona jakby. Zostawiwszy otwarte drzwi, by Thomas mógł widzieć każdy nasz krok, odprowadziłem ją do sypialni. Kiedy opadła na łóżko, pochyliłem się i pocałowałem ją.

— Nie ma najmniejszych powodów do obaw, kochanie, naprawdę — zapewniłem spokojnym głosem — bo mogę udowodnić, że jestem niewinny. Jeśli poczekaś tu, pójdę i powiem to panu de Salisowi.

Skinęła głową, starając się nie patrzeć na mnie. Zostawiłem ją i zamknąłem drzwi, gotów wyciągnąć kartę atutową, by pomieszać szyki Thomasowi.

— Panie de Salis — zacząłem — przysięgam na grób mojej zmarłej matki, że w żadnej z ostatnich rozmów z krewnymi na temat MacGowana słowo morderstwo nie padło z moich ust.

— W takim razie — powiedział Thomas zadziornie — nie będziesz miał nic przeciwko temu, jeśli zapytam, gdzie byłeś we wtorek po południu?

— Proszę bardzo. Byłem w Leenane. Z Cashelmary pojechałem do Leenane, żeby się spotkać ze starymi przyjaciółmi. Poświadczą to. Spędziłem noc w gospodzie i porannym omnibusem wróciłem do Galway.

Na długą chwilę zapadła cisza. Wreszcie Thomas rzekł:

— Rozumiem. Wybacz mi podejrzenia, ale tego dnia byłeś w Cashelmarze, a...

— Cóż, to całkiem normalna pomyłka, nie mam o nią pretensji.

— A MacGowan zostawił list — ciągnął Thomas z tak kamienną twarzą, że zrobiło mi się nieprzyjemnie. — Przeczytałem go.

MacGowan, mój wróg, moja nemesis...

— Czyżby coś przeczuwał — powiedziałem z uśmiechem — i przed śmiercią wyznał wszystkie swoje zbrodnie?

— Napisał, że wymusiłeś na nim rezygnację, grożąc użyciem broni, że biłeś go i torturowałeś.

— Dokładnie takiego kłamstwa można się było spodziewać po tym zbrodnie! Jezu, jakbym mógł się zniżyć do takiego zachowania!

— Skoro to nieprawda, dlaczego MacGowan napisał ten list?

— Żeby się na mnie zemścić, to jasne! Wyrzuciłem go z doliny, a pewne jest, że wolał umrzeć, niż pogodzić się z taką klęską... Powiedział pan, panie de Salis, że gdzie jest ten list?

Zawahał się na ułamek sukundy.

— Dałem go inspektorowi okręgowemu.

Wiedziałem, że tego nie zrobił. Chciał mnie przepytwać, zanim inspektor w ogóle się dowie o moim powrocie do doliny. Musiał przecież myśleć o swojej bratowej, bratanicach i bratankach. Był wystarczająco przebiegły, by wiedzieć, jak różnie może list wykorzystać.

— Ma go pan w kieszeni, prawda? — zagadnąłem, wciąż uśmiechnięty. — Cóż, proszę się nie obawiać, nie zamierzam odbierać go panu pod groźbą użycia broni. Nie mam zresztą broni, a poza tym nie obchodzi mnie, co pan z nim robi. Proszę go dać inspektorowi okręgowemu, a on niech postąpi, jak mu się podoba. Wyprę się tego, co tam napisane. Inspektor uwierzy mi albo nie, jego sprawa. Co to ma teraz za znaczenie? Ważne jest tylko jedno: nie ja wystrzeliłem tę kulę, która zabiła Hugh'a MacGowana. Nikt na świecie nie zdoła udowodnić, że to zrobiłem.

— W porządku—oświadczył Thomas. Jego skryte za okularami oczy były bez wyrazu.

Przez chwilę w ciszy obydwaj zastanawialiśmy się, co teraz powiedzieć.

— Panie de Salis — rzekłem, postanawiając przypieczętować zwycięstwo umocnieniem swojej pozycji — proszę mi wierzyć, że będę troszczył

się o Sarę, jeśli zostanie moją żoną. Zrobię co w mojej mocy, by zadbać o nią i jej dzieci. Proszę dać mi szansę udowodnienia dobrych intencji, a przysięgam, że nie sprawię zawodu. Czy możemy uściskać sobie ręce jako sojusznicy?

Zawahał się.

— Mam nadzieję — dodałem pośpiesznie — że nie ma mi pan za złe tego, że mówiłem o mojej ojczyźnie tak otwarcie do pana, w końcu Anglika?

Wyciągnął rękę.

— Oczywiście, że nie — powiedział bez wyrazu. — Masz prawo do własnego zdania. Wyśmienicie, że obydwaj chcemy jak najlepiej dla Sary i dzieci, bo w tej sytuacji sojusz będzie w pełni możliwy. A teraz, jeśli mi wybaczysz, pójdę do swojego pokoju i odpocznę po podróży. Ned, może mógłbyś przyjść do mnie na kilka minut przed obiadem?

— Tak, wuju — odparł Ned od okna.

Zapomniałem, że tam jest i słucha całej rozmowy. Wciąż patrzył w otwartą gazetę leżącą na stoliku, lecz kiedy drzwi się zamknęły, zerknął na mnie.

— Cóż, obawiam się, że twój wujek uważa mnie za człowieka bez serca — rzekłem do niego z uśmiechem. — Ale byłbym kłamcą, gdybym mówił, że przykro mi z powodu śmierci MacGowana, prawda?

Nic nie odpowiedział. Wieczne słońce padało z ukosa na jego twarz i zauważyłem, że oczy ma stalowoniebieskie.

Podobieństwo, które spostrzegłem już wcześniej, ale którego nigdy nie potrafiłem sprecyzować, uderzyło mnie teraz niczym cios między oczy.

— Jezu, ależ ty jesteś podobny do swojego dziadka, Ned! — zawołałem, zanim zdołałem się powstrzymać. A potem, kiedy uśmiechnął się do mnie uśmiechem starego lorda de Salisa, na moment aż krew stanęła mi w żyłach.

Część szósta

Ned

Zemsta 188J—1897

Edward był jednocześnie realistą i romantykiem.

*Odważny, przystojny, pełen magnetycznego uroku,
wyborny zawodnik w turniejowych szrankach i wzór rycerskości,
uosabiał wszystkie zalety tak podziwiane przez młodych arystokratów
otaczających jego tron [...] ale bardzo cierpiał.*

Sir Arthur Bryant, *Czas rycerstwa*

ROZDZIAŁ PIERWSZY

I

Zawsze będę pamiętał ten dzień, kiedy usłyszałem, że Hugh MacGowan został zamordowany.

Bardzo długo myślałem o MacGowanie wyłącznie ze wstrętem i nienawiścią, ale szok na wieść o morderstwie przywołał dawniejsze wspomnienia i choć próbowałem je stłumić, nie udało mi się. Przypomniałem sobie, jak zaraz po przyjeździe do Cashelmary powiedział do mojego ojca:

— Przejedziemy się konno, ale tym razem zostaw tego dzieciaka w domu. — Był zniecierpliwiony i nie obchodziło go, że jestem przy rozmowie i słyszę każde jego słowo.

— Zawsze zabieram Neda na sobotnie przejażdżki — odparł ojciec. — Jeśli nie chcesz jego towarzystwa, jedź sam.

Ludzie twierdzą, że mój ojciec nigdy się nie przeciwstawiał MacGowanowi, lecz to nieprawda. Mówią również, że MacGowana nie sposób było urazić, że był zimny i twardy jak głąz, ale to też nieprawda. Widziałem, jak zestrofowany przez mojego ojca poczerwieniał, a potem spojrzał na mnie zakłopotany, nie wiedząc, co powiedzieć.

— Wyśmienicie — odezwał się wreszcie. — Pojedziemy wszyscy.

Ja jednak, rzecz jasna, natychmiast się nadaśałem i oświadczyłem ojcu, że nie chcę MacGowana podczas tradycyjnej przejażdżki, która tyle dla mnie znaczyła.

MacGowan nie wiedział, co ze sobą począć. Przeszł powął z nogi na nogę, czekając na to, że ojciec wszystko załagodzi, lecz kiedy ojciec się nie odezwał, musiał sam to zrobić.

— Przepraszam Ned — powiedział. — Miałem pewien interes do omówienia z twoim ojcem i sądziłem, że będziesz się z nami nudził, ale interes może poczekać. Mam nadzieję, że pojedziesz.

Nie dałem się nabrać. Dzieci wiedzą, kiedy się je okłamuje.

Ojciec przykucnął obok mnie i spojrzał mi w oczy.

— Pan MacGowan nie chciał cię obrazić, Ned — rzekł. — Po prostu powiedział bez zastanowienia. Wszystkim nam się to zdarza, więc nie miej mu tego za złe, zwłaszcza że cię przeprosił. Dalejże, jedźmy albo zmarnujemy poranek i nigdzie nie wyruszymy.

Tego wieczoru MacGowan próbował się zrehabilitować. Dał mi trochę obrazków do albumu na wycinanki i opowiadał o Szkocji, choć dość szybko wyczerpał wątek. Nie miał podejścia do dzieci i mimo że robił co mógł, żeby się ze mną zaprzyjaźnić, jego nieśmiałość była jak kalectwo.

Nikt nie wspomina, że MacGowan był nieśmiały, chociaż raz słyszałem, jak moja matka mówiła, że to człowiek skryty i nigdy nie opowiada o swojej rodzinie czy przeszłości. Wyjątkowo trudno było dobrze go poznać, równie trudno pozyskać jego zaufanie. Myślę, że właśnie dlatego zaprzyjaźniwszy się w końcu z moim ojcem, tak przylgnął do niego i był mu wierny. Ludzie twierdzili, że po prostu zależało mu na pieniądzech mojego ojca, ale to było coś znacznie więcej. Ojciec posiadał wszystko, czego brakowało MacGowanowi — był przystojny, czarujący i dawał się lubić. MacGowanowi schlebiała ta przyjaźń, podnosiła go we własnych oczach. W tych okolicznościach jego oddanie dla mojego ojca było w pełni zrozumiałe, a zazdrość o moją matkę była naturalnym efektem prymitywnego uwielbienia.

Mówiono, że mój ojciec całkowicie poddał się MacGowanowi, lecz to MacGowan był daleko bardziej zniewolony, niż ktokolwiek chciał przyznać. Ponadto ludzie często wyrażają zdziwienie, co też mój ojciec mógł w nim widzieć, choć dla mnie jest to oczywiste. MacGowan był silny fizycznie i ta właśnie siła w połączeniu z jego bystrym, przenikliwym umysłem tworzyła aurę mocy, która oczarowała mojego ojca, niezwykle podatnego na ideę siły.

„Był silnym mężczyzną”, mówił często o swoim ojcu. Widziałem, jak pragnienie mocy przejmuje go dreszczem, może dlatego, że sam był człowiekiem łagodnym; brutalna siła, tak obca jego naturze, wiązała się z niepohamowaną fascynacją nieznanym.

Kiedy matka zostawiła dom i pojechała do Ameryki, MacGowan stał się dla mnie wyjątkowo miły. Posiadał teraz mojego ojca wyłącznie dla siebie i to, jak można przypuszczać, wprawiło go w tak dobry humor. Choć nie czułem do niego takiej urazy jak dawniej, nigdy go tak naprawdę nie lubiłem. Czasem jednak wydawało mi się, że prawie go lubię. Na przykład gdy pomógł mi wybrać drzewo do mojego ogródka — zadał sobie wówczas wiele trudu i był szczególnie miły. Później, dużo później, kiedy słuchałem, jak Maxwell Drummond mówił mi, że mój ojciec jest zbrojeńcem, przed oczami miałem jedynie MacGowana pomagającego mi wybrać tego świerczka. Bardzo starałem się myśleć wyłącznie o nim, ponieważ wiedziałem, że gdybym myślał o ojcu, nie potrafiłbym znieść słów Drummonda.

Potem długo nie myślałem ani o ojcu, ani o MacGowanie. Byłem jak ktoś cierpiący na zawroty głowy, kto widzi świat wirujący szaleńczo przed oczyma i może tylko, wczepiwszy się rękoma w ziemię, czekać, aż zawrót głowy minie. Padłem więc na swoją ziemię, w owej chwili była nią Ameryka, i nie myślałem ani o przyszłości, jako zbyt niepewnej, ani

o przeszłości, jako zbyt bolesnej. Myślałem wyłącznie o terażniejszości. Teraźniejszość składała się z towarzystwa mojej matki i wuja Charlesa, który mieszkał w Nowym Jorku. Kochałem matkę, a ponieważ ojciec w moich oczach przepadł beznadziejnie, podwójnie się obawiałem, żeby jej nie stracić. Dlatego kiedy wuj powiedział, że mogę nadal z nim mieszkać, choć wyrzucił z domu moją matkę, nawet nie chciałem o tym słyszeć. Bałem się, że zniszczy matkę w moich oczach tak samo, jak Drummond zniszczył ojca. Wtedy mój świat przestałby istnieć, nie byłby nawet tą kołującą, przyprowadzającą o zawrót głowy gonitwą wydarzeń, nad którymi nie miałem kontroli. Stałby się przeraźliwie pusty.

Matka przeniosła się do Maxwella Drummonda, a ja, nie widząc innego wyboru, poszedłem z nią.

Nienawidziłem Drummonda, podobnie jak nienawidziłem lamp Tiffan'yego i śnieżnobiałych lnianych irlandzkich obrusów, i wszystkiego, co przypominało mi tę restaurację, w której powiedział mi prawdę o moim ojcu. Obawiałem się widoku jego twarzy, kiedy otworzy drzwi swojego mieszkania. Byłem przekonany, że miał nadzieję, iż matka zostawi mnie u wuja. Myślałem nawet, że może próbować się mnie pozbyć, żeby mieć ją tylko dla siebie. W najlepszym razie mogłem liczyć na to, że mnie zignoruje.

On mnie jednak nie zignorował. Uśmiechnął się na nasz widok i pozdrowił mnie, a kiedy otworzył butelkę szampana, nie tylko podał mi kieliszek, ale napełnił go po brzegi. Przez następnych kilka miesięcy co jakiś czas mi powtarzał:

— Kocham twoją matkę i zamierzam się nią zaopiekować. I pewnego dnia zabiorę was obydwójce do Irlandii. — Mój świat przestał wirować szaleńczo. — Zabiorę cię do domu.

Nagle patrzeć przed siebie nie było już tak przerażające. Spojrzałem w przyszłość i ujrzałem Cashelmare, mój dom i tę część mojej przeszłości, której nikt nie mógł zniszczyć. Przez resztę pobytu na obczyźnie modliłem się noc w noc: Boże, pozwól mi wrócić do Cashelmary, a już nigdy o nic cię nie poproszę.

II

Drummond zabrał nas z powrotem do kraju. Kiedy zstąpił na irlandzką ziemię, wyrzucił kapelusz w górę i kupił mojej matce sześć bukietów fiołków. Tak mi się spodobał, że się roześmiałem.

W niecały tydzień później MacGowan został zamordowany, mój ojciec zawleczony do jakiejś kliniki na kurację odwykową, a ja nie wiedziałem już, co myśleć o Drummondzie. Choć sądzę, że naprawdę nie

miałem wyboru — nadal musiałem go lubić. Zdołałem pozbyć się zawrotów głowy powtarzając sobie, że wszystko jakoś się ułoży, kiedy będę już w domu w Caselmarze.

Jak mógłbym opisać tę dawną Cashelmarę? Nie była elegancka, ponieważ brakowało pieniędzy na to, by utrzymać ją w należytym porządku; nie była też wytworna, taka zwyczajna późnogregoriarska posiadłość, jakich mnóstwo w Irlandii, a i w Anglii niemało. Była jednak bardzo wygodna, można by powiedzieć — dobry dom rodzinny, i świetnie położona, z przyjemnym widokiem z niemal każdego okna. Uczciwie muszę przyznać, że byłoby to miejsce przeciętne, gdyby nie ogród — oszałamiający, zaprojektowany z wyobraźnią, wspaniale zagospodarowany i emanujący niezwykłą atmosferą piękna i spokoju. Dla mnie był to najwspanialszy ogród w Europie, a stworzył go praktycznie od podstaw mój ojciec, którego kiedyś kochałem.

Dwa dni po tym, jak się dowiedziałem o zamordowaniu MacGowana, musiałem pójść do pokoju wuja Thomasa w hotelu w Galway i słuchać, jak on i wuj David dyskutują o tym, co należy zrobić z Drummondem.

— Czy mamy jakiś wybór? — wtrąciłem przy pierwszej nadarzającej się okazji.

Obaj spojrzeli na mnie, jakby byli nie bardzo inteligentni.

— Drogi chłopcze — powiedział wuj Thomas — Drummond może sobie roić, że zajmie miejsce MacGowana, ale ja ani myślę zatrudnić go jako zarządcę. Ani trochę mu nie ufam.

— Czyż nie rozumiesz? — zapytałem oszołomiony, zastanawiając się, dlaczego nie jest to dla nich równie jasne jak dla mnie. — Nie ma żadnej różnicy, czy go zatrudnisz, czy nie. Nawet jeśli przyjmiesz do pracy kogoś innego, Drummond będzie podejmował decyzje. Wy obaj wróćcie do Anglii, a matka poprosi go, żeby kierował majątkiem, czy będzie tam zarządcą, czy też nie.

— Och, nie sądzę, by twoja matka się na to zdobyła — zauważył z powątpiewaniem wuj David.

— To prawie niemożliwe — dodał srogo wuj Thomas.

— Posłuchaj, wuju Thomasie — odparłem. — Nie chciałbym wyjść na impertynenta, ale wy po prostu nic nie rozumiecie. Drummond robi dokładnie to, co mu się podoba, a moja matka nie zamierza go powstrzymywać. Co więcej, to nie musi być wcale takie złe. Czy wobec tego nie lepiej byłoby dać mu porządne karty, zamiast stwarzać problemy i stawać mu na drodze?

— Na Boga Ned! — zawołał wuj David. — Mówisz zupełnie jak amerykański szuler.

— Nie sądzisz, że czas, abyś zaczął mówić jak Anglik? — dodał wuj Thomas.

— Do diabła, nie! — zirytowałem się. — Dlaczego, u licha, powinienem? Nie jestem Anglikiem... nigdy nie byłem i nigdy nie będę!

Urodziłem się w Irlandii i teraz, po dwóch latach spędzonych w Ameryce, jestem tu z powrotem. Mówię wam, że kiedy znajdziemy się w Cashelmarze, Drummond położy łapę na wszystkim. Pozbył się MacGowana, co zawsze planował, a teraz wykorzystuje was, by pozbyć się mojego ojca. Dopiero wtedy zamierza osiąść w Cashelmarze i opiekować się moją matką. Jeśli nie wejdziecie mu w paradę, wszystko może się całkiem nieźle ułożyć, przynajmniej dopóki nie osiągnę pełnoletności i sam nie zajmę się majątkiem. Mówisz, że nie możesz zaufać Drummondowi, wuju Thomasie. Cóż, mylisz się. Możesz być pewien, że będzie pracował ciężko i dbał o moją matkę i jej dzieci, ponieważ to właśnie robił przez ostatnie dwa lata.

Patrzyli na mnie oniemiałi, a ja zauważyłem, że moje przemówienie, zaśmiecone amerykańską brutalnością, zaszokowało ich dogłębnie.

Spróbowałem raz jeszcze.

— Posłuchajcie, panowie — powiedziałem, siłąc się na tyle angielskiego akcentu, ile tylko mogłem sobie przypomnieć. — Przepraszam, jeśli byłem niegrzeczny, ale jestem okropnie przygnębiony. Nie chcę więcej tarapatów i ludzi walczących ze sobą, a obawiam się, że jeśli zaczniecie wojować z moją matką i Drummondem, problemy znowu się zaczną i nie będzie im końca. Wiem, że nie lubicie Drummonda, i wiem, że nie podoba wam się, iż żyje z moją matką, ale czy nie możecie dać mu przynajmniej szansy, aby się sprawdził? Był dla nas bardzo dobry.

Wzruszyło ich to, jak przewidywałem.

— Biedny Ned — westchnął wuj David. — Przez co ty musiałeś przejść!

— Cóż, może faktycznie powinniśmy dać Drummondowi szansę — rzekł wuj Thomas. — Może zasługuje przynajmniej na to. Ale, do diaska, on i twoja matka muszą być dyskretni, inaczej Sara znajdzie się w poważnych kłopotach później, kiedy zacznie się starać o rozwód.

— To wszystko jest tak okropnie niezręczne — powiedział wuj David. — Ze względu na dzieci, rzecz jasna. Dobry Boże, czyż nie słyszycie już komentarzy Madeleine? Z pewnością powie, że moralne dobro dzieci jest zagrożone.

— Nie wierzę, żeby ciotka Madeleine była aż tak głupia — wtrąciłem, znowu się zapominając. — Czwórka dzieci żyła pod opieką pijanego zboczeńca i nikogo to w ogóle nie obchodziło. A kiedy w końcu znajdują się pod opieką matki, która jest najlepszą matką na świecie, nawet jeśli sypia z mężczyzną, który nie jest jej mężem, mówicie, że ich moralne dobro jest zagrożone!

Oczywiście poruszyło ich to do głębi. Obaj skoczyli na równe nogi.

— Drogi chłopcze... — zaczął wuj David.

Ale wuj Thomas go zakrzyczał.

— Słuchaj no! — powiedział bardzo ostro. — Nie przystoi ci takie zachowanie, wiesz o tym. Przykro mi, ale nie ujdzie ci to płazem! Masz

trzyście i pół roku i powinieneś już wiedzieć, że dzieci w twoim wieku mają używać grzecznych słów, kiedy się zwracają do starszych. Zdaje sobie sprawę, że jesteś przygnębiony i że ostatnie przeżycia bardzo tobą wstrząsnęły, ale grubiaństwem niczego nie osiągniesz. Teraz posłuchaj: nieprawda, że nikogo nie obchodziła niewłaściwa atmosfera w Cashelmarze. Tak przed twoim wyjazdem do Ameryki, jak i potem Madeleine, David i ja byliśmy ogromnie zaniepokojeni. Gdyby Sara nie zdecydowała się wrócić do domu, zamierzaliśmy zwrócić się do sądu najwyższego i złożyć wniosek o powierzenie nam opieki nad dziećmi. To by pozwoliło zabrać je z Cashelmary i umieścić pod kuratelą opiekuna wyznaczonego przez sąd. Jedyne powód, dla którego wstrzymaliśmy się przed tym, to że twój ojciec — jak może pamiętasz, albo i nie — jest oddany swoim dzieciom. Było nam bardzo trudno zdecydować, co byłoby dla nich gorsze: zabrać je od ojca czy pozostawić w Cashelmarze.

— Mogliście wysłać je do Ameryki do mojej matki!

— A właśnie że nie mogliśmy! Twój ojciec poszedłby do sądu, by temu zapobiec, a wierz mi, żaden sędzia nie wyraziłby zgody na wysłanie dzieci za granicę do żony, która porzuciła męża i na dodatek żyje w cudzołóstwie.

— Ale...

— Nie przerywaj mi! Ani ty, Davidzie! Zamierzam powiedzieć wszystko, co mi leży na sercu! Słuchaj, Ned. Wszyscy wiemy, że w tej chwili twój ojciec nie jest zdolny do sprawowania opieki nad dziećmi. Ale zdajesz się nie dostrzegać faktu, że sąd mógłby uznać także twoją matkę za niezdolną do pełnienia tej opieki. Nie twierdzę, że tak by się stało. Mówię tylko że mógłby tak uznać. Dlatego powinniśmy spróbować za wszelką cenę rozwiązać prywatnie te rodzinne problemy i trzymać je z dala od sądu. Proszę, nie myśl, że nie współczujemy twojej matce. Tak nie jest. Stoimy po jej stronie i uważamy, że twój ojciec potraktował ją ohydnie. Ale musisz zdać sobie sprawę z tego, że ona też nie jest czysta jak łąka i że sporo ludzi, nie tylko twoja ciotka Madeleine, miałyby prawo do skarg z powodu niej związku z Drummondem. Czy wyraziłem się jasno?

— Chcemy, żeby dobro was, dzieci, było na pierwszym planie — dodał wuj David. — Chcemy zrobić tylko to, co będzie dla was najlepsze. Choć czasem bardzo trudno ocenić, co jest najlepsze. Tak naprawdę niekiedy jestem równie zły na Patricka, jak na Sarę. Przygnębia mnie myśl o dzieciach cierpiących tylko dlatego, że ich rodzice nie potrafią zachowywać się właściwie.

Po chwili milczenia powiedziałem:

— Ja chcę tylko wrócić do domu. To wszystko, czego pragnę. Chcę zabrać moją matkę do domu.

Wtedy właśnie powiedzieli mi, że następnego dnia wyruszają do Cashelmary, by zabrać mojego ojca do Anglii na kurację odwykową. Kiedy wyjedzie, matka będzie mogła wrócić z dziećmi do domu.

Dzień wcześniej do hotelu przyjechali mój brat i siostry w towarzystwie wuja Davida, niani i nowej guwernantki, panny Cameron. Tę ostatnią widziałem po raz pierwszy, ale całe życie znałem nianię i jej widok był równie ekscytujący jak ponowne spotkanie z Johnem, Eleanor i Jane.

Czekałem na nich w holu. Pierwszą ujrzałem nianię gramolącą się z powozu. Niania była niska i wytworna, w nieodłącznym wdowim czepku i tuzinie czerwonych flanelowych spódnic. Czepek nosiła na pamiątkę Ukochanego, Który Odszedł, zabitego podczas wojny krymskiej. Byli małżeństwem zaledwie dwa tygodnie, kiedy ukochany wyruszył służyć ojczyźnie i niania została wdową w wieku dwudziestu jeden lat. Oburzała się na samą myśl o powtórnym zamażpójściu.

— To absolutnie nie wypada, nasza kochana królowa pierwsza by się ze mną zgodziła — mawiała i choć zastanawiam się dzisiaj, czy takie sentymenty były naprawdę pochlebne dla jej męża, to w dzieciństwie wydawały mi się nader szlachetne i stosowne.

Niania bardzo wierzyła w sens robienia wszystkiego, co stosowne. Zgodnie z jej definicją obejmowało to: dobre maniery, prawdomówność, Dziesięcioro Przykazań i Imperium Brytyjskie, a wykluczało: wszystkich cudzoziemców (łącznie z Irlandczykami), spirytyzm i Armię Zbawienia. By zrozumieć jej nieprzerwaną obecność w Cashelmarze, trzeba wiedzieć o postanowieniu niani: jej życiową misją będzie wychowanie czwórki biednych angielskich dzieci, które nie ze swojej winy skazane zostały na życie wśród dzikusów. Była zawzięcie lojalna wobec mojej matki, mimo że matka nie była Angielką, a kiedy stało się oczywiste, że matka planuje pozostać w Ameryce, niania pierwsza stanęła w jej obronie.

— Pewnego dnia wróci — powiedziała. — Wspomnicie moje słowa. — A że ja nadal się uskarżałem, zapytała: — Czy sądzisz, że opuściłaby was, gdyby nie było mnie tutaj, by was ochraniać, biedne owieczki, przed niegodziwościami tego świata? — Wtedy nie miałem pojęcia, jakie niegodziwości miała na myśli, ale wiedziałem, że nigdy nas nie zostawi. To byłoby „niestosowne”, jak by powiedziała niania. To byłoby absolutnie „nie na miejsu”.

— Nianiu! — krzyknąłem, kiedy wyskoczyła żwawo z powozu. Dobiegłszy do niej, złapałem ją w ramiona i podniosłem z ziemi.

— Litości! — zapiszczała. — Jesteś wysoki jak wieża.

Nie byłem aż tak wysoki, ale ucieszyło mnie, że to powiedziała.

— Jak cudownie widzieć cię znowu! — krzyknąłem, robiąc z nią kolejny obrót.

— Wielkie nieba! — Niani zabrakło tchu. — Ależ ty masz wstrętny amerykański akcent!

Z okna powozu wychyliła się jakaś ciemna głowa.

— Ned! — wrzasnął mój brat John. — Ned, mam już dziesięć lat! Jeden dwa trzy cztery pięć sześć siedem osiem dziewięć dziesięć!

— Czołem, John! — odkrzyknąłem zachwycony. — A więc zostałeś matematykiem!

— Panie przodem, Johnny! — powiedziała niania z werwą. — Nie śpiesz się tak z wysiadaniem! Chodź tutaj, Eleanor.

Zapomniałem już, jaka Eleanor była ładna, a teraz zobaczyłem, że jest wyjątkowo śliczna. Jej jasne włosy układały się w loczki, fiołkowe oczy były ogromne.

— Eleanor! — zawołałem, całując ją gorąco. Czekałem na znajomy strumień szczebiotu, lecz ku mojemu zdziwieniu, nie padło ani słowo. Eleanor ukryła twarz w dłoniach i wybuchnęła płaczem.

— Cicho, cicho skarbie — powiedziała niania, otaczając ją ramieniem, a ujrawszy moją przerażoną minę, dodała uspokajająco: — Tyle podniecenia to dla niej za dużo... była ostatnio w dużym napięciu nerwowym... Johnny, pomóż Jane wyjść, tak, grzeczny chłopiec.

— Cześć, Neddy — rzuciła moja młodsza siostra.

— Nie nazywaj mnie Neddy! — warknąłem.

— Chcę do mamy — powiedziała Jane takim tonem, jakby zamawiała coś w restauracji. Miała włosy ciemne jak John, zadarty nos i duże usta, które mogły układać się w dowolne kształty, najczęściej zuchwałe. — Chcę do niej natychmiast, już, a potem chcę do domu, zanim Ozymandias umrze z żalu za mną.

— Kim, na Boga, jest Ozymandias?

— Ozymandias-Król-Krółów — odparła Jane — jest moim najstarszym kotem. Dlaczego nie ma tu mamy?

— Ależ jest! — zawołał John. — Patrz!

— Mama! — wyszło chała Eleanor.

— Mama! — pisnęła Jane, odpychając łokciem Eleanor z drogi. Przez następne pięć minut na schodach hotelu było dużo emocji i zamieszania. Wuj David i ja staliśmy z boku, przyglądając się temu z głupawymi uśmiechami na twarzach, niania otarła dużą łzę, a przechodnie zatrzymywali się, wzdychając: „Achchh!”

— Bardzo to stosowne — stwierdziła niania.

Euforia pojednania trwała przez jakiś czas i wciąż jeszcze była u szczytu, kiedy rozmawiałem z moimi wujami o przyszłości Drummonda w Cashelmarze. Dopiero gdy wyszedłem od nich, mogłem dłużej pogadać z Johnem czy siostrami. Matka nie chciała spuszczać ich z oka, jednakże dzień po wyjeździe Thomasa i Davida była niedysponowana i całe przedpołudnie musiała zostać w łóżku. Po śniadaniu niania i panna Cameron oznajmiły, że mają zamiar zabrać młodsze dzieci na plażę w Salthill. Było to raptem dwie mile od hotelu, a dojeżdżało się tam tramwajem.

— Pojedziesz z nami, Ned? — zapytała niania z szacunkiem. Odparłem, że tak: dzień był słoneczny, poza tym lubiłem promenadę w Salthill.

Kiedy już bezpiecznie rozlokowaliśmy się na plaży, niania wyciągnęła robótkę na drutach, panna Cameron zabrała dziewczynki na poszukiwanie muszelek, a John poszedł ćwiczyć kreślenie cyfr na łasze piasku, zapraszająco odsłoniętej przez odpływ.

— Johnny zrobił takie postępy! — powiedziała niania z czułością. — Wiesz? umie już pisać.

— Czas najwyższy — odparłem. Złe zdrowie Johna opóźniło jego rozwój, ale nigdy nie uważałem go za głupiego.

— Panna Cameron była dla niego bardzo dobra — mówiła niania. — Wiesz? zadała sobie sporo trudu, podczas gdy inni gubernatorzy nie zwracali sobie nim głowy. Pan MacGowan zatrudnił ją, ponieważ, jak mówił, szkoccy nauczyciele są najlepsi. Muszę przyznać, że dokonała cudów z Johnem i dziewczynkami.

— Yhm — odparłem. Odgarnąłem warstwę kamyków, znalazłem pod spodem nieco piasku i zająłem się budowaniem wieżyczek.

— Oczywiście — ciągnęła niania — to wstrząsające, co się stało z panem MacGowanem.

— Yhm — mruknąłem znowu.

— Zauważ tylko, że w pewnym sensie mógł być niegodziwym człowiekiem, ale nie do nas należy osąd. Morderstwa nie można pochwalać.

Przestałem grzebać w piasku i wpatrywałem się w drugi brzeg Zatoki Galway. Spoglądały na mnie błękitne góry Clare. Pomyślałem o Drummondzie wyrzucającym w górę kapelusze i kupującym sześć bukietów fiołków dla mojej matki.

— Przestępca może być skazany na śmierć i powieszony — powiedziałem. — To też jest morderstwo, ale wszyscy zgodzą się, że ma uzasadnienie.

— To zupełnie co innego, kochanie. Zgodnie z prawem sędziego może wydać wyrok śmierci, ale sędziowie są szczególnymi ludźmi, powołanymi przez królową. Nie możemy wszyscy być sędziami i brać prawo w swoje ręce. To nie byłoby stosowne. Poza tym przypomnij sobie Dziesięcioro Przykazań. Piąte: „Nie zabijaj”.

Znowu wrócił zawrót głowy. Wbiłem palce głęboko w piasek i mocno zacisnąłem oczy.

— No już, już — zmitygowała się szybko niania. — Nie chciałam cię zasmucić wzmianką o MacGowanem. Porozmawiajmy o czymś innym... Muszę powiedzieć, że raczej wstrząsnął mną widok pana Drummonda z twoją mamą, ale naturalnie biedna bezbronna kobieta potrzebuje opieki w tym niegodziwym świecie. Ned, kochanie, nie chcę tego mówić, ale czuję się w obowiązku ostrzec cię, że o panu Drummondzie i twojej mamie krążą bardzo złośliwe plotki. Mam nadzieję, że pan Drummond pośle po swoją żonę, kiedy tylko wróci do domu.

Spojrzałem znowu na błękitne zbocza gór. Wisiały nad nimi trzy chmury. Patrzyłem na nie, koncentrując się na każdej po kolei.

— Oczywiście twoja matka jest taką dobrą kobietą — ciągnęła niania, nie przerywając robótki — taką oddaną żoną i matką! I nigdy nie dała powodów do plotek na wsi, czego nie można powiedzieć o wielu pięknych, utytułowanych damach, nie uważasz? Zawsze ufałam twojej matce, że robi to, co wypada.

— Czy możesz mi wybaczyć, nianiu? — rzekłem po chwili. — Chcę porozmawiać z Johnem. — Wstałem, przekroczyłem moje wieżyczki z piasku i wolnym krokiem ruszyłem w kierunku brata.

— Zobacz, jakie ładne są moje cyfry — powiedział John, który dotarł już do dziewiątki. — Czyż cyfry nie mają ślicznych kształtów?

— Sądzę, że tak. John, siedem nie jest przed szóstką.

— Papa znowu będzie projektował ozdobne krzewy i mówi, że pozwoli mi pomagać w wymyślaniu nowych kształtów. Postanowiłem wybrać kształt piątki. Ósemka byłaby ładna, ale za trudna.

— John, papa jest bardzo chory. Wuj Thomas i wuj David zabierają go na jakiś czas do Anglii.

— To miłe. Ale on wróci, prawda? Obiecał mi, że możemy razem pracować nad kształtowaniem krzewów.

— Nie jestem zupełnie pewien, co się stanie, ale mama zamierza wystąpić o rozwód i...

— Co to jest?

— John, na pewno wiesz, co to jest rozwód!

— Chyba nie. Czy to jakiś kwiat?

— Dobry Boże! Nie!

— No to ja o tym nic nie wiem. Znam się tylko na kwiatach. Zachodnia część ogrodu jest teraz śliczna, cała purpurowa i biała, a jak zobaczysz Alejkę Azaliową! Papa kupił nową odmianą azalii i...

— Czy papa nie powiedział ci, co się dzieje?

— Powiedział... kiedy się z nami żegnał. Była przy tym ciocia Madeleine, bo przyjechała, żeby mieszkać z nami, i wujek David był... Papa mi powiedział. Był w ładnej welwetowej bonzurce, takiej niebieskawej jak te bratki na wschodnim skraju ogrodu. Pocałował mnie i poprosił, żebym się opiekował ogrodem, jak jego nie będzie, a ja powiedziałem, że dobrze. Potem chciał pocałować Eleanor, ale uciekła i papie było smutno. Eleanor taka jest teraz dziwna! No to pocałował Jane, a Jane pocałowała go dwa razy i jeszcze objęła, więc wyrównała za Eleanor. Papa dał Jane małego drewnianego kotka, którego sam wyrzeźbił. On ciągle jej daje różne rzeczy, wiesz? A niania mówi, że ją psuje. Niania jest bardzo surowa dla Jane, ale to na nic, bo Jane po prostu idzie do papy i papa mówi, że może mieć, co tylko zechce.

Jane zawsze okrutnie rozpieszczano, toteż między innymi dlatego była tak nieznośna; kiedykolwiek poruszało się ten temat, zawsze czułem się niemądrze zagniewany.

— Jane jest utrapieniem — powiedziałem, nie mogąc się powstrzymać. — Zawsze była utrapieniem, nawet przed moim wyjazdem, a teraz na pewno stała się jeszcze gorsza. Nie mogę zrozumieć, dlaczego mama i papa tak ją wyróżniają.

— Niania mówi, że jest najmłodsza i dlatego. Mówi, że najmłodsze dzieci często są rozpieszczane. Rozpieszczanie jest wśród rodziców powszechne, zupełnie jak katar, mówi niania, i nawet najlepsi rodzice mogą to złapać. Niania mówi, że to szkoda i że powinniśmy współczuć Jane, ale ja wcale jej nie współczuję, no bo taka jest nieznośna... Ned, co to jest rozwód?

— To znaczy, że mama i papa przestaną być małżeństwem i w przyszłości nie będą mieszkać razem. To wielka szkoda, ale tak będzie najlepiej. Papa bardzo źle traktował mamę i pozwolił, żeby pan MacGowan też był dla niej niedobry.

— Pan MacGowan nie żyje — rzekł John. — Było mi przykro, że umarł. Posadził trochę ładnych drzewek, wiesz? I pokazywał mi sadzonki. Były jak małe choineczki na gwiazdkę. Strasznie mi się podobały.

— John — rzuciłem szorstko — nie słuchałeś ani jednego słowa z tego, co powiedziałem!

— Nieprawda. Mama i papa nie będą już małżeństwem. Jak myślisz, kiedy papa wróci do Cashelmary?

— John, właśnie próbuję ci to wytłumaczyć! On nie wróci. My będziemy mieszkać w Cashelmarze z mamą, a pan Drummond będzie zarządcą. Kiedy papa poczuje się lepiej, zamieszka w Anglii z wujkiem Thomasem i wujkiem Davidem.

— Och, ale kiedyś wróci — zapewnił John. — No bo przecież jest ogród. Mamy zrobić razem ozdobne strzyżenie krzewów. Czy pan Drummond lubi ogrodnictwo?

— Nie sędzę.

— Hm, nie będzie z niego żadnego pożytku, jeśli nie umie pracować w ogrodzie. Lepiej powiedz mamie, żeby go odesłała.

— John... — rzekłem zirytowany, a potem się poddałem i tylko patrzyłem na niego bezradnie.

— Tak? — zapytał.

Podjąłem ostatni wysiłek.

— Mama bardzo lubi pana Drummonda. Teraz on, a nie papa, będzie się nami opiekował.

— To bardzo uprzejme, ale właściwie wolę papę. Nie przeszkadza mi, że papa i mama nie będą małżeństwem, ale papa musi wrócić i mieszkać z nami. Mama może sobie zatrzymać pana Drummonda, jeśli chce, ale papa musi wrócić.

— John... — Znowu potykałem się o słowa. — Dlaczego nie możesz zrozumieć? — zapytałem z rozpaczą. — Masz już dziesięć lat, a mówisz jak pięcioletnie dziecko. Co z tobą jest?

— Nie jestem dzieckiem! — krzyknął John, tracąc nagle panowanie.
— Nie jestem, nie jestem! Jestem dorosły i duży i będę z tobą walczył!
— I zamierzył się na mnie pięścią.

— Spokojnie tam! — zawołała ostrzegawczo niania z drugiego końca plaży. Złapałem Johna za przegub i trzymałem mocno.

— Johnny, poczekaj. Przepraszam, jeśli ci dokuczyłem...

— Ty wielka bestio! — odparł John z oczami pełnymi łez. — Czemu nie wrócisz do Ameryki? — I wyrwawszy się, pomaszerował przez piasek na brzeg wody.

Panna Cameron i moje siostry były tylko o kilka jardów od nas.

— Dobry Boże! — powiedziała panna Cameron. Była wysoką kanciastą kobietą w wieku około trzydziestu pięciu lat. Mówiła z lekkim, ale wyraźnym szkockim akcentem. — Na litość Boską, o cóż poszło?

— O nic szczególnego — odparłem. — Drobnie nieporozumienie. Ująłem dłoń Eleanor. — Chodź ze mną na spacer — zaproponowałem, uśmiechając się do niej. — Może uda nam się kupić lody.

— Ja też chcę iść — upomniała się natychmiast Jane.

— Nie jesteś zaproszona. Idziemy, Eleanor.

— Chodź, Jane, zobaczymy, czy niania ma jeszcze trochę tych pysznych cukierków miętowych — rzekła panna Cameron.

— Nie — odparła Jane, chwytając mnie za wolną rękę i wbijając ostre pazurki w moją dłoń. — Chcę loda.

— Ode mnie go nie dostaniesz. Nie lubię zepsutych dziewczynek, które nie umieją powiedzieć proszę i dziękuję.

Jane zdecydowała się rozpętać burzę. Wszyscy na plaży przyglądali się, jak niania biegnie do nas co tchu. Panna Cameron z dezaprobatą mlasnęła językiem o swoje długie białe zęby.

— Biegniemy, Eleanor! — powiedziałem szybko. Rzuciliśmy się przez głazy, by wdrapać się po schodach na promenadę.

— Nic mi dzisiaj nie wychodzi — rzekłem kwaśno. — Najpierw rozgniewałem Johna, a potem doprowadziłem Jane do wściekłości. Mam nadzieję, że przynajmniej z tobą się nie pokłóć, albo zrobi mi się słabo.

Uśmiechnęła się nieśmiało. Jej milczenie było dla mnie bolesne. Przypomniałem sobie ją, kiedy była maleńka, bez przerwy rozgadana i roześmiana, zawsze taka pogodna, bystra i rezolutna.

— Co się stało, Eleanor? — zapytałem po chwili milczenia. — W czym problem? Nie wstydzisz się mnie, prawda?

Potrząsnęła głową, wciąż uśmiechnięta. Mocno uścisnęła moją dłoń. Wędrowaliśmy wzdłuż promenady. Nie znaleźliśmy lodów, ale kupiliśmy sobie krewetki w kubeczkach; niebawem siedzieliśmy na plaży, zajadając się nimi.

— Czy po moim wyjeździe w domu było bardzo źle? — odezwał się w końcu.

Pokręciła głową.

— Czy ktoś był dla ciebie niemiły?

Znowu pokręciła głową.

— Jeśli tak było, możesz mi powiedzieć. Czy pan MacGowan cię skrzywdził?

Pokręciła głową po raz trzeci.

— Zatem kto?

— Papa.

Teraz mnie odebrało mowę. Zrobiło mi się niedobrze.

— Co on ci zrobił?

— Nie wolno ci nikomu o tym powiedzieć — rzekła. — Pan MacGowan kazał nikomu nie mówić, nawet niani. Pan MacGowan zagroził, że jeśli pisnę komukolwiek słów(jko, wyślą mnie do szkoły z internatem.

Miałem straszne mdłości. Nie mogłem już patrzeć na krewetki.

— Eleanor, pan MacGowan nie żyje — powiedziałem. — To już nie ma znaczenia. Nikt cię nigdzie nie odeśle.

— Czy on naprawdę nie żyje?

— Oczywiście!

— A jego duch nie będzie mnie straszył, jeśli będę nieposłuszna?

— Nigdy.

— Śniło mi się, że jego duch wrócił, żeby mnie straszyć—powiedziała. — Mam okropne sny, odkąd...

— Odkąd co?

— Odkąd papa zwariował — odparła z płaczem. — To było ostatniej jesieni. Pomagał mi wklejać suszone kwiaty do mojego zielnika i podawał mi ich łacińskie i angielskie nazwy, żebym mogła je poprawnie oznaczyć. Był tam taki śliczny, długi żółty kwiat, a kiedy papa spojrzął na niego, wrzasnął, upuścił go i powiedział, że to wąż. Potem krzyknął znowu i powiedział, że zjadają go robaki. Przyszła kuzynka Edith i pan MacGowan i kuzynka Edith zabrała mnie z pokoju, a potem pan MacGowan powiedział, że nie wolno mi nikomu o tym mówić.

— Zrobił tak — wyjaśniłem — bo wiedział, że gdyby to dotarło do mamy, zabrałaby was od papy, a papa w tym czasie próbował ją przekonać, że jeśli nie wróci do niego, odbierze jej dzieci.

— Ale teraz mogę zostać z mamą, prawda? Nie muszę już nigdy widzieć papy?

— Oczywiście, że nie. Papa jest pijakiem i nie może mieszkać z tobą.

— John mówi, że papa wróci — wybąkała Eleanor ze strachem.

— To nieprawda. Nie wróci. Mama stara się o rozwód.

— Rozwód? — Myślałem, że będzie to dobra wiadomość, lecz Eleanor była wstrząśnięta. — O mój Boże, czy to nie jest strasznie

niegodziwe? Niania mówi, że rozwody są nie na miejscu.

— To najlepsze, co mama może zrobić—odparłem szybko. — Oznacza to, że możesz z nią zostać i nikt nie może cię zmusić do spotkania z papą.

Odetchnęła z ulgą.

— Kocham papę, naprawdę, ale tak się go bałam, bo gdyby znowu zwariował...

— Rozumiem — rzekłem i objąłem ją uspokajająco.

— Pan Drummond nie jest pijakiem, prawda?

— Nie, on się nami zaopiekuje jak trzeba, przekonasz się. Wszystko się ułoży, kiedy znowu znajdziemy się razem w domu, i nie będziesz już musiała o nic się martwić.

Udało mi się ją uspokoić. Wytarła oczy i zaczęła jeść krewetki, a wkrótce wyznała nawet, że bardzo miło jest mieć trochę wakacji nad morzem.

«,

Nie powiedziałem matce, co wyjawiała mi Eleanor, nie chciałem jej bowiem smucić. Niewiele brakowało, a wypaplałbym to Drummondowi, lecz w ostatniej chwili udało mi się powstrzymać. Za bardzo wstydziłem się za ojca, by zależało mi na powtarzaniu tej historii, a poza tym, mimo że chwaliłem Drummonda przed Johnem i Eleanor, wciąż nie bardzo wiedziałem, co o nim sądzić. Kiedy tego wieczoru poszedłem do łóżka, długo nie mogłem zasnąć. Obawiałem się, że niania złoży wymówienie, gdy tylko się zorientuje, że moja matka żyje w cudzołóstwie. Pamiętam, że tuż przed zapadnięciem w sen pomyślałem tępo: gdybyż tylko John nie wspominał MacGowana i jego drzewek.

Potem jednak zasnąłem, a po przebudzeniu wszystkie myśli o MacGowanie i ojcu poszły w niepamięć, ponieważ nareszcie nadszedł czas powrotu do domu, do Cashelmary, i wydawało mi się, że długi koszmar niepewności i niepokoju dobiegł końca.

III

Wróciłem do domu. Nie było jednak tak, jak sobie to wymyśliłem. Dom był ten sam> podobnie jak konie w stajniach, a choć niektórzy służący byli nowi, wszyscy pochodzili z doliny i ich twarze były mi znajome; nawet Flannigan, majordomus, miał wkrótce wrócić dzięki namowom mojej matki. Widok był tak oszałamiający, jak go zapamiętałem — jezioro osadzone wśród gór niczym drogocenny kamień w ciężkim pierścieniu, a powyżej domu wśród drzew kapliczka stojąca smutno nad rodzinnymi grobami; nawet pajęczyny oplatające zbutwiałe ławki zdawały się uprzedzone dokładnie tak samo.

A jednak wszystko było inaczej. Zmieniło się, ponieważ zabrakło mojego ojca.

Spacerowałem po jego ogrodzie i czułem się tak, jak gdybym to nie ja chodził. Przeszedłem przez „jeziorowy” trawnik, minąłem jego ogniste obrzeża i po kamiennych schodkach wspiałem się do ogrodu włoskiego, cichego, przycupniętego wśród modrzewiowego zagajnika. Na wodzie kwitły lilie, a widok jeziora i gór za altanką był oprawiony w biały marmur. Wodziłem palcami po zegarze słonecznym, który ojciec sam wyrzeźbił, i nagle znowu znalazł się tam ze mną ubrany w podniszczony strój roboczy, z umorusanymi długimi rękoma, bardzo błękitnymi oczyma i opaloną twarzą. Przypomniałem sobie, jak chciałem rzeźbić, choć nie miałem do tego talentu, i jak jemu nie przeszkadzało, że mi to nie idzie.

— Będiesz dobry we wszystkim tym, w czym ja nigdy nie byłem dobry — rzekł do mnie z uśmiechem.

— Chcę być taki jak ty — odparłem. Wtedy powiedział mi, że najważniejsze to być sobą.

— Jeśli będziesz próbował być kimś innym, nigdy nie zaznasz szczęścia — wyjaśnił. — Musisz być uczciwy wobec siebie, a wtedy będzie cię stać na uczciwość wobec innych.

Wówczas nie rozumiałem, co miał na myśli, a później, kiedy się dowiedziałem, jak skrzywdził moją matkę i oddał się obrzydliwym praktykom, jego słowa miały dla mnie jeszcze mniej sensu.

Wróciłem do domu myśląc, że zdołam przed nim uciec. Niestety, był wszędzie. Poszedłem do dzieciennego pokoju, a tam stał mój ulubiony koń na biegunach, którego ojciec zrobił dla mnie dawno temu; poszedłem do biblioteki, a tam, porozrzucane na sofie przy oknie, leżały książki o ogrodnictwie z pozaginanymi rogami. Uciekłem do mojej sypialni i zacząłem przeglądać stare rzeczy — była wśród nich książeczka o królu Arturze, którą ojciec mi podarował, a w nią wetknięte szkice przedstawiające mojego kucyka, szkice wykonane jego ręką. Otworzyłem komódkę, żeby schować szkice, i wypadł z niej album z fotografiami; leżał na podłodze, otwarty na zdjęciu z chrzcin Eieanor. Pochyliłem się nad nim. Matka dała mi te fotografie, ponieważ chciałem mieć zdjęcie ciotki Marguerite, która umarła, kiedy miałem sześć lat. Była na nich obok mojej matki. Matka trzymała Eieanor w ramionach, a ojciec stał koło niej, ściskając mnie za rękę. Miałem na sobie marynarskie ubranko. Wszyscy uśmiechaliśmy się do obiektywu.

Rok 1879. Osiem lat temu. Co się stało i dlaczego wszystko się popsuło? Czy to wszystko było winą MacGowana? A może mój ojciec zawsze był niegodziwcem, a ja po prostu byłem za młody, by to zauważyć? Dlaczego był taki niegodziwy? I dlaczego, dlaczego, dlaczego nie mogłem przestać o nim myśleć, skoro taką budził we mnie odrazę?

Pytania sypały się jedno za drugim. Nie potrafiłem znaleźć na nie odpowiedzi. Wreszcie pomyślałem: muszę z kimś porozmawiać. Muszę, inaczej zwariuję.

Poszedłem do niani. Ona na wszystko miała odpowiedź. Jedno z najwcześniejszych wspomnień z pokoju dziecinnego wiązało się z pytaniami, które zadawałem w nieskończoność, a niania udzielała na nie sensownych odpowiedzi. („Nianiu, dlaczego niebo jest niebieskie?” — „Bóg je takim stworzył, kochanie, ponieważ to pozwala odpocząć oczom.”)

— Nianiu — zacząłem — czuję ogromny gniew na mojego ojca i chciałbym przestać o nim myśleć, ale nie mogę. Czy to niedobrze, że jestem na niego taki zły?

— „Czcij ojca swego i matkę swoją” — odparła niania.

— Chcesz przez to powiedzieć, że to niedobrze, iż jestem na niego zły.

— Nie ma powodu do gniewu, kochanie. Nie myśl o nim teraz.

— Ale nic na to nie mogę poradzić! Nianiu, czy on zawsze był taki niegodziwy?

— Kochanie, nie będziemy o tym rozmawiać. Nie wypada.

— Ale ja chcę o tym rozmawiać! Dlaczego on jest taki niegodziwy? Nie rozumiem.

— Po prostu nie zaprzataj sobie tym głowy, kochanie. Nie powinie- nieś zamartwiać się takimi sprawami. Jestem pewna, że twoja mama pierwsza by się ze mną zgodziła.

— Pewnie uważasz, że mama też jest niegodziwa.

— „Rzućcie w nią kamieniem, jeśli sami jesteście bez winy” — zacytowała niania.

— Ale, nianiu...

— Nie do ciebie ani do mnie należy osądzanie takich spraw — powiedziała stanowczo. — Moim życiowym zadaniem jest opiekować się wami, dziećmi, a twoim-być dobrym bratem i synem. Dopóki będziesz starał się wypełniać swoje obowiązki, dopóty wszystko inne samo się będzie układało.

— Ale, nianiu, nic się samo nie układa! I jak mogę być dobrym synem mojego ojca w takich okolicznościach? Zawsze, kiedy myślę o nim, popadam w przygnębienie. Nie mogę spać w nocy, bo za bardzo się martwię.

— Biedne kochanie — rzekła niania, całując mnie. — Nie wolno ci się martwić. Przygotuję trochę gorącego mleczka, to pomoże ci zasnąć. Pamiętasz, jak kiedyś lubiłeś mleczko? Lubiłeś nawet kożuchy. — Chciałem powiedzieć coś jeszcze, ale ona zakończyła szybko: — Lepiej porozmawiaj ze swoimi wujami, kiedy wrócą z Anglii. To dobrzy, porządni młodzieńcy. Porozmawiaj z nimi.

Przynajmniej gotowa była okazać miłosierdzie mojej matce. Powiniennem był czuć zadowolenie, że nie muszę się już martwić, że niania złoży wymówienie. Zamiast tego dopadły mnie wątpliwości, co mam powiedzieć wujom.

Wrócili tydzień później. Ojciec został umieszczony w jakiejś londyńskiej klinice. Wujowie odbyli długie narady z prawnikiem rodziny, panem Rathbone, by zdecydować, jak powinien być prowadzony majątek w czasie choroby mojego ojca. Za zgodą ojca utworzono radę, której członkami zostali wujowie i moja matka. Początkowo ojciec sprzeciwiał się kandydaturze mojej matki, ale z powodów praktycznych musiał ustąpić. Matka, mieszkając w Cashelmarze, miała możliwość kontroli nad każdym, kto administrować będzie majątkiem. Pan Rathbone uważał, że powinien być ktoś odpowiedzialny prawnie i moralnie za sprawy posiadłości. Wujowie obiecywali odwiedzać Cashelmarę regularnie, by sprawdzać stan majątku, żadnemu jednak nie uśmiechało się życie w Irlandii. Wuj Thomas był lekarzem specjalizującym się w patologii, a wuj David wprawdzie nigdzie nie pracował, ale właśnie zakochał się w pewnej młodej damie mieszkającej w Londynie.

Wujowie gotowi byli zatrudnić Drummonda w charakterze zarządcy na sześciomiesięczny okres próbny.

— Przypuszczam, że właśnie dlatego chciałeś spotkać się z nami na osobności, Ned — powiedział wuj Thomas. — Chciałeś omówić raz jeszcze związek twojej matki z Drummondem.

— Nie — odparłem. — Chciałem porozmawiać o związku mojego ojca z MacGowanem.

Nagle zamilkli i zastygli w bezruchu.

— Dużo myślałem o ojcu — dodałem pośpiesznie — i tyle jest rzeczy, które chciałbym wiedzieć. Na przykład, czy mój ojciec zawsze był taki niegodziwy? Czy był równie niegodziwy ze swoim przyjacielem, panem Stranahanem, jak z MacGowanem? A jeśli tak, to dlaczego w ogóle ożenił się z moją matką? I dlaczego ludzie bywają tacy niegodziwi? Dlaczego tak się dzieje? I dlaczego mama wysłała za niego, skoro...

— Drogi chłopcze — wyjąkał wuj David — nie widzę absolutnie żadnej potrzeby, byś już teraz wiedział o takich rzeczach. Jesteś o wiele za młody.

— Ależ niedługo skończę czternaście lat — powiedziałem z rozpaczą — i są pewne sprawy, które muszę zrozumieć. Martwię się nimi bez przerwy. Nawet nie zdajecie sobie sprawy... — przerwałem. Mówienie dalej było zbyt trudne.

— Twój ojciec ma kłopoty — wtrącił się natychmiast wuj Thomas niezbyt uprzejmie. — Jest bardzo chory. Można mieć tylko nadzieję, że kiedy odzyska zdrowie, będzie potrafił uczynić moralny wysiłek, by zwalczyć haniebne nałogi i prowadzić normalne życie. David ma rację, tymczasem nie ma absolutnie żadnej potrzeby, żebyś zajmował się takimi

sprawami, podobnie jak nie ma potrzeby, żebyś się martwił. Absolutnie żadnej potrzeby.

— Tak, ale... — Pomyślałem o moich bezsennych nocach. — Martwię się także innymi sprawami. Wiem, że nie ma potrzeby, ale się martwię.

— Jakimi innymi sprawami?

Otworzyłem usta, lecz nie wydobyłem z siebie ani słowa.

— Żadnymi — rzuciłem po dłuższej chwili i odwróciłem się od nich.

Próbowałem porozmawiać z matką. Poszedłem do jej buduaru wiedząc, że Drummond jest w Clonareen. Zapytałem, dlaczego ojciec ożenił się z nią, skoro wolał mężczyzn od kobiet.

— Nie mogę o tym mówić — odrzekła.

— Ale...

— Twój ojciec był dla mnie bardzo okrutny. Nie mogę o nim więcej mówić. To mnie zbyt przygnębia.

Wyszedłem. Zaraz potem miała miejsce awantura z wujami. Nadszedł czas ich powrotu do Anglii. W przeddzień wyjazdu z Cashelmary zasugerowali, że można by przedsięwziąć starania, aby umieścić mnie w szkole z internatem.

— Nie, dziękuję — odparłem uprzejmie.

— Sądzę, że tak byłoby najlepiej — stwierdził wuj Thomas, obzuczając pokój spojrzeniem, jakby oceniał otoczenie i znajdował w nim braki. — Obawiam się, że w tej chwili nie jest to dla ciebie najlepsze miejsce.

Milczałem.

— Nie twierdzimy, że masz wyjechać natychmiast — dodał ostrożnie wuj David. — Wiemy, jak bardzo lubisz ten dom. Ale może w przyszłym roku...

— Nie — odparłem.

— Musisz zdobyć porządne wykształcenie i poznać chłopców ze swojej sfery — wyjaśnił żywo wuj Thomas. — Byłoby niewłaściwe z naszej strony, gdybyśmy pozwolili ci zostać tutaj, w tym odosobnionym miejscu, z jakimś marnym nauczycielem i jedynie w towarzystwie brata i siostr.

Udało mi się utrzymać język za zębami.

— Właściwie dlaczego nie chcesz jechać, Ned? — zapytał wuj David łagodnie. — Spodoba ci się! Szkoła to świetna rzecz!

— Gówno prawda! — rzuciłem.

— Licz się ze słowami! — zawołał gniewnie wuj Thomas. — Nie rozmawiasz z Drummondem! Zachowując się w ten sposób, tym bardziej zmuszasz nas do tego, żeby usunąć cię spod wyjątkowo niefortunnego wpływu Drummonda i natychmiast zabrać do Anglii!

— Nigdzie nie pojedę — odparłem. — Odmawiam.

— Dlaczego?

— Ponieważ przez te cholerne dwa lata byłem ciągnany z miejsca na miejsce i wszystko zmieniło się, popsuło. Nic nie jest już takie samo z wyjątkiem Cashelmary i jeśli spróbujecie wyciągnąć mnie stąd, ucieknę, będę z wami walczył, będę...

— Ned...

— Zostawcie mnie! — wrzeszczałem, kiedy wuj David próbował uspokajająco otoczyć mnie ramieniem. Potykając się wybiegłem z pokoju, zanim zdążyłem wybuchnąć płaczem.

Wypadłem z domu, pogałem na deszczu w dół podjazdu. Płakałem jak dziecko, lecz byłem tak przygnębiony, że się tym nie przejmowałem. Biegłem nie bardzo wiedząc dokąd. Gwałtowne szlochy rozdierały mi gardło, więc każdy oddech był bolesną męczarnią. Zatrzymałem się dopiero przy bramie, gdzie zderzyłem się gwałtownie z kimś idącym z naprzeciwka.

— Najświętsza Panienko! — wykrzyknął zdumiony Drummond.
— Cóż ci się, do licha, przytrafiło?

IV

Zmusił mnie, bym usiadł na skraju podjazdu i oparł się plecami o drzewo. Potem, zapalając papierosa, zaproponował mi dymka. Raz czy dwa zrobił to wcześniej w Ameryce, tak na próbę, więc już wiedziałem, jak się zaciągać bez krztuszenia.

— No dobra — powiedział, siadając obok mnie. — Rzadko kiedy widuję cię zapłakanego i rzecz jasna cudownie jest dowiedzieć się, że jesteś taki sam jak każdy. Ale co tak wyjątkowego przyprawiło cię o łzy? A może... lepiej nie pytać?

— Wujowie chcą mnie posłać do szkoły w Anglii — wyjaśniłem.
— A ja nie chcę jechać.

— No to powiedz: nie. Nie mogą cię zmusić. Nie są twoimi opiekunami.

— Wiem, że chodziłem do szkoły w Ameryce, ale to było co innego — mówiłem. — Nie chcę teraz opuszczać Cashelmary.

— Jasne! Bo dlaczego ktokolwiek przy zdrowych zmysłach chciałby być wysłany do Anglii? Pociągnij jeszcze dymka.

— Ojciec nie chciałby, żeby mnie odesłano — powiedziałem. — On nienawidził szkoły. Uciekł z niej dwa razy. Opowiadał mi. Obiecał, że nigdy mnie nie wyśle. Ostatnio bardzo dużo myślę o ojcu, panie Drummond. Nie mogę przestać o nim myśleć. — Ku mojemu przerażeniu znowu się rozpłakałem. Zaczynałem się zastanawiać, czy nie popadam w obłąd. Płkanie bez wyraźnego powodu było do mnie niepodobne.

Pomyślałem z rozpaczą, czy nie jest to przypadkiem jakiś wczesny chorobliwy objaw zniewieścienia.

— Co cię martwi? — zapyta! Drummond.

— Niegodziwość mojego ojca. Jego... pijaństwo. Czy to... może być... dziedziczne?

Ryknął śmiechem.

— Wszyscy synowie pijaków, jakich znałem, dorośli i ślubowali abstynencję.

— Wobec tego dlaczego ludzie stają się niegodziwcami? To znaczy pijakami?

Namyślał się przez dłuższą chwilę, zanim rzekł zwyczajnie:

— To jest wola Boska.

— Wola Boska? Niegodziwość mojego ojca? — Zebrałem się na odwagę. — Cała niegodziwość?

Pomyślał raz jeszcze i oświadczył stanowczo:

— Cała.

— Nie rozumiem.

— Cóż, widzisz, możesz mówić o grzechu, rozpuście i niegodziwości, ale tego wszystkiego tak naprawdę nie ma. To tylko słowa. — Spojrzał w górę podjazdu, w stronę domu, i nagle zrozumiałem, że myśli o mojej matce. — To słowa dla księży — ciągnął — i tych, którzy nigdy nie byli wodzeni na pokuszenie i nie musieli się mu opierać. To nie jest kichanie na księży albo na dobre moralne duszyczki... Pewnie, że wszyscy chcielibyśmy dobrze żyć i na koniec iść do nieba, ale czasem przytrafia się coś, czego nie masz siły zmienić. Znaczy to, że taka jest wola Boska i nic na to nie poradzisz. Możesz się tylko jak najlepiej dostosować.

— Rozumiem — odparłem. — Czyli to jest coś takiego jak nieuleczalna choroba, która nie jest zaraźliwa. Nie ma się nad nią kontroli.

— Być może niektórzy ludzie mają. Inni jednak nie, znam to bardzo dobrze.

— Więc mój ojciec byłby jednym z tych, którzy nie mają kontroli?

— A jak sądzisz? Czy możesz sobie wyobrazić mężczyznę odwracającego się od twojej matki, który nie byłby dotknięty skrzywieniem z woli Boskiej bez nadziei na wyzdrowienie? Jezu, takie zachowanie da się wytłumaczyć tylko wolą Boską!

— A więc to nie była tak naprawdę wina mojego ojca — powiedziałem. Ogromny ciężar nagle spadł mi z serca. — Niegodziwość to nie był jego wybór. Z woli Boskiej nie miał wyboru.

— Zgadza się — odparł Drummond.

— Rozumiem. Panie Drummond, co do tej woli Boskiej... no a kiedy człowiek się dowiaduje, że na niego spadła? To znaczy czy spada nagle... jak piorun? — dodałem, szukając inspiracji wśród lepiej mi znanych przejawów woli Boskiej.

Zapadło milczenie. Drummond zapalił drugiego papierosa i rozważał pytanie. Podobał mi się sposób, w jaki to robił.

— Na przykład mój ojciec — powiedziałem. — Czy kiedy był młodszy, był taki sam jak inni?

— Nie znałem dobrze twojego ojca — rzekł wreszcie Drummond. — Ale z tego, co mówi twoja matka, domyślam się, że odmienność nosił w sobie od początku, choć wcześniej jej nie zauważał, dopiero w ostatnich latach.

— Dlaczego?! Czy to tak trudno zauważyć? Przecież musi być jakiś sposób na to, żeby się dowiedzieć... jakieś objawy...

Spojrzał na mnie. Jego oczy były bardzo ciemne, a skóra w kącikach marszczyła się, kiedy się uśmiechał.

— Nie musisz się obawiać, Ned — zapewnił. Zabrzmiało to tak jak wtedy, kiedy mówił: „Zabiorę was do Cashelmary”. Nawet nie przyszło mi do głowy, by mu nie wierzyć.

Ostrożnie przełknąłem ślinę.

— Cóż, nie martwiłem się o siebie, ale... po prostu nie rozumiałem, dlaczego mój ojciec nie wiedział, że jest inny.

— Może wiedział. Ale to naprawdę nie ma znaczenia. Liczy się tylko to, że przez jakiś czas nie chciał być inny. Dlatego się ożenił. Chciał być taki sam jak wszyscy.

— Ale nie powinien był się żenić, prawda? To było złe.

— To był błąd. Twoja matka także popełniła błąd wychodząc za niego. Do diabła, wszyscy robimy błędy. Tylko święci w niebie nigdy nie stawiają fałszywych kroków.

Po chwili milczenia powiedziałem:

— Gdybym miał wybór, nigdy bym się nie ożenił. Wtedy nie ryzykowałbym, że ożenię się z niewłaściwą osobą. Ale przypuszczam, że pewnego dnia będę musiał się ożenić, by zapewnić Cashelmarze dziedzica.

— To bardzo przezorne — zgodził się. — Poza tym on będzie dla ciebie wielką pociechą na stare lata.

— Mam nadzieję, że nie jest to zbyt trudne. Chodzi mi o dziedzica.

— Najłatwiejsza rzecz na świecie. Jakaś miła dziewczyna wykona za ciebie robotę, a potem wszyscy tobie będą mówili, jaki jesteś zdolny.

— Faktycznie tak to brzmi, jakby było dość łatwe, tak mi się wydaje.

— Czy sądzisz, że gdyby było trudne, księża tak by gonili do ołtarza, zanim ci biedacy narażą swoje dusze na grzech?

— Cóż, oczywiście nie poddałbym się pokusom natury, chyba że byłbym żonaty. Zresztą nie potrafię sobie wyobrazić, żebym kiedykolwiek znalazł dziewczynę, która byłaby warta takich zabiegów.

— A co z Kerry Gallagher?

Gallagherowie to strasznie miła rodzina amerykańskich Irlandczyków, którą poznaliśmy w Bostonie.

— Och, to całkiem co innego — powiedziałem. — Kerry jest moim przyjacielem. Czy mógłbym jeszcze pociągnąć?

Pozwolił mi na kolejnego dymka. Niebawem zadawałem mu dalsze pytania o stosunek intymny z taką swobodą, jak gdybyśmy rozmawiali o pogodzie. Pytania sypały się jedno za drugim, niby stado owiec pędzących z pobekiwaniem przez bramkę, a Drummond radził sobie z nimi zgrabnie jak pasterz z długim pasterskim kijem.

W końcu mogłem powiedzieć:

— Czuję się znacznie lepiej.

— W takim razie wracajmy do domu, zanim znowu zacznie padać — odparł.

Z trudem podniosłem się na nogi. Pierwsze krople zaczęły bębnić o liście drzew.

W połowie podjazdu przypomniałem sobie o wujach.

— Czy mógłby pan poprosić mamę, by powiedziała wujom, że ja nigdzie nie pojedę?

— Jasne, a jeśli odmówi, czego raczej nie zrobi, sam im powiem.

— Nic się nie stanie, dopóki będę tutaj — wyjaśniłem z namysłem.

— Ale nie chcę jechać do Anglii i nie chcę widzieć ojca. Teraz lepiej rozumiem, co się z nim stało, i przykro mi, że dosięgła go wola Boska. Ale wolałbym go nie widzieć. Nikt nie będzie mnie zmuszał do spotkania z nim, prawda?

— Nikt pod słońcem — odparł Drummond, zapominając o mojej ciotce Madeleine.

Ramię w ramię weszliśmy do domu mojego ojca.

ROZDZIAŁ DRUGI

I

— Odwiedzić ojca to twój obowiązek, Ned — powiedziała ciotka Madeleine. — Prosił o spotkanie z tobą. Teraz, kiedy czuje się już lepiej, nie możesz mu tego odmówić.

Minęło nieco czasu. Był styczeń 1888 roku, sześć miesięcy po naszym powrocie do Cashelmary. Wreszcie zaczęliśmy się czuć jak w domu. Nie widziałem moich wujów od października, kiedy to ponownie usiłowali nakłonić mnie do pójścia do szkoły, ale matka też nie chciała się na to zgodzić. W końcu wynajęto dla mnie guwernera. Nazywał się Watson; był starszy, zrędlivy, i zmuszał mnie do ciężkiej pracy, robiłem jednak co mogłem, żeby go zadowolić — wszystko ze strachu, że jeśli nie będę pilny, wujowie znowu zaczną mówić o posłaniu mnie do szkoły.

Tymczasem matka otrzymała rozwód i pełne prawa rodzicielskie. Zgodnie z prawem nie można było otrzymać rozwodu powołując się wyłącznie na okrucieństwo, co stanowiłoby najłagodniejsze i najprostsze określenie na zachowanie mojego ojca. Wobec tego matka musiała ujawnić wszystko, co świadczyło o jego zwyrodnieniu. Mimo że bracia przekonali ojca, by nie walczył z nią wyciągając sprawę cudzołóstwa, wybuchł spory skandal. Nie wątpię, że matka, która w przeciwieństwie do ojca musiała być na rozprawie, bardzo cierpiała. Niewiele jednak ze skandalu dotarło do doliny. Matka wyznała nawet Drummondowi, że po raz pierwszy tak się cieszy z odosobnienia Cashelmary. Wstrzymano odbiór gazet na dwa tygodnie, zwolniono trzy służące za plotkowanie, a używanie słowa „rozwód” zostało raz na zawsze zabronione.

— Dlaczego papa rozwiódł się z nami? — spytała zdezorientowana Jane. — Dlaczego już nas nie odwiedza?

— Nie będziemy wymawiać tego brzydkiego słówka, kochanie — odparła niania, lojalna wobec mojej matki. Ale wiem, że czuła się zakłopotana, ponieważ zaraz potem dodała: — Nie rozwiódł się z żadnym z was, Jane. Wy, dzieci, nie macie z tym nic wspólnego.

Jednakże Eleanor jej nie uwierzyła.

— To moja wina, prawda? — wyszeptła do mnie za plecami niani. — Papa odwrócił się ode mnie, bo nie pocałowałam go na pożegnanie.

Udało mi się ją przekonać, że to nieprawda, ale potem poprosiłem matkę, żeby wyjaśniła moim siostronom, co znaczy rozwód, bo wymyślają sobie przerażające historyjki.

Mama odmówiła.

— Jedno pytanie prowadzi do następnego — powiedziała. — Będą chciały wiedzieć, dlaczego pragnęłam rozvodu, a jak sobie wyobrazasz wyjaśnienie im sprawy MacGowana?

— Mogłabyś powiedzieć po prostu, że papa to pijak i był dla ciebie niedobry.

— Ned, najmilszy — rzekła bardzo chłodno — kiedy będę potrzebowała twojej rady na temat podejścia do małych dzieci, na pewno cię o nią poproszę.

W tym trudnym czasie matka żyła w ogromnym napięciu. Drummond poprosił mnie na osobności, żebym był dla niej wyrozumiały.

Drummond był bardzo dobry dla mojej matki i zachowywał się nienagannie. Mieszkał w murowanym domu starego MacGowana na drugim końcu doliny i choć wstępował do nas codziennie, by zajrzeć do ksiąg majątkowych, nigdy nie został na noc. Obiady jadał z matką tylko dwa razy w tygodniu, przy służbie zawsze zwracał się do niej „milady”. W ciągu tygodnia zajęty był lekcjami, lecz w soboty rano zabierał mnie na konne przejażdżki po majątku i opowiadał mi, co już zrobił oraz co planuje na przyszłość. Kiedyś pokazał mi nawet listy, które napisał w sprawach interesów, ale sądzę, że pomogła mu przy nich moja matka, ponieważ były poprawnie skonstruowane i bez błędów ortograficznych. Pracował bardzo ciężko, mimo to znajdował czas dla dzieci. Moje siostry bardzo go polubiły. Eleanor szybko przezwyciężyła nieśmiałość, a Jane pozwalała mu nawet potrzymać Ozymandiasa, co było wielkim zaszczytem, którego ja zawsze starałem się unikać jak zarazy; nie żebym nie lubił kotów, ale Ozymandias na rękach był gwarancją, że na moim najlepszym garniturku pozostanie ruda sierść.

Jedynie John pozostał obojętny w stosunku do Drummonda, ale wiązałem to wyłącznie z tym, że Drummond nie wiedział nic o ogrodnictwie.

— Drummond wydaje się radzić sobie lepiej, niż mogłem przypuszczać — wyznał wuj Thomas, będąc u nas kiedyś jesienią. — Może powinniśmy zachęcić go jeszcze bardziej, dając mu pieniądze na odbudowę domu? Gdyby ktoś z jego rodziny wrócił do doliny, mógłby mieć dodatkową motywację do dobrej pracy.

Drummond był zachwycony tą perspektywą, ale kiedy napisał do swoich synów, zapraszając ich do doliny i proponując omówienie odbudowy, ani młody Maxwell, ani Denis nie odpisali. Wobec tego Drummond naradził się ze mną i w następną sobotę pojechaliśmy drogą do Clonareen, by obejrzeć ruiny jego dawnego domu rodzinnego.

Z Drummondem czułem się teraz bardzo swobodnie. Był tym Dnimmondem, który uratował mnie w Ameryce, tym, który przywiózł mnie do domu. Nie kłopotalem się już, kto zabił MacGowana. MacGowan był złym człowiekiem, łajdakiem zasługującym na śmierć — Drummond zaś był człowiekiem dobrym, bohaterem zasługującym na to, by żyć z moją matką długo i szczęśliwie. Czułem się teraz znacznie lepiej, ponieważ widziałem sytuację bardzo wyraźnie, w czarno-białych barwach. Znowu wszystko było normalne, minęły zawroty głowy, skończyła się dezorientacja. Nawet mój ojciec znalazł się na właściwym miejscu — na obrzeżu, daleko ode mnie i mojej matki, w angielskim ogrodzie wuja Davida. W grudniu opuścił londyńską klinikę i Boże Narodzenie spędził z moimi wujami w wiejskim domu, który kiedyś należał do ciotki Marguerite.

— Cieszę się, że czuje się lepiej — powiedziałem ciotce Madeleine, kiedy wpadła z wizytą, by przynieść mi najnowsze wieści. Wtedy właśnie ciotka wystąpiła z tą wstrząsającą propozycją, abym go odwiedził.

Odparłem uprzejmie, że wolałbym go nie widzieć, lecz machnęła na to ręką.

— To mało ważne — rzekła żywo. — Od czasu do czasu wszyscy musimy robić rzeczy, których nie lubimy.

Ciotka Madeleine była wspaniałą kobietą, starszą od mojego ojca i znacznie od niego niższą; nie sądzę, by miała więcej niż pięć stóp wzrostu. Miała krągłe kształty, miękkie, uwodzicielski głos i umysł jak colt kaliber 44. Miała też cudowne kostki. Widziałem je tylko raz, kiedy wsiadała do powozu przy silnym wietrze, ale nigdy ich nie zapomnę.

— Po tym wszystkim mój ojciec nie zasługuje na to, żebym się z nim spotkał — powiedziałem, zaczynając się denerwować.

— Moje drogie dziecko — odparła ciotka Madeleine — nie do ciebie należy osądzanie twojego ojca. Kiedy przyjdzie pora, Bóg zrobi to wystarczająco dobrze.

Przyglądaliśmy się sobie nawzajem. We dwoje czekaliśmy w salonie, aż matka przyprowadzi dzieci z ich pokoiów na górze.

— Twoim obowiązkiem jest zobaczyć się z nim — nastawała ciotka.

— Cóż, nie zrobię tego — odparłem niegrzecznie, wpadając już w panikę. Choć teoretycznie gotów byłem okazać ojcu miłosierdzie, w praktyce sama myśl o nim sprawiała, że robiło mi się słabo, choć nie wiem czy ze wstydu, z zażenowania czy gniewu. Ani tego nie rozumiałem, ani mnie to obchodziło.

(— Bardzo mnie zawiodłeś, Edwardzie—oświadczyła ciotka Madeleine.

Nikt nigdy nie zwracał się do mnie pełnym imieniem. Zwiesiłem głowę i gapiłem się w dywan.

— Twój ojciec dopuścił się okropnych uczynków, ale też bardzo cierpiał. Ponieważ widziałam go tak niedawno, mogę zaświadczyć, że

bardzo żałuje, iż z jego powodu dzieci były nieszczęśliwe. Czy muszę ci przypominać, jak bardzo cię kocha? Trudno mi uwierzyć, że zapomniałeś.

— Nie chcę, żeby mnie kochał — wymamrotałem. Ucisk w piersiach utrudniał mi oddychanie. — Chcę, żeby mnie zostawił w spokoju.

— Taka postawa nie przystoi chrześcijaninowi i synowi! Gdybyś spróbował mu przebaczyć, łatwiej byłoby ci znowu go pokochać...

— Nie chcę go kochać! — krzyknąłem. — Nie mogę kochać jednocześnie jego i matki. Nie mogę, to zbyt trudne. Muszę wybrać jedno albo drugie. Nie potrafię dłużej znieść tego rozdzierania na dwoje...

— Drogie dziecko, nikt cię nie rozdiera na dwoje!

— Ty to robisz! — wrzasnąłem dziko i wybiegłem z pokoju z twarzą zalaną łzami. Tym razem nie czekałem na zderzenie z Drummondem. Osiodłałem konia i pojechałem go szukać. Znalazłem go podjeżdżającego pod górę od rzeki Fooley.

— Nie pojedę spotkać się z ojcem — oznajmiłem, opowiedziawszy mu, co się stało. — Nie pojedę.

— Jasne, że nie — odparł Drummond. — Twoja matka na to nie pozwoli, a ponieważ ma wyłączne prawa rodzicielskie, wścibska ciotka Madeleine nic nie wskóra. Boże, uchroni nas wszystkich przed wścibskiimi wtrącałskimi dziewczicami o dobrych intencjach!

Ku mojemu przerażeniu jednak ciotka nie pogodziła się z moją odmową i niebawem poprosiła matkę o rozmowę na osobności. Po ich ostrej kłótni ciotka Madeleine zostawiła lecznicę pod opieką samego doktora Cahilla i pojechała do Anglii do mojego ojca.

Nie słyszałem nic na ten temat przez miesiąc i już na powrót poczułem się bezpiecznie, gdy spadł na mnie cios. Pewnego dnia późnym przedpołudniem, kiedy zmierzałem na dół na lunch, Drummond zawołał mnie z progu biblioteki.

— Ned, wejdź na chwilę, dobrze? — rzekł gwałtownie.

Wszedłem do pokoju. Zobaczyłem matkę siedzącą na jednym z krzesel przy kominku. Była bardzo blada. Za nią na obramowaniu kominka zegar w kształcie słońca drzemał pod portretem mojego pradziadka Henry'ego de Salisa.

— Chcemy coś z tobą omówić — powiedział Drummond, wręczając mi jakiś list. — Przeczytaj to.

Rozpoznałem pismo ojca i cofnąłem się z drżeniem.

— Dalejże.

Próbowałem czytać. Przebiegłem wzrokiem pięć linijek, zanim uświadomiłem sobie, że nie rozumiem ani słowa. Wróciłem do początku i spróbowałem raz jeszcze.

„Szanowna Pani — pisał mój ojciec i ten dowód jego niezamierzonej wrogości wobec matki sprawił, że poczułem do niego wystarczającą odrazę, by czytać dalej bez nudności. — Ponieważ stało się oczywiste, że

nastawiłaś dzieci przeciwko mnie i doprowadziłaś do tego, że nawet Ned uważa mnie za wroga, muszę oświadczyć, że nie zamierzam godzić się *i* obecnym od nich oddaleniem. Stan mojego zdrowia znacznie się poprawił. Nie dotykam ani wina, ani mocniejszych trunków od prawie sześciu miesięcy i stanowczo zamierzam unikać ich w przyszłości. W związku z tym mówi się, że sąd najwyższy w Dublinie unieważnił orzeczenie, że nie jestem zdolny do prowadzenia majątku . Jak zapewne wiesz, rada utworzona w celu administrowania majątkiem była tymczasowa i powołana na okres uzależniony od stanu mojego zdrowia. Ponieważ sędzia powołał ją w moim imieniu, na mój wniosek może ją również rozwiązać. Wtedy nic nie powstrzyma mnie przed powrotem do Cashelmary, by zamieszkać tam z dziećmi. Ty i twój kochanek będziecie oczywiście mogli żyć, gdzie wam się spodoba, ale jeżeli spróbujecie zabrać ze sobą dzieci, wystąpię z prośbą o ponowne rozpatrzenie kwestii praw rodzicielskich. Ponieważ żyjesz w cudzołóstwie, a ja w sposób przykładowy, myślę, że tym razem każdy sędzia mający na względzie dobro dzieci rozstrzygnie sprawę na moją korzyść.

Z kilku wszakże powodów taki bieg wydarzeń może się okazać niepożądany dla mnie, a katastrofalny dla ciebie. Po pierwsze, jestem zadowolony z pobytu u Davida; choć bardzo mi brakuje Cashelmary, wiąże się z nią zbyt smutne dla mnie wspomnienia o Hughu, bym mógł tam wrócić i czuć się dobrze. Po drugie, w przeciwieństwie do ciebie niepokoję się o dobro dzieci i nie zamierzam podejmować kroków, które mogłyby je niepotrzebnie przygnębić. Proponuję następujące rozwiązanie: ty pozwolisz by dzieci odwiedzały mnie regularnie, a ja nie zrobię nic, aby rozwiązać radę i odzyskać prawa rodzicielskie. Mogę nawet obiecać, że nie będę prosił o spotkanie z młodszymi dziećmi aż do końca lata, jeśli na Wielkanoc wyślesz do mnie na dwa tygodnie Neda.

Przemyśl to dobrze, zanim odmówisz. Jak wiesz, potrafię być bardzo uparty, a tym razem jestem zdecydowany dostać to, czego chcę.

Prześłałbym pozdrowienia dla dzieci, ale wiem, że i tak do nich nie dotrą. Pozostaje... DE SALIS."

Podniosłem wzrok. Ujrzałem niemałą prośbę w oczach matki i z lękiem uświadomiłem sobie, że jest przerażona. Zerknąłem na Drummonda. On także spoglądał na mnie wymownie. Stał oparty o ogromne biurko, ręce miał założone na piersi. W jego brudnych, wytartych bryczesach dostrzegłem niewielką dziurkę; fular miał zawiązany tak niedbale, że widać było czarne włosy poniżej szyi.

— To sprawa twojej ciotki Madeleine — oświadczył. Dopiero kiedy się odezwał, zdałem sobie sprawę, jaki jest zły. — To wścibska, stara wiedźma, nie ma co! Przydałoby się jej dobre...

Powiedział, co by się przydało ciotce Madeleine. Nigdy wcześniej nie słyszałem, by używał takiego języka przy mojej matce. Byłem ogromnie

zakłopotany, policzki mi płonęły. Spojrzałem znowu na list. Gorączkowo myślałem, co by tu powiedzieć.

— Te karty, które de Salis próbuje nam rozdać, są diabła warte — rzekł Drummond. — Mogę załatwić lepsze dla nas rozdanie, ale potrzebuję wszelkiej pomocy, żeby się udało. A dokładniej twojej pomocy.

Matka znowu spojrzała na mnie błagalnie. Próbowałem się odezwać, lecz nie mogłem.

— Zauważasz, czemu to rozdanie nie jest dobre, prawda? — mówił. — Nawet jeśli twoja matka ustąpi, to i tak nie ma żadnej gwarancji, że on później się tu nie zjawi i nie wyrzuci jej z Cashelmary. Na pewno obieca, że tego nie zrobi, ale ile warte są jego słowa? Bardzo mało, o czym w przeszłości twoja matka przekonała się na własnej skórze. Nie, powstał problem i istnieje tylko jedno rozwiązanie: ojciec musi tobie przekazać majątek, Ned, i musi to zrobić zgodnie z prawem, żeby nie mógł go odebrać, kiedy tylko najdzie go ochota.

— Twój ojciec podpisałby dokument cedujący majątek na ciebie — powiedziała ostrożnie matka. — Ponieważ w gruncie rzeczy nie obchodzi go , z pewnością nie wyrazi sprzeciwu, zwłaszcza jeśli obiecamy, że w zamian będzie mógł widywać dzieci, kiedy zechce.

— Zrozumiałeś? — zapytał Drummond. — To będzie takie rozdanie, które zadowoli nas wszystkich: on sceduje majątek, my pošlemy dzieci. My zdobędziemy zabezpieczenie, on dostanie to, czego chce. Zagramy uczciwie, ale jest pewne, że de Salis będzie podejrzliwy wobec wszystkiego, co wyjdzie od twojej matki. Pomyśleliśmy więc, że najlepiej gdyby ta sugestia wyszła od ciebie. Nie obawiaj się, powiem ci, co masz mówić. Właściwie dlaczego nie usiądziesz przy biurku i nie zrobimy tego teraz? Mam przygotowane pióro i atrament.

Usiadłem przy biurku. Oczy pradziadka obserwowały mnie z portretu na ścianie. Podniosłem pióro mojego ojca i zanurzyłem je w srebrnym kałamarzu z wygrawerowanym imieniem dziadka. W domu dokoła panowała cisza i spokój.

Siedziałem patrząc na czystą kartkę. Atrament zaczął wysychać na stalówce.

— Ned? — odezwała się matka.

Pomyślałem: wiem, że mogę mu ufać. Przywiózł mnie do domu. Chce mi pomóc. Kocha moją matkę. Muszę mieć kogoś, komu mogę zaufać. Co by się stało, gdybym i jemu przestał ufać?

Zamoczyłem pióro w atramencie po raz drugi i napisałem: „Drogi papo”. I uświadomiłem sobie, że nie jestem w stanie napisać nic więcej. Długo się przyglądałem tym dwóm słowom, w końcu odłożyłem pióro.

— Co cię niepokoi? — zapytał Drummond.

Nie mogłem mówić.

— Nie chcesz pomóc matce?

— Chcę — odparłem. — Pojadę do ojca, skoro tego pragnie i każę mu obiecać, że pozwoli mamie tu zostać.

— Synku, jego obietnice są guzik warte. Twoja matka oszaleje ze zmartwienia. Weź pióro i załatwimy to. Wiem, że chcesz dla matki jak najlepiej.

Ani drgnąłem. Nie mogłem. Z oczu popłynęły mi łzy.

— Nie naciskaj na niego, jeśli nie chce, Maxwellu — dobiegł mnie głos matki z bardzo daleka. — Sama napiszę do Patricka.

— Wyglądałoby lepiej, gdyby...

— Wiem. Ale on nie chce.

Wypadłem z pokoju i pobiegłem do ogrodu, ogrodu mojego ojca. I on tam był, czekał na mnie, tak samo jak zawsze. Był bardzo miły i łagodny, a jego ciepła ręka trzymała mocno moją dłoń. Przeszliśmy przez trawnik. Byłem bardzo szczęśliwy, że z nim jestem. Kiedy skręciliśmy za róg żywopłotu z fuksji, nagle uświadomiłem sobie, że jestem sam. Oszołomiony przetarłem oczy ręką i wtedy pojąłem, że przecież nie mogłem go widzieć, bo oczy miałem zalane łzami.

Zamknąłem oczy. Usiadłem i czekałem, aż minie zawrót głowy. Po dłuższym czasie mogłem już myśleć: Drummond chciał jak najlepiej dla mojej matki. I wtedy zorientowałem się, że mi przeszło — że kiedy znowu otworzę oczy, będę mógł ujrzeć wszystko wyraźnie, w czarno-białych barwach.

Tej nocy śniłem i choć sen był czarno-biały, wszystko zostało w nim odwrócone — czarne stało się białe, a białe czarne. Znowu byłem w Nowym Jorku, ponownie wśród najgorszych wspomnień mojego życia, a drzewa Grammercy Park kołysały się delikatnie w wieczornej bryzie. Powiedziałem do mężczyzny u mojego boku: „Nie chcę iść do restauracji. Nie chcę jeść z tobą obiadu”, ale on uśmiechnął się tylko, chwycił mnie za rękę i ciągnął za sobą. Szliśmy ulicą i ujrzałem tablicę z napisem „RYAN'S”, a pod nią drzwi. „Nie wejdę do środka” — powiedziałem, lecz on znowu się uśmiechnął i wciągnął mnie do wnętrza. A tam znajdowały się imitacje lamp Tiffany'ego, całe tuziny, ogromne, nadęte lampy w intensywnych ponurych kolorach, oraz białe obrusy, zimne jak śnieg i sztywne jak śmierć. Mężczyzna usiadł naprzeciwko mnie. Był brzydki i okrutny, ja jednak nie mogłem uciec. Musiałem siedzieć tam i słuchać go; jego miękki irlandzki głos recytował nie kończące się strumienie twardych, brutalnych, przyprawiających o mdłości prawd. Wreszcie udało mi się uciec. Biegłem i biegłem, ale musiałem się zatrzymać, by zwymiotować, więc dogonił mnie, a kiedy obrócił mnie twarzą do siebie — w moim śnie — nie był to wcale ten Drummond, którego znałem. W pierwszej chwili myślałem, że to ktoś obcy, lecz wtedy ujrzałem maleńkiego świerczka w jego rękach — i już wiedziałem, kim jest.

To był MacGowan. Drummond przemienił się w MacGowana. Moja matka przemieniła się w ojca. Wszyscy zamienili się rolami. Czarne

i białe już nie istniało, wszystko było czerwono-szkarłatno-purpurowo-krwawe...

Obudziłem się z krzykiem.

Na szczęście nikt mnie nie słyszał, bo chyba umarłbym ze wstydu. Zapaliłem lampę i maksymalnie podkręciłem płomień. Czekałem na świt.

Nadszedł w końcu, mimo to koszmar nie minął, jak zwykle bywa z koszmarami, ale pozostał we mnie, w mojej pamięci, i ciągnął się za mną jak jakaś makabryczna kula czy łańcuch, gdziekolwiek się ruszyłem.

II

„Drogi Pączuszk — pisałem do Kerry Gallagher, mojej przyjaciółki z Bostonu. — Dziękuję ci za ostatni list. Mam nadzieję, że twój ojciec zostanie burmistrzem. Proszę, życzy mu ode mnie powodzenia w wyborach. Mój ojciec czuje się teraz lepiej i mam jechać do Anglii, by spędzić z nim Wielkanoc. On twierdzi, że przyjedzie do Cashelmary, jeśli nie będzie widywał dzieci, ale to nie byłoby wygodne, więc jadę się z nim spotkać. Matka zamierza go poprosić, żeby mnie przekazał majątek, bo wtedy nie będzie mógł jej okpić. Pojechała właśnie do Anglii, by omówić to z wujami. Szkoda, że wszystko jest takie pogmatwane, ale spodziewam się, że samo jakoś się ułoży. Na geografii uczę się o Afryce. To dziwaczne miejsce, dziwniejsze niż Ameryka (ha!). Życzę ci miłej Wielkanocy. Pamiętasz, jak w ubiegłym roku oboje nas mdliło, kiedyśmy zjedli całego mazurka Ellie-Mae? Tutaj nie robią mazurków. Czasem żałuję, że nie jestem w Bostonie. Przekaż, proszę, moje najniższe ukłony swojemu ojcu, matce, Clare, Connie i Donagh. Pozostają twoim serdecznym przyjacielem. Sinobrody”.

„Sinobrody” wiązał się z takim naszym dawnym żartem. Jednego razu wyraziłem na głos swoją niechęć do instytucji małżeństwa. Powiedziałem wówczas, że mam nadzieję, iż żadna kobieta nigdy nie straci dla mnie głowy. Kerry narysowała wtedy obrazek, w którym szedłem między ławkami w kościele z pół tuzinem bezgłowych panien młodych.

Po powrocie z Anglii matka poinformowała mnie, że obiecała regularnie posyłać dzieci do ojca, w zamian on się zgodził przekazać mi majątek. Matka się z nim nie widziała: mediatorami byli wujowie.

— Wujowie nie mieli nic przeciwko scedowaniu majątku na mnie? — zapytałem. — W końcu papa nie musiał tego robić, prawda? Mógł zwrócić się do sądu o zmianę decyzji w kwestii praw rodzicielskich i zachować majątek. Napisał tak w tym liście.

— W tym liście napisał też, że właściwie nie pragnie powrotu do Cashelmary. Poza tym nie miał żadnej pewności, że sędzia zmieni decyzję

na jego korzyść. A skandal wokół kolejnej rozprawy?! Thomas i David uznali, że to by było nie do zniesienia. Z radością gotowi byli przyjąć każdą propozycję, która pozwalała ominąć sąd. Ostatecznie przekonali twój ojca, żeby zgodził się z ich punktem widzenia. — Wyjaśniła, że majątek został przepisany na mnie, ale póki nie ukończę dwudziestu jeden lat, pozostanie pod nadzorem rady, której członkami są, podobnie jak wcześniej, ona i wujowie.

— Więc koniec końców Drummond dostał takie rozdanie, jakiego chciałem — stwierdziłem. — Wiedziałem, że tak będzie.

— On chce tylko, żebyśmy czuli się w Cashelmarze bezpiecznie, kochanie.

— Tak. Jak często będę musiał jeździć do papy?

— To jeszcze nie zostało ustalone.

— Ależ musiało być! Papa na pewno by się nie zgodził przepisać na mnie majątku, gdyby nie ustalił dokładnie, kiedy będziemy go odwiedzać i na jak długo!

Matka wyglądała nieswojo.

— Tak, doszło do pewnych ustaleń, ale... Ned, doprawdy wolałabym nie rozmawiać o tym w tej chwili.

Przyglądałem się jej.

— Ale mam pojechać do niego na dwa tygodnie na Wielkanoc, czy tak?

— Stale koresponduję z ojcem w tej sprawie.

— Ale...

— Ned, proszę! Nie masz prawa przepytywać mnie w ten sposób! Omówimy to później.

Odszedłem bez słowa.

Nie miałem ochoty na lunch. Po południu pan Watson powiedział, że to wielka szkoda, iż wciąż nie umiem odróżnić Yorków od Lancasterów. Cóż, nigdy nie rozumiałem wojny Dwóch Róż.

Tego wieczoru Drummond był na obiedzie. Odkąd matka wróciła z wieścią, że Cashelmarę scedowano na mnie, przychodził na obiad codziennie. Choć jadałem z nimi, zaraz potem udawałem się do swojego pokoju, nie wiedziałem więc, czy zostawał do późna. Tego wieczoru jak zwykle zbierałem się do odejścia, gdy Drummond, rezygnując z karafki porto, zaproponował, żebyśmy na pół godziny przeszli do salonu.

Drummond normalnie nigdy nie rezygnował z karafki porto.

— Muszę napisać wypracowanie dla pana Watsona — powiedziałem.

— Wstawię się za tobą, kochanie — wtrąciła matka. — Uważam zresztą, że nie powinieneś odrabiać lekcji wieczorem.

Milczałem. Przeszliśmy do salonu. Drummond zapalił papierosa, nie pytając matki o zgodę, i rzuciwszy się na kanapę, położył nogi na najmniejszym z czterech stolików z prążkowanego drewna.

— Dowiaduję się, że pytałeś matkę o twój wielkanocny wyjazd do Anglii — zaczął, wydmuchując dym pod sufit.

— Nie chciałem jej zdenerwować — rzekłem. — Chciałem tylko wiedzieć, na co się mam nastawić.

— Jasne! I jestem pewien, że jej nie zdenerwowałeś.

— Och, nie, oczywiście, że nie, Ned — zapewniła matka. — Tylko że ja nie bardzo wiedziałam, co odpowiedzieć.

Czekałem. Spojrzała na Drummonda, on zaś wypuścił kolejny kłąb dymu pod sufit.

— Cóż, jest tak, Ned — zaczął wy łuszcząc to, na co matka nie mogła ?ę zdobyć — Uważamy, że najlepiej będzie, jeśli na razie nie pojedziesz do Anglii. Prawda, kochanie?

— To by cię tak bardzo przybiło, Ned — dodała matka. — Wiesz, w jakie zawsze popadasz przygnębienie, kiedy mowa o twoim ojcu. W tej sytuacji wydaje mi się, że popełniłabym błąd, gdybym pozwoliła ci jechać.

Podejrzewałem to od kilku godzin, prawda mną jednak wstrząsnęła.

— Ale przecież moja wizyta była przygotowana — usłyszałem swój głos. — Obiecaliście mu, że przyjadę.

Znowu spojrzała na Drummonda, szukając pomocy.

— Na Boga, Ned, bądź szczerzy! — zawołał. — Nie chcesz się widzieć z ojcem, prawda? Więc nie zachowuj się tak, jakbyś chciał.

— Nie — odparłem. — Nie chciałem go widzieć, ale przyzwyczałem się już do tej myśli, bo wydawało się, że nie ma innego wyjścia. I jeśli o mnie chodzi, nadal innego wyjścia nie widzę. Nie mogę się teraz wycofać.

— Ned, rozumiem, jak się pewnie czujesz—powiedziała matka—ale ja naprawdę nie mogę, mówię to z całą świadomością, pozwolić ci na wyjazd.

— Dałaś mu słowo!

— Nie dała mu żadnego słowa, którego nie miałyby prawa złamać dla dobra was, dzieci — rzekł Drummond. Zdjął nogi ze stolika i wyrzucił niedopałek do kominka. — I nie dała mu słowa na piśmie. To twoi wujowie składali wszystkie obietnice, a jeśli o ciebie chodzi, nie mieli prawa obiecywać niczego, bo nie są twoimi opiekunami. Do twojej matki należą decyzje, a twoje dobro musi być na pierwszym miejscu.

— Znakomicie — powiedziałem. — W takim razie pozwolicie mi wyjechać. Będę bardziej przygnębiony, jeśli zostanę tutaj, niż jeśli wyjadę.

— Coś podobnego! — zawołał Drummond.

— Dziwisz się dlatego, że sam jesteś kłamcą, ale nie sądz, że wszyscy inni też kłamią.

— Ned! — krzyknęła matka, z trudem łapiąc oddech.

— Mamo, czy naprawdę myślisz, że jestem aż tak głupi, żeby nie wiedzieć, co zrobił pan Drummond? On wykiwał mojego ojca. Obydwoje

go wykiwaliście. Doprowadziliście do tego, że scedował majątek na mnie w zamian za obietnice, których nie mieliście zamiaru dotrzymać, a moich wujów użyliście jako parawanu dla swoich szachrajstw. To było tandetne szulerskie rozdanie i odmawiam udziału w tej grze. Dlatego nie zostanę w Irlandii, tylko pojedę do Anglii, jak obiecaliście!

W jednej sekundzie Drummond był na nogach.

— Saro, zostaw nas samych, proszę.

— Maxwellu, Ned nie chciał...

— Zostaw nas!

Matka, cała już roztrzęsiona, wycofała się z pokoju.

— Dobra — powiedział Drummond, gdy drzwi się zamknęły.

— Postawmy sprawę jasno. Po pierwsze: nigdy nie mów do mnie czy do swojej matki w ten sposób, rozumiano? Nigdy. Po drugie: bez grymasów zrobisz to, co ci się każe. Po trzecie: nie zobaczysz się z ojcem i masz się z nim nie kontaktować. Nie ma powodu, by twoja matka wyraziła zgodę na to, żeby chłopak w twoim wieku przebywał w towarzystwie zboczeńca. Po czwartej jeśli nie zastosujesz się do któregoś z wymienionych przeze mnie punktów, sprawię ci lanie, jakiego jeszcze nigdy nie dostałeś, i nie myśl, że się nie ośmielę, ponieważ zrobię to na pewno. Zawsze wierzyłem, że możliwie łagodne traktowanie chłopców ma sens, i musisz przyznać, że byłem wobec ciebie bardzo wyrozumiały, ale kiedy wyznaczam granicę, a robię to teraz, lepiej pomyśl dwa razy, zanim ją przekroczysz. Czy wyraziłem się jasno?

— Tak — powiedziałem po chwili milczenia.

Odpęrzył się.

! — Pamiętaj, że twoja matka chce dla ciebie jak najlepiej — rzekł — a ja chcę jej tylko pomóc. Idź do swojego pokoju i pomyśl o tym, co zrobiłem. Dzięki mnie masz prawo mieszkać w Cashelmarze, nie musisz żyć w ciągłym strachu, że zostaniesz wyrzucony i że przyjdzie ci walczyć przeciwko ojcu... A czy nie tego właśnie zawsze chciałeś? Toteż nie rób mi teraz wyrzutów i nie obrzucaj mnie obelgami. Dobranoc.

— Dobranoc, sir — odparłem.

Znalazłem się w galerii nad holem. Czekająca tam na mnie matka, by porozmawiać z mną, lecz minąłem ją, wbiegłem do swojego pokoju, zamknąłem drzwi na klucz i usiadłem po ciemku na brzeжку łóżka.

Po chwili zacząłem rozważać, czy nie poczułbym się lepiej, gdybym napisał list do ojca i przeprosił za to, że go nie odwiedzę. Lecz kiedy znalazłem pióro i papier, uświadomiłem sobie, że nie mogę tego zrobić, bo gdyby matka się dowiedziała, gotowa by się ode mnie odwrócić. Poza tym niewykluczone, że ojciec próbowałby wykorzystać ten list przeciwko niej. Mógłby zanieść go do sędziego i walka zaczęłaby się od nowa. Nie chciałem mieszkać z ojcem. Właściwie nie chciałem się z nim także widzieć. Drummond miał rację. W zasadzie Drummond zawsze miał rację. Najlepiej dla mojej matki, najlepiej dla mnie...

Nagle zdałem sobie sprawę, że bardzo się boję Drummonda — ale nie tego Drummonda, który wyrzucił kapelusz w powietrze i kupił fiolki mojej matce. Bałem się tego drugiego Drummonda, tego od lamp Tiffany'ego i naładowanej broni oraz pogroźek wypowiedzianych łagodnym głosem. Byłem ciekaw, co stało się z tą bronią. Wiedziałem, że przywiózł ją do Irlandii; zniknęła gdzieś, ponieważ bez mrugnięcia powiedział inspektorowi okręgowemu, że nie ma żadnej broni.

Znowu kłamstwa. A kłamstwa nigdy nie są dobre, niania zawsze to mówiła. Morderstwo też nigdy nie jest dobre.

Lepiej o tym nie myśleć.

O dziesiątej matka zastukała do moich drzwi i zapytała, czy może wejść.

— Nadal jesteś na mnie zły? — powiedziała, a kiedy tępo pokręciłem głową, wzięła mnie w ramiona i przytuliła mocno.

— Przepraszam, że cię zasmuciłem — usłyszałem swój głos.

— Och, kochanie, wiem, że tego nie chciałeś... Przepraszasz pana Drummonda, prawda?

Zgodziłem się, a kiedy uśmiechnęła się do mnie, zauważyłem, że wygląda wyjątkowo pięknie. Jako dziecko brałem urodę mojej matki za coś naturalnego, ale teraz, u schyłku dzieciństwa, zaczynałem spoglądać na to piękno innymi oczami. Dobiała już czterdziestki, ale patrząc na nią, nie myślało się o wieku. Myślało się raczej o jej ciemnych włosach, nigdy matowych, tak wspaniale połyskliwych, że kiedy tylko padło na nie światło, zawsze lśniły. I myślało się też o jej cerze, która nie była chorobliwie blada jak u wielu dam, ale kremowobłada z leciutkim oliwkowym odcieniem. I wreszcie myślało się o jej figurze, która, jak instynktownie wiedziałem nawet ja mimo młodego wieku, była idealna, choć nie tak smukła jak w czasach mojego dzieciństwa. Tego dnia miała na sobie suknię wieczorową z cieniutkim szalem. Widziałem długą linię jej szyi i ciemny rowek między piersiami.

— Dobranoc, kochanie. Pocałuj mnie jeszcze.

Podsunałem jej posłusznie policzek.

— Mamo — zapytałem — gdyby pan Drummond chciał mnie zbić, pozwoliłabyś mu?

— Cóż, ja... oczywiście to zależy od tego, co byś zrobił, ale gdybyś zasłużył... Jestem pewna, że Maxwell nie zrobiłby tego, gdybyś nie zasłużył...

— Rozumiem.

— Ned, on odpowiada za ciebie jak ojciec. Logiczne więc, że powinien mieć również ojcowskie prawa.

— Tak.

Wyszła. Zdmuchnąłem świecę i wślizgnąłem się do łóżka. W końcu nadszedł świt i o wpół do szóstej zasnąłem.

III

Mimo paskudnej Wielkanocy lato okazało się weselsze niż śmiałem marzyć.

Przyjechał do nas Denis Drummond.

Przybył pod koniec kwietnia, kiedy powinienem był być w Anglii. Choć zamieszkał ze swoim ojcem w domu starego MacGowana, Drummond przywoził go do Cashelmary codziennie zaraz po śniadaniu. Był w moim wieku, miał jasne włosy, piegi i nic do powiedzenia. Było mi go żal.

— Jeździsz konno? — zapytałem z nadzieją. Wydawało mi się, że to zbyt dobra okazja na zawarcie przyjaźni z moim rówieśnikiem, żeby ją przegapić. Byłem zdecydowany okazać mu gościnność.

Potrząsnął głową.

— Łowisz ryby? Pływasz? Wiosłujesz?

Na wszystko kręcił głową.

— Co chciałbyś robić?

— Wrócić do Dublinu — odparł.

Drummond usłyszał to przypadkiem i był wściekły. Wygłosił Denisowi długie kazanie o tym, iż powinien być wdzięczny, że może spędzić trochę czasu na wsi w majątku dżentelmena, zamiast gnuśnieć w ciasnym, śmierdzącym, brudnym mieście.

— Ned jest taki dla ciebie przyjazny! — mówił Drummond z gniewem. — Masz się natychmiast poprawić i być dla niego grzeczny!

Kąciki ust Denisa opadły.

— Mów głośno i przestań się dąsać!

W tej rozmowie najbardziej zdumiało mnie to, że Drummond nie był sobą. Kiedy mnie strofował, robił to, gdy byliśmy sami, a jeśli czasami widział mnie nieszczęśliwego, jak Denis teraz, zamieniał się w chodzącą życzliwość.

— Między nami nigdy dobrze się nie układało — powiedział Denis później, kiedy siedzieliśmy na skraju mojego łóżka, pijąc portera z kubków do mycia zębów. — Zawsze był mną rozczarowany, a jak próbowałem go zadowolić, niczego to nie zmieniało.

— Okropnie mu zależało, żebyś tu był — rzekłem z nadzieją, że go rozchmurzę. — Bardzo na to czekał. Szkoda, że nie widziałeś, jaki był zawiedziony, kiedy twój brat nie przyjechał.

— Max by tego nie zrobił. Ma dwadzieścia lat, to i łatwo może się sprzeciwić ojcu. Moje siostry, te, które jeszcze nie wyszły za mąż, przyjechałyby, ale matka się nie zgodziła ze względu na niemoralność. — Zaczerwienił się. — Twierdziła, że ja też nie powinienem jechać, ale powiedziałem, że muszę. Chciałem ucieszyć ojca. Teraz widzę, że nie musiałem się starać.

— Cóż, ja się cieszę, że przyjechałeś — odparłem i ofiarowałem mu napoczętą paczkę papierosów, którą Drummond zostawił u mnie kiedyś.

Zostaliśmy przyjaciółmi. Niebawem pokazałem mu, jak się jeździ konno; przyznał, że z końmi jest lepsza zabawa niż z osłami. Zwykle jeździliśmy do Clonareen. Wkrótce przedstawił mnie swoim krewnym z rodu O'Malleyów. Przyjemnie było znać więcej chłopców w moim wieku. Szybko utworzyliśmy coś, co Amerykanie nazywają „gangiem” — grupę, w której wszyscy się lubią i mają wspólne zainteresowania. Należeli do nas nie tylko O'Malleyowie; był też jeden O'Connor, jeden O'Flaherty i jakiś Castelleo. Po tygodniu czy dwóch kilku chłopaków od Joyce'ów zgłosiło się do mnie z odpowiednimi dowodami przyjaźni — zabytkową skrzynką i solidną łopatą — i poprosiło o przyjęcie do paczki. O'Malleyowie natychmiast zaprotestowali, ale nie zważałem na to. Oni i Joyce'owie wiecznie toczyli te swoje absurdalne waśnie rodowe, ja zaś nie widziałem w tym żadnego sensu.

Toteż pozwoliłem Joyce'om dołączyć do nas, ale kazałem im przysiąc, że zachowają spokój. Na O'Malleyach wymusiłem podobne ślubowanie. Ciekaw byłem, jak długo będą w stanie dotrzymać przyrzeczenia, nie było jednak żadnych problemów. Przy rodzicach musieli udawać, że się nienawidzą, lecz kiedy w zasięgu wzroku nie było nikogo powyżej osiemnastu lat, byli najlepszymi przyjaciółmi.

Na stoku nad Cashelmarą stała zrujnowana chata, w której urządziliśmy naszą kwaterę. Spotykaliśmy się tam, chodziliśmy polować na króliki lub łowić ryby, a potem wracaliśmy do chaty, by przyrządzić to, co złapaliśmy. Ja dostarczałem portera (Drummond zabronił mi tykać samogonu, póki nie skończę szesnastu lat) i wyznaczałem jednego chłopaka do kupowania papierosów od druciarza, który nimi handlował. Druciarz jednak pojawiał się w dolinie tylko raz w miesiącu, więc ten towar był rzadkością. Zwykle dzieliliśmy się jednym papierosem—każdy pociągał dymka i przekazywał dalej, a kiedy papieros był już wypalony do samego końca, zaczynały się opowieści. Siadywaliśmy przy ognisku, historie zaś dotyczyły zwykle nieszczęsnych Irlandczyków ciemieżonych przez niegodziwych Anglików. Ja najczęściej opowiadałem o Zachodzie Ameryki, co nawet im się podobało. Najbardziej lubili opowieść o ostatnim wycyznie Custera; wymyśliłem też masę bzdur o Jassie Jamesie.

Było to wspaniałe lato. Rzecz jasna musiałem nadal się uczyć, ale robiłem to razem z Denisem, dzięki czemu nawet lekcje były świetną zabawą. W końcu nauka się skończyła, pan Watson pojechał na wakacje do Anglii, a Denis i ja mieliśmy wolne i mogliśmy robić, co nam się żywnie podobało.

W połowie sierpnia matka Denisa napisała, że chce, by wrócił do domu.

— Denis, nie chcesz wracać, prawda? — zapytał Drummond, źle to ujmując.

— Jeśli mamusia prosi, to jak mogę odmówić? — odparł Denis.

— Ach, więc ona prosi, tak? — rzekł Drummond, jak zwykle wpadając w gniew. — Ma Maxa i Bridget, i Mary Kate. Dlaczego nie miałbyś zostać ze mną trochę dłużej?

— Bo nie chcę — odparł Denis, choć wiedziałem, że jest inaczej.

— Ot i cholerna niewdzięczność! — krzyknął Drummond.

— Co jest niewdzięcznego w tym, że chcę wrócić do domu?

— Ta dolina jest twoim domem!

— Nie jest, dopóki mama nie może tu wrócić i zamieszkać z tobą, jak by chciała.

— Bzdura! Ona tego wcale nie chce.

Denis, struchlały ze strachu, nic nie powiedział.

— Co za bezczelność — rzucił Drummond, wciąż wściekły, ale zrezygnował z kłótni i jak niepyszny wyszedł z pokoju.

Po wyjeździe Denisa Drummond powiedział do mojej matki:

— Nie rozumiem tego chłopaka. — A ja pomyślałem: nie, nie rozumiesz. Bardzo mi brakowało Denisa, lecz najbardziej kłopotliwe było to, że mimo swoich narzekań Drummond także za nim tęsknił. Przez całe lato unikałem go jak mogłem, teraz jednak szukał u mnie pociechy i było mi znacznie trudniej przed nim uciec. Stale szukałem wymówek, mimo to czasem nie miałem wyboru i musiałem jechać na konną przejażdżkę. Nie żeby mi to jakoś szczególnie przeszkadzało — wypruwał z siebie żyły, by być miłym — ale w miarę upływu czasu zaczynałem się czuć w jego towarzystwie coraz mniej swobodnie. Nie było to spowodowane wyłączeniem jego nieuczciwą rozgrywką z moim ojcem; wciąż budziła moją odrazę, niemniej miałem ją za sobą i postanowiłem o tym nie myśleć. Ojciec nie odezwał się przez całe lato, natomiast ciotka Madeleine doniosła bez komentarzy, że ma kolejny atak pijaństwa.

— Nie wolno ci się tym martwić, Ned — powiedziała mi matka. " — Nie ma potrzeby.

Mówiąc to, zerknęła na Drummonda. Nagle uświadomiłem sobie, że nie czuję się przy nim swobodnie, ponieważ krępuje mnie obecność matki. A zatem to ich związek stawał się dla mnie coraz bardziej niepokojący. Początkowo nie rozumiałem, dlaczego niby miałby mi raptem zaprzętać głowę, skóro już dawno zdecydowałem się go zaakceptować. W końcu niejasno zacząłem sobie zdawać sprawę, że zmiana zaszła nie w nich, lecz we mnie.

Stałem się nienormalnie wyczulony na każdy niuans zachowania matki wobec Drummonda. Wyłapywałem każde znaczące spojrzenie, studiowałem każdy uśmiech, zauważałem nawet dokładnie krój każdej sukni wieczorowej z dużym dekoltem. Starałem się tego nie robić, lecz było to silniejsze ode mnie. Miałem świadomość fizycznych zalet mojej matki i potrafiłem w najdziwniejszych porach dnia myśleć o nich tęsknie. Ale najgorsze w tym wszystkim były noce, kiedy leżałem w łóżku

i przypominałem sobie różne sceny z przeszłości. Newport i szorstka, opalona ręka Drummonda spoczywająca ciężko na szczupłym, białym ramieniu mojej matki; maleńkie nowojorskie mieszkanie Drummonda, łóżko skrzypiące w sąsiednim pokoju, kiedy rozbudzony leżałem w ciemności na kanapie; duży pokój w Bostonie, gdzie Drummond i moja matka leżeli razem w łóżku... W tych dniach zawsze myślałem o nich leżących razem w łóżku. Gardziłem sobą, że po głowie chodzą mi takie rzeczy, ale tamtego lata mój umysł i szacunek dla siebie nie szły w parze.

— Muszę być rozsądny — powiedziałem na głos do siebie, spiesząc pod górę do zrujnowanej chałupy na spotkanie z przyjaciółmi. — Nie będę o tym myśleć.

Wtedy jednak stało się coś jeszcze gorszego — zacząłem zwracać uwagę również na inne kobiety. Zauważyłem, że panna Cameron, guwernantka, ma płaską klatkę piersiową, a Bridge, pomywaczka, wręcz przeciwnie. Podejrzałem raz jeszcze legendarne kostki ciotki Madeleine, gdy przyjechała do Cashelmary na podwieczorek. A za każdym razem, kiedy mój wzrok spoczywał na tych kobiecych atrybutach, wspomnienia znowu zaczynały mi galopować przez głowę — skrzypiące łóżko, ręka na ramieniu, czułe spojrzenia, których niegdyś nie umiałem odczytać, bo byłem za młody...

— Piekło i wieczne potępienie — mruzczałem do siebie, leżąc bezsenie w ciemności, i wysiłkiem woli, niemal na krawędzi hipnozy, usuwałem z myśli te obrazy. Kiedy jednak zasypiałem, czekały na mnie sny, sny przepełnione sprośnościami. Rano cały nieszczęśliwy mówiłem sobie, że nie ma nic obrzydliwszego, jak mieć czternaście i pół roku, posiadać ciało, a do tego umysł żyjący swoim własnym życiem, nie poddający się kontroli.

Te nieprzyzwoite rojenia były jednak lepsze od lamp Tiffany'ego. Sen o nich wracał przynajmniej raz w miesiącu, lecz przyzwyczałem się już do niego i nie pozwalałem, by mnie przestraszył. Czasem nawet udawało mi się obudzić, zanim sen doszedł do wnętrza restauracji, i obywało się bez niepokoju. Denerwowało mnie tylko, że przerywa mi wypoczynek.

Po wyjeździe Denisa przybył w odwiedziny wuj Thomas. Wuj David został w domu, by opiekować się moim ojcem.

— Czy wszystko w porządku, Ned? — zapytał wuj Thomas, kiedy zostaliśmy sami. — Ostatnio byłeś bardzo spokojny.

— W porządku — odparłem. — Jak najbardziej.

— To dobrze. Z zadowoleniem stwierdzam, że Drummond nadal wydaje się bardzo sumiennie zarządzać majątkiem, choć szkoda, że brak mu wykształcenia, by lepiej prowadzić księgi. Ale rozmawiałem z twoją matką, która obiecała dopilnować, żeby robił to jak należy... Szkoda, że zmieniła zdanie co do wyjazdu dzieci do Patricka, ale sądzę, że jej opór był uzasadniony. Rzecz jasna, nie ma sensu zastanawiać się nad odwiedzinami teraz, kiedy on znowu pije.

Milczałem.

— Postanowiłem wspomnieć o tym — ciągnął wuj Thomas — na wypadek gdybyś czuł się winny, że nie chciałeś pojechać do ojca na Wielkanoc. Rozumiem, że w tej chwili konfrontacja z ojcem byłaby dla ciebie szczególnie przygnębiająca — może jednak kiedyś później...

Otworzyłem usta, by powiedzieć mu prawdę, lecz zaraz je zamknąłem: gdybym to zrobił, mógłbym napytać matce biedy.

— Porozmawiajmy o czym innym — rzekł wuj Thomas pośpiesznie, źle odczytując powód mojego zakłopotania. — Jak ci się układało z synem Drummonda?

— Bardzo dobrze, dziękuję.

— Wspaniale. Szkoda, że nie ma tu chłopca z twojej sfery. Gdybyś zmienił zdanie na temat szkoły...

— Nie.

Wuj Thomas wyjechał pod koniec sierpnia, a dwa dni później z Clonareen Court przybyła kuzynka Edith, wdowa po Hughu MacGowanie.

Nie widziałem jej od wyjazdu do Ameryki, bo zaraz po zamordowaniu MacGowana udała się do Edynburga, gdzie miała dom. Ostatnio matka napisała do niej prosząc o zabranie rzeczy z Clonagh Court, ponieważ było oczywiste, że nie ma zamiaru tam wrócić. Drummond wpadł na pomysł, że zamiast odbudowywać stary dom, mógłby, będąc zarządcą, oficjalnie korzystać z Clonagh Court. Zbudowany jako dom posagowy, był okazalszy niż domek starego MacGowana, w którym Drummond mieszkał, odkąd wróciliśmy do Cashelmary.

Kuzynka Edith posiadała rozłożyste biodra, duże bezkształtne piersi, nie miała talii, a kiedy się poruszała, słychać było, jak trzeszczy jej gorset. Byłem absolutnie pewny, że uda ma równie potężne jak resztę. Gdy wstąpiła do Cashelmary, przez pierwsze pięć minut wyobrażałem ją sobie ubraną tylko w parę czarnych pończoch. Byłem tak pochłonięty tym wstrętnym, lecz jakże absorbującym ćwiczeniem umysłowym, że minęło sporo czasu, zanim zdałem sobie sprawę, że coś do mnie mówi.

— Ned! — skarciła mnie matka z dezaprobatą. Była ogromnie wzburzona, ponieważ nie przypuszczała, że Edith wpadnie z wizytą. W przeszłości były zaprzysięgłymi wrogami i ledwie ze sobą rozmawiały.

— Przepraszam, kuzynko Edith — powiedziałem. — Co mówiłaś?

Kuzynka Edith zapytała, co porabiam, kiedy nie mam lekcji z panem Watsonem.

— Chodzę na ryby i poluję — odparłem. — Czasem wypływam łódką na jezioro.

— Sam?

— Nie, mam sporo przyjaciół.

— Jakich przyjaciół?

— Edith — wtrąciła matka — muszę ci pokazać obrazki Jane. Jak na dziewczynkę, która nie ma jeszcze siedmiu lat, są wspaniałe...

— Jak nazywają się twoi przyjaciele, Ned?

— Joyce, O'Malley, Castelloe... — Coś w wyrazie twarzy matki sprawiło, że przerwałem. — Zwykłe nazwiska z doliny — wymamrotałem. Okazałem się mało przebiegły, nie przewidziałem bowiem, że kuzynka Edith uzna moich przyjaciół za bardzo pospolitych. A przecież nie chciałem wprawiać w zakłopotanie matki.

— Pobiegnę tylko na górę po resztę dzieci — powiedziała matka.
— Może pójdziesz ze mną, Ned? Wybacz nam, Edith.

— Och, Ned! Nie zostawisz mnie chyba samej! — zawołała kuzynka Edith, w obrzydliwy sposób usiłując przywołać na twarz ujmujący uśmiech. — Gdzie się podziała twoja rycerskość? Wyśmienicie, Saro, przyprowadź tu dzieci.

— Cóż, może...

— Och, proszę! Tak bardzo chciałyby zobaczyć kochane maleństwa! — rzuciła kuzynka Edith.

Matka, podstępnie wyproszona z salonu, wyszła z ociąganiem.

— No tak, Ned — zaczęła kuzynka Edith. — Stwierdzam, że twoja droga matka bardzo dobrze wygląda. Jakże to miło, że ma pana Drummonda, który się nią zajmuje, prawda?

— Rzeczywiście dobrze wygląda, zgadzam się.

— Czy często widzisz pana Drummonda?

— Od czasu do czasu.

— To znaczy kiedy? — zapytała.

— Na obiedzie.

— Co wieczór? Jak to miło! I na śniadaniu też?

— Nie.

— Jada śniadania sam z twoją matką?

— Nie, w swoim domu.

— Dajże spokój, Ned, nie jesteś ze mną szczerzy! Obydwoje wiemy, jak sprawy wyglądają, prawda?

Nie odpowiedziałem.

— Czy matka zabiera cię co niedziela do kościoła?

— W kaplicy jest msza raz w miesiącu.

— Mama chodzi na nią?

— Niania nas zabiera — odparłem i poniewczasie ugryzłem się w język, zły, że nie skłamałem i nie powiedziałem „tak”.

— Tak się cieszę, że twoja matka nie jest hipokrytką — skomentowała kuzynka Edith. — Wyznam, że brzydzę się hipokryzją. Czy lubisz pana Drummonda?

— Lubię go o niebo bardziej niż tego diabła, pana MacGowana! — rzuciłem, zanim zdołałem się zastanowić. — I jeśli skończyłaś już obrażać moją matkę, może zechciałabyś wyjść.

— Ned! Jakże jesteś niegrzeczny!

Wyrwało mi się wtedy pewne słówko, które nie powinno było paść. Bardzo głupio zrobiłem, okazało się to bowiem wodą na młyn kuzynki Edith.

— Iw dodatku przeklinasz! — wycedziła. — Gorzej niż szewc! Wyszedłem.

Dwa tygodnie później, wkrótce po wizycie kuzynki Edith w Surrey, mój ojciec za pośrednictwem adwokatów poinformował matkę, że podejmuje kroki zmierzające do odebrania dzieci spod jej opieki i unieważnienia dokumentu cedującego na mnie Cashelmarę.

ROZDZIAŁ TRZECI

I

— Nigdy mu się nie uda — powiedział Drummond. — Dokument jak najbardziej legalny, a jak może odebrać ci dzieci, skoro nadal jest pijaczyną?

— Nie prosi o dzieci dla siebie — odparła matka. Miała ciemne sińce pod oczami. — Chce je przekazać pod kuratelę sądu, żeby sąd mógł im wyznaczyć opiekunów...

— Nie są w stanie udowodnić, że nie jesteś wspaniałą matką!

— Ale cudzołóstwo, Maxwellu... — wyszeptła. Ku mojemu przerażeniu zobaczyłem, że płacze. — Edith poświadczy... Wiedziałam, że przyszła tylko na przeszpiegi.

— Tak, i dowiedziała się, że tu nie mieszkam... że nigdy nie spędziłem nocy pod tym dachem.

— Ale służba... Ta służąca, którą zwolniłam, bo nam przeszkodziła... ona poszła prosto do Edith, jestem pewna, i dlatego Edith przyjechała... — Płakała tak bardzo, że nie była w stanie dalej mówić.

— ^ Mamo... — wykrztusiłem. Byłem w takim napięciu, że ledwie wiedziałem, co mówię. — Nie wolno ci płakać. Papa tak samo groził wcześniej i nic nie zyskał. Proszę, nie płacz. Proszę.

— On nigdy nie da mi spokoju — rzekła. — Póki on żyje, nie zaznam chwili wytchnienia.

— Kochanie, wiesz, że to nie wygląda tak czarno — powiedział Drummond, pochylając się nad nią. — Czy nie ufasz mi, że jak zwykle znajdę wyjście z tarapatów?

— Niewiele wyjść już zostało — odparła. — Stracę dzieci, a jeśli wyrzuci mnie z Cashelmary, ciebie też stracę.

— Saro...

— Nie będzie pieniędzy — mówiła szlochając — i stanę się dla ciebie zbyt dużym ciężarem. Nie jestem już młoda. Zostawisz mnie.

Potrząsnął ją za ramiona.

— Nigdy cię nie opuszczę — powiedział. — Rozumiesz? Nigdy! Ile razy mam ci to powtarzać?

— Ale jeżeli nie będzie pieniędzy...

— Zdobędę pieniądze. Na razie zostajemy tutaj.
— Ale jeśli Patrick unieważni dokument...
— To tylko gadanie! Tyle jego, co sobie pogada. Na pewno nie uda mu się unieważnić aktu darowizny!

— Może powiedzieć, że wtedy był chory, że dokument został wyciągnięty od niego podstępem, pod przymusem... Och, Maxwellu, jest wiele pretekstów, które można wymyślić, a Rathbone to taki dobry prawnik!

— Nie on jeden jest dobry. My zatrudnimy wszystkich pozostałych. Trzymał ją w ramionach, a kiedy zobaczyłem wyraz jej twarzy, odwróciłem się i wyjrzałem przez okno. Z zapadłej ciszy wynioskowałem, że się całują. Widziałem ich sylwetki odbite niewyraźnie w szybie. Poczułem się skrępowany. Pragnąłem, żeby przestali, ale oni jakby o mnie zapomnieli.

Moje zakłopotanie rosło, aż stało się nie do zniesienia. Nie patrząc na nich, wypaliłem:

— Mógłbym zobaczyć się z ojcem i poprosić go, żeby zostawił wszystko, jak jest. Może mnie posłucha i okaże wspaniałość.

Ich sylwetki w odbiciu rozdzieliły się i matka z goryczą powiedziała:

— Teraz twój ojciec za nic nie okaże wspaniałości. Sprawy zaszyły za daleko. Nie uwierzy nam, nawet jeśli obiecamy, że będziesz mógł go odwiedzać.

— Musimy zasięgnąć porady prawników — stwierdził Drummond.

Następnego dnia matka wyjechała do Dublina po poradę prawną. Uznano, że lepiej będzie, jeśli wybierze się w tę podróż sama, bo towarzystwo Drummonda jedynie wywołałoby więcej plotek, a chciała zrobić na prawnikach możliwie najlepsze wrażenie.

Dwa dni później przyjechała do nas ciotka Madeleine, by zakomunikować, że kuzynka Edith nie tylko wróciła do Clonagh Court, ale jeszcze przywiozła ze sobą mojego ojca.

II

Ojciec chciał natychmiast jechać do Cashelmary po dzieci, lecz ciotka Madeleine zdołała mu to wyperswadować i zmusić go, by poczekał na rozmowę z matką.

— Ale matka pojechała do Dublina na spotkanie z prawnikami — powiedziałem — i nie wiem, kiedy wróci.

Byliśmy w saloniku na dole. Cherubinki na porcelanowym zegarze zajęły się wybijaniem godziny jedenastej, a za oknem deszcz ciął ostro nie strzyżony trawnik.

— Może to i dobrze, że twojej matki nie ma — rzekła ciotka Madeleine, zaskakując mnie. — Gdyby była, bez wątpienia załamałaby się nerwowo, a to by bardzo skomplikowało sytuację. Poczekaj. Lepiej ustalę z nianią... panią Gray, czy tak?... Żebyście wszyscy pojechali na kilka dni do Salthill. O tej porze roku morskie powietrze działa na dzieci wyjątkowo krzepiąco.

Patrzyłem na nią zdumiony.

— To znaczy... nie rozumiem... Nie uważasz, że papa powinien się z nami zobaczyć?

— Oczywiście, że nie! Przede wszystkim nie ma absolutnie żadnego prawa przyjeżdżać tu i zabierać was wbrew wyrokowi sądowemu. Po drugie, znowu bardzo dużo pije i w żadnym razie nie może sprawować nad wami opieki. Sytuacja jest zupełnie inna niż na początku roku, kiedy nie pił i żądał spotkania z wami w odpowiedni sposób. Oczywiście całą winę za tę kłopotliwą sytuację ponosi Edith. Twój wujowie byli stanowczo przeciwni wyjazdowi Patricka z Anglii, ale Edith wpłynęła na niego, a kiedy twój ojciec raz podjął decyzję, nic nie mogło go od niej odwieść. Najlepsze, co można teraz zrobić, to wywieźć dzieci w nieznanym kierunku i czekać, aż Patrick odzyska rozsądek. Musi zdać sobie sprawę, że porwanie was to najgorszy pomysł. Jeśli chce, aby wyrok w kwestii praw rodzicielskich został zmieniony, musi się o to starać na drodze sądowej.

— Ale ciociu... ty uważasz, że powinniśmy nadal mieszkać z mamą, prawda? Nie miałbym nic przeciwko odwiedzeniu ojca, ale...

— Oczywiście, że byłoby niewłaściwe, gdybyście żyli z nim stale. Musi przestać pić, dopiero wtedy można to ponownie rozważyć. Jeśli chodzi o twoją matkę, to sama wiem, co myślę. Nie mogę pochwalać jej związku z tym człowiekiem. Bardzo niedobrze, że jesteście świadkami tego na co dzień. John się nie liczy, on zawsze będzie za młody, żeby zrozumieć, ale to oburzający przykład dla dorastających dziewczynek i Bóg jeden wie, jaki to ma wpływ na ciebie. Można się tylko modlić, jak robię codziennie, że przetrwasz z nie naruszonymi zasadami moralnymi.

— Nie chcę być zabrany od matki — usłyszałem swój głos.

— Nie, oczywiście, że nie. Mimo tego, co właśnie powiedziałam, nie uważam, żeby cię należało zabrać. Te nieustające zaciekle boje twoich rodziców są gorsze niż codzienny widok związku twojej matki z Maxwellem Drummondem. O tym właśnie muszę przekonać Patricka, kiedy wrócę do Clonareen. Teraz powinnam porozmawiać z nianią, żeby jak najszybciej przygotowała was do wyjazdu do Salthill.

Wyruszyliśmy do Salthill jeszcze tego popołudnia i ku mojej uldze, Drummond pojechał konno z nami. Ciotka Madeleine była temu przeciwna, lecz mieliśmy przecież nocować w Oughterard, a podróż z trójką małych dzieci jest trudna nawet bez komplikacji w postaci noclegu. Drummond znalazł dla nas pokoje, dopilnował, żeby dobrze

oporzędzono konie, i dał napiwki właściwym ludziom, mieliśmy więc znakomitą obsługę. Nie wiem, co bym zrobił, gdyby go z nami nie było. Kiedy następnego dnia dotarliśmy do Salthill, ulokował nas w spokojnym hoteliku niedaleko promenady i został, dopóki panna Cameron i pan Watson nie przybyli z bagażami drugim powozem, wynajętym w Leenane. Wtedy dopiero powiedział, że odjeżdża.

— Miło byłoby spędzić z wami kilka dni nad morzem — rzekł — ale lepiej wrócić do domu na wypadek, gdyby wasz ojciec spłatał jakieś nowe figle.

— Szkoda, że nie wiem, kiedy mama wraca z Dublina.

— Może być w Galway jutro. Pomyślałem, że zanim wyjadę, wpadnę do Great Southern Hotel i zostawię dla niej liścik z informacją, gdzie jesteście. Może ją za kilka godzin zobaczycie.

Miała słuszną przyczynę: przyjechała. Miała czerwone od płaczu oczy i ubranie wymięte po długiej podróży pociągiem. Nie zatroszczyła się, by porządnie upiąć włosy, toteż rozsypały się, kiedy tylko zdjęła kapelusz.

— Wygląda pani na bardzo zmęczoną, milady — zauważyła od razu niania. — Powinna pani się położyć i odpocząć pół godzinki.

— Och, nie — odparła matka. — Muszę zobaczyć dzieci. Muszę zobaczyć dzieci... — Była zupełnie oszołomiona.

Po chwili milczenia niania powiedziała:

— Przyprowadzę je. Są teraz z panną Cameron. Ned, kochanie, zamów herbatę dla mamy.

— Co się stało, mamó? — zapytałem, kiedy zostaliśmy sami.

— Nie byli pewni co do aktu darowizny. Uważają, że mógłby zostać unieważniony. Ale powiedzieli, że z łatwością możecie przejść pod kuratelę sądu, jeśli wasz ojciec wystąpi z takim wnioskiem. Nie wiesz, czy już go złożył? Powiedziałam adwokatowi, że nie wiem, czy to zrobił.

— Nie wiem. Mamó, czy gdybyśmy przeszli pod kuratelę sądu, znaczyłoby to, że sąd może wyznaczyć na przykład wuja Thomasa albo ciotkę Madeleine na naszych opiekunów? Bo jeśli tak, to zostaniemy z tobą. Ciotka Madeleine tak powiedziała.

— Jest prawie pewne, że sędzia na to nie pozwoli, bo w grę wchodzi cudzołóstwo... Poza tym nie chodziłam do kościoła, nie dawałam wam dobrego religijnego przykładu. I jeszcze jeden argument: nie posłałam cię do porządnej szkoły i pozwalałam ci bratać się z tymi wiejskimi chłopakami...

— Dobry Boże! — zdumiałem się, na chwilę zapominając o strachu.

— Jakimiż głupstwami martwią się ludzie!

— Muszę powstrzymać waszego ojca — rzekła, nie słuchając mnie.

— Muszę się z nim porządnie dogadać. Wracam dziś wieczorem do Cashelmary, a potem wstąpię do Clonagh Court...

— Mamó, nie możesz dzisiaj wracać! Czterdzieści mil? To niemożliwe! Zostań tutaj na noc. Proszę, zostań.

— Ale jutro muszę wyjechać bardzo wcześnie. Nie ma czasu do stracenia. — Oczy jej błyszczały, jakby miała gorączkę. — Muszę się z nim zobaczyć. Muszę!

— Pozwól mi jechać z sobą.

— Nie! — odparła ostro, później zaś dodała łagodniejszym, normalnym tonem: — Zostań tutaj i opiekuj się maluchami. Proszę, Ned. To dla mnie bardzo ważne.

Zostałem więc. Przez trzy dni bawiłem się z bratem i siostrami na plaży albo w hotelu, a potem, trzeciego dnia, nareszcie przyjechał Maxwell Drummond i poprosił, żebyśmy porozmawiali na osobności.

III

Poszliśmy do mojej sypialni. Był to wąski pokój, a tapeta w ogromne róże sprawiała, że wydawał się jeszcze węższy. Znajdowało się tam krzesło i umywalka, wysoka komoda i mosiężne łóżko.

— Co się stało? — zapytałem cicho.

Usiadł na krześle. Nigdy nie myślałem o nim jako o młodym czy starym, ale teraz wyglądał na te swoje czterdzieści pięć lat. Oczy miał przekrwione ze zmęczenia, pogłębiły mu się zmarszczki wokół ust. Spojrzał na mnie bez wyrazu.

— Usiądź, Ned — powiedział.

Osunałem się na brzeg łóżka. Nic się nie stało, tyle że zrobiło mi się niedobrze i opanowało mnie okropne przecucie, że niebawem będzie jeszcze gorzej.

— Twoja matka pojechała do Clonagh Court, żeby się zobaczyć z twoim ojcem — zaczął. — Chciała się zachować przyjaźnie, nawet zawiozła mu jakiś upominki od dzieci. Ale jemu padło na rozum i wybuchła kłótnia. Twoja matka wyszła, a de Salis upił się do nieprzytomności. Następnego ranka był tak chory, że kuzynka Edith posłała po ciotkę Madeleine, która orzekła, że twój ojciec cierpi na chorobę zwaną marskością wątroby. Jest powszechna wśród pijaków i twój ojciec miewał jej ataki już wcześniej, a przez następną dobę był bardzo chory. W końcu zapadł w śpiączkę... — Drummond urwał.

Milczałem. Nad nami migotała lampa gazowa, za zasłoniętym oknem deszcz bębnił o parapet.

— Zmarł — powiedział Drummond.

Znowu na chwilę zapadła cisza.

— To się stało dziś rano... Ciotka Madeleine przyjechała do Cashelmary, żeby powiedzieć twojej matce. Rozmawiałem z nią. „Marskość

wątroby", stwierdziła, a ja kazałem jej powtórzyć to ze dwa, trzy razy, żeby się upewnić, czy dobrze zrozumiałem.

Znowu zamilkł. Zacisnąłem dłonie na krawędzi łóżka. Czekałem na zawrót głowy, lecz nie nadszedł. Kostki dłoni miałem białe.

— Przykro mi, Ned — powiedział Drummond. — Wiem, że kiedyś go kochałeś, wiem, że to dla ciebie wstrząs.

Nagle uświadomiłem sobie, że stoję przy oknie i wyglądam na zewnątrz. Padał spory deszcz.

— Gdyby pan mógł poprosić nianię, żeby powiedziała Johnowi i dziewczynkom... — rzekłem.

Ponieważ nie powiedziałem nic więcej, odparł:

— Oczywiście. Czy chcesz, żebym z tobą chwilę został?

Potrząsnąłem głową. Nie odszedł jednak. Odezwał się po dłuższym milczeniu:

— Jeśli myślisz... urwał. — Gdybyś mnie potrzebował, będę w pokoju piętnaście — dodał i wyszedł, zamykając delikatnie za sobą drzwi.

Siedziałem na brzegu łóżka i zastanawiałem się nad tą marskością wątroby. Po jakimś czasie pomyślałem: oczywiście musiało być to załatwione tak, żeby na ciele nie zostały żadne ślady. W przeciwnym razie niebezpieczeństwo byłoby zbyt duże. Sprytnie: upozorować chorobę, która często zabija pijaków. Żadnych problemów z doktorem Cahillem podpisującym świadectwo zgonu, nie robi się sekcji zwłok...

Zastanawiałem się, jak tego dokonano. Powszechnie było wiadomo, że mój ojciec znowu pije. Prawdopodobnie dosypano mu czegoś do samogonu. Kto? Służący? Kuzynka Edith musiała mieć przynajmniej kucharkę i jakiegoś człowieka do wszystkiego... Tak, jasne, że miała, bo Seamus O'Malley mówił mi kiedyś, że jego wuj jest stróżem w Clonagh Court. O'Malley. Krewny Drummonda. Oczywiście.

Wyrwałem kartkę z zeszytu do angielskiego, znalazłem pgrzyzek ołówka i zacząłem pisać: „Droży wujowie, mam powody, by sądzić...” Przerwałem. Czekaj. Pomyśl. Bądź ostrożny. Co z matką? Jak się z tego wywikła, jeśli na Drummonda padnie jakiegokolwiek podejrzenie? Była w Clonagh Court tego dnia, kiedy ojciec upił się do nieprzytomności. Poszła tam prawdopodobnie bez wiedzy Drummonda — ależ musiał być przerażony, gdy się dowiedział, że nieświadoma niczego, znalazła się w niebezpieczeństwie! Gdyby wykryto w ciele truciznę, policja natychmiast skierowałaby podejrzenia na moją matkę i być może Drummond wyszedłby bez szwanku.

Podarłem list, strzępy spaliłem w podstawce świecy przy łóżku.

Po dłuższej chwili zacząłem się zastanawiać, czy mój ojciec rzeczywiście nie zmarł na marskość wątroby. To było możliwe. Wiedziałem, co przytrafia się ludziom, którzy stają Drummondowi na drodze, ale przecież istniało jeszcze coś takiego jak zbieg okoliczności. Rozważyłem dokładnie swoje przypuszczenia: moja matka jest w rozpaczliwej

sytuacji; Drummond zrobiłby wszystko, żeby jej pomóc; i tak się składa, że mój ojciec umiera.

Ot i cały zbieg okoliczności.

Byłem zupełnie spokojny. Myślałem, że będę oszołomiony i roztrzęsiony, ale nie, potrafiłem więc myśleć rozsądnie. Morderstwo było złe. Jednakże byłoby jeszcze gorzej, gdyby moja matka została skazana za zbrodnię, której nie popełniła. Nie chciałem osłaniać Drummonda, lecz musiałem to robić, żeby chronić matkę. Nie miałem wyboru. Poza tym, mówiąc uczciwie, czy śmierć ojca nie była najlepszym rozwiązaniem? W przeszłości zadał mojej matce ogromne cierpienia, a zmarł, kiedy szykował się zadawać jej dalsze. Przykro mi było, że nie żyje, to jasne, zresztą tak wypadło. Ale przecież w sytuacjach krytycznych naprawdę nikt nie miał z niego pożytku, a już najmniej ja. Owszem, kiedyś go bardzo kochałem, lecz to już skończone, całą miłość zniszczyło to jego ohydne postępowanie. Nie odczuwałem potrzeby ani żalu, ani grzebania się w przeszłości.

Leżałem rozbudzony przez całą noc i myślałem o nim.

Myślałem o książce o rycerzach Okrągłego Stołu, którą mi kiedyś podarował. „Och, papo! ale byś się dobrze prezentował w zbroi krzyżowca!” wykrzyknąłem, a on się roześmiał. „Nie jestem bohaterem, Ned”, powiedział. Właśnie tak, zapamiętałem każde słowo: „Nie jestem bohaterem”...

Potem trochę płakałem, choć nie wiedziałem dlaczego. Nie miało to żadnego sensu. Gdybym tylko mógł w tym znaleźć jakiś sens... Bałem się zasnąć, bo a nuż znowu by mi się przysniły lampy Tiffany'ego?

Wróciliśmy do Cashelmary. Matka chodziła półprzytomna i doktor Cahill zaglądał codziennie, aby ją zbadać. Po przyjeździe moich wujów z Anglii ustalono, że pogrzeb odbędzie się pod koniec tygodnia. Zauważyłem, że dwaj mężczyźni, którzy zwykle pomagali ojcu w ogrodzie, zniknęli na końcu Alejki Azaliowej, by wykopać grób.

— Bardzo to smutne — powtarzali wszyscy. — Musiało spotkać człowieka o jego nawykach, to oczywiste, niemniej jest bardzo tragiczne.

W dniu pogrzebu o świcie przyszło mi do głowy, że być może istnieje jakiś dowód na to, że Drummond popełnił to morderstwo bez wiedzy mojej matki. Mógł napisać do niej, przedstawiając zarys planu, a kiedy przestraszona pospieszyła do Dublina, by go powstrzymać, nie udało jej się dotrzeć na czas i ostrzec ojca przed wypiciem zatrutego samogonu. To by wyjaśniało, dlaczego tak spieszo jej było spotkać się z moim ojcem i dlaczego wyszła od niego tak gwałtownie. Wcale się nie pokłócili, lecz przy niej poczuł się źle i uciekła w panice...

Jeśli ten list jeszcze istniał — co wydawało się mało prawdopodobne — powinien się znajdować w sekretarzyku w buduarze matki.

Ubrałem się, cicho wyszedłem z pokoju i przemknąłem chyłkiem przez galerię nad holem. Nikogo nie widziałem: na służbę było jeszcze za

wcześniej, matka zaś nigdy nie wstawała o tej porze, ale musiałem być ostrożny, by jej nie obudzić, ponieważ buduar sąsadował z jej sypialnią.

Sekretarzyk, pięknie wypolerowany i elegancki, stał w rogu. Podszedłszy do niego na palcach, przeszukałem wszystkie szuflady. Dopiero kiedy nic w nich nie znalazłem, przypomniałem sobie o szufladzie sekretnej i sięgnąłem do ukrytej sprężyny. Matka pokazywała mi ją, kiedy byłem mały, pozwalała tam chować różne rzeczy.

Szczękniętym mechanizmem i sprężyna się otworzyła. Nabrałem już przekonania, że nie znajdę nic, co mogłoby mnie zainteresować, szalenie się więc zdumiałem, gdy ujrzałem listy. Były starannie poskładane i obwiązane czerwoną wstążką. Nie były to jednak listy Drummonda do mojej matki, lecz mojego ojca do mnie.

Nigdy ich nie widziałem. Pochodziły z czasów, kiedy byłem w Ameryce, a matka ukryła je przede mną, z jakiegoś powodu nie potrafiąc ich zniszczyć. Może planowała dać mi je, kiedy skończę dwadzieścia jeden lat, jakby były osobliwym spadkiem? To akurat miało teraz niewielkie znaczenie. Matka spała w pokoju obok, ja zaś usiadłem na sofie i przeczytałem wszystkie.

Jeden szczególnie utkwiał mi w pamięci: „Maxwell Drummond, który dopuszcza się morderstwa i gwałtu z taką łatwością, jakby rozdawał karty...”

Ojciec wiedział wszystko o Drummondzie.

Jeszcze raz przebiegłem list wzrokiem. „Wiem, że jesteś bardzo młody... trudno to zrozumieć... chciałem tylko być z tobą szczerzy... twój zawsze kochający i oddany ojciec...”

Złożywszy razem listy o żółknących już brzegach, przewiązałem je czerwoną wstążką, włożyłem pakiecik z powrotem do szuflady i wyszedłem.

Przez trawnik podążyłem do zagajnika. W Alejce Azaliowej panował mrok, lecz niebo nade mną jaśniało i pojedyncze ptaki zaczynały śpiewać. Dotarłem do kaplicy, ale nie wszedłem do środka. Mijając piękną marmurową płytę na grobie dziadka, przesunąłem lekko palcami po jej głębokich wyżłobieniach; przeskoczyłem, mogiły pradziadków, którzy zmarli na długo przed moim urodzeniem, i zatrzymałem się na krawędzi wykopanego grobu.

Było bardzo cicho. Nawet ptaki przestały śpiewać.

Nasłuchiwałem. Nie dobiegł mnie żaden dźwięk — lecz ja słuchałem moich wspomnień. Po tym, co powiedział mi Drummond w Nowym Jorku, wymazałem z pamięci wszystkie rozmowy z ojcem, teraz jednak rozmyślałem o widoku lamp Tiffany'ego, które na długie miesiące, na lata ukryły przede mną ojca. Kiedy nareszcie zobaczyłem za nimi prawdę, której tak bardzo bałem się stawić czoło, wiedziałem, że już nigdy nie będę śnił o tych lampach. Bariery, moja pamięć otwierała się na

przesłość. Znowu usłyszałem, jak ojciec opowiada mi o swojej przyjaźni z Hughem MacGowanem.

Źle zinterpretowałem to, co wtedy powiedział. Dopiero teraz, przy poblądłych lampach Tiffany'ego i przytłumionych brutalnych wyjaśnieniach Drummonda, będących ledwie zniekształconym echem, na nowo usłyszałem, co chciał przekazać mi ojciec: lepiej przyjąć do wiadomości prawdę; nie ma sensu udawać, że jest się kimś, kim się nie jest; on nie jest w stanie uszczęśliwić moją matkę...

Chciałem mu powiedzieć, że rozumiem, ale nie było na to czasu, już bowiem z pasją mówił o wszystkim, co miało dla niego znaczenie — o dzieciach, ogrodzie, domu rodzinnym.

Wspomnienie jego głosu przybladło, odeszło. Teraz myślałem o Drummondzie. Nie o tym Drummondzie, któremu ufałem, lecz o tym drugim, który ograbił mojego ojca z Cashelmary, odebrał mu ogród i najbliższe osoby; który zaplanował żyć z ziemi mojego ojca i za jego pieniądze, jednocześnie spijając z jego żoną. Próbowałem sobie przypomnieć, czy ojciec był kiedyś nieuczciwy — i nie potrafiłem. Przyznawał, że nierozsądnie gospodarował pieniędzmi, wyznał nawet, że był złym mężem, bo nie mógł kochać mojej matki, jak przystało na męża. Miał swoje słabości — tak, oczywiście, nigdy ich jednak nie zasłonił kłamstwem. Nie jego wina, że byłem zbyt młody i głupi, by zrozumieć to, co powiedział mi o MacGowanem. Przynajmniej próbował mi powiedzieć — to wystarczy.

I nagle przyszło mi do głowy: bardzo odważnie postąpił.

Wyobraziłem sobie, że z woli Boskiej mnie dotknęło takie ohydne skrzywienie i muszę wyjaśnić to synowi. Nie sądzę, bym kiedykolwiek znalazł w sobie dość odwagi. Wtedy właśnie pomyślałem: nic dziwnego, że musiał pić. Nikt nie może być odważny przez cały czas.

Zajrzałem do grobu czekającego na trumnę i raptem moje uczucia dla ojca zupełnie się wyklarowały. Zdumiało mnie, że tak długo mogły być do tego stopnia zamącone, bo przecież mój ojciec naprawdę był bohaterem, nie jakimś nierzeczywistym, istniejącym tylko na kartach dziecięcej książki, ale realnym człowiekiem, który był szczery wtedy, gdy odwaga zawodziła większość ludzi. I nie obchodziło mnie już, bo nie miało znaczenia, że był pijakiem i zбочerice: ojciec mnie kochał i tylko to się liczyło, a pe\vnego dnia...

Pewnego dnia naprawię to, że tak długo odwracałem się do niego plecami.

ROZDZIAŁ CZWARTY

I

Z początku nie wiedziałem, jak mógłbym naprawić szkody wyrażone ojcu. Ponieważ matka znajdowała się w nader niebezpiecznym położeniu, bezsensu byłoby opowiadać melodramatycznie o pomszczeniu jego śmierci. Później jednak, rozważywszy wszystkie możliwości, doszedłem do wniosku, że najlepiej byłoby usunąć Drummonda z Cashelmary. Cały szkopał polegał na tym, że wtedy nie wiedziałem, jak to zrobić nie zrażając do siebie matki. Co prawda majątek niewątpliwie był teraz mój, ale wciąż byłem nieletni i cała władza spoczywała w rękach rady familijnej. Teoretycznie wujowie mogli zwolnić Drummonda, lecz w praktyce... Matka na pewno by się sprzeciwiła i kłótnie zaczęłyby się od nowa. Na samą myśl o dalszych sporach robiło mi się niedobrze. Wolałem nawet powstrzymać się od działania, byle mieć spokój, uznałem bowiem, że kiedy skończę dwadzieścia jeden lat i stanę się panem samego siebie, potrafię taktownie dać do zrozumienia matce, że ona i Drummond powinni zamieszkać gdzie indziej.

Ponieważ trudno było liczyć na to, że do tego czasu znudzi się nim, będę musiał kupić im domek na wsi, gdzie będą mogli żyć dyskretnie, nie zawstydzając dziewcząt. Eleonor będzie wtedy prawie dorosła i szkoda by było, gdyby przez matkę straciła szansę na znalezienie porządnego męża. Dam matce skromną pensję, zatrudnię prawnika, by zajmował się jej finansami, i zabronię Drummondowi wstępu do Cashelmary. Będzie to, rzecz jasna, wymagało odwagi, ale nie przypuszczałem, bym w wieku dwudziestu jeden lat obawiał się kogokolwiek, nawet mordercy. A tymczasem będę po prostu czekał na odpowiedni moment. Teraz niewiele więcej mogłem zrobić, jak tylko schować głowę w piasek niczym przysłowiowy struś i odsunąć od siebie wszelkie myśli o morderstwie.

Odbył się pogrzeb. Johna dopadł atak astmy, tak że musiał zostać w łóżku, dziewczynki też nie poszły do kaplicy, bo niania stwierdziła, że Eleanor ogromnie to przeżywa, a Jane jest za mała. Ja byłem na pogrzebie. Matka płakała przez całą mszę, wujowie zaś byli śmiertelnie bladzi. Potem ciotka Madeleine mówiła o woli Boskiej. Przybyła także kuzynka Edith, lecz ani słowem nie odezwała się do mojej matki, a następnego dnia

wróciła do Szkocji. Jej siostra Clara, która pisywała do matki raz do roku, poinformowała nas później, że Edith osiadła w Edynburgu i zaangażowała się w walkę o wyższe wykształcenie dla kobiet.

Po nabożeństwie zastaliśmy Drummonda czekającego cierpliwie na zewnątrz. Odprowadził moją matkę do domu. Na jego widok udało jej się wreszcie opanować łzy.

— Biedna Sara — powiedział wuj David do wuja Thomasa. — Aż nie chce się wierzyć w te wszystkie lata, kiedy ona i Patrick byli ze sobą tacy szczęśliwi... Mimo wszystko trochę go jednak lubiła... W końcu jeśli kobieta urodziła mężczyźnie czwórkę dzieci, musiało istnieć jakieś uczucie, którego nic nie zatrze...

Ale wuja Thomasa zbyt pochłaniały myśli o kuzynce Edith, by odpowiedział.

— Bogu dzięki, że Edith nie została — szepnął mi na osobności. — Wiesz, co mi powiedziała? Że Patrick został zamordowany i że powinno się za to winić Sarę. Mój Boże, ta kobieta gotowa jest rzucić na twoją matkę każde oskarżenie! To obrzydliwe. — Musiał zobaczyć strach na mojej twarzy, bo dodał pośpiesznie: — Oczywiście powiedziałem jej, żeby uważała. Takie oświadczenia są zaskarżalne jako karygodne oszczerstwa. Nie ma powodu do obaw, Ned. Wątpię, by się jeszcze kiedyś odezwała.

— Nie mogła zażądać sekcji zwłok, prawda? — udało mi się wykrztusić. — Wiem, że nic by to nie dało, ale skandal tak by zaszkodził mamie...

— Sekcja była zupełnie zbędna — zapewnił wuj Thomas, który jako lekarz był obeznany z takimi sprawami. — Nie było podejrzanych okoliczności. Doktor Cahill uważał, że powinna być zrobiona jako czysta formalność, ale Madeleine uznała, że to bezcelowe, a ja się z nią zgodziłem. Jak zauważyłeś, jedyne, co by sekcja dała, to dodatkowy szum wokół twojej matki, a w ciągu ostatnich kilku lat ta rodzina dosyć już wycierpiała z powodu skandali.

— Doktor Cahill... nie miał, jak sędzę, wątpliwości co do przyczyny zgonu?

— Dobry Boże, nie! Wprawdzie w tym czasie był w Cong i właściwie nie widział twojego ojca, ale Madeleine powiedziała, że nie ma wątpliwości, a ona spotyka sporo przypadków marskości wątroby w lecznicy. Całkowicie ufam jej ocenie. Jeśli ona nie ma wątpliwości, ja też ich nie mam.

— Rozumiem — powiedziałem po chwili.

Wuj Thomas zniżył nagle głos.

— Ned, gdybym choć przez chwilę przypuszczał, że Drummond jest za to odpowiedzialny, to nie dbając o skandal, załatwiłbym z odpowiednimi władzami, żeby sekcję przeprowadzono. Ale nie bardzo są podstawy, żeby to zrobić. Nie tylko dlatego, że Drummond przez cały dzień

był w Cashelmarze, ciągle na oczach służby. Nie dlatego nawet, że trudno by mu było zdobyć jakąś trującą substancję. Po prostu nie mógłby zaaranżować czegoś podobnego, a potem pozwolić twojej matce jechać do Clonagh Court w czasie, kiedy dokonano zbrodni. Omówiłem to z Davidem. Zgadza się ze mną. a uważa się za wielkiego eksperta w tej dziedzinie ze względu na te powieści kryminalne, które czytuje. David zwrócił także uwagę na coś interesującego, o czym ja nie pomyślałem. Powiedział, że jego zdaniem Drummond jest typem bandyty. Broń tak, ale nie trucizna. Rozumiesz więc, że mając to wszystko na względzie, pozostaje nam tylko pogodzić się z faktem, że Patrick zmarł śmiercią naturalną.

— Tak, oczywiście, trzeba się pogodzić — przyznałem. Odczułem taką ulgę, że ledwie mogłem mówić, a nawet do oczu napłynęły mi łzy. Wuj Thomas przywrócił mi wiarę w sens przypadku, zbiegu okoliczności. Widząc, że ojciec mógł rzeczywiście umrzeć śmiercią naturalną, przestałem sobie zadawać pytanie, jak zniosę lata dzielące mnie od pełnoletności. Nie będę się już budził każdego ranka ze świadomością, że mieszkam w jednym domu z mordercą mojego ojca. Nie będzie mnie już dręczyć myśl o sekcji zwłok i ewentualnej groźbie wiszącej nad matką. Życie znowu mogło być niemal normalne. Rzecz jasna pewnego dnia będę musiał się pozbyć Drummonda, choćby przez wzgląd na pamięć mojego ojca, ale to może poczekać.

Czułem się tak, jakbym się obudził z przerażająco koszmarne snu. W przypływie radości ledwie słuchałem tego, co mówił mi pastor McCradle, protestancki kapłan z Letterturk, który podszedł do mnie ze słowami pociechy.

— Przyszło mi do głowy, że przy takiej okazji możesz potrzebować duchowego wsparcia — powiedział ze swoim brzydkim akcentem z Belfastu. — Śmierć ojca to zawsze trudna chwila dla młodego człowieka, a ponieważ twoja matka, niestety! nie chodzi regularnie do kościoła, ciotka zaś jest papistką...

Byłem w dobrym humorze, toteż słuchałem go uprzejmie. Zgodziłem się nawet, kiedy po długiej żałobnej mowie o życiu wiecznym zaproponował, że będzie mi dawał lekcje przygotowujące do bierzmowania.

— Będę przyjeżdżał raz w tygodniu na dwugodzinne nauki — powiedział, uśmiechając się szeroko.

— Tak, sir. Dziękuję sir — odparłem, także szczerząc zęby.

Dopiero kiedy wyszedł, dotarło do mnie, że nie czuję najmniejszego pragnienia, by zostać w pełni dojrzałym członkiem Kościoła. Nienawidziłem ponurej godziny porannego nabożeństwa raz w miesiącu i choć nigdy nie lubiłem mrocznej pustki kaplicy, nabożeństwo pogrzebowe mojego ojca obróciło zwykłą niechęć we wstręt.

Nie chciałem jednak zastanawiać się nad pogrzebem. Wciąż odczuwałem zbyt wielką ulgę i radość.

— Ned, wcale się już z nami nie bawisz — poskarżył się John tego popołudnia. Zdziwiająco szybko doszedł do siebie po ataku astmy.

— Kto by się tym przejmował — powiedziała Jane, tuląc swojego wstrętnego rudego kota. — Ja zresztą nie chcę się z nim bawić.

— Och, Jane, nie mów takich rzeczy! — skarciła ją Eleanor, podnosząc wzrok znad książki.

— Mówię, co mi się podoba — odparła Jane, patrząc na mnie groźnie. — Chodź, Ozymandias, mój skarbie. Pójdziemy poszukać mamy. To towarzystwo zupełnie nam nie odpowiada.

Po raz pierwszy przyszło mi do głowy, że zachowuję się absurdalnie, nie chcę się zaprzyjaźnić z dziewczynką połowę ode mnie młodszą. Czy możliwe, żebym był zazdrosny o uwagę, jaką rodzice jej poświęcali? Miałem nadzieję, że nie, ale na wszelki wypadek powiedziałem, gdy wychodziła:

— Jeśli chcecie, zabiorę was wszystkich na piknik. Weźmiemy lemoniadę i kanapki z dżemem. I pójdziemy na plażę.

— Hura! — zawołał John, podskakując wysoko.

— Och, to by mi się podobało! — powiedziała Eleanor, zamykając książkę. — Ale czy to wypada zaraz po pogrzebie?

— Jak znam życie, niania uzna, że to nam dobrze zrobi. A jeśli ona tego nie powie, ja powiem za nią.

Jane zatrzymała się w korytarzu.

— Przypuszczam, że ja nie jestem zaproszona.

— To zależy od ciebie. Jeśli znajdziesz chwilę czasu, oczywiście możesz z nami iść.

— Nie zostawię Ozymandiasa — uprzedziła Jane, sprawdzając mnie.

— Możesz wziąć Ozymandiasa, ale inne koty nie. Nie idę na plażę, żeby budować arkę Noego.

Poszliśmy więc wszyscy, nawet ten kocur podążający za Jane na smyczy jak pies. Plaża ciągnęła się wzdłuż zachodniego brzegu jeziora i choć piach był matowy i ciężki, nadawał się do budowania zamków. John rysował patykami obrazki, Eleanor rozmarzona pluskała nogami w wodzie, a ja pomagałem Jane budować fortecę.

— Opowiedz nam o Ameryce, Ned — zaproponowała Eleanor, kiedy zamarzły jej nogi.

— O tym zoo w Nowym Jorku — poprosił John. — Och, ależ bym chciał pójść do zoo!

— Opowiedz o dziewczynkach. O Connemarze i Donegal — domagała się Jane.

Po raz setny zacząłem więc opowiadać o Gallagherach, a w miarę jak mówiłem, ogarniało mnie coraz silniejsze pragnienie, by wrócić do ich domu przy Beacon Hili.

— Śmieją się bez przerwy — mówiłem. — Szkoda, żeście ich nie słyszeli! Wszystko było takie zabawne. Mają wspaniały dom w samym

środku Bostonu, a każdy pokój jest bardzo jasny i wesoły. Na ścianach wiszą portrety ładnych pań i wszędzie stoją religijne figurki, ale nie zimne kamienne posągi jak w naszej kaplicy, tylko gipsowe figurki fantastycznie pomalowane. Tapety są pstrokate, a sofy za mocno nabite. I jest tam też maleńkie stare pianino, w którym stale zrywa się struna, kiedy Kerry gra „Różę Tralee”. Pan Gallagher chciał kupić nowy fortepian, ale jego żona się nie zgodziła, bo powiedziała że ma to pianino od początku małżeństwa i że to jej talizman.

— Czy pani Gallagher jest podobna do naszej mamy? — zapytała Eleanor, z rozkoszą zadając to rytualne pytanie.

— Nie, ani trochę, nawet w połowie nie jest taka piękna. Ale nigdy niczym się nie denerwuje. Jak dziewczynki robiły coś okropnego, zawsze mówiła tylko: „Z pewnością tatusiowi pęknie serce, kiedy o tym usłyszy”. Dziewczynki wybuchały wtedy płaczem i wszystko zostawało wybaczone. Pan Gallagher to wielki, gruby zawiadaczający jegomość, pali wielkie cygara i co wieczór po powrocie do domu całuje panią Gallagher. Ma sześć koni i dwa powozy, a jak cudnie jest patrzeć, kiedy cała rodzina wyjeżdża w niedzielę na mszę! Dziewczynki ubrane są w odświętne sukienki i wszystko jest takie wesołe. Przypuszczam, że ich kościół też taki jest. Kościoły katolickie są inne niż nasza kaplica. Wszędzie wiszą obrazy, pełno jest tych ja-skrawo pomalowanych figurek i złotych ozdób. Pali *t? mnóstwo świec, jak na torcie urodzinowym, i ładnie pachnie. Wszyscy śpiewają po łacinie, a to piękny język, znacznie lepszy do śpiewu niż angielski.

— To rzeczywiście wygląda na ciekawsze niż poranne nabożeństwo w kaplicy — powiedziała Eleanor w zadumie. — Nigdy wcześniej nie opowiadałeś nam o tym, Ned.

Ja jednak już myślałem o pogrzebie ojca — o mętnych, ponurych słowach mszy, paraliżującej posępności, przygniatającym, duszącym smutku i o dopełniającym to wszystko dobrym smaku i dobrych obyczajach.

— Czy Gallagherowie mają ogród? — zadał John swoje rytualne pytanie.

— A koty? — zapytała Jane.

— Mają wszystko — odparłem. Nie byłem w stanie powiedzieć nic ponad to.

— Więcej niż my?

Skinąłem głową i oddaliłem się. Poszedłem na sam koniec plaży, gdzie rzeka Fooey wpływa do jeziora, i tam zatrzymałem się i patrzyłem, jak wiatr targa trawę nad piaszczystymi brzegami. Po chwili podeszła do mnie Jane i stanęła obok.

— Gdybym kiedyś pojechała do Ameryki, czy mogłabym wziąć ze sobą Ozymandiasa?

Odpowiedziałem, że biedny Ozymandias nie ma szans na znalezienie szczęścia na Oceanie Atlantyckim. Powoli, ręka w rękę, wróciliśmy do lemoniady i kanapek z dżemem.

Kiedy dotarliśmy z powrotem do domu, było po piątej. Drummond wyszedł nam na spotkanie ujrzawszy, że z mozołem pokonujemy ostatni odcinek podjazdu.

— Mam dla ciebie wiadomości, Ned! — zawołał wymachując listem.

Podeszliśmy bliżej. Ujrzałem amerykański znaczek i duże litery wypisane obcym charakterem pisma. Nagle nastrój zaczął mi się poprawiać.

— To od Phineasa Gallaghera! — dodał Drummond. — Zgadnij, kto do nas przyjeżdża!

II

Przyjeżdżała Kerry — poza tym nic się nie liczyło. Wciąż tylko myślałem o tym, jak wybornie będziemy się bawić i jak cudownie będzie mieć towarzystwo do śmiechu i żartów, towarzystwo kogoś bystrego, szczęśliwego i wesołego.

— Mam dług wobec Phineasa — wyjaśnił mi Drummond. — Jak wiesz, pomógł mi uzyskać uniewinnienie, a ja mu obiecałem... właściwie Sara obiecała, że Kerry będzie mogła trochę tutaj pobyc, żeby się nauczyć, jak być damą.

Przyjeżdżali na wiosnę.

— Wszyscy? — zapytałem z nadzieją.

— Nie, tylko Kerry i Phineas. Resztę rodziny Phineas planuje przywieźć później.

Eleanor i Jane były zawiedzione, że nie zobaczą Connie i Donagh.

— Tak bym chciała, żeby tu była dziewczynka w moim wieku, z którą mogłabym się bawić! — westchnęła Eleanor, a Jane natychmiast się obraziła i oświadczyła, że już nigdy nie będzie się bawić z Eleanor.

— Biedna Jane, jest taka wrażliwa — powiedziała matka, kiedy Jane została wreszcie ugłaskana.

— Nie byłaby taka, gdybyś nie utrzymywała jej stale w przeświadczeniu, że jest najważniejsza — rzekłem na to. — Mniej by wtedy przeżywała, że inni nie robią tak jak ty.

— Doprawdy, Ned! — zawołała matka, obrażając się jak wcześniej Jane. — Chyba twoja krytyka nie jest uzasadniona!

Przeprosiłem ją. W owym czasie niewiele było rzeczy, które mogłem powiedzieć matce, tyle że przestało to mieć znaczenie: przyjeżdżała Kerry.

Opowiedziałem o niej moim przyjaciołom.

— Na wiosnę przyjeżdża do mnie przyjaciółka z Ameryki — rzuciłem od niechcena, kiedy pewnego chłodnego jesiennego dnia skupiliśmy się przy ognisku. — Jest Irlandką. Nazywa się Kerry Gallagher.

— Dziewczyna? — zapytali z dezaprobatą.

— Nie myślę o Kerry jako o dziewczynie — odparłem groźnie. — Jest po prostu człowiekiem.

Nadal byli nachmurzeni, toteż więcej o niej nie wspominałem.

Tymczasem matka zadawała sobie wiele trudu, aby zaimponować gościom. Urządziła na nowo salon, cały w kolorach jasnozielonych, hol przemalowała na biało (ani trochę nie przypadło mi to do gustu, bo taki był teraz zimny), a w całym zachodnim skrzydle, przeznaczonym dla gości, zmieniła umeblowanie.

— Mamo, jak mogłaś wybrać takie meble! — zawołałem przerażony, ujrawszy ciemne wysokie komody i szafki utkane w korytarzu na górze jak wieloryby na mieliźnie. Dotąd nigdy nie poświęcałem wiele uwagi wystrojowi wnętrza, teraz jednak odkryłem, że czuję ogromną awersję do solidnych, ponurych sprzętów.

— Cóż, niezupełnie są w moim guście — odparła matka, której wytworny buduar urządzony był w uroczym stylu regencji Jerzego IV. — Ale Maxwell uznał, że wyglądają elegancko i nowocześnie.

Otworzyłem usta, lecz zamknąłem je, zanim wymówiłem słowo. Nie było sensu skarżyć się na Drummonda wydającego moje pieniądze na meblowanie mojego domu. Matka powiedziałaaby, że udzielił??, mu zgody i że nie do mnie należy krytykowanie. Kiedyś, gdy skończę dwadzieścia jeden lat, decyzje będą należały do mnie, ale na to muszę jeszcze poczekać.

Innowacji było znacznie więcej. Zatrudniono kucharkę z Dublina, żeby zapewnić Gallagherom najlepsze jedzenie. Matka osobiście wybrała się do Galway, aby poczynić specjalne ustalenia z kupcami, którzy przez cały maj mieli dostarczać do Cashelmary towary najlepszej jakości. Nie uważałem za właściwe, że matka się musi targować z dostawcami, lecz nie mieliśmy gospodyni, a Drummondowi zależało, by dogadać się z nimi bezpośrednio. Chciał też wydać przyjęcie z obiadem, by Gallagherowie myśleli, że prowadzimy ożywione życie towarzyskie, i matka posłusznie wysłała zaproszenia do miejscowych ziemian, ale wszyscy jakoś się wymówili.

Nie mogłem znieść, że tak potraktowano matkę, i wiedziałem, że jej także się to nie podoba, choć nic nie mówiła. Drummond rozgniewany złorzeczył, ona zaś przyjęła to z rezygnacją. Przygnębioną widziałem ją tylko w Boże Narodzenie, gdy Eleanor szlochała, że córka Knoxów wydaje przyjęcie w Clonbur, a jej nie zaprosiła.

— Tak bardzo chciałybym tam być! — powiedziała z płaczem do matki.

— Urządzimy specjalne przyjęcie dla ciebie tutaj, kochanie — odparła matka uspokajająco, lecz zauważyłem gorycz na jej twarzy, zanim odwróciłem wzrok.

Nareszcie zbliżała się wiosna. Zacząłem skreślać dni w kalendarzu. Na lekcjach pan Watson rozwodził się o reformacji, pastor McCardle zaś wyraził niezadowolenie, kiedy mu oświadczyłem, że chcę przesunąć bierzmowanie do Wielkanocy.

Zakwitały żonkile, ogród mojego ojca ożywał. Kiedyś Drummond napomknął coś o zaoraniu kwiatów i posadzeniu warzyw, lecz sprzeciwiłem się tak stanowczo, że więcej do tego nie wracał.

— Nie wiedziałem, że tak bardzo lubisz ten ogród, Ned — powiedział pośpiesznie, ale nie podjąłem wątku.

Ten ogród był moją schedą po ojcu, jedynym ogniwem łączącym mnie ze wspomniałymi dawnymi czasami. Spacerując po nim, zawsze będę pamiętał, że obiecałem sobie pomścić papę. Dlatego też kochałem ogród, bo nie tylko wiązał mnie z przeszłością, ale też stanowił pomost do szczęśliwszej przeszłości.

Nadszedł maj. Miałem piętnaście i pół roku. Kerry była dziewięć miesięcy młodsza. Nie widzieliśmy się dwa lata.

— Przypuśćmy, że się zmieniła — powiedziałem do niani. — Przypuśćmy, że mi się nie spodoba.

— Prawdziwy przyjaciel nigdy się nie zmienia — uspokoiła mnie niania.

Próbowałem sobie przypomnieć, jak wygląda Kerry. Była pulchna — zawsze miało się wrażenie, że guziki przy jej sukience za chwilę odpadną. Miała rudozłote włosy i dołeczek w brodzie. Teraz oczywiście powinna wyglądać na starszą. Uważnie przyjrawszy się sobie w lustrze zauważyłem, że moje włosy, niegdyś jasne, obecnie mają kolor błota, a twarz stała się polem bitwy dla co najmniej trzech rodzajów pryszczycy.

— Wyglądam okropnie! — wykrzyknąłem przerażony do niani. Nie mogłem zrozumieć, jak to się stało, że wcześniej tego nie zauważyłem.

— Cicho, cicho — odparła niania. — Stale podcinaj włosy i co wieczór porządnie myj buzię, a niebawem będziesz równie przystojny jak twój świętej pamięci papa.

Uznałem jej optymizm za nieco protekcyjny, mimo to myłem twarz i prosiłem, by podcinała mi włosy.

W dniu przyjazdu Gallagherów Drummond zabrał mnie na ich spotkanie. Ubrany byłem w nowy ciemny garnitur ze złotym łańcuszkiem od zegarka przy kamizelce. Wyglądałem jak strach na wróble. Każde spojrzenie na muskularną sylwetkę Drummonda przepełniało mnie zazdrością.

Najpierw zobaczyłem Phineasa Gallaghera z tym jego wielkim cygarem w ustach. Błękitne oczy mu błyszczały, brząk złota w kieszeniach słychać było z odległości dwudziestu jardów. .

— Max! kochany stary przyjacielu! — krzyknął, ciskając cygaro do rynsztoka (z którego natychmiast wydobył je jakiś żebrak) i wyciągając rękę. Po policzkach spływały mu łzy.

— Sinobrody! — pisnęła mała, okrągła osóbką tuż za nim i tanecznym krokiem wybiegła do mnie. Na głowie miała olbrzymi kapelusz z kwiatami, włosy, nadal rudozłote, starannie zebrane z tyłu za uszy, widoczna była tylko kręcona grzywka.

— Paczuszek?... — odezwałem się niedowierzająco, ale wiedziałem, że to ona. Miała takie same jak dawniej szelmowskie błękitne oczy, a kiedy otworzyła usta i rzuciła zawadiacko „Serwus, sie masz?“, uświadomiłem sobie, że nie zmieniła także osobliwego sposobu wyrażania się po angielsku. Powszechnie uważa się, że bostończycy mówią jak Anglicy, lecz w czasie pobytu w tym mieście nigdy nie spotkałem człowieka, który by potwierdził tę legendę.

— O rety! — zachłysnęła się Kerry ze zgrozą. — Ależ ty urosłeś!

— Ty też — odparłem i natychmiast zdałem sobie sprawę, że mogło to zabrzmieć niegrzecznie, więc pośpiesznie dodałem: — To znaczy we właściwych miejscach. — Co wypadło jeszcze gorzej i z przerażeniem stwierdziłem, że się czerwienię.

Kerry uratowała mnie swoim chichotem. Miała najbrzydszy chichot, jaki kiedykolwiek słyszałem, i nagle mój rumieniec poszedł w zapomnienie: śmiałem się razem z nią.

— O rety! — westchnęła. — Czy to nie byczo nareszcie być dorosłym?

— Można postawić na to ostatniego dolara! — powiedziałem z moim najlepszym amerykańskim akcentem i radośnie wyciągnąłem rękę do uścisku.

f

III

Phineas Gallagher został w Cashelmarze dwa tygodnie, potem zaś pojechał do hrabstwa Wicklow, by odwiedzić swój rodzinny dom. Zostawił u nas Kerry obiecując jej, że zabierze ją tam później. Jak wyjaśnił mi Drummond, w rzeczywistości Gallagher obawiał się tego, co tam zastanie. Od lat opowiadał córkom o raj w Elysian, gdzie się urodził, i denerwował się, że prawda mogłaby je rozczarować. Choć urodził się wieśniakiem, przeszedł tak daleką drogę do dobrobytu, że teraz lękał się, iż jego krewni wydadzą mu się obcy. Wrócił jednak do Cashelmary w dobrym nastroju. Ziomkowie zgotowali mu królewskie przyjęcie, nie było żadnego zakłopotania, a wieś, zrównana niegdyś z ziemią przez

Brytyjczyków, została odbudowana, tak że nie pozostał nawet ślad zniszczeń z okresu Wielkiego Głodu.

— Jeśli papcio jeszcze raz wspomni o klęsce głodu, zacznę krzyczeć — zapowiedziała Kerry. — Zauważyłeś, że starzy ludzie stale wracają do przeszłości? Jak by to kogoś obchodziło!

— Za trzydzieści lat będziesz robić dokładnie to samo — odparłem. — Będiesz mówić: „Żyłam w czasach, kiedy Charles Stewart Parnell był niekoronowanym królem Irlandii”

— Papcio mówi, że Parnell jest skończony.

— Dlaczego? Udowodniono, że list w „Timesie” był sfałszowany i Parnell został oczyszczony z zarzutów.

Był to list, który miał zdyskredytować Parnella, ujawniono w nim bowiem jego związek z morderstwami w Phoenix Park w 1882 roku. Wywoływał ogromną wrzawę, dopóki fałszerz się nie przyznał.

— Nic nie wiem o żadnym liście — oświadczyła Kerry beztrąsowo — ale jeśli papcio twierdzi, że Parnell jest skończony, to jest skończony.

— Dlaczego uważa pan, że Parnell jest skończony, sir? — zapytałem z zaciekawieniem Gallaghera jednego wieczoru przy lampce porto. Nigdy wcześniej nie interesowałem się specjalnie polityką, lecz Gallagħier z Drummondem praktycznie nie rozmawiali o niczym innym, toteż ich obsesja udzieliła się po trosze także mnie. Poza tym interesował mnie sam Parnell, ponieważ też był protestanckim ziemianinem uważającym się za Irlandczyka. — Nadal jest irlandzkim przywódcą, a nie wszyscy Irlandczycy są zawiedzionymi ekstremistami.

— Wykończy go ta kobieta — powiedział Gallagħier.

— Dlaczego mężczyzna nie miałby mieć kochanki? — czupurnie rzucił Drummond, zawsze lojalny wobec Parnella. — Wolę popierać przywódcę z kochanką niż człowieka, który żyje jak mnich!

— No pewnie, wszyscy znamy ten świat, Max, i zgadzam się z tobą w zupełności. Ale człowiek z jego pozycją nie może sobie pozwalać na cudzołóstwo. Wiesz o tym równie dobrze jak ja. Przez te wszystkie lata uchodziło mu płazem, bo był dyskretny i mężowie nawet mu pomagali, ale jeśli się wyda teraz, Anglosasi będą się śmiać do sądnego dnia. „Na Boga! — powiedzą. — Patrzcie na tych biednych irlandzkich głupców! Najnormalniejsi ludzie pod słońcem dają się prowadzić cudzołożnikowi!” Nie, nie, Max, nie jest dobrze. To się nie uda.

— Rozumiem — odezwałem się. — Gdyby pan Parnell był odpowiedzialny za te morderstwa w Phoenix Park, to cała Irlandia wiatowałaby na jego cześć. Ale jeśli pan Parnell wchodzi między mężczyznę a jego żonę, jest skazany na wieczne potępienie.

Gallagħier roześmiał się i powiedział, że jestem bystrym chłopcem.

— Ale to nie takie proste, Ned — dodał. — Gdyby Parnell ponosił odpowiedzialność za morderstwo w Phoenix Park, byłby to jego błąd polityczny i tylko głupcy by wiatowali na jego cześć. A co się tyczy

cudzołóstwa, to wielki grzech polityczny nie tkwi w samym cudzołóstwie, bo ono ciągnie się od lat. Nie, błąd polega na tym, że Parnell pozwala, aby wyszło na jaw. Ten człowiek jest głupcem. Jeśli O'Shea wystąpi o rozwód, Parnell w ciągu roku umrze jako polityk. A skoro tego nie zauważa, nie powinien się pchać na przywódcę Irlandczyków.

— Jesteś dla niego cholernie surowy, Phineas! — zawołał Drummond i ze zdumieniem spostrzegłem, że poczerwieniał z oburzenia.

— Na Boga, Max! Nie bierz tego do siebie! Nie rozmawiamy o tobie, rozmawiamy o Parnellu.

— Niedobrze, jeśli człowiek ma być zniszczony za to, że kocha kobietę, jakby była jego żoną — upierał się Drummond.

— Tak to już jest na tym świecie, Max — odparł krótko Gallagher i zmienił temat tak gładko, że Drummond nie miał jak kontynuować wątku.

Nie chciałem pytać Kerry, co wie o pozycji mojej matki, ale oczywiste było, że Phineas szepnął jej o tym słówko. Kiedy mieszkaliśmy w Bostonie, matka znana była jako pani Drummond i wszystkie córki Gallagherów myślały, że jest żoną Drummonda. Nawet później, gdy wygrała sprawę rozwodową, nie napisałem o tym Kerry, bo się bałem, że może to wywołać problemy. I choć teraz zdawałem sobie sprawę, że Kerry zna prawdę, nadal trudno mi było o tym mówić. Wolałem rozmawiać o czym innym i miło spędzaliśmy czas. Pokazywałem jej dolinę i przedstawiałem przyjaciółom, którzy wprawdzie uznali, że jest miła, niemniej byli przy niej onieśmieleni. Natychmiast się zorientowałem, że nie mogę oczekiwać, aby Kerry przyjęto do naszej bandy. Zrobiła się więc niezręczna sytuacja, ponieważ nie chciałem ani porzucać przyjaciół, ani zostawiać jej samej. Na szczęście jednak problem został rozwiązany pod koniec czerwca, kiedy pan Gallagher wyruszył z poyf. Jtem do Ameryki.

— Kerry — powiedziała wtedy moja matka uprzejmie, acz stanowczo — nie możesz całymi dniami biegać po górach z Nedem, jakbyś była chłopcem. Nie mam nic przeciwko temu, żebyście w soboty robili wspólne wycieczki, ale w ciągu tygodnia obydwójecie musicie chodzić na lekcje i starać się poprawiać wyniki w nauce.

Oznaczało to, że Kerry musi spędzać przedpołudnia z panną Cameron, a popołudnia z moją matką. Panna Cameron uczyła ją literatury angielskiej, francuskiego i włoskiego, moja matka zaś nadzorowała ćwiczenia w grze na fortepianie, udzielała wskazówek przy robótkach ręcznych i usiłowała nauczyć ją mówić z angielskim akcentem.

— To tak, jakby ślepiec wiódł ślepca, jeśli chcesz znać moje zdanie — podsłuchałem kiedyś pannę Cameron mówiącą do niani.

— Lady de Salis mówi pięknie po angielsku — odparła niania gorąco, zawsze gotowa stanąć w obronie naszej matki. — Wiem, że niezbyt poprawnie wymawia „a”, ale gdyby nie to, nie domyśliłabyś się, że jest cudzoziemką.

— W sumie — powiedziała mi później matka — nie idzie mi o to, żeby Kerry mówiła jak Angielka. Jeśli jednak uda mi się ją zmusić, żeby mówiła jak dobrze urodzona Amerykanka, uznam, że moje wysiłki nie poszły na marne.

Kerry wydawała się przyjmować te wysiłki cierpliwie, toteż nie martwiłem się o nią. Znowu cieszyłem się latem. Przedpołudnia zawsze miałem zmarnowane z panem Watsonem, ale trzy razy w tygodniu spotykałem się z przyjaciółmi i choć musiałem potem ślepczyć po nocach, żeby odrobić zadania, wcale się tym nie przejmowałem. Odkryłem, że nie potrzebuję dużo snu, bo jeśli nawet szedłem do łóżka po północy, często budziłem się o świcie, aby podziwiać wschód słońca nad jeziorem.

Dopiero pod koniec czerwca zauważyłem, że Kerry nie jest szczęśliwa. Ponieważ była to sobota, postanowiliśmy urządzić sobie piknik w zrujnowanej chacie, a potem powędrować do Devilsmother i wrócić do domu na podwieczorek. Trójka maluchów naturalnie chciała się wybrać z nami, lecz tym razem stanowczo nalegałem, żeby zostały w domu.

— Nie dadzą rady dojść do Devilsmother i z powrotem — wyjaśniłem matce. — Opadną z sił i będą nieznośni.

— Cóż, mógłbyś przynajmniej wziąć ich na piknik — odparła matka.

— Innym razem proszę bardzo, ale dzisiaj nie.

— Dlaczego? — spytała matka podejrzliwie, choć nie mogłem pojąć, z jakiego powodu.

— Bo tylko raz w tygodniu mam okazję побыć z Kerry — tłumaczyłem. — I choć w zasadzie nie mam nic przeciwko ich towarzystwu, dzisiaj zamierzam iść na długi spacer i nie będę ich brał ze sobą.

— Hm, nie wiem, czy mogę się na to zgodzić — odparła, a czując, że musi to jakoś uzasadnić, dodała: — Uważam, że jesteś zbyt samolubny.

— Doprawdy, mamó! ależ ty robisz z igły widły!

— Ned!

— Och, przepraszam, ale tak jest!

Myślałem, że będzie dalej protestować, najwyraźniej jednak uświadomiła sobie daremność tego, ponieważ pozwoliła nam iść.

W połowie drogi do zrujnowanej chaty Kerry powiedziała:

— Cieszę się, żeś się postawił mamie. Nie miałabym nic przeciwko temu, żeby maluchy z nami poszły, ale twoja mama stale próbuje mi psuć zabawę.

Zatrzymałem się.

— Naprawdę?

— No... cóż... — Kerry kopnęła piętą gałązkę. Po chwili powiedziała: — Ona nie jest taka jak moja mamcia, wiesz?... — I po dłuższym milczeniu dodała: — Szkoda, że nie ma tu mamci.

I wybuchnęła płaczem.

Byłem wstrząśnięty. Widok któregośkolwiek z Gallagherów we łzach zaprzeczał wszystkiemu, co reprezentowali w moich oczach. Poczułem

się tak, jakbym był świadkiem jakiejś straszliwej profanacji. Szukałem słów, lecz nie mogłem ich znaleźć. Zacząłem szukać w kieszeniach chusteczki, okazało się jednak, że jest brudna. Bezradność zadawała mi takie cierpienie, że mogłem tylko patrzeć na Kerry z rozpaczą.

— Powiedz coś! — szlochała. — Jak możesz tak sterczeć jak manekin! Powiedziałem więc pierwsze, co mi przyszło do głowy:

— Biedny Paczuszek!... Czemu nie mówiłaś, że tęsknisz za domem?

Zachłysnęła się, wyrwała mi z ręki brudną chusteczkę i wytarła nos w czysty róg.

— Bo się bałam, że pomyślisz, że jestem niewdzięczna i okrutna — odparła. — Wiem, jak kochasz Cashelmarę. Wydawało mi się, że nie zrozumiesz.

— Myślałaś, że nie zrozumiem? Tęskniłaś za domem i myślałaś, że tego nie zrozumiem? A jak sądzisz, jak się czułem w Ameryce, kiedy Drummond i matka ciągnęli mnie za sobą i nie wiedziałem nawet, czy kiedykolwiek zobaczę jeszcze dom?

Pociągnęła nosem i przetarła oczy innym czystym rękawcem.

— Hm, faktycznie, kiedy cię poznałam, byłeś jakiś dziwny — wyznała — ale nie wiedziałam, że to z powodu tęsknoty za domem. Byłeś strasznie spokojny i nigdy się nie uśmiechałeś, po prostu grzecznie siedziałeś w kącie. Miałyśmy cię z Clare za okropnego dziwaka, dopókiśmy cię nie poznały.

— Spotkanie ciebie i Clare było najlepszą rzeczą, jaka mi się przytrafiła w Ameryce.

— O rany! Nie najlepiej to świadczy o tym, co ci się przytrafiło w Ameryce! odparła i ku mojej nieopisanej uldze zachichotała.

— Cóż, było mi bardzo ciężko — powiedziałem. — Z Drummondem i z matką.

— Domyślam się. Wiesz, że mamcia dalej nie wie, że oni nie są małżeństwem? Papcio kazał mi przysiąc na Biblię, że nie pisnę o tym słówka w listach.

— Zaszokowało cię, jak się dowiedziałaś?

— Jasne, ale papcio pięknie wszystko wytłumaczył. Powiedział, że i tak kiedyś się dowiem, jak ten świat jest zorganizowany, więc może lepiej, żebyś dowiedziała się wcześniej niż później. Mówił, że twoja mama i pan Drummond bardzo się kochają, że ich związek jest tak samo dobry jak małżeństwo, ale że pan Drummond jest naprawdę sprytny i udaje, że mieszka w innym domu, bo chce uniknąć skandalu. Powiedział, że to oczywiście straszny grzech i nie wolno mi nawet myśleć o czymś tak nieprzyzwoitym, boby mnie Pan Bóg ukarał, ale twoja matka miała takie ciężkie życie, więc ją Bóg w ten sposób wynagradza. Nie wyjaśnił, dlaczego jej życie było takie ciężkie, powiedział tylko, że Bóg je ocenił na wystarczająco ciężkie, żeby zasłużyła na współczucie i wyrozumiałość. I powiedział jeszcze tyle miłych rzeczy o twojej ma-

mie: że jest wielką damą, że muszę się starać robić wszystko, aby ją zadowolić...

Usłyszałem zdławione pochlipywanie.

— Czy moja matka była dla ciebie niemiła?

— Hmm... więc...

— Była?

— Ona mnie ani trochę nie lubi — rzekła Kerry mężnie, oddając mi chusteczkę. — Stara się, ale wszystko robi tak, jakby była Najwyższym Panem, a ja jej utrapieniem. Przy niej czuję się brzydka, tępa i pospolita. Cóż, wiem, że jestem pospolita, ale papcio i mamcia nigdy nie dali mi odczuć, że jestem brzydka i tępa, a znają mnie lepiej niż ona.

— Ja cię lubię taką, jaka jesteś — zapewniłem.

— Brzydką, tępą i pospolitą?

— A jakże!

Zachichotała. Tym razem ja także się roześmiałem. Ująłem jej dłoń.

— Kerry, trudno mi uwierzyć, że moja matka była taka niemiła, ale jeśli dasz słowo, że to prawda, poproszę pana Drummonda, aby z nią porozmawiał. Mnie by nie chciała słuchać, ale jego na pewno wysłucha.

— Nie — odparła — nic nie mów. Teraz, kiedy wiem, że mogę liczyć na twoje zrozumienie, czuję się lepiej. Jakby pan Drummond się o tym dowiedział, jeszcze by napisał wszystko papciowi, a papcio by mnie stąd zabrał.

— Zaraz, czyżby ci to nie odpowiadało? Skoro tęsknisz za domem...

— Chcesz, żebym wyjechała?

— Ani trochę!

— O, to dobrze! W takim razie zostanę. Właściwie nie chcę wracać. Czułabym, że poniosłam porażkę, a papcio byłby strasznie zawiedziony.

Dotarliśmy do zrujnowanej chaty. Postawiłem kosz na ziemi i dobrałem się do zapasu torfu, który mieliśmy tu z przyjaciółmi na rozpałkę.

— Rany, ale świetna zabawa! — zaczęła Kerry, plotąc trzy po trzy. — To chyba najlepsza część życia, jak się jest wieśniakiem: siedzi sobie człowiek przy ognisku, nic nie robi, tylko ogląda piękną okolicę i opowiada różne rzeczy. Kłopot ze starszymi polega na tym, że zapominają o tym, co dobre, a pamiętają tylko kłęski głodu i podłych zarządców. Kiedy ja dorosnę, będę wspominać wyłącznie to, co miłe. Zwołam wszystkie moje dzieci, cały tuzin...

— Tuzin dzieci?!

— Ha! myślę, że będę miała przynajmniej dwanaścioro. Ty się nie zgadzasz? W końcu jeśli się pobierzemy, kiedy skończę osiemnaście lat...

Spostrzegła moją minę i zamilkła. Dobrze pamiętam, jaka była zaskoczona. Nie widziałem po niej onieśmielenia czy zakłopotania, tylko niewinne zaskoczenie.

— Kto powiedział, że się pobierzemy? — zapytałem. — Ja nie zamierzam się żenić... — Uświadomiwszy sobie, że zabrzmiało to bardzo

niegrzecznie, dodałem szybko: — Oczywiście gdybym miał się zenić, to tylko z tobą. Ale postanowiłem, że będę kawalerem.

— Ależ nie możesz!... — zawołała Kerry.

— Wiesz, możliwe, że się ożenię tak po pięćdziesiątce, żeby mieć dziedzica. Ale nie mogę przecież oczekiwać, że będziesz na mnie czekać przez trzydzieści pięć lat. Byłbym wobec ciebie nie w porządku...

— Ale... — ' Wyraźnie osłupiała. W końcu zdołała wykrztusić: — Chcesz powiedzieć, że o niczym nie wiesz?

— O czym?

— Wszystko już jest ustalone. Papcio wyjaśnił mi na statku, kiedy opowiadał o twojej mamie i panu Drummondzie!

— Och, Kerry! Ojciec ci naopowiadał jakichś niestworzonych historii!

— Wcale nie! — Była poważna i niemal zła. — To prawda! On i pan Drummond zawarli umowę. On...

— Drummond! — Zerwałem się na równe nogi. — Do diabła! co Drummond ma z tym wspólnego?

— No bo papcio załatwił dla niego ułaskawienie i dał mu pieniądze...

— Pieniądze?!

— Tak, żebyście mogli wygodnie wrócić do Irlandii. Pan Drummond obiecał w zamian, że będę mogła do was przyjechać i... no, później wyjść za mąż. Pan Drummond przyrzekł dopilnować, żeby twoja mama nie stanęła na przeszkodzie, jeśli ty zechcesz się ze mną ożenić. Papcio mu obiecał więcej pieniędzy, jeśli to małżeństwo dojdzie do skutku...

— Mój Boże! — jęknąłem.

— Papcio mówił, że jeśli nie chce, nie muszę za ciebie wychodzić, ale ja uważam, że to by było bardzo romantyczne. Zupełnie jak w dawnych czasach w Irlandii, kiedy ludzie pobierali się młodo, a wszyscy wokoło maczali palce w swataniu...

Wyszedłem. Na tyłach chaty przycisnąłem czoło do ziemi kamiennej ściany i zamknąłem oczy. Trząśłem się z wściekłości. Kiedy w końcu otworzyłem oczy, zobaczyłem Kerry, która przyszła za mną. Dokoła panowała niemal idealna cisza i w zasięgu wzroku nie było śladu żadnego ruchu.

— Przykro mi — odezwała się Kerry. — Myślałam, że wiesz, inaczej słowem bym o tym nie wspomniała. Proszę, nie bądź na mnie zły.

— Nie jestem zły na ciebie — odparłem — tylko na tego drania Drummonda.

Zacząłem opowiadać o Drummondzie. Wyrażałem na głos myśli i uczucia, z których wcześniej nie zdawałem sobie sprawy. Dopóki stałem po stronie matki, a przeciw ojcu, tłumiłem wobec niej wszelką niechęć, teraz jednak, kiedy nie było wroga w postaci ojca, odkryłem, że zmienił się mój stosunek do matki. I ciągle się zmieniał, w miarę jak mówiłem. Nie

patrzyłem na Kerry, zwracałem się do zburzonej ściany przede mną, lecz widziałem tylko matkę i Maxwella Drummonda.

Powiedziałem, że Drummond zhańbił moją matkę, że zniszczył ją i pociągnął za sobą do rynsztoka, tak że teraz jej własny brat nazywa ją dziwką. Powiedziałem, że ich zachowanie było obrzydliwe, powiedziałem nawet o skrzypiącym łóżku i o tym, jakie to było dla mnie odrażające. Powiedziałem, że póki żyję, nie zamierzam mieć do czynienia z takim plugastwem, i że nigdy się nie zakocham — ani w kobiecie, ani w mężczyźnie...

Po tych słowach zamilkłem. Nie chciałem, żeby Kerry się dowiedziała o moim ojcu. Kiedy się obróciłem, by zobaczyć wyraz jej twarzy, Kerry nie było.

Pobiegłem przed chatę, ogarniając wzrokiem zbrocze, lecz nigdzie nie było po niej śladu. Skoczyłem do drzwi — ujrzałem ją w środku. Skulona w kącie płakała z rękami przyciśniętymi do oczu.

— Kerry... — Znowu stałem bezradnie, wstrząśnięty widokiem jej rozżalenia. Nie wiedziałem, co począć. W końcu nic nie mówiąc wyciągnąłem ręce i dotknąłem ją, położyłem palec na jej ramieniu, a kiedy opuściła ręce, złapałem je i trzymałem w swoich.

Wreszcie powiedziała niepewnie: — Mimo to trochę mnie lubisz, prawda?

— Och, Kerry! No pewnie, że tak!

— Póki trochę mnie lubisz, nie będę się przejmować. Naprawdę szybko dojdę do siebie, zobaczysz. Nigdy już o tym nie wspomnę.

— Ja nie chciałem... przepraszam...

— To moja wina — oświadczyła. — Wiem. Proszę Ned, powiedz, że spróbujesz mi wybaczyć, że tak cię przygnębiłam.

Popatrzyłem na nią. W oczach błyszczały jej łzy, które przyciemniały płowe rzęsy, tak że wydawały się bardziej długie. Bez szczególnego powodu dotknąłem jej policzka i odkryłem, że skórę ma gładszą niż moja matka, gładką, jędrną i delikatną. Mój palec powędrował niżej, musnął jej usta, linię szyi i niepostrzeżenie wyśladował na lewej piersi, zatrzymał się, obrysował jej zaokrąglenie i znowu się zatrzymał. W chacie było jasno, na zewnątrz słońce iskrzyło się w odległych wodach jeziora, a za drzwiami gałązki wrzosu poruszały się leniwie pod słabym podmuchem wietrzyku od gór.

Oparłszy lewą rękę o ścianę nad głową Kerry, prawą otoczyłem ją w talii i pochylałem się, by pocałować w policzek. A potem wiedziałem już tylko, że całuję ją w usta. Kerry objęła mnie rękami za szyję, jej ciało przylgnęło do mojego.

Zamknąłem oczy i zapomniałem o matce i Drummondzie, zapomniałem o skrzypiącym łóżku i bolesnym obrzydzeniu. Nareszcie byłem poza zasięgiem przeszłości. Miałem tylko świadomość bezgranicznego namiętnego żaru, jak gdybyśmy się przedzierali przez ciepłe wody

przybrzeżne, by popływać w roziskrzonym kusząco morzu. Przytuliłem Kerry mocniej i morze znalazło się tuż, tuż. Chciałem płynąć dalej, na głębinę, gdzie fale łamałyby się nad moją głową, lecz Kerry mnie odepchnęła. Poczułem jej dłonie na piersi, kiedy jednak otworzyłem oczy, ujrzałem, że uśmiecha się do mnie promiennie.

Milczeliśmy przez chwilę, potem odezwała się z nieśmiałym, niepodobnym do niej uśmiechem:

— Ned, powiedz mi szczerze: nie straciłam jeszcze cnoty, prawda?

Miała tak śmieszoną zaniepokojoną minę, że nawet nie przyszło mi do głowy, żeby się z nią przekomarzać.

— Nie — odparłem.

— Bogu dzięki! — zawołała z ulgą. — Siostry w szkółce niedzielnej mówiły, że to najgorsze, co może się przytrafić dziewczynie i że winę zawsze ponoszą mężczyźni.

Uśmiechnąłem się, a Kerry zachichotała i znowu byliśmy przyjaciółmi. Roziskrzone wody wabiącego nas morza były ledwie deseniem z błysków, które tańczyły w najgłębszych zakamarkach mojego umysłu.

Nie myślałem o Drummondzie aż do chwili, kiedy zobaczyłem go przy obiedzie. Potem wypiliśmy razem po lampce porto. Zapytał mnie wtedy, jak mi się układa z Kerry.

— Bardzo dobrze, dziękuję, sir — powiedziałem z uśmiechem, zastanawiając się, jak dotrwam do pełnoletności, żeby móc wyrzucić go z mojego domu do tego gnojowiska, gdzie było jego miejsce.

ROZDZIAŁ PIĄTY

I

Wkrótce po tym, jak się dowiedziałem o układzie z Phineasem Gallagherem, Drummond zaczął zmieniać styl swojego życia. Dom starego MacGovana podarował patriarsze rodu O'Malleyów, a sam wprowadził się do Cashelmary i nie krył związku z moją matką. Początkowo uznałem, że lepiej nic nie mówić, po tygodniu jednak zdecydowałem, że powinienem jakoś zareagować.

— Mamo — powiedziałem, kiedy znalazłem okazję, by porozmawiać z nią na osobności — proszę, nie zrozum mnie źle. Nie chcę cię krytykować, ale czy nie sądzisz, że byłoby lepiej, gdyby pan Drummond nadal dbał o pozory i mieszkał we własnym domu?

— Oczywiście — przyznała. — Zamierza się przenieść do Clonagh Court. To tylko tymczasowe rozwiązanie.

— Rozumiem. Może więc mógłby zamieszkać w pokojach gościnnych w zachodnim skrzydle? Służba zaczyna już gadać.

— Nie wolno ci słuchać plotek służby, Ned. Nie muszę się tłumaczyć przed służącymi.

Spróbowałem raz jeszcze.

— Mamo, ja nie mam nic przeciwko temu... — Było to kłamstwo, lecz chciałem być taktowny. — Ale niania jest bardzo zmartwiona, a panna Cameron zaczyna przebąkiwać o powrocie do Szkocji. No i wielka szkoda, że Eleanor i Jane są odcięte od rówieśnic.

— Jeśli niania i panna Cameron mają zastrzeżenia, powinny się zwrócić do mnie — odparła matka — a troska o Eleanor i Jane należy do mnie, nie do ciebie.

Nie bardzo wiedziałem, co na to rzec, zapytałem więc po prostu:

— Kiedy pan Drummond przeprowadzi się do Clonagh Court?

— Nie bardzo wiem, skarbie. W pewnym stopniu zależy to od jego synów.

Drummond nadal próbował ściągnąć synów do doliny. Odbudował już swój dawny dom i dopiero kiedy nie udało mu się namówić ich do powrotu, odżyło jego zainteresowanie Clonagh Court. Jego stary dom zamieszkiwali teraz jacyś O'Malleyowie, a Clonagh Court został odrestaurowany z rozmachem. ^,

Uznałem, że lepiej nie pytać, skąd wziął na to pieniądze. Na pewno nie mógłby sobie pozwolić na renowację ze swojej pensji, doszedłem jednak do wniosku, że nie ma sensu skarżyć się moim wujom, ponieważ to by mogło tylko przysporzyć kłopotów matce. Przecież ona prowadziła księgi.

— Jeśli pan Drummond myśli, że zwabi synów do doliny większym i lepszym domem, to grubo się myli — rzekłem, przypomniawszy sobie niegdysiejszą rozmowę z Denisem. — Oni uważają, że skrzywdził ich matkę, i dopóki będzie to robił, nie wrócą tutaj.

— Cóż, może więc poczekajmy, a zobaczymy, jak się wszystko ułoży — zaproponowała matka.

Czekaliśmy zatem i wkrótce się przekonałem, że moje przewidywania się sprawdziły: synowie Drummonda pozostali w Dublinie[^] Clonagh Court stał nie zamieszkały, a Drummond siedział w Cashelmarze.

— Przecież twoja matka jest damą, więc jak może tak się zachowywać? — wypaliła wreszcie Kerry. Wiedziała, że nie znoszę krytykowania mojej matki, lecz nie mogła się powstrzymać. Wydawała się bardziej zdumiona niż oburzona.

— Ona nie odpowiada za swoje czyny — odparłem. Bo i cóż innego mogłem powiedzieć? A kiedy Kerry spojrzała na mnie z niedowierzaniem, usłyszałem własny głos mówiący: — To jakby wola Boska.

Dziwnie się czułem wypowiadając te słowa. Ożyło wspomnienie dawnych koszmarów, lecz natychmiast je zdusiłem.

— Na litość Boską, co chcesz przez to powiedzieć? — zapytała stropiona Kerry, ale kiedy spróbowałem jej wytłumaczyć, słowa mi się poplątały i były bez sensu.

— Nie rozmawiajmy o mojej matce — rzekłem w końcu. — Wszystko uporządkuję, kiedy skończę dwadzieścia jeden lat. W tej chwili po prostu nie chcę o tym myśleć.

Okazałem się wybitnie utalentowany do chowania głowy w piasek, ale to dzięki temu, że odkryłem idealny sposób, by zapominać o rzeczach, o których nie życzyłem sobie pamiętać.

Wyłapywaliśmy teraz z Kerry pojedyncze minuty w ciągu dnia, żeby je razem spędzić, matka zaś nalegała, żeby dzieci zawsze nam towarzyszyły w czasie naszych sobotnich eskapad. Wpadłem zatem na genialny pomysł: postanowiłem odprowadzać Kerry na niedzielne msze. Odkąd mieszkała w Cashelmarze, do kościoła w Clonareen zawsze eskortował ją Drummond, ale wiódł takie życie, że nie mógł brać udziału we mszach, i wiedziałem, jaką udręką są te cotygodniowe wyjazdy. Pod koniec sierpnia, kiedy ojciec Donal jak zwykle odwiedził Kerry w Cashelmarze, udało mi się spotkać z nim na kilka minut na osobności.

— Ojciec — zagadnąłem — chętnie bym uczestniczył w twoich mszach przez jakiś miesiąc. Czy mógłbyś poprosić moją matkę, żeby się zgodziła?

Matka na szczęście była dłużniczką ojca Donala i wiedziałem, że trudno jej będzie odmówić jego prośbie. Przed laty nie tylko pomógł jej wydostać Drummonda z więzienia, ale jeszcze wspierał ją, kiedy musiała zostać w Cashelmarze.

— Ned, chyba nie chcesz zostać katolikiem, prawda? — zapytała z niepokojem matka, co było jej odpowiedzią na moją prośbę. Jak gdyby chcąc nadrobić uchybienia wynikające z pożycia z Drummondem, stała się bardzo konserwatywna we wszystkich innych sprawach. Według niej po prostu nie wypadało, żeby młody baron został papistą.

— Nie wiem, czy chcę być katolikiem, czy nie — odrzekłem szczerze. — Właśnie tego chciałbym się dowiedzieć.

Matka jednak nadal odnosiła się do tego pomysłu z dezaprobatą, tak że w końcu musiałem szukać pomocy u ciotki Madeleine, która wierna swoim zasadom, z zapałem wyruszyła z lecznicy na wyprawę krzyżową. Oświadczyła mojej matce, że powinna być wdzięczna, iż w ogóle przejawiam jakieś skłonności religijne.

— Trzeba go zachęcić — powiedziała, posyłając mi swój najmiłszy uśmiech. I w następną niedzielę matka potulnie pozwoliła mi jechać na mszę.

Bardzo mi się ta msza spodobała, ale jeszcze bardziej spodobała mi się podróż tam i z powrotem. Po miesiącu jednak nawet intymność powozu przestała mi wystarczać. Zacząłem przemyślać, jak by tu urządzić kolejny piknik w zrujnowanej chacie, i pewnego popołudnia spłądrowałem spiżarnię, Kerry zaś udała ból głowy, aby uniknąć nadzoru mojej matki. Pół godziny potem rozkładałem mój kaftan na klepisku w chacie.

Nieco później Kerry powiedziała w porywie rozpacz:

— Ned, wiem, że niektórzy ludzie żyją w nocie całymi latami, a ja jestem cnotliwa już sześć tygodni i czuję, jakbym w każdej chwili miała wybuchnąć. Co my mamy począć? Proszę, Ned, pomóż mi, bo przypadnę, słowo daję!

Nie potrafiłem jej odpowiedzieć. Pragnąc zażyć na tym spotkaniu jak najwięcej przyjemności, sięgnąłem do jej talii i po trosze grożąc, po trosze pieszcząc, namówiłem Kerry, by rozpięta bluzkę. Dni, kiedy obydwójce chichotaliśmy dziecinnie, nigdy jeszcze nie wydawały się odleglejsze. „

— Ned, powiedz coś! — Odepchnęła moje ręce, które niecierpliwie gmerały przy jej staniku, i bezskutecznie próbowała wywinąć mi się z objąć.

Zaproponowałem jedyne, co mi przyszło do głowy.

— Coś ty! Nie mogłabym — odparła. — To na pewno grzech śmiertelny. I na pewno nic by nie zostało z mojego dziewictwa, a papcio i mamcia po prostu by się zabili, jak by się kiedykolwiek dowiedzieli.

— Nie byłby to grzech śmiertelny, gdybyśmy się pobrali!

— Ale przecież ty nie chcesz się żenić.

— Zrobię wszystko, co ty sobie zażyczysz — oznajmiłem. — Ożenie się albo stanę na głowie, albo wskoczę do jeziora. Ale pozwól mi...

— O Jezui! — jęknęła.

Znowu zacząłem ją całować, nadal jednak nie mogłem sobie poradzić ze stanikiem. Był gorszy niż pas cnoty.

— Naprawdę ożenisz się ze mną? — zapytała Kerry.

— Oczywiście.

Coś się rozpruło, usłyszałem trzask pękającego fiszbinu.

— Kiedy?

— Jutro.

— A to świetnie — stwierdziła Kerry, odpychając mnie. — Możemy więc zaczekać z tym do jutra.

— Ja nie mogę — odparłem, pokonując nareszcie irytującą bieliznę i cały oblewając się potem.

— Ha, może ja też nie — rzekła Kerry — ale muszę. Święta Panienko, uchroni mnie przed... Cóż, może to w końcu nie ma znaczenia? Bądź co bądź papcio powiedział: ludzie mogą to robić niezależnie od tego, czy są małżeństwem, czy nie, a skoro twojej mamie i panu Drummondowi wolno...

Nagle wszystko zniknęło — kaftan bezpieczeństwa, który pętał moje podniecenie, płonące napięcie, nieludzkie naprężenie w każdym mięśniu ciała. Nawet pot na moich plecach jakby zamarzł. Z dreszczem odsunąłem się od Kerry i leżałem na boku twarzą do ściany.

Kiedy znowu na nią spojrzałem, właśnie zapinała bluzkę. Ręce jej drżały, guziki wyslizgiwały się z palców.

— Nie martw się, nie ma powodu. Na pewno się pobierzemy — zapewniłem spokojnie.

Kiwnęła głową, wiedziałem jednak, że nie zrozumiała.

— Chcę powiedzieć, że zrobimy wszystko jak należy — dodałem.

— Nie dotknę cię, dopóki nie będziesz moją żoną. Ale nie martw się, pobierzemy się niedługo.

Patrzyła na mnie. Oczy jej znowu błyszczały, wyglądała pogodnie, świeżo i ślicznie.

— Zaręczymy się, jak wypada — ciągnąłem — i będziemy mieli prawdziwy ślub. Może go nam udzielić ojciec Donal. I możemy mieć mszę weselną w kościele w Clonareen.

— Ned!... — Z radości nie mogła wykrztusić nic więcej. Padła mi w ramiona i szlochała na mojej piersi, a ja tuliłem ją, aż obojgu **nam** zabrakło tchu.

— Nie będę cię traktował tak, jak Drummond traktuje moją matkę — zapewniłem.

Ruszyliśmy z powrotem do Cashelmary. Kerry opowiadała, że będzie miała pięć druchen, jej siostry i moje, a ja wymyśliłem, że w podróż poślubną pojedziemy do Paryża. Ja chciałem mieć sześcioro dzieci,

a Kerry ośmioro, zdecydowaliśmy się więc na siedmioro. Rozmawialiśmy też o Cashelmarze. Obiecałem jej, że kiedy skończę dwadzieścia jeden lat, przerobię kaplicę na kościółek katolicki, a piękny okrągły hol domu pomaluję na biało i niebiesko, na wzór porcelany z Wedgood. Kerry zapowiedziała, że wymieni zasłony we wszystkich pokojach i zawiesi nowe obrazy na ścianach, a wszędzie będą kwiaty.

— I dużo tych ślicznych figurek religijnych — dodałem —: i soczyście zielona tapeta. Będziemy urządzać przyjęcia i bale. Możemy wynajmować muzyków z Dublina i wszyscy będą odwiedzali Cashelmarę, która stanie się najwspanialszym domem zachodniego świata.

— Cudownie! Och, niemal słyszę muzykę!

— Walce Straussa, kadryle, galopki...

— Polki!... Och, Ned, uwielbiam polki!

— Gigi, tańce szkockie...

— Irlandzka muzyka!

— Irlandzka muzyka i irlandzkie piosenki! — wykrzyknąłem obejmując ją w tali i wirując z nią wokół trawnika.

Otwarły się boczne drzwi domu i na taras wyszła matka.

— Ned!

— Tak? — krzyknąłem i syknąłem do Kerry: — Jak dojdziemy do domu, zostaw nas samych, porozmawiam z nią o naszym ślubie.

Moja matka odezwała się jasnym głosem:

— Chciałabym z tobą chwilę porozmawiać, jeśli wolno.

— Tak, już idę.

Doszliśmy do tarasu.-

— Widzę, że przeszedł ci ból głowy, Kerry — zauważyła moja matka.

— Nie trwał zbyt długo, prawda?

— Nie, milady — odparła Kerry. — Milady, jeśli zechce mi pani wybaczyć...

— Oczywiście. Ned, pozwól ze mną na górę, proszę.

— Tak, mam — odparłem posłusznie.

W buduarze matka poprosiła, żebym usiadł.

— Zamierzam wreszcie powiedzieć ci kilka słów na pewien temat — zaczęła. Mówiła szybko, jakby wyuczyła się na pamięć i chciała wyrecytować rolę, nim zapomni słowa. — Kiedy zobaczyłam, jak... figlujesz na trawniku, zdałam sobie sprawę, że muszę z tobą natychmiast pomówić. Ned, zauważyłam... zauważyliśmy obydwoje z Maxwellem, że ostatnio nazbyt spoufalasz się z Kerry. Oczywiście cieszy nas, że tak świetnie bawicie się razem, ale uważam, że nie wypada już, żebyś był z nią sam na sam. Nie myśl, że przesadzam: po prostu Kerry osiągnęła wiek, kiedy nie powinna się nigdzie ruszać bez przyzwoitki. Rzecz jasna mam świadomość, że obydwoje jesteście właściwie jeszcze dziećmi, ale... Mój Boże, obawiam się, że źle to ujmuję, a nie chcę, żebyś mnie źle zrozumiał. Wierz mi, kochanie, jestem przekonana, że zachowujesz się

jak przystało na dżentelmena, ale wiem też, co to znaczy być wystawionym na pokusy i... Hmm, może Maxwell powinien z tobą porozmawiać...

— To nie będzie konieczne — odparłem.

— Skarbie, proszę, nie obrażaj się. Wiem, że ty nie zrobisz nic niewłaściwego, ale ludzie mogą pomyśleć...

— Odkąd to zwracasz uwagę na to, co myślą ludzie? — wyrwało mi się nieopatrznie.

Przygryzła wargę.

— Nie musisz być niegrzeczny, Ned — powiedziała spokojnie, przez co poczułem się zawstydzony. — Wierz, dla Kerry, dla każdej panny reputacja jest bardzo ważna. Może wpłynąć na całą jej przyszłość. W starszym wieku i w smutniejszych okolicznościach człowiek może sobie czasem pozwolić na łamanie konwenansów, ale młoda dorastająca panienska musi prowadzić się przykładnie.

— Ależ Kerry tak właśnie się prowadzi — zapewniłem. — Dlatego wiem, że ucieszysz się, kiedy ci powiem, że Kerry i ja zamierzamy się pobrać.

Zapadła cisza. Matka osłupiała, lecz wcale mnie to nie zdziwiło. Kiedy życzenia swatów tak dokładnie zgadzają się z pragnieniami pary, którą chcą połączyć, wydaje się to zbyt piękne, aby mogło być prawdziwe.

— Pomyślałem, że ślub mógłby się odbyć w grudniu — ciągnąłem po chwili, którą dałem jej, by doszła do siebie. — W moje szesnaste urodziny. Gallagherowie zdążyliby przyjechać z Ameryki, a wy z Kerry miałybyście czas przygotować wesele. A propos, postanowiłem przejść na katolicyzm, więc chcę poprosić ojca Donalę, żeby udzielił nam ślubu w Clonareen... — Dziwny wyraz twarzy matki sprawił, że serce we mnie zamarło. Chyba nie zamierzała robić awantury z powodu mojego przejścia na katolicyzm? — Co się stało? — zapytałem ostrożnie, a potem nagle doznałem olśnienia. — Ach, pewnie uważasz, że jesteście za młodzi. Cóż, skoro tak czy owak mamy się pobrać, to dlaczego byśmy nie mieli zrobić tego wcześniej?

— Tak czy owak?... — powtórzyła słabym głosem.

— Daj spokój, mamó, nie przypuszczasz chyba, że nadal nic nie wiem o umowie pana Drummonda z panem Gallagherem?

— Och, nie... — Zbladła i musiała usiąść. — Ned, to nie było wiążące... To znaczy nie pociągało za sobą żadnych skutków. Maxwell obiecał tylko, że Kerry przez jakiś czas będzie z nami mieszkać i nauczy się, jak być damą. Nie obiecywał, że się z nią ożenisz, jakżeby mógł? Nie wątpię, że pan Gallagher żywił jakieś nadzieje, ale...

— Podobnie jak pan Drummond — wtrąciłem. — Rozumiem, że w grę wchodziły jakieś pieniądze.

Zbladła jeszcze bardziej.

— O tym nic mi nie wiadomo, ale jeśli coś takiego rzeczywiście

ustalono, to jestem pewna, że Maxwell chciał tylko sprawić przyjemność panu Gallagherowi. Pan Gallagher był jedyną osobą, która mogła załatwić mu uniewinnienie, zrozum to, i oczywiście obydwójce chcieliśmy mu się przypodobać. Ned, chyba nie sądzisz, że naprawdę bym chciała, żebyś się wzenił w taką rodzinę jak Gallagherowie? Wiedz, że w żadnym razie się nie zgadzam na ślub z kimkolwiek, póki nie dorośniesz, ale nawet później nie przystanę na twoje małżeństwo z Kerry. Ona stoi o wiele niżej w hierarchii społecznej, jest taka... taka zupełnie nieodpowiednia na żonę mężczyzny twojego stanu! Wiem, że to nie jej wina, że pochodzi z takiej prostej, pospolitej rodziny, ale...

— Rozumiem — przerwałem jej. — Ty i pan Drummond wykorzystujecie pieniądze i wpływy Gallagherów, a kiedy zdobywacie to, czegoście chcieli, beztrąsko zapominacie o transakcji, której warunków nie zamierzaliście nigdy dotrzymać. Robicie tak, a potem masz czelność mi mówić, że to Gallagherowie są prości i pospolici!

— Ned! — Krew z powrotem napłynęła jej do twarzy. Wstała. — Natychmiast mnie przeproś! Jak śmiesz być taki zuchwały!

— Uważam, że to ty powinnaś mnie przeprosić — odparłem. — To ty mnie okłamałaś, ukrywałaś przede mną prawdę, pozwoliłaś swojemu kochankowi wystawić mnie na sprzedaż jak jakiś mebel...

Uderzyła mnie dwa razy w twarz. Zapięła mnie skóra i podniosłem rękę, żeby ją pomacać. Kiedy znowu spojrzałem na matkę, zahaczyłem, że oddycha z trudem, jak po biegu, a jej oczy są oczyma człowieka obcego.

Ścisnęło mnie za gardło, odwróciłem się od niej.

— Posłuchaj uważnie — rzekła ściszonym, drżącym z gniewu głosem. — Nie ożenisz się z tą dziewczyną, ani teraz, ani nigdy później. Stanowczo zabraniam. W przyszłości będziesz mi za to wdzięczny. Tymczasem lepiej pomyśl o szkole. Napiszę do Thomasa i poproszę, żeby załatwił ci natychmiastowe przyjęcie do Harrow.

— Nie wyjadę z Cashelmary.

— Zrobisz, co ci każę! — Nim zdążyłem zareagować, gwałtownie otworzyła drzwi. — Maxwell!

Jaj krzyk poniósł się głośnym echem po korytarzu i pobrzmiwał w galerii. Poruszyłem się, potrąciłem stolik i zrzuciłem na podłogę jakąś ozdobę.

— Mamo, nie mam nic do powiedzenia panu Drummondowi.

— Wracaj do pokoju!

W holu rozległy się kroki Drummonda.

— Saro, wołałaś mnie?

— Tak. Proszę, przyjdź tu na chwilę i pomóż mi.

Wbiegł na górę. Wycofałem się do buduaru, zanim dotarł do galerii.

— Co się dzieje, kochanie?

— Mam okropnie nieprzyjemną rozmowę z Nedom. Wygląda na to, że zupełnie postradał zmysły. — Zniżyła głos, ale i tak dochodziły mnie

strzępy rozmowy. — To wszystko wina tej wstętnej dziewczyny... chce się żenić... nie, nie później, teraz!... gburowaty, okrutny i przykry... potrzebuje męskiej ręki, kogoś, kto porozmawia z nim jak ojciec...

Musiałem opanować chęć ukrycia się w sypialni matki. Nic by mi nie pomogło, gdybym się zachowywał tak, jakbym uciekał. Stałem więc za fotelem, oparłem sztywno ręce o jego wyściełane wysokie oparcie — i czekałem.

Wreszcie Drummond wszedł do pokoju. Ubrany był w wytworny garnitur, jeden z kilku zamówionych przy okazji odwiedzin Phineasa Gallaghery, w kieszonce kamizelki miał złoty zegarek, wygrany kiedyś w pokera. Włosy zaczesywał teraz schludnie do tyłu, podcinał bokobrody, a nawet zapuścił mały wąsik. Próbowałem sobie przypomnieć brzydkiego, niechlujnego Irlandczyka, który wyrzucił w górę kapelusz i kupił mojej matce fiołki, lecz rozmyło się to wspomnienie i wydawało się teraz zaledwie odległym snem.

— Cóż to, Ned? — zagadnął z uśmiechem, zamykając drzwi. — Nie ma co, twoja matka narobiła trochę szumu. Co to za popłoch z tym ożenkiem?

— Nie mam ochoty rozmawiać z panem na ten temat — odparłem.

— Podobnie rzecz ma się ze mną — rzekł, wciąż uśmiechnięty — ale ponieważ twoja matka dała mi wyraźne polecenie, zdaje się, że nie mamy wyboru. Słuchaj, nie możesz mieć tego matce za złe. Nigdy nie obchodzili jej Gallagherowie, a co więcej, nic na to nie może poradzić. To dlatego, że się wychowała w tym pałacu przy Piątej Alei. Ale jeśli chcesz znać moje zdanie, to uważam, że masz dobry gust. Gallagherowie to porządna szczęśliwa rodzina, a dziewczynki zostały wychowane jak należy. No i Kerry jest panną, która wpadłaby w oko każdemu mężczyźnie. Jak więc widzisz, nie zgadzam się z twoją matką, gdy mówi, że nie powinieneś się żenić z Kerry. Wręcz przeciwnie: powinieneś, ale dopiero jak skończysz dwadzieścia jeden lat i będziesz o sobie decydował, jak poznasz trochę ten świat i więcej się nauczysz. Dobrze ci radzę, Ned, nie żęń się, póki nie dorośniesz. Ja to zrobiłem i często tego żałowałem. Jeśli jesteś wystarczająco rozsądny, żeby się uczyć na błędach innych, to mam nadzieję, że nie zrani twojej dumy, kiedy wyciągniesz wnioski z moich pomyłek.

Milczałem. Zorientowałem się w końcu, że nie zamierzam nic powiedzieć, i zapalił papierosa, by zyskać czas na zastanowienie. Przypomniałem sobie czasy, kiedy ten gest wzbudzał we mnie ufność. Teraz wydał mi się tylko tanią sztuczką.

— Nie chcę się z tobą kłócić, Ned — odezwał się wreszcie. — Zbyt długo się przyjaźnimy. Pozwól, że zaproponuję pewien kompromis, który lepszy będzie dla nas obu niż kłótnia. Ożeń się z Kerry, ale odłóż to na później. Poczekaj przynajmniej rok.

— Nie chcę czekać.

— Na co? Na małżeństwo czy na to, żeby zaspokoić pragnienie posiadania kobiety i zażyć związanym z tym przyjemności?

Odwrociłem oczy.

— Nie ma sensu rozmawiać dłużej na ten temat.

— Na to drugie nie musisz czekać, wiesz? Czekaj na małżeństwo i na Kerry, ale na resztę nie trzeba.

— Nie interesuje mnie reszta. Jeśli zechcesz mi wybaczyć...

— Mówisz tak, bo nie chcesz przyznać, że jak ja ci cokolwiek doradzam, to jest to najlepsza rada, jaką mógłbyś usłyszeć. Dajże spokój, Ned, nie zachowuj się jak dziecko! I bądź uczciwy wobec siebie!

Stał przed drzwiami na korytarz, toteż ruszyłem w kierunku drzwi wiodących do sypialni matki. Zatrzymał mnie jednak: położył mi na ramieniu swoją szeroką szorstką dłoń i łagodnie popchnął mnie pod ścianę.

— Nie tracisz przy mnie panowania — zauważył spokojnie, choć wiedziałem, że jest zagniewany. — Z pewnością nie jesteś aż takim głupcem... Czy ty nie widzisz, że jestem po twojej stronie? Próbuję ci pomóc. Za Clonareen mieszka pewna kobieta, pani Castelloe. Dawno temu wpadałem do niej czasem. Dla ciebie byłaby za stara, ale słyszałem, że mieszka z nią bratanica, bardzo gościnna dla młodzieńców, którzy jej przypadną do gustu. Jedź jutro ze mną do Clonareen, a ja już dopilnuję, żebyście się poznali.

Byłem świadom jedynie przejmującego pragnienia, by stamtąd uciec.

— Tak, sir — powiedziałem, wpatrując się w dywan.

Jego palce rozluźniły uścisk na moim ramieniu. Poklepał mnie lekko.

— Zawsze wiedziałem, że sprytny z ciebie chłopak — rzekł. — Ciesz się, że zamierzasz być rozsądny.

Uciekłem, pobiegłem korytarzem do mojego pokoju i w ostatniej chwili dopadłem umywalki. Zwymiotowałem. Nie miałem pojęcia, dlaczego tak mnie zemdliło, wytłumaczyłem sobie jednak, że wstrętem przejęła mnie myśl, aby Kerry zastąpić prostytutką.

Później dopiero zdołałem przyznać się przed samym sobą, jak bardzo się boję Drummonda. A kiedy już przyznałem się do strachu, mogłem zadać sobie pytanie: czy nadal wierzę w naturalną śmierć mojego ojca?

II

— Wychodzimy — powiedziałem Kerry zaraz po lunchu następnego dnia.

— Ned, twoja mama będzie wściekła. Miałyśmy zacząć nowy haft.

— Nie przejmuj się matką. Idziesz ze mną.

— Dokąd?

— Do chaty. Mam dzban mleka i pięć bułek z rodzynkami.

Kiedy pospiesznie wspinaliśmy się wśród drzew pod górę, opowiedziałem jej scenę z Drummondem. Wcześniej powiedziałem tylko, że matka nie zgadza się, żebyśmy pobrali się tak młodo.

— To oburzające! Żeby tacy pomyleni starzy ludzie mieszały się do tego! — Była wstrząśnięta. — Nie rozumiem, dlaczego nie wypada, żebyś ożenił się ze mną, a jednocześnie wypada, żebyś odwiedzał kobiety lekkich obyczajów. Nigdy by mi nie przyszło do głowy, że pan Drummond może być taki podły. Mamcia i papcio wpadliby w szal, jakby się o tym dowiedzieli!

— Tak myślisz? Jesteś pewna? Czy twój ojciec nie powiedziała tylko, że taki już jest ten świat?

— Zaczynam się zastanawiać, w jakim świecie żyje papcio. Może jeszcze wycofam się z tego i w końcu zostanę zakonnica. Wiesz? jak miałam dziewięć lat, chciałam być zakonnica.

Zatrzymałem się, aby pokazać jej, jak bardzo nie nadaje się do klasztornej życia.

— Nadal zamierzam się z tobą ożenić w moje urodziny — oświadczyłem, kiedy została już przekonana.

Teraz ona się przestraszyła.

— Ned, pan Drummond wpadnie w furję!

— Jeśli o mnie chodzi, może dostać nawet apopleksji. Nie jest moim ojcem i nie pozwolę, żeby się próbował zabawiać w rodziców. Mam prawie szesnaście lat i za nic się nie zgodzę, żeby mi ktokolwiek rozkazywał.

— Och! jaki jesteś odważny! — zawołała Kerry z podziwem.

Nie byłem odważny. Nie potrafiłem nawet zjeść bułeczki z rodzynkami.

— Mogłabym napisać do mamy i zwierzyć się, że straciłam dziewictwo — zaproponowała Kerry, w zadumie gryząc bułkę. — Wtedy będą musieli pozwolić na ślub, prawda?

— Nic takiego nie zrobisz — odparłem. — Zamierzam się z tobą ożenić za zgodą wszystkich, a twoja reputacja będzie bez skazy. Chcę załatwić wszystko jak należy i nikt nie stanie mi na drodze.

Miałem nadzieję, że po tych butnych obietnicach poczuje się lepiej, lecz kiedy o piątej wkradaliśmy się z powrotem do Cashelmary, moje serce waliło jak młotem, a ręce tak mi się trzęsły, że ledwie zdołałem otworzyć boczne drzwi domu.

— Co teraz? — szepnęła Kerry.

— Chodźmy na górę do pokoju dzieciennego. Tam nie może się stać nic strasznego, a poza tym obiecałem Johnowi, że pomogę mu odbudować farmę. Tylko najpierw pójdę do swojego pokoju zmienić buty, bo te zupełnie się rozpadają i mam mokre skarpetki.

— Mogę iść przodem?

— Tak. Spotkamy się w pokoju dzieciennym.

Robiąc dużo hałasu, popędziłem na górę tylnymi schodami i w końcu dotarłem do zacisza mojego pokoju.

— Witam w domu — rzekł Maxwell Drummond.

Stał za drzwiami, a kiedy obróciłem się na pięcie, zatrzasnął je z hukiem, odcinając mi drogę ucieczki. W jego wyglądzie było coś dziwnego i dopiero po kilku sekundach się zorientowałem, że jest w samej koszuli. Marynarkę rzucił na łóżko, nie miał też szerokiego skórzanego pasa, który zawsze nosił przy roboczym ubraniu. Szukałem tego pasa wzrokiem, lecz nie mogłem go znaleźć, aż ponownie spojrzawszy na Drummonda zauważyłem, że zwinął go starannie w prawej dłoni.

— Gdzie byłeś? — zapytał miękkim, cichym głosem bez szczególnego wyrazu.

— Na spacerze.

— Z Kerry? Twoja matka powiedziała, że jej także nie ma.

— Tak. Byłem z Kerry.

— Myślałem, że byliśmy umówieni.

— Myliłeś się — odparłem. — Zmieniłem zdanie. Wybacz, że cię nie zawiadomiłem.

— Niedoczekanie twoje! Coś zrobił tej dziewczynie?

Popatrzyłem na niego i nagle zabrakło mi słów.

— Jezu Chryste! — zawołał rozwścieczony. — Powinienem być się domyślić, jakiej głupoty można się spodziewać po takim zepsutym bękarcie jak ty. Popełniliśmy z twoją matką jeden błąd: za bardzośmy się cackali z tobą i pozwalaliśmy, że uchodziło ci na sucho zachowanie, za które normalnie każdy dzieciak zostałby ukarany. Ale tym razem posunąłeś się za daleko. Zamierzam dać ci nauczkę, którą nieprędko zapomnisz.

Udało mi się odezwać:

— Nie zrobiłem nic złego. Nie tknąłem jej. Chcę, żeby wszystko odbyło się jak należy.

— Ty przeklęty kłamczuchu! — wycodził i w najohydniej szych słowach opowiedział mi, jak sobie wyobraża to popołudnie.

Coś we mnie pękło. Pokój zawirował mi przed oczami w czerwonej mgłę, cały mój strach uleciał i przestałem kulić się przy szafie. Rzuciłem się na Drummonda, i to tak szybko, że udało mi się go zaskoczyć. Tłumiona dotąd nienawiść znalazła ujście w gwałtowności, z jaką zamierzyłem się pięścią na jego twarz. Uchylił się, lecz nie dość szybko — dosięgnąłem celu, aż zatoczył się do drzwi. Ruszyłem za nim i znów zamachnąłem się pięścią, krzyczałem, ledwie wiedząc, co mówię. Ob-rzucałem go wyzwiskami, dosadnymi, paskudnymi anglosaskimi wy-zwiskami, i kazałem mu wynieść się z mojego domu. Wtedy jednak złapał mnie za nadgarstek, wygiął go tak, że zawyłem z bólu, i wykręcił mi rękę

zmuszając, bym opadł na kolana. Zaraz potem znalazłem się unieruchomiony na podłodze z twarzą przyciśniętą do zniszczonego dywanu. Powinienem był wtedy wyrwać mu się jakoś, lecz tak mocno mnie trzymał, że nie śmiałem drgnąć w obawie, że złamię mi rękę.

— Puszczaj... — usiłowałem się wywinąć z uchwytu, ale szarpnął mnie za rękę i na sekundę z bólu zaparło mi dech. Dywan śmierdział kurzem i wilgocią. Zakrztusiłem się, oczy mnie piekły od łez. Płakałem, zanim jeszcze uderzył mnie pierwszy raz, choć starałem się pohamować łzy, aby ich nie widział.

Dostałem dziewięć razów: podciągnąwszy koszulę i podkoszulek, smagał mnie po gołej skórze, a kiedy skończył, odepchnął mnie i powiedział, że ma nadzieję, iż dał mi nauczkę. Ostrzegł też, że to tylko przedsmak tego, co mnie czeka, jeśli kiedykolwiek tknę Kerry choćby palcem, jeśli kiedykolwiek pisnę słówko o moim haniebnym zachowaniu. Mówił, że był wobec mnie cierpliwszy i wyrozumialszy niż byłby ojciec na jego miejscu, i że czas najwyższy, abym to sobie uświadomił. Wreszcie rzekł, że radzi mi poprawić się diabło szybko, jeżeli chcę uniknąć dalszych z nim problemów, i wyszedł.

Natychmiast się podniosłem. Wiedziałem, że chcąc zachować szacunek dla samego siebie, nie mogę leżeć na podłodze i szlochać jak mały chłopiec. Rozebrałem się i postarałem przemyć pręgi zimną wodą z miednicy, potem znalazłem czyste rzeczy i odziałem się starannie. Powinienem był włożyć najlepszy garnitur, lecz zdążyłem już z niego wyrosnąć. Kiedy podniosłem rękę, by przyczesać włosy, materiał przwarł mi do piekących pleców jak ołowiana peleryna. Dopiero wtedy pozwoliłem sobie usiąść.

Czułem też ból w ręce tak ostry, że zastanawiałem się nawet, czy nie jest złamana. Ponieważ jednak mogłem poruszać palcami, uznałem za mało prawdopodobne, że kość jest poważniej uszkodzona. Zanim zacząłem się nad sobą użalać, szedłem na dół.

Udałem się prosto do biblioteki. Drummond siedział wygodnie rozwalony na krześle z nogami na wielkim biurku. Przy łokciu miał szklankę whisky i palił ogromne cygaro w stylu Phineasa Gallaghery.

Ujrzawszy mnie tak się zdumiał, że minęła dobra chwila, zanim opuścił nogi na podłogę.

— Ach, to ty? — powiedział, nadając swojemu głosowi twarde brzmienie, by pokazać mi, jak szybko bierze się w garść. — Przypuszczam, że chcesz mnie przeprosić.

— Nie, panie Drummond — odparłem, zdecydowany dopiąć swego. — Nie przyszedłem przeproszać. Przyszedłem rozdać karty w taki sposób, żebyśmy obaj byli zadowoleni.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

I

Roześmiał się.

— Nie sądziłem, że ktoś użyje tych słów przeciwko mnie! — Strząsnął popiół z cygara i wskazał mi jeden z foteli przy kominku. — Siadaj i swobodnie rozdawaj te karty.

Ponieważ ani drgnąłem, wzruszył ramionami i pochylił się nad biurkiem, nadal trzymając to swoje wielkie cygaro.

— Czemu nie poczekaasz, aż trochę ochłoniesz? — zapytał. — Przyjdź jutro i powiedz, co masz* do powiedzenia. Dla mnie to bez różnicy.

Milczałem.

— Na Boga! Ned, przykro mi, że jesteś na tyle dziecinny, żeby żywić do mnie urazę. Powinieneś się cieszyć, że cię traktuję tak samo jak własnych synów.

— Swoich synów traktowałeś rzeczywiście wybornie — odparłem. — A teraz, skoro miałeś już czas, żeby się zastanowić, może przystąpimy do rzeczy. Zacznijmy od tego, że powinieneś przyjąć do wiadomości pewne fakty. Po pierwsze: Kerry jest dziewczcą. Po drugie: nie jestem kłamcą i nie masz prawa tak mnie nazywać. Po trzecie: ożenię się z Kerry w moje urodziny, piątego grudnia, a ty przekonasz matkę, że ma się na to zgodzić bez zastrzeżeń. Czy wyraziłem się jasno?

Ryknął śmiechem, wyraźnie kpiąc sobie ze mnie.

— No, no! Jak dotąd to rozdanie jest korzystne tylko dla ciebie — powiedział rozbawiony. — A gdzie moje profity?

— Chcesz dalej tu mieszkać i udawać dżentelmena, prawda?

Rozbawienie w jego oczach zgasło. Wyczuwając, że pod zniewagą kryje się wyzwanie, co właśnie miałem na celu, zdecydował się potraktować mnie poważnie.

— Jestem dobrym zarządcą — rzekł kategorycznie — i nie ma tu żadnego udawania.

— Zgadza się, to nie jest zwykłe udawanie. To oszukiwanie. Za przyzwoleniem mojej matki od dłuższego czasu korzystałeś z moich pieniędzy. Gdybym chciał, mógłbym poprosić sąd o skreślenie matki z listy członków rady. A wtedy moi wujowie zwolniliby cię z posady.

— Bardzo proszę — odparł. — Mój stary dom jest odbudowany, a ty nie możesz nim dysponować. Przeprowadzę się tam i będę sobie nieźle żył. Zawsze byłem dobrym gospodarzem i nie widzę powodu, dla którego twoja matka z radością by ze mną nie zamieszkała. Dopilnowałbym, żeby znalazła tam wszelkie wygody, a byłaby na tyle blisko Cashelmary, że mogłaby codziennie widywać dzieci.

Zaczynałem rozumieć, w jaki sposób wygrał złoty zegarek. Poczułem wewnętrzną panikę, lecz nie zacisnąłem pięści, zachowałem nad sobą panowanie.

— Zaraz, zaraz, sir — powiedziałem. — Dobrze pan wie, że matka nie pozwoliłaby na aż takie poniżenie dzieci i siebie. I tak już znosi więcej, niż jest w stanie. Gdyby pan został zhańbiony, rzuciłaby pana.

— I tu się mylisz — odparł z uśmiechem. — Ona mnie nigdy nie opuści.

Oburzające było to, że miał słuszość. Patrzyłem na niego. Plecy bolały mnie od lania, nadwerżona ręka pulsowała, w dodatku ku mojemu przerażeniu odkryłem, że nie mam już nic do powiedzenia.

Drummond przestał rozpierać się przy biurku i wstał, jakby rozmowa była zakończona.

— Poza tym żaden sędzia nie mógłby pozbawić twojej matki jej pozycji w radzie — rzekł nonszalancko, zaciągając się swoim grubasnym cygarem i ostatecznie przekreślając moje pogroźki. — Przyznaję, że była dla mnie hojna, ale nie wydała ani funta, którego nie można by zaksięgować zgodnie z prawem. Ona umie prowadzić księgi rachunkowe, wiesz? I nikt nie zdoła jej udowodnić żadnych nadużyć.

Zagroziła mi klęska, lecz nie chciałem jej widzieć, bo też nigdy w życiu nie walczyłem z taką determinacją o zwycięstwo. W porywie desperacji moja nienawiść sięgnęła szczytu, a była tak potężna, że przestałem cokolwiek innego czuć — nawet strach. Jedna za to myśl, początkowo ledwie przeczucie, jęła się rozrastać, aż przybrała rozmiary skłębionej chmury absolutnego przekonania i wypełniła mój umysł tak, że zdało mi się, iż moja głowa pęknie z bólu. A była to myśl następująca: ten człowiek zabił mojego ojca.

Usłyszałem swój głos mówiący chłodno:

— Zapewne masz rację. Być może nie udałoby mi się dowieść, że moja matka dopuściła się nadużyć, natomiast zdołałbym chyba udowodnić, że popełniła morderstwo.

Jego cygaro zgasło — przygniótł je niechcący o biurko, kiedy się odwrócił, by na mnie spojrzeć. Na kominku zegar w kształcie słonia tykał cicho, odmierzając czas do chwili, aż zdecydowałem się znowu odezwać.

— Oczywiście obaj wiemy, że moja matka nie jest morderczynią — rzekłem — ale odwiedziła mojego ojca na krótko przed jego nagłą chorobą. Gdyby się okazało, że nie zmarł na marskość wątroby, mogłaby się znaleźć w bardzo trudnym położeniu.

Drummond odpowiedział głosem opanowanym i stanowczym:

— Twojego ojca wykończył alkohol. Nie było żadnego morderstwa. Zmarł śmiercią naturalną.

— Cieszę się, że taki pan tego pewien, sir. W takim razie nie będzie pan miał nic przeciwko temu, że napiszę do naczelnika policji w Dublinie z prośbą o zezwolenie na ekshumację zwłok mojego ojca w celu przeprowadzenia sekcji.

— Ty szaleńcze! — rzucił nie patrząc na mnie. — Nie bądź aż taki głupi!

— Przyznaję, że zorganizowałeś to świetnie. Początkowo myślałem, że wizyta mojej matki w Clonagh Court była czystym przypadkiem, że pojechała bez twojej wiedzy, ale teraz widzę, że to wcale nie był przypadek. Pozwoliłeś jej tam jechać, bo chciałeś mieć z niej osłonę. Wiedziałeś, że później w razie jakichś podejrzeń rodzina położy uszy po sobie, żeby ją ochronić. To była dobra zagrywka, godna twoich pokero- wych talentów. Ale teraz koniec z tym, bo zamierzam cię sprawdzić i dowiedzieć się prawdy.

— Nie zrobisz niczego, co by zraniło twoją matkę — oświadczył, nalewając sobie kolejną whisky.

— Normalnie owszem, nic takiego bym nie zrobił. Tylko że okoliczności nie są normalne, sir. Jeśli mam wybierać między matką a Kerry, wybieram Kerry.

Milczał.

— Wyboru dokonuję teraz — ciągnąłem. — Jeśli pan uzyska zgodę matki na małżeństwo, zostawię was oboje w spokoju. Za to jeśli stanie mi pan na drodze, w ciągu miesiąca znajdziecie się przed sądem. Decyzja należy do pana, sir.

Wypił whisky jednym haustem. Korzystając z jego zamyślenia, uznałem za rozropne dodać:

— Ostrzegam: wysłałem list do pana Rathbone'a do Londynu i dołączyłem do niego drugi, który ma być otwarty po mojej śmierci. Doszedłem do wniosku, że mądrze będzie na piśmie sformułować podejrzenia z żądaniem sekcji zwłok. Mam nadzieję, że rozumie pan, dlaczego w obecnych okolicznościach takie środki ostrożności wydały mi się niezbędne.

Umilkłem, a Drummond nadal się nie odzywał. Jego szklanka była pusta, cygaro zupełnie rozgniecione, twarz napięta i nieruchoma.

— I cóż, panie Drummond? — zapytałem w końcu. — Czy zamierza mi pan pomóc?

Cofnął się za biurko i usiadł na krześle, poruszając się powoli, jakby raptem zdjęto mu ciężar z nóg. Wreszcie nie patrząc na mnie powiedział:

— Niech będzie. Rób sobie, co chcesz, ja umyвам ręce. Próbowałem cię ustrzec przed popełnieniem życiowego błędu, ale skoro nie chcesz mnie słuchać, nic na to nie poradzę. Żeń się, tylko żebyś nie przychodził

potem do mnie z pretensjami, że nie dość się starałem i pozwoliłem ci zrobić z siebie takiego cholernego głupca.

— Spodziewam się, że matka udzieli mi zgody w ciągu najbliższej doby — rzekłem.

— Porozmawiam z nią dziś wieczorem.

Było po wszystkim. Udało mi się — rzuciłem go na kolana!

— Znakomicie. Dobranoc, sir — powiedziałem lakonicznie i poszedłem na górę, najszybciej jak mogłem, by napisać poufny list do pana Rathbone'a.

II

— Ależ, Ned! — zawołała moja matka ze łzami w oczach. — Jak możesz myśleć w ten sposób o Maxwellu, który zawsze był dla ciebie taki dobry? I jak możesz mi grozić* Czyżbyś przestał mnie kochać?

— Kocham cię — odparłem — ale kocham też Kerry.

— Jak możesz ją kochać? Jesteś za młody, żeby wiedzieć, co znaczy to słowo. Słuchaj, Ned, mniejsza o to, co powiedziałam wczoraj na temat reputacji Kerry. Będzie lepiej, jeśli ona straci reputację, niż gdybyś ty miał się żenić w wieku szesnastu lat...

— Nie, Saro! — zaprotestował Drummond stanowczo. — Jak mógłbym spojrzeć w oczy Gallagherowi, gdybym dopuścił do czegoś takiego?

— A cóż mnie obchodzą Gallagherowie! — krzyknęła. — Żałuję, żeśmy ich w ogóle poznali!

— Gdybyśmy ich nie poznali, dotąd byśmy siedzieli w Ameryce. Saro, kochanie, musisz podejść do tego rozsądnie...

— Nie zgadzam się i już! Nigdy, przenigdy się nie zgodzę...

— Saro, albo jesteś ślepa, albo źle oceniasz sytuację! Nie chcesz chyba tego całego szumu, jaki wywoła sekcja zwłok? Czy twoje dzieci nie przeżyły już dość wstydu i skandali?

— Patrick zmarł śmiercią naturalną — odparła. — Wszyscy się z tym zgodzili. Zgon był skutkiem nadużycia alkoholu, tak stwierdziła Madeleine... Tak powiedziała, prawda? Doktor Cahill też tak mówił.

— Owszem, to prawda.

— Więc na miłość Boską, dlaczego Ned mówi o sekcji?

Zapadło milczenie. Matka aiowu się rozpłakała, a Drummond rzekł po dłuższej chwili:

— Saro, pozwól mu ożenić się z Kerry.

Matka próbowała coś powiedzieć, lecz nie zdołała. Najwyraźniej uświadomiła sobie wreszcie, że nie ma już nic, na co mogłaby się powołać.

— Pozwól mu zrobić, co chce — dodał Drummond, starając się jej pomóc. — Jeśli kiedyś się nią znudzi, będzie miał przynajmniej pieniądze, żeby się od niej uwolnić i zacząć życie od nowa.

— Katolicycy nie uznają rozwodów — odparła matka, płacząc już na całego, wiedziałem jednak, że nie moje przejście na katolicyzm opłakuje. Drummond natomiast uznał, że lepiej udawać, iż leje łzy z tego właśnie powodu.

— Czy nie widzisz, że zainteresowanie Neda Kościołem rzymskokatolickim wynika tylko z jego uczuć dla Kerry? To nie koniec świata. Ustąp mu i pozwól popełniać błędy. Czasem trzeba dać dzieciom możliwość działania na własny rachunek. Toteż uspokój się, Saro, bo i tak nic nie zyskasz upierając się przy swoim. Zgódź się na to małżeństwo, pobłogosław im i zaakceptuj Kerry jako synową.

— Nie mogę... — szlochała matka, zapominając w rozpacz, że nie ma wyboru. — Taka brzydka, opasła, pospolita dziewczyna...

— Saro, Saro... — Musnął dłonią jej usta, jakby chciał zgarnąć te słowa, i pochylił się nad nią. — Nic więcej nie mów. Nie przy Nedzie. Proszę, dla twojego dobra.

Dopiero wtedy go posłuchała i powściągnęła język. Kiedy spotkałem ją później, wydawała się pogodzona z sytuacją, a nawet przeprosiła mnie za ostre słowa.

— Chcę dla ciebie jak najlepiej — powiedziała, próbując się uśmiechnąć. — I nadal nie potrafię udawać, że cieszy mnie twoje małżeństwo w tak młodym wieku. Teraz jednak widzę, że Maxwell ma słuszość. Będzie dla mnie lepiej, jeśli się z tym pogodzę.

Wysłuchałem jej tłumaczeń i podziękowałem za wyrozumiałość. Odniosłem wrażenie, że odczuła ulgę.

— Wybacz, skarbie, proszę, że uniosłam się przedtem... Po prostu był to dla mnie szok.

Miałem świadomość, jaką podjęliśmy grę: mieliśmy udawać, że matka udziela mi zgody na ślub z własnej i nieprzymuszonej woli, choć niechętnie. Być może zdołała nawet sobie wmówić, że Drummond jest niewinny i że obydwójce są przeciwni sekcji zwłok wyłącznie dla uniknięcia skandalu.

— W zasadzie nie myślę o Kerry aż tak źle — rzekła, nad tamtym kłamstwem przechodząc do porządku dziennego. — W gruncie rzeczy mam najszczerzą nadzieję, że będziecie szczęśliwi.

— Dziękuję, mam — odparłem, z całych sił ukrywając złość na nią, i sumiennie nadstawiłem policzek, aby mnie pocałowała.

Zostały nadane telegramy do Bostonu i Londynu, posłano też list do Clonareen — i godzinę później zaprzężony w kucyka powozik ciotki Madeleine piął się podjazdem. Ciotka zażądała rozmowy z moją matką, która wpadła w panikę i wywołała mnie z lekcji. Kiedy wszedłem do salonu, akurat osuwała się bez sił na kanapę. Ciotka Made-

leine, nieskazitelna w swoim granatowym stroju, zajęła miejsce przy kominku.

— Edwardzie — powiedziała ciotka — natychmiast powiedz mi prawdę. Skoro ktoś w twoim wieku żeni się z takim pośpiechem, to jest tylko jedno wyjaśnienie tego, co zaszło między tobą a Kerry. Jeśli jest inaczej, bardzo proszę mi to wytłumaczyć.

— Oczywiście, ciociu — odparłem. — Postanowiłem przejść na katolicyzm, toteż nie chcę narażać mojej nieśmiertelnej duszy popełniając grzech śmiertelny. Tak się składa, że jestem wielkim przeciwnikiem cudzołóstwa.

— Godne to pochwały — rzekła. — Czy pobierasz nauki u ojca Donala? Tak? Tego się obawiałam. Nie chcę być niesprawiedliwa, ale ten poczciwina kompletnie nie posiada wykształcenia i ledwie się nadaje do udzielania nauk, których potrzebujesz, zanim zostaniesz przyjęty na łono Kościoła. Na przykład zapomniał, zdaje się, jaką wagę mają w pewnych okolicznościach wyrzeczenia i celibatu. Drogie dziecko, nikt nie mógłby być wdzięczniejszy niż ja, że Bóg zesłał na ciebie łaskę oświecenia i postanowił cię ustrzec przed zepsuciem moralnym. Mimo to uważam za oczywiste, że nie powinienes się żenić w wieku szesnastu lat.

— Wciąż mu to powtarzam — wtrąciła z płaczem moja matka. — Ale on nie chce mnie słuchać.

— Wcale mnie to nie dziwi — odparła zimno ciotka. — Możesz winić tylko siebie, Saro, za to, że wymyka się spod kontroli. Jaki dawałaś mu przykład przez ostatnich kilka lat? Jak on może cię w ogóle szanować? Będziesz miała z dziećmi masę problemów, Saro, a teraz właśnie się zaczynają. Ale nie rozumiem, dlaczego dzieci miałyby płacić za grzechy rodziców. Jeśli Ned jest aż tak samowolny, że nie masz wyboru i musisz się zgodzić na to małżeństwo, to z pewnością nie jego będę winić. Cała odpowiedzialność za ten szalony krok spada na ciebie, Saro, i powtórz temu człowiekowi moje słowa. Żegnam.

Kiedy tydzień później do Cashelmary przybyli moi wujowie, matka zamknęła się u siebie, wymawiając się migreną, tak że musiałem samotnie walczyć z ich dezaprobatą.

— Nalegam, żebyś powiedział mi prawdę — zaczął posepnie wuj Thomas.

— Oczywiście — odparłem. — Zamierzam się ożenić i matka wyraziła na to zgodę.

— Mówię o całej prawdzie!

— Ned — wtrącił wuj David — pamiętam, jak się zakochałem będąc w twoim wieku, ale od tamtej pory zakochiwałem się jeszcze przynajmniej tuzin razy. Dopiero teraz, kiedy skończyłem dwadzieścia siedem lat, poznałem pannę, która z całą pewnością da mi szczęście.

— Davidzie, nie ma sensu mówić Nedowi, że szaleństwem jest zenić się w wieku szesnastu lat — przerwał mu wuj Thomas. — My to wiemy, ale on tego nie zdoła pojąć. Mamy impas.

— Ależ musi być coś, co go przekona! — zawołał wuj David. — Czekaj, niech pomyślę... Sądzę, że z religijnego punktu widzenia sprawę usiłowała załatwić Madeleine, więc nie ma sensu do tego wracać. Nie ma zresztą nic niemoralnego w samej chęci ożenku, prawda? To szalone utrudnienie.

— Mimo wszystko chciałbym wiedzieć — upierał się wuj Thomas — dlaczego Sara wyraziła zgodę na małżeństwo, którego na pewno nie aprobuje.

Wuj David zasugerował, że prawdopodobnie zrobiła to, ponieważ sprawiła jej ulgę świadomość, iż pragnę żyć zgodnie z zasadami moralnymi.

— Czy to prawdziwy powód, Ned? — zapytał wuj Thomas z powątpiewaniem.

— Przykro mi, ale nie mogę się wypowiadać w imieniu matki — odparłem uprzejmie.

— Wyśmienicie. Zadam więc pytanie, na które możesz odpowiedzieć. Zasadniczy problem tkwi przecież w seksie. Czy masz jakieś doświadczenie seksualne?

— Thomas! No wiesz!... — zawołał wuj David.

— Na miłość Boską, Davidzie! nie możemy wszyscy podzielać twoich poglądów na dziewictwo!

— Jeśli idzie o to, czy Kerry jest w ciąży, to odpowiedź brzmi: nie. A jeśli zamierzasz mi powiedzieć, żebym poczekał jeszcze na Kerry, a tymczasem wykorzystał inną kobietę, proszę, nie trudź się. Zdecydowałem już, że tego nie zrobię.

— To by było najlepsze wyjście! — Gniew wuja Thomasa wciąż rósł. — Gdybyś dał upust pragnieniom ciała, przypuszczam, że wkrótce byś odzyskał rozum i ujrzał swoją przyjaźń z Kerry we właściwej perspektywie. Moim zdaniem, nie zaspokojone potrzeby seksualne są przyczyną większości problemów tego świata. Niedawno czytałem niezwykle interesującą książkę...

— Mój drogi — wtrącił wuj David, rozgniewany już niemal tak samo jak jego brat — nie sądzą, żeby to była najodpowiedniejsza chwila na omawianie prośnej literatury.

— To podręcznik medyczny! Rany Boskie, Davidzie, bądźże realistą! Co jest mniejszym złem: błąd, którego Ned może żałować przez całe życie, czy jedna noc, której za rok nie będzie już pamiętał?

— Są też inne wyjścia! — oświadczył wuj David z pasją. — Ned powinien odbyć długą podróż po kontynencie. Mógłbym go przecież zabrać ze sobą. Wprawdzie nie chciałbym być z dala od Harriet zbyt długo, ale...

— To bardzo miło z twojej strony, wuju — przerwałem mu — ale ja też nie chcę się rozstawać z Kerry.

— Ja nie wyrażam zgody na twój ślub z tą dziewczyną — oznajmił wuj Thomas.

Pohamowałem się i nie zwróciłem mu uwagi, że jego zgody nie potrzebuję.

— Thomas, powinniśmy omówić to z Sarą — rzekł wuj David.
— Rozmowa z Nedom nic nie da. Przecież on nas nie posłucha.

— Z Sarą! Sara najwyraźniej postradała zmysły! Wszyscy wiemy, że od lat zachowuje się nierozsądnie. Do diabła! Jeśli ona się nie przeciwstawi temu małżeństwu, oddam Neda pod kuratelę, sądu...

— Nie ma mowy! — kategorycznie sprzeciwił się wuj David, zanim zdążyłem cokolwiek powiedzieć. — Mam już dosyć robienia z naszego nazwiska synonimu skandalu sądowego. Thomasie, wygląda na to, że teraz ja tobie muszę przypominać, abyś był realistą! Przecież to oczywiste, że Ned się stanowczo uparł. Nawet jeśli oddamy go pod kuratelę sądu, to i tak na pewno jakoś zdoła się wymknąć do Szkocji i w Gretna Green wziąć ślub bez niczyjej zgody.

— Doskonale! — krzyknął wuj Thomas, rozłoszczony do granic.
— Rozumiem, że mamy się poddać! Ale gdybyś się troszczył o Neda tak jak ja, protestowałbyś przeciwko temu absurdalnemu małżeństwu do utraty tchu!

— Wuju, wyraziłeś swoje zdanie — powiedziałem do Thomasa.
— Jestem wdzięczny tobie za troskę, a wujowi Davidowi za to, że chce uniknąć wszystkiego, co mogłoby wywołać skandal. Mam nadzieję, że obaj przyjdziecie na mój ślub piątego grudnia.

— Ty niedowarzony młodziku! — sapnął z irytacją wuj Thomas.
— Pewnie myślisz, że będziesz zażywał małżeńskich rozkoszy i żył szczęśliwie po wsze czasy? Żałosne to.

— Uspokój się, wuju — odparłem, nie tracąc cierpliwości. — Czy ktoś tu mówi, że małżeństwo gwarantuje wieczne szczęście?

Wuj Thomas jednakże był zbyt przygnębiony, aby zareagować, wuj David zaś powiedział tylko, że szkoda, iż młodzieniec w moim wieku jest tak cyniczny.

III

— Byłoby lepiej, gdybyś poczekał, skarbie — powiedziała niania.
— Co nagle, to po diable, a potem żal.

— Racja — przyznałem.

— Nie rozumiem twojej matki, że pozwala ci na coś takiego.

Milczałem.

— Zmieniłeś się — stwierdziła i nagle nie była już moją nianią, lecz zagubioną kobietą w średnim wieku, broniącą się przed światem poza ścianami pokoju dziecinnego.

— Jestem taki sam jak przedtem, nianiu — odparłem całując ją, wiedziałem jednak, że to nieprawda.

— Nie rozumiem, dlaczego wszyscy stale mówią, że jestem taki młody — rzekłem później do Kerry. — Czasami czuję się tak, jakbym miał co najmniej trzydzieści lat. W zasadzie nie pamiętam nawet, jak to jest być dzieckiem. Dzieciństwo było tak dawno!

Dzieciństwo wydawało mi się odległe także wtedy, gdy patrzyłem w lustro. Miałem już sześć stóp i cal wzrostu, ramiona wyraźnie rozrośnięte. Nadal byłem kościsty, lecz teraz przynajmniej mogłem znieść swój widok i patrzeć na siebie, nie myślałem natychmiast o latarnianym słupie. Cera mi się całkiem poprawiła, a włosy, choć nadal w kolorze błota, rosły teraz bujnie. Liczyłem, że także ich barwa poprawi się z wiekiem. Nie byłem wprawdzie tak przystojny jak mój ojciec — i być może nigdy nie miałem taki być, ale nieźle się chociaż prezentowałem.

— Czuję się tak samo dorosła jak ty — wyznała Kerry i dodała z westchnieniem: — Myślę, że jak się przebywa z dala od domu, to i szybciej się dorasta.

— Jesteś pewna, że nie chciałabyś wziąć ślubu w Bostonie? — spytałem, bo zawsze się martwiłem, że tęskni za domem.

— Nie. Jeśli tylko mamcia i papcio mogą tu przyjechać z dziewczynkami, wolę mieć prawdziwe irlandzkie wesele w Cashelmarze. W końcu to będzie mój dom, prawda? I jeśli wyjdę za żonę tutaj, poznają mnie wszyscy w dolinie, kiedy przyjdą na uroczystość.

Teri punkt widzenia wywołał, niestety, niezadowolnienie mojej matki, która uważała, że należy ograniczyć liczbę weselników do bliskiej rodziny i miejscowych ziemian.

— Dlaczego ma być tak skromnie? — zapytałem. — Dlaczego ślub ma się odbyć tak cicho, jakbyśmy się wstydzieli? Kerry będzie miała najwspanialsze wesele, jakie dziewczyna może sobie wymarzyć!

O to matka się więcej nie spierała, ale niebawem nie spodobało jej się, że ślub mamy brać w Clonareen.

— Byłoby stosowniej, gdyby ceremonia się odbyła w Galway — zauważyła.

— Chcę, żeby nabożeństwo odprawił ojciec Donal.

Lubiłem ojca Donala, który moją chęć przejścia na katolicyzm uznał za najzwyczajszą rzecz pod słońcem i powiedział mi dokładnie to, co chciałem usłyszeć o moim nowym wyznaniu. Ciotka Madeleine stale tylko mówiła o dogmatach, co mnie śmiertelnie nudziło, za to ojciec Donal opowiedział mi o dniach świątecznych i różnych rodzajach mszy. Sporządził mi nawet listę zasad, żebym wiedział, kiedy się zapala

świeczkę, kiedy odprawia nowennę, a kiedy kłęka. Najlepsze w katolicyzmie jest to, że mimo mistycyzmu i cudowności, jest barwny i ceremonialny, a także praktyczny, pełen zasad rozstrzygających nie tylko wszelkie dylematy natury religijnej ale i troski dnia codziennego. Odpowiadają mi reguły, których należy przestrzegać. Może dlatego, że moje życie przez tak długi czas było nie uporządkowane. Powód jest zresztą nieważny, dość że normy ustanowione przez Kościół rzymskokatolicki dawały mi poczucie duchowego komfortu. Żałowałem jedynie, że nie odkryłem ich wcześniej.

Do pierwszej komunii przystąpiłem szesnastego listopada. Choć zaprosiłem matkę, by wzięła udział w uroczystości, odmówiła.

— Będę na twoim ślubie — powiedziała — ale poza tą okazją nie wypada mi przekraczać progu jakiegokolwiek kościoła, katolickiego czy protestanckiego. Czułabym się hipokrytką. Nie znoszę też, kiedy mi się przypomina, jak bardzo odciąłem Maxwella od jego wiary.

Drummond, który wcześniej nigdy nie rozmawiał ze mną o religii, teraz także nie poruszał tego tematu. Zbyt pochłaniały go przygotowania związane z przyjazdem Gallagherów. Za sprawą matki trwała kolejna rewolucja domowa, zdecydowała się bowiem przerobić część strychów na pokoje gościnne, gdyż dawne pokoje gościnne w zachodnim skrzydle przeznaczono dla mnie i Kerry. Bawiliśmy się doskonale, wyrzucając stamtąd wszystkie brzydkie sprzęty i polecając zerwanie wstrętnych tapet. Potem zaczęła się jeszcze lepsza zabawa: największy pokój, w którym postanowiliśmy urządzić sypialnię, został pomalowany na kolor żonkili, a salon urządzony w bieli i soczystej zieleni. Uznałem, że prezentuje się znakomicie. Następnie zamówiliśmy łożo z baldachimem, a Kerry umyśliła sobie białe muślinowe zasłony z czerwonymi wypustkami. W sypialni była alkowa, która idealnie nadawała się na kapliczkę, toteż wkrótce uszczęśliwieni godzinami wertowaliśmy katalog dublińskiego magazynu z dewocjonaliami. Wybraliśmy sobie srebrny krucyfiks, dużą figurę Madonny z Dzieciątkiem i oprawioną w złote ramy reprodukcję „Światłości świata” Holmana Hunta, którą uważałem za dość dobrą, lepszą niż te wszystkie stare, zakurzone obrazy klasyczne. Obojgu nam szalenie się podobała figurka: Madonna, odziana w tradycyjną błękitną szatę, była pulchna i pogodna jak Kerry, a Dzieciątko Jezus wyglądało jak wesolutkie niemowlę. Na zakończenie zleciliśmy wykonanie purpurowego obrusa na ołtarz z wyhaftowaną postacią świętego Patricka, Kerry kupiła dwie grube fiołkoworóżowe świece, które paląc się pachniały, nabyliśmy też sześć różańców.

— Bo ja stale gubię różańce — przestrzegła mnie Kerry — i ty chyba też będziesz je gubił.

Nie pamiętałem, kiedy ostatnio bawiłem się tak dobrze.

— Dziwne, jak bardzo twój gust różni się od mojego, Ned — skomentowała dokonane przez nas zmiany matka. — Przypuszczam, że to wpływ Kerry.

Dlaczego uważała, że nie stać mnie na własne zdanie, było dla mnie tajemnicą, ale też niewiele mnie to obchodziło. Zbyt dobrze się bawiłem, aby przejmować się tym, co ona mówi.

W ogóle nie myślałem w tym czasie o Drummondzie. Spotykając się, byliśmy dla siebie uprzejmi, kiedy jednak zniknął mi z oczu, natychmiast o nim zapomniałem. Później, po ślubie, zastanowię się, co z nim zrobić, mówiłem sobie, a tymczasem cieszyłem się po prostu, że go zwyciężyłem. Zależało mi tylko na tym, aby miło spędzać czas.

— Co zamierzasz robić, kiedy będziesz dorosły, Ned? — zapytał któregoś dnia John.

— Ja już jestem dorosły! — odparłem ze śmiechem. — I na razie nie mam zamiaru nic robić, tylko dobrze się bawić.

— Ja też mam zamiar dobrze się bawić — oświadczył stanowczo John. — Postanowiłem na zawsze zostać w Cashelmarze i zajmować się ogrodem. Pan Watson powiedział mamie, że nie może mnie już niczego więcej nauczyć, a to znaczy, że ja też jestem dorosły, prawda? Ciebie już nie uczy, a mówisz, że jesteś dorosły, czyli jak nauczyciel odchodzi, to znak, że jest się dorosłym.

— Dopiero jak będziesz miał tyle lat co ja, będziesz mógł powiedzieć, że jesteś całkiem dorosły.

— A czemu? Przecież umiem już czytać. Mam ci udowodnić? Jak chcesz, przeczytam ci „Kopciuszka”.

— Wyuczyłeś się na pamięć — wtrąciła brutalnie Jane. Miała już siedem lat i nadal gorąco kochała Ozymandiasa i swoje akwarelki. Prowadziła także wzorem matki dziennik i przechwalała się, że zapisuje w nim każdego, kto ją traktuje lekceważąco, żeby Bóg mógł skorzystać z tej listy w dniu Sądu Ostatecznego. — A cóż jest takiego szczególnego w pracy ogrodnika? — dodała pogardliwie. — Jak dorosnę, zostanę lekarzem zwierząt albo będę malować obrazy, które ludzie uznają za genialne, albo będę robić jedno i drugie.

— Dziwna jesteś, Jane — oburzyła się Eleanor. — Co na to powie twój mąż?

— Nie będę miała męża. Nie sędzę, żeby mi był potrzebny. Znajdę sobie za to kogoś miłego, jak pan Drummond, żeby mi czyścił pędzle i pomagał gotować jedzenie dla kotów.

— A ja będę miała męża — oznajmiła Eleanor stanowczo. — Tyle że nie wydam się tak wcześnie jak Ned, bo wszyscy mówią, że to nie wypada. Będę miała dom na wsi i w Londynie, więc trzeba, żeby mąż zarabiał przynajmniej dziesięć tysięcy rocznie, bo Londyn jest strasznie drogi. I musimy mieć też własny kryty powóz, żebyśmy mogła składać wizyty. Może będziemy też mieli posiadłość w Szkocji, tak jak wszyscy najwytworniejsi ludzie. I będę miała duży krąg przyjaciół, którzy przy każdej okazji będą mówić: „Och, musimy zaprosić Eleanor, inaczej przyjęcie się nie uda”. Drzwi wszystkich liczących się domów będą stały przede mną otworem,

a ja we wtorki będę organizować wieczorki i przyjmować gości w ciemno-granatowej sukni z pawimi piórami. Bywalcami mojego domu staną się wszyscy politycy i będą omawiać pałacę problemy dnia.

— Dziesięć tysięcy rocznie to ładna sumka! — roześmiałem się.
— Ale reszta wydaje mi się ciut nudna.

Nie miałem pojęcia, ile będę otrzymywał rocznie, wiedziałem za to, że wydawanie pieniędzy sprawia mi przyjemność. Skrzynkami zamawiałem teraz szampana, do tego ogromne ilości jedzenia dla naszych gości; obdarowałem wszystkich moich dzierżawców, sporą kwotę przeznaczyłem na kościół w Clonareen, aby ojciec Donal mógł rozpocząć budowę kaplicy Najświętszej Maryi Panny. Matka przestrzegła mnie, że muszę oszczędniej gospodarować, ale nie zwracałem na to uwagi. Chciałem robić, co mi się podoba.

Suknia Kerry została uszyta, gotowy był też mój garnitur i w Cashelmarze zaczynało szumieć niczym w ogromnym ulu. Oczywiście wyobraźni widziałem już, jak dom tryska wesołością.

Na koniec przybyli Gallagherowie.

— Mamcia jest w okropnym stanie — zwierzyła mi się Kerry. — Nie miała odwagi powiedzieć tego papciowi, ale jest na niego wściekła, że słowa nie pisała o twojej mamie i panu Drummondzie. Zapytała nawet, czy naprawdę chcę za ciebie wyjść, i powiedziała, że mogą się wycofać, póki jeszcze czas. Biedna mamcia! Smutno jest patrzeć, jak starzy ludzie martwią się o nas.

Nie widywałem teraz Kerry zbyt często, ponieważ obydwoje zajęci byliśmy naszymi rodzinami, gośćmi i ślubem. Prawdopodobnie jednak nie było to takie złe. Dawno już pogodziłem się z koniecznością czekania mając świadomość, że nasz ślub dojdzie do skutku, lecz okazało się to łatwiejsze w teorii niż w praktyce. Kiedy byłem z Kerry sam na sam, stawałem się napięty i poirytowany. Nie chcąc, by zrozumiała złe moje zachowanie, próbowałem jej wyjaśnić, w czym rzecz, ale było to trudne dla nas obojga. Toteż gdy wreszcie nadszedł grudzień, nie wiedzieliśmy, jak przetrwamy ostatnie pięć dni.

Pan Gallagher był w oszałamiająco dobrym humorze. Przywiózł z Ameryki kilku krewnych, reszta wkrótce przybyła z hrabstwa Wicklow. Nie dla wszystkich starczyło miejsca w Cashelmarze, lecz krewni Drummonda z O'Malleyów byli gościnni, problem został szybko rozwiązany. Z dorosłymi przyjechało sporo dzieci, z którymi Eleanor i Jane mogłyby się bawić. Eleanor jednak czuła się onieśmielona i wolała czytać w swoim pokoju, a Jane, nie mająca wcześniej kontaktu z rówieśnikami, uznała ich za bardzo dziecinnych. Co o tym wszystkim myślała moja matka, mogłem się tylko domyślać. Wiedziałem, że przyjmowanie krewnych Gallagherów z pewnością napawa ją odrazą, ale dokładnie skrywała swoje uczucia. Chyba powinienem był dziękować za to Drummondowi.

— Zaprosiłem na wesele jego synów. O dziwo, zjechali obydwaj. Ogromnie się ucieszyłem, że znowu widzę Denisa, z którym przywitaliśmy się naprawdę serdecznie. Natomiast sam nie wiedziałem, co sądzić o młodym Maxwellu. Nie był podobny do ojca, mimo to przypominał mi go bardziej niż Denis. Był wygadany i dobrze ułożony, miał w sobie jednak jakąś dziwnie znajomą hardość, a jego duma sprawiała, że łatwo było go urazić.

— Ojciec ucieszy się, że przyjechałeś — powiedziałem przy powitaniu.

— Wątpię — odparł — bo nie mam mu nic do powiedzenia. Wróciłem, żeby okazać szacunek panu, milordzie, i na dowód, że nie żywię do pana urazy. Wiem, że był pan bardzo dobry dla mojego brata.

Poprosiłem, aby mówił mi jak Denis po imieniu, lecz nie przystał na tę propozycję. Starał się okazać mi sympatię, choć dopóki nie poznaliśmy się bliżej, wolał zachować pewien dystans.

— Sądzisz, że mógłbyś kiedyś znowu zamieszkać w dolinie? — zapytałem.

— Nie za życia mojego ojca. Wolę zostać urzędnikiem w Dublinie.

— Nie chciałbyś być panem siebie i siedzieć na własnej ziemi?

— Chciałbym. I pewnego dnia, ale już po śmierci ojca, tak właśnie się stanie.

— Jesteś dla ojca bardzo surowy.

— Czemu nie? Tak się puszy udając, że jest irlandzkim bohaterem, a przecież wylądował po prostu w kryminale i zostawił żonę i dzieci bez środków do życia. To wszystko, czego dokonał. Od lat jestem jedyną podporą dla matki i sióstr, toteż wiem, co mówię. Utracił nasz dom rodzinny i złamał serce matki, a ja musiałem przez niego pracować w tym cholernym mieście, przez cały dzień zamknięty w dusznym pokoju nad księgami pełnymi liczb. Potem wrócił do domu z Ameryki i zaczął żyć... pan wybacz, milordzie... na koszt bogatej kobiety. I w dodatku ma ten nieznośny zwyczaj, że od czasu do czasu posyła nam trochę pańskich pieniędzy. Proszę mi uwierzyć, milordzie, nigdy mu nie wybaczę, nigdy! I mam nadzieję, że nie będzie na tyle głupi, żeby teraz, skoro tu jestem, poprosić mnie o to.

Nigdy się nie dowiedziałem, czy Drummond był na tyle głupi. Niebawem zaczął ponownie zabiegać o moje względy, co oznaczało, że nie powiodło mu się z synami. Na szczęście tak mnie pochłaniały ostatnie przygotowania, że z łatwością potrafiłem się wykręcać od jego towarzystwa.

W przeddzień ślubu przybyli wujowie, ku swojemu oburzeniu zastając Cashelmarę zamienioną w irlandzko-amerykańską kolonię. Na dodatek matka przedstawiła im plik rachunków, by udowodnić, jaki to był ekstrawagancki.

— Czy wszystkie te wydatki były konieczne? — dopytywał się wuj Thomas, choć doskonale wiedział, że nie były.

— Nie chciałam psuć Nedowi zabawy — odparła matka starając się, by nie zabrzmiało to zuchwale, lecz wujowie nadal sprawiali wrażenie niezadowolonych.

— Mam nadzieję, że przynajmniej część gości będzie z naszej sfery — zagadnął mnie wuj David niepewnie.

— Ależ skąd! — odparłem. — Nie miałem zamiaru zapraszać tych wszystkich snobów, którzy niegdyś odcięli się od mojej matki. Jest za to sporo ludzi, którzy dobrze nam życzą, i tylko to ma dla mnie znaczenie. To będzie najwspanialsze wesele, jakie widziała ta dolina.

I tak było. Nastął dzień ślubu, dzień dość ciepły i pogodny. Goście przyodziali się w odświętne stroje, a wynajęte powozy zaczęły podjeżdżać pod drzwi frontowe. Nadciągnęli moi przyjaciele. Na tę okazję dałem każdemu konia. Kiedy dosiadając mojego pięknego czarnego ogiera obejrzałem się przez ramię, zobaczyłem, że stoją razem: Sean i Paddy Joyce'owie, Danny O'Flaherty, Liam Castelloe, Seamus, Brian i Jerry O'Malleyowie, Denis Drummond i jego brat Max. Było dużo krzyków i śmiechu, świeciło słońce, a _____, uboga, lecz jasna, wydawała się rozpromieniona.

Już byłem pijany ze szczęścia, kiedy zaś przejechałem przez główną bramę, moja radość nie miała granic: na spotkanie bowiem wyszli mi wszyscy dzierżawcy. Na każdym jardzie do Clonareen ich wiwaty dzwoniły mi w uszach. Przysięgam, że chyba nikt nigdy nie był choćby w połowie tak szczęśliwy jak ja tego ranka, kiedy jechałem z Cashelmary do kościoła, aby poślubić moją amerykańską narzeczoną irlandzkiego pochodzenia.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

I

Nikt nie oczekuje od mężczyzny, że będzie radował się ślubem, mnie jednak każda minuta sprawiała ogromną radość. Podobały mi się tłumy gości i podniecenie, jasne kolory kobiecych sukien, wieńce jodłowe zdobiące kościół, zapach kadzidła, migoczące światło świec i dostojne melodie, które przewijały się przez całe nabożeństwo. Pochłonięty byłem tym widokiem, oszołomiony bogactwem ceremoniału. Później, gdy piłem szampana podczas weselnego śniadania, wydało mi się, że dostrzegam moją odległą przyszłość, a widok ów był pełen przepychu i świetności, daleki od mroków, w jakich dorastałem. Kiedyś spojrzę wstecz, myślałem, i mrok ten będzie tylko przykrym wspomnieniem.

Kiedyś. Ale jeszcze nie teraz.

Dolałem sobie szampana. Pan Gallagher odradzał mi ten trunek, lecz nie miałem zamiaru słuchać niczyjego gadania. Wkrótce zaczęły się tańce i odstawiłem kielich na bok. Najałem muzykantów z Galway, żeby przygrywali walce, polki i galopki, potem jeden z O'Malleyów wyciągnął skrzypce i wreszcie była irlandzka — od marmurowej podłogi okrągłego holu po kopułę dachu nad galerią. Wszyscy Amerykanie rozrzewnili się i popłakali ze wzruszenia, przysięgając, że nigdy już nie opuszczą Irlandii.

Jakiś czas później rozejrzałem się za moimi wujami, lecz nigdzie ich nie było, a kiedy zapytałem, gdzie jest moja matka, powiedziano mi, że poszła ułożyć dzieci do snu.

Brakowało mi jej, potem jednak o tym zapomniałem. Nazbyt zajęty byłem rozmową z przyjaciółmi i tańcem z Kerry, a kiedy w końcu pan Gallagher podszeptał, że powinniśmy opuścić gości i zabawić się sami, nie próbowałem już szukać matki, by powiedzieć jej dobranoc. Patrzyłem na Kerry w białej atłasowej sukni i długim koronkowym welonie szybującym za nią w tańcu. Teraz liczyła się tylko ona. Usiłowałem ją wyprowadzić, lecz każdy mężczyzna chciał ucałować pannę młodą, musiałem więc chwycić ją na ręce i przenieść przez tłum, nim zacałowali ją na śmierć. Wszyscy dokoła wiwatowali. W połowie schodów postawiłem ją na ziemi i razem wbiegliśmy na galerię, a wtedy znowu

rozbrzmiały gromkie okrzyki i dźwięczały nam w uszach, gdy pędziliśmy korytarzem do zachodniego skrzydła. Kiedy dotarliśmy do drzwi naszej sypialni, wziąłem Kerry na ręce i przeniosłem ją przez próg.

II

Potem się dowiedziałem, dlaczego nikt nie chciał, żebyśmy pobrali się tak młodo. Prawdopodobnie wszyscy spędzili znaczną część młodości we frustrującym celibacie i do szaleństwa doprowadzała ich myśl, że Kerry i ja nie tylko próbujemy uniknąć tak nudnego losu, ale nawet gotowe nam się to udać.

— Zastanawiam się, czemu więcej ludzi tego nie próbuje — zadumała się Kerry następnego ranka, kiedy przytuleni w naszym staromodnym łożu z baldachimem przyglądaliśmy się wypustkom na muślinowych zasłonach tańczących w przeciagu. — Dlaczego nie jest to już modne? Kiedyś było bardzo popularne. Przypomnij sobie Szekspira. Nawet w tym kraju ludzie w naszym wieku kiedyś to robili. Papić mówił, że przed klęską głodu wszyscy się pobierali w wieku szesnastu lat.

— Ach, więc ty mówisz o małżeństwie!

Zachichotała.

— Nie przekomarzaj się ze mną! Och, Ned, pomyśl tylko: gdybyś nie postawił się Drummondowi, dalej uczyłbyś się łaciny z panem Watsonem, a ja nieregularnych czasowników francuskich z panną Cameron.

Była bardzo dumna, że tak potrafiłem się przeciwstawić Drummondowi. Nie chcąc jej niepokoić szczegółami naszej rozmowy, powiedziałem tylko, że dopiąłem swego, ponieważ zagroziłem usunięciem matki z rady familijnej i zwolnieniem Drummonda z posady w Cashelmarze.

— A teraz możemy robić, co nam się żywnie podoba — westchnęła Kerry z zadowoleniem.

Spędzaliśmy masę czasu robiąc to, co nam się żywnie podobało. Zdecydowałem, że musimy odłożyć podróż poślubną, za to przez kilka dni po ślubie właściwie nie ruszaliśmy się z naszych apartamentów. Nie chciałem przesunąć terminu wyjazdu na kontynent, lecz wujowie mi wytłumaczyli, że moja sytuacja finansowa nie pozwala na tak kosztowny miesiąc miodowy.

— Oczywiście pożyczymy ci fundusze na tę podróż — zapewnił wuj Thomas — ale musisz być świadom, że nie masz własnych na taką eskapadę.

— Wobec tego poczekam, aż będę miał pieniądze — odparłem. Chodziło tu o moją dumę. Jasne było, że posądzają mnie o dziecinną rozrzutność, ja zaś chciałem im udowodnić, że nie jestem niedojrzałym utracjuszem przywykłym żyć ponad stan.

— Na wiosnę Paryż będzie o wiele przyjemniejszy — powiedziała Kerry, kiedy z zawstydzoną miną wyjaśniłem, że musimy zmienić plany. — I pomyśl tylko, jak cudnie będzie spędzić Boże Narodzenie w Cashelmarze z naszymi rodzinami.

Miała słuszność. Jednakże po Nowym Roku Gallagherowie niestety wyruszyli z powrotem do Ameryki i po raz pierwszy od dnia ślubu znaleźliśmy się sami z moją matką i Drummondem.

Sytuacja była niezręczna, lecz nic nie mówiłem. Zastanawiałem się, czy nie zaproponować, żeby matka przeniosła się do Clonagh Court, zdawałem sobie jednak sprawę, że ani ona, ani Drummond nie zechcą odejść, a myśl o kolejnej konfrontacji z którymkolwiek z nich była mi tak wstrętna, że nawet jej do siebie nie dopuszczałem. Poza tym przypominałem sobie, że w myśl transakcji z Drummondem miałem go zostawić w spokoju w zamian za zgodę na poślubienie Kerry. Oczywiście zamierzałem uporządkować te sprawy, kiedy ukończę dwadzieścia jeden lat, tymczasem jednak... łatwiej było tłumaczyć się przed Kerry i prosić ją o cierpliwość.

— Ale dlaczego nie możesz sam o sobie decydować? — spytała zaintrygowana Kerry. — Skoro się ożeniłeś, to czy nie jesteś samodzielny?

— Nie dla rady familijnej. Załatwiono to tak, że niezależnie od tego, czy jestem żonaty, czy nie, rada będzie działać, dopóki nie skończę dwudziestu jeden lat.

— Mimo to nie rozumiem, dlaczego twoja matka nie może się przeprowadzić do Clonagh Court. Przecież jeśli będzie tam mieszkać, nadal może być członkiem rady, prawda?

— Nie zechce się wyprowadzić bez Johna i dziewczynek, a dla nich zmiana otoczenia teraz nie byłaby korzystna.

— Ale...

— Kerry, proszę, spróbuj być wyrozumiała dla matki. Miała naprawdę nieszczęśliwe życie i bardzo kocha dzieci...

— Wiem, wiem.

— ...i była cudowną matką dla mnie. Nie mogę tak po prostu wypchnąć ją z domu tylko dlatego, że się ożeniłem. Musimy poczekać, bo teraz chwila nie jest odpowiednia. To wszystko, przykro mi.

Kerry westchnęła.

— Cóż, właściwie mi to nie przeszkadza, póki możemy się ukryć i być sam na sam jak teraz.

Ja ukrywałem się z nie mniejszą ochotą. Niebawem zamknęliśmy się szczelnie we własnym świecie, gdzie nie istniało dla mnie nic poza ciepłymi uściskami i krągłym ciałem Kerry oraz wilgocią ciemnych, tajemniczych miejsc, w których mogłem się chować, ile tylko chciałem.

Nie podobało mi się jednak, że jestem tak bardzo uzależniony od innych, a tymczasowy brak pieniędzy pogłębiał moją frustrację. Toteż

kiedy Drummond oznajmił, że zabiera moją matkę na wakacje do Paryża, wpadłem w furję.

— Proszę mi wybaczyć, sir — wypaliłem bez zastanowienia — ale jeśli ja nie mogę sobie pozwolić na wyjazd z Kerry na kontynent, to nie bardzo rozumiem, jak pana stać na podróż z moją matką do Paryża.

— I owszem, stać mnie — odparł. — To moje pieniądze.

— Chce pan powiedzieć, że zaoszczędził z pensji? — zapytałem starając się, by zabrzmiało to groźnie. Byłem jednak świadom, że mówię z wahaniem i niepewnie. W owym czasie lękałem się wszelkich rozmów z Drummondem i ledwie mogłem znieść przebywanie z nim w jednym pomieszczeniu dłużej niż dwie minuty.

— Wygrałem pieniądze od Gallaghera — wyjaśnił spokojnie. Natychmiast się domyśliłem, że chodzi o nagrodę za to, że małżeństwo doszło do skutku. Ja także skorzystałem z hojności Gallaghera, lecz pierwszy roczny dochód z posagu Kerry już wydałem. Wiedziałem, że na następne pieniądze od teścia będę musiał poczekać kilka miesięcy.

— Chyba nie żałujesz matce wakacji? — zagadnął Drummond łagodnie. — Tak ciężko pracowała, skacząc wokół twoich gości i pilnując, żebyś miał przyjemne wesele.

— Oczywiście, że nie żałuję jej niczego — rzuciłem pośpiesznie, gotów zgodzić się na wszystko, byle uniknąć kłótni. Czułem wszakże do matki żal.

— Pomyśl tylko, jak cudownie będzie, kiedy wyjadą na kilka tygodni! — powiedziała Kerry, próbując mnie rozpozgodzić.

Jednakże po ich wyjeździe wynikły związane z posiadłością problemy, które jeszcze pogłębiły moje niezadowolenie. Drummond mianowicie podniósł czynsze wszystkim w dolinie z wyjątkiem O'Malleyów i w Clonareen panowało wielkie rozgoryczenie. Na czele delegacji wysłanej do Cashelmary, aby złożyć protest, stali dwaj moi przyjaciele, Sean i Paddy Joyce'owie. Ogromnie zakłopotany powiedziałam im, że póki Drummond nie wróci, nikt nie musi płacić czynszu.

— Przykażę panu Drummondowi, że wszyscy mają być traktowani jednakowo — obiecałem.

Choć obietnicy dotrzymałem, Drummond mnie nie posłuchał.

— Nie miałem wyboru, musiałem podwyższyć czynsze, bo majątek nie przynosił dochodu — oświadczył. — A co do skargi Joyce'ów na O'Malleyów, to jeśli znowu przyjdą do ciebie skamleć, możesz im powiedzieć, że O'Malleyowie są najubożsi w dolinie i bez sensu byłoby podnosić im opłaty do kwoty, której nie daliby rady zapłacić. A ja nie uznaję eksmisji.

Znaczyło to, że nie uznaje eksmisji swoich krewnych, ponieważ wyrugował co biedniejszych Joyce'ów, którzy nie byli w stanie zapłacić nowych czynszów, a na domiar złego ich ziemie porozdawał O'Malleyom.

Wynikła z tego walka rodów, która się odbyła w dniu świętego Patricka. Potem nikt nie wiedział, kto wygrał, lecz było co najmniej sześciu rannych i tuzin rozbitych nosów. Odwieczna nienawiść między Joyce'ami a O'Malleyami znów gwałtownie rozgorzała. Niebawem na murze otaczającym teren Cashelmary ktoś napisał wapnem: MAXWELL DRUMMOND TO SZKOT, co było strasliwą potwarzą dla każdego zarządcy, dla Drummonda zaś tym większą, że zawsze robił wszystko, by pokazać, jakim to jest Irlandczykiem.

Nie wiedziałem, co począć. Zastanawiałem się, czyby znowu nie porozmawiać z Drummondem, miałem jednak świadomość, że niczego w ten sposób nie osiągnę. Zbyłby mnie tak samo jak poprzednio, ale tym razem byłby prawdopodobnie bardziej obcesowy i kazałby mi iść pobawić się z Kerry. Daremnie starałbym się też przemówić matce do rozsądku. Przyszło mi do głowy, by zwrócić się do wujów, lecz tak się bałem, że Drummond mógłby przechwycić mój list, że kiedy go wreszcie napisałem, zapytałem tylko, czy nie zechcieliby odwiedzić Cashelmary. Odmówili obaj: Thomas miał za wiele zajęć w związku ze swoimi zaawansowanymi studiami medycznymi, David natomiast właśnie się zaręczył i pochłaniały go przygotowania do ślubu, który miał się odbyć wiosną w Londynie.

— Myślę, że czas najwyższy na nasz miesiąc miodowy — powiedziałem do Kerry w kwietniu. tak mi już obrzydła, że gotów byłem na wszystko, byle się z niej wyrwać. Choć moja sytuacja finansowa nadal była nieszczególna, zapomniałem o dumie i poprosiłem wuja Thomasa o pożyczkę.

Miesiąc później stawiliśmy się z Kerry na weselu wuja Davida, potem zaś przepłynęliśmy Kanał, rozpoczynając sześciotygodniową podróż po Francji, Szwajcarii i Włoszech.

III

Zrazu miałem zamiar zwierzyć się wujom, David jednak był w stanie takiego uniesienia, że nie chciałem go ściągać na ziemię swoimi problemami, a Thomas w związku z pożyczką odnosił się do mnie tak oziębło, że odechciało mi się jakichkolwiek wyznań. Nie pisałem więc słowa, z czego w sumie byłem zadowolony. Bo przecież cokolwiek bym powiedział, złamałbym układ z Drummondem, czego skutkiem byłyby nie kończące się potworne sceny. Mogłoby się poza tym okazać, że wujowie nie bacząc na nic chcą wnieść sprawę do sądu, a wtedy Bóg jeden wie, do czego Drummond gotów by się posunąć. Nie potrafiłbym też wytłumaczyć, nie narażając przy tym matki, dlaczego tak się go boję.

Byłem skłonny wyjawić im otrucie, aby ją osłonić, ale ostatecznie nie była ich matką, mogliby zatem uznać, że powinni raczej wymierzyć sprawiedliwość mordercy brata, niż chronić bratową. Toteż doszedłem do wniosku, że lepiej nic nie mówić wujom, przynajmniej póki nie skończę dwudziestu jeden lat. A wtedy sam będę mógł wszystko w domu uporządkować.

Ślub wuja Davida był bezbarwną ceremonią protestancką, po której odbyło się sztywne przyjęcie — goście tkwili w miejscu i dyskutowali w afektowany angielski sposób. Znudziło mnie to śmiertelnie. Jedynym jasnym promykiem była wybranka wuja Davida, panna ładna i wesoła. Zaprosiła nas, abyśmy ich odwiedzili jeszcze tego roku. W podróż poślubną wybierali się do Niemiec, co przyjęliśmy z ulgą, bo gdyby jechali do Paryża, mielibyśmy przymusowe towarzystwo, a ja nie mogłem się już doczekać, kiedy zostanę z samą tylko Kerry, przynajmniej o sto mil od jakiegokolwiek krewnego.

Nigdy wcześniej nie byłem na kontynencie, toteż początkowo czułem się tak przejęty, że nie mogłem sobie nawet przypomnieć swojej szkolnej francuszczyzny. Na szczęście Irlandczycy i Francuzi z dawien dawna darzyli się sympatią ze względu na wspólnego wroga, a i moje francuskie nazwisko przecierało nam szlaki.

— Podoba mi się, jak Francuzi je wymawiają — rzekła Kerry, ja zaś zgodziłem się, że to faktycznie miła odmiana. Wymowa angielska, przyjęta w mojej rodzinie, rymuje się ze słowem „lis”.

Mogliśmy byli zostać wprowadzeni do towarzystwa wyższych sfer Paryża, lecz żadne z nas nie miało ochoty męczyć się podczas nudnych obiadów, więc po prostu zatrzymaliśmy się w najlepszym hotelu i z zapalem zwiedzaliśmy sławne zabytki. Francuzi uważali nas za niezwykle romantycznych, choć zapewne nikt nie wierzył, że jesteśmy małżeństwem.

Wkrótce pojechaliśmy do Szwajcarii, którą Kerry uznała za kraj znacznie ciekawszy. Ja pozostałem jednak wierny Francji, nawet kiedy udaliśmy się na południe, by zwiedzić Wenecję, Florencję i Rzym. Włochy były wspaniałe, ale zbyt boleśnie przypominały mi ogród w Cashelmarze i mojego ojca, z entuzjazmem rozprawiającego o świetle, kamieniu i drzewach cyprysowych.

Do Cashelmary wróciliśmy na początku września i zastaliśmy dwa listy. Wuj Thomas napisał, że wyjeżdża na rok do Ameryki, a mój teść — co za zbieg okoliczności! — zapraszał nas do Bostonu.

— Czemu nie mielibyśmy jechać? — zapytała Kerry.

Błyskawicznie się zorientowałem, że w Cashelmarze sprawy mają się wyjątkowo źle. Aż dreszczy dostawałem na myśl, że znajdę się w samym centrum konfliktu, którego rozwiązanie przerastało moje siły.

— Naprawdę uważam, że powinienem zabrać Kerry na trochę do domu, zanim na dobre osiadziemy tutaj — powiedziałem matce.

— Ja nie odwiedzałam domu po ślubie!
— Ależ mamo! To było wiele lat temu, kiedy podróż przez Atlantyk była bardzo ryzykowna. Teraz podróże są łatwiejsze i ludzie zaczynają je uważać za coś całkiem powszedniego.

— Przypuszczam, że to pomysł Kerry — zauważyła matka i choć zaprzeczyłam, nie chciała mi uwierzyć.

— Moja droga, myślę, że to naprawdę trochę samolubne z twojej strony — powiedziała do Kerry wieczorem. — Nie powinnaś ciągnąć Neda do Ameryki akurat teraz, gdy najwyraźniej cieszy się z powrotu do domu.

Kerry poczerwieniała.

— Mamo... — zaczęłam.

— Nie wyjeżdżalibyśmy, gdybyś się przeprowadziła do Clonagh Court! — wypaliła Kerry, po czym zerwała się i wybiegła z pokoju.

— Nie do wiary! — zawołała matka z furją.

— Mamo, to wyłącznie twoja wina — powiedziałem, także już z rumieńcem na twarzy. — Gdybyś się bardziej starała zachowywać wobec Kerry jak należy, moja żona nie pozwoliłaby sobie na taką uwagę. Wybacz, że cię zostawię — zakończyłem i również wyszedłem z pokoju.

Zastałem Kerry szlochającą głośno w głębiach naszego łóża z baldachimem.

— Nie chcę jechać do Ameryki — wykrztusiła. — Wolałabym zostać tutaj i mieć dziecko, ale jeśli tu zostanę, nigdy nie doczekam się dziecka, bo twoja matka działa na mnie tak przygnębiająco!

Minęło przynajmniej pięć minut, zanim zrozumiałem, co ma na myśli. W końcu zdołałem z niej wyciągnąć wyjaśnienia: otóż byliśmy małżeństwem od dziewięciu miesięcy, a nie zanosilo się na dziecko. Kerry tak przeraziła myśl, że jest może bezpłodna, że zebrała się na odwagę i poradziła ciotki Madeleine, która zawsze odnosiła się do niej życzliwie. Ciotka jej wytłumaczyła, że młode kobiety wcale nie zachodzą w ciążę tak łatwo, jak się ludziom wydaje. Często dziewczyna, wychodząc za mąż w wieku piętnastu lat, musi poczekać rok czy dwa na poczęcie, choć fizycznie jest z nią wszystko w porządku. W ten sposób Bóg, oświadczyła ciotka, zanim powierzy kobiecie obowiązki macierzyńskie, upewnia się, czy jest do nich równie dojrzała psychicznie co fizycznie.

— Ciotka Madeleine powiedziała, że powinnam prowadzić spokojny tryb życia, nie podróżować i niczym się nie martwić — szlochała Kerry. — I jeżeli będę żyła spokojnie i skromnie, powiększy się szansa na przyjście dziecka.

— Ha! ten problem da się łatwo rozwiązać — rzekłem, całując ją. — Rejs do Ameryki potrwa raptem tydzień, a jak tam już będziemy, możesz sobie żyć spokojnie i skromnie. Wyjedziemy do Bostonu jak najszybciej.

Ku mojemu zdumieniu i złości znowu wynikł ten sam co zwykle kłopot — pieniądze. Drummond wyjaśnił, że kłopoty w majątku pomniejszyły moje dochody, i poddał myśl, że może odłożylibyśmy wyjazd do wiosny.

— To jest raczej poza wszelką dyskusją — zaproponowałem gwałtownie. I napisałem do wuja Davida, prosząc o pożyczenie pieniędzy "na przejazd. Na szczęście był w humorze sprzyjającym hojności! jego najnowsza powieść kryminalną wydawca wprawdzie odrzucił (jak dotąd żadna z jego historyjek nie ukazała się drukiem), ale żona uznała książkę za wspaniałą, co zrekompensowało edytorskie niepowodzenie. Wuj napomykał też dyskretnie w liście, że po Nowym Roku. oczekują dziecka.

— Szczęśliwa Harriet — westchnęła Kerry, lecz mając w perspektywie wyjazd do rodziców była w tak dobrym nastroju, że przygnębienie nie trwało długo.

Wypłynęliśmy z Irlandii pod koniec października. Tak się cieszyłem na ten wyjazd, że nie czułem już wstydu, iż uciekam od problemów, których nie potrafię rozwiązać. Pomyślę o nich później, powiedziałem sobie i jeszcze głębiej schowałem głowę w piasek.

IV

Był rok 1890, rok upadku Charlesa Stewarta Parnella. W listopadzie mąż jego kochanki otrzymał rozwód, a pierwszego grudnia Parnella pozbawiono funkcji przywódcy Partii Irlandzkiej.

— Cały czas mówiłem, że jest skończony — powiedział Phineas Gallagher przy lampce porto, częstując mnie jednym ze swoich grubych cygar.

— Pan Drummond na pewno się zmartwi — zauważyłem, przyjmując cygaro i przypalając je.

— Jeśli Max ma odrobinę oleju w głowie, wyciągnie wnioski z błędu Parnella. Nie powinien żyć otwarcie z twoją matką i kierować twoim majątkiem jak własnym, Ned. To jest poniżające dla mojej córki i dja ciebie. Jeśli tego nie dostrzega, nie jest człowiekiem, za jakiego go brałem. Twoi dzierżawcy zniosą pokornie jedną czy drugą podwyżkę czynszu, bo przywykli do wyzysku, ale nie zniosą tego, że człowiek z ich klasy wynosi się ponad innych, równocześnie żyjąc w cudzołóstwie. Żaden klan porządnych Irlandczyków nie będzie tego pochwalać. To grzech śmiertelny.

— Tak. — Pragnąłem zmienić temat nie chcąc, aby się dokładnie zorientował, jaki jestem bezsilny wobec Drummonda. — A jednak szkoda Parnella, prawda? To wspaniała osoba i tak dużo zrobił dla Irlandii.

W końcu był pierwszym irlandzkim przywódcą, który dosłownie zmusił Anglików, żeby go wysłuchali w Westminsterze.

— Ty też mógłbyś zmusić Anglosasów, żeby cię wysłuchali—powiedział Gallagher. — Przecież masz chyba miejsce w Westminsterze?

— Tak, sądzę, że mam.. W Izbie Lordów. Właściwie dotąd nigdy o tym nie myślałem.

— Ach! byłbyś wspaniałym przywódcą! — westchnął mój teść, nalewając mi do kieliszka porto. — Szlachetny, uczciwy młody baron, wygadany i mądry... Jasne, że życie przez część roku w Londynie drożej by kosztowało, ale po tej stronie wielkiej wody są Irlandczycy, którzy by zadbali, żebyś nie głodował...

— Wiem, jakim jest pan szczodrym człowiekiem, sir — rzekłem z uśmiechem — ale jeśli kiedykolwiek zdecyduję się pracować w parlamencie dla Irlandii, będę to robił na miarę własnych środków. Odkryłem, że nie znoszę długów.

— To by nie było zaciąganie długów, Ned, tylko życzliwe korzystanie z dobrej woli ziomków!

Uśmiechnąłem się, lecz nic nie odpowiedziałem. Gallagher zaśmiał się głośno.

— Jezu! na młodym karku nosisz starą głowę! — zawołał, po czym dodał enigmatycznie: — Szkoda Drummonda. Lubię go.

Chciałem powiedzieć, że ja też kiedyś go lubiłem, ale słowa uwięzły mi w gardle. Opanowało mnie wielkie przygnębienie. Na szczęście wkrótce otrzymałem innego rodzaju wiadomość, która przykuła całą moją uwagę. Kiedy tego wieczoru znalazłem się w łóżku, Kerry wyznała mi, że ma pewność, absolutną pewność, iż spodziewa się dziecka.

— Już?! — zdumiałem się, pełen podziwu.

— Musiało się to stać tuż przed naszym wyjazdem z Cashelmary.

— Cieszę się — odparłem. Niby nie miało znaczenia, gdzie dziecko zostało poczęte, czułem jednak, iż jeśli stało się to w Cashelmarze, będzie w większym stopniu Irlandczykiem niż Amerykaninem.

— Muszę natychmiast napisać do ciotki Madeleine — powiedziała Kerry radośnie i zaczęła rozprawiać o kołyskach i jedwabnych dziecięcych fatałaszkach.

Byłem skonsternowany łapiąc się na tym, że zastanawiam się samolubnie, jak bardzo zmieni się moje życie. Stłumiłem te myśli i usiłowałem cieszyć się na równi z Kerry, lecz zdumiało mnie, że takie to trudne. Przyjąłem do wiadomości fakt poczęcia dziecka, jego istnienie natomiast; wydawało mi się całkowicie nierealne. Z dziesięć razy powtórzyłem sobie, że będę miał syna i dziedzica, niestety, nawet wtedy wyobraźni mi nie starczało. Rozumiałem, dlaczego Kerry jest taka przejęta: dziecko rośnie w jej ciele. We mnie jednak nie rośnie, toteż reakcja emocjonalna jakby nie była moim udziałem. Czułem się bardzo zakłopotany tą swoją

obojętnością, miałem bowiem pewność, że to nie wypada, ale nazbyt się wstydziałem, by komukolwiek o tym powiedzieć.

— Chyba nie możemy już sypiać ze sobą — rzekłem, starając się, aby nie zabrzmiało to posepnie.

— Naprawdę? — spytała z przerażeniem Kerry. — Och, to niemożliwe! Kto ci powiedział?

Nie mogłem sobie przypomnieć. Szukając po omacku we wspomnieniach z zamierzchłej przeszłości, ujrzałem bladą matkę odpoczywającą na kanapie, zanim poszła do sypialni, której nie dzieliła z moim ojcem.

:— Zapytam mamę — oświadczyła Kerry. — Ona będzie wiedziała.

Pani Gallagher wiedziała bardzo dużo. Wyjaśniła Kerry, że mąż jest równie ważny jak dzieci, nawet ważniejszy, ponieważ przyzwoita kobieta nie mogłaby mieć dziecka bez męża i Kerry nie wolno o tym zapomnieć. Powiedziała, że trzeba mnie pieścić, dmuchać na mnie i chuchać, a jeśli będę „dopinał swego”, muszę być ostrożny i roztropny. Zabroniła jej słuchać, gdyby jakiś lekarz poradził coś wręcz przeciwnego, bo jeżeli zachowamy umiar i rozsądek, nie ma groźby poronienia.

Bardzo mnie to pocieszyło. Kiedy w lutym oznajmiłem wujowi Thomasowi dobrą wiadomość, zabrzmiało to nawet szczyrze i radośnie. Wuj Thomas nadal prowadził studia w akademii medycznej, stanowiącej część Uniwersytetu Harwardzkiego, i mieszkał w Cambridge, mieście niedaleko Bostonu. Nigdy nie udało mi się dokładnie zrozumieć, na czym polega jego profesja; wiedziałem, że jest lekarzem, ale nie takim jak doktor Cahill czy inni, których dotąd spotykałem. Nie miał wytwornego gabinetu przyjąć przy Harley Street — gwoli ścisłości, w ogóle nie przyjmował pacjentów. Swoje badania przeprowadzał w laboratorium przy szpitalu Guya w Londynie i dopóki nie wyjechał do Ameryki, zajmował się chorobami, które znajdował w nieboszczykach.

— Zmęczyła mnie anatomia patologiczna — wyjaśniał. Siedzieliśmy w saloniku, którego okna wychodziły na rzekę Charles. — Toteż postanowiłem się zająć patofizjologią, to znaczy badaniem chorób i zdrowia ludzi żyjących. Istnieją różne dziedziny patologii, a nasza wiedza rośnie z roku na rok. Ciekawe, że choć ludzkość interesowała się chorobami od wieków, nowoczesna patologia rozwinęła się dopiero w ciągu ostatnich trzydziestu lat... Zawsze fascynowała mnie walka z chorobą. David nigdy nie mógł tego zrozumieć. Wiecznie mu powtarzam, że moje przypadki są jak historie kryminalne: szukanie śladów, określanie przyczyny zgonu, rozwiązywanie zagadek... Ale miałem już dość martwych ciał. Wyrobiłem sobie w Londynie nazwisko jako specjalista od anatomii patologicznej, potrzebne mi jednak nowe pole działania.

Wyjaśnił, że mógł studiować patofizjologię w Londynie, lecz wołał przyjechać do Ameryki.

— Ponieważ, bądź co bądź, w połowie jestem Amerykaninem, tak samo jak ty — powiedział. — Toteż kiedy pewnego razu uświadomiłem sobie, że mam prawie trzydzieści lat i niewiele wiem o ojczyźnie matki, stwierdziłem, że to jedyna okazja, aby tu przyjechać. Zdecydowałem się pod wpływem ślubu Davida. Zdałem sobie sprawę, że muszę spędzić rok w Ameryce, póki jestem kawalerem i mogę swobodnie dysponować swoim czasem.

— Czy wybierasz się do Nowego Jorku? — zapytałem, myśląc o moim wuju a jego kuzynie, który się od nas odsunął. Bawiła mnie myśl, żeby się pogodzić z wujem Charlesem, wiedziałem jednak, że rozwścieczyłoby to moją matkę, więc na razie dałem sobie z tym spokój.

— Tak, zamierzam tam jechać na wiosnę i spotkać się z Mariottami. Będziesz jeszcze wtedy w Ameryce?

— Wątpię — odparłem. — Ze względu na stan Kerry będziemy już chyba w Irlandii. — I powiedziałem mu o dziecku.

— Ned, będziesz teraz potrzebował pieniędzy bardziej niż kiedykolwiek. Wiesz? Trzeba coś zrobić z Drummondem. To absurdalne, że musisz prosić krewnych o pożyczki, podczas gdy Drummond i twoja matka żyją sobie tak świetnie w twoim domu.

— Jak skończę dwadzieścia jeden lat...

— Czy naprawdę stać cię na tak długie czekanie? Bóg jeden wie, jak do tego czasu Drummond i twoja matka zrujną Cashelmarę! Chyba napisz do Davida. Zobaczymy, co on poradzi. Nie chciałbym iść z tym do sądu, ale...

— Żadnych sądów! — sprzeciwiłem się odrobinę za głośno. — Muszę poczekać, aż skończę dwadzieścia jeden lat.

—7- Ned, powtarzasz to zdanie, jakby było magicznym zaklęciem. A kiedy już będziesz miał te dwadzieścia jeden lat, to co właściwie zamierzasz zrobić?

— Zwolnię Drummonda i powiem matce, że ma się przenieść do Clonagh Court.

— A jeśli odmówi? Jesteś pewien, że nie będziesz musiał zwrócić się do sądu, aby się pozbyć Drummonda?

— Ja... pomyślę o tym później. W odpowiednim czasie.

— Ned — rzekł łagodnie wuj — odpowiedni czas właśnie nadszedł.

W milczeniu potrząsałem gwałtownie głową.

— Ned, o co chodzi? W czym problem? Śmiertelnie się boisz Drummonda, prawda? Dlaczego? Chyba nie podejrzewasz ciągle, że zamordował twojego ojca?

— Ja wiem, że go zamordował — wyznałem, z trudem hamując płacz, i opowiedziałem, jak otrzymałem zgodę na małżeństwo. Był tak wstrząśnięty, że nie mógł dobyć z siebie słowa. — Nie mogę więc nic zrobić — dodałem. — Boję się, że skrzywdzę matkę. On pociągnie ją za

sobą, wiem o tym, a ja nie mogę na to pozwolić. To moja matka... — nie byłem w stanie mówić dalej.

Wuj zdołał w końcu przemówić.

— Powinienem być nalegać, żeby przeprowadzono sekcję, ale... nie mogłem uwierzyć, że Madeleine się myli. Była taka pewna, tak absolutnie pewna...

— No bo trudno jest uwierzyć, że ciotka Madeleine może być na tyle niedoskonała, żeby popełnić błąd w takim przypadku — zgodziłem się. Głos miałem znowu spokojny, daleko spokojniejszy niż jego.

— I wybuchłby skandal, nawet gdyby sekcja potwierdziła diagnozę... Przepuszczam, że moje zaślepienie było umyślne.

Nadal wydawał się tak bardzo poruszony, że spiesznie powiedziałem:

— Nie byłeś zaślepiony, wuju. Zastanawiałeś się nad możliwością otrucia i odrzuciłeś ją. A to zupełnie co innego.

— Nie, to znacznie gorzej — rzekł ponuro — bo dowodzi, że lekarzowi nie można ufać, kiedy w grę wchodzi rodzina. Ulega wtedy najróżniejszym sugestiom i uprzedzeniom, które osłabiają jego zdolność oceny... Mój Boże, jak mogłem się zachować tak po amatorsku? Powinienem był żądać porządnego śledztwa, zamiast słuchać teorii wygłaszanych przez Davida i bezkrytycznie przyjmować diagnozę kobiety, która nie ma wykształcenia medycznego.

— Całe szczęście, że nie nalegałeś na zrobienie sekcji — powiedziałem. — Gdybyś to zrobił, nie wiadomo, gdzie byłaby teraz moja matka.

— Tak, ale... Ned, coś trzeba zrobić. Skoro nie możemy z tym iść do sądu, musimy załatwić wszystko po cichu groźbami.

— Nie ma jak — powiedziałem. — Myślałem o tym codziennie i nie znalazłem rozwiązania. Nie mamy nic na Drummonda. Mogłem mu grozić przy okazji małżeństwa, bo uwierzył, że zrobię wszystko, nawet zniszczę matkę, byle poślubić Kerry. Ale to była sytuacja wyjątkowa. On wie, że normalnie nic nie zrobię, żeby jej zaszkodzić.

— Wobec tego musi być jakiś inny sposób. — Zaczął spacerować po pokoju. Promienie zimowego słońca błyskały rytmicznie na jego grubych okularach. — Zanim pójdziemy na policję, musimy być całkowicie przekonani, że nie popełnią pomyłki.

— Na pewno uznają, że matka po fakcie wiedziała o morderstwie.

— „Po fakcie” to zupełnie co innego niż „przed”. I są okoliczności łagodzące: jej zaślepienie Drummondem. Każdy dobry adwokat bez problemu ją wybroni... — Strzelił palcami i odwrócił się do mnie. — Oczywiście! David nam pomoże! Ha, nigdy nie przypuszczałem, że będę wdzięczny za to, że David ma taką bujną wyobraźnię i zacięcie do historyjek kryminalnych. Poślemy go do Cashelmary, żeby w tajemnicy przeprowadził śledztwo i zbadał dokładnie okoliczności śmierci twojego ojca. Jeśli zdoła udowodnić, że Patrickowi podano truciznę po wyjeździe twojej matki z Clonagh Court...

— A jeżeli Drummond zatrul jedzenie, które matka zabrała do papy?
— wysunąłem przypuszczenie. — Wzięta wtedy do Clonagh Court syrop z jeżyn i jakieś ciasto w prezencie, bo chciała spokojnie i po przyjacielsku omówić kwestię praw rodzicielskich.

— Może David znajdzie wśród służby kogoś, kto zaświadczy, że twój ojciec nie tknął syropu i ciasta. To by znaczyło, że trucizna była w czym innym i przy odrobinie szczęścia ten ślad doprowadzi do Drummonda. Warto zresztą to sprawdzić, a jeśli ktokolwiek ma takie śledztwo przeprowadzić, to tylko David.

Próbowałem podzielać jego optymizm, za bardzo jednak się bałem. W zasadzie powinienem był lepszej być myśli, zwierzyszy mu się ze wszystkich lęków, które od tak dawna w sobie nosiłem, stało się wszakże przeciwnie. Czułem, że straciłem kontrolę nad przyszłością, a w nocy mi się przyśniło, że została zrównana z ziemią, Drummond zaś wyszedł ze zgłiszczy, aby mnie wykończyć.

W panice całą swoją uwagę skupiłem na Kerry. Nadszedł czas powrotu do domu, póki ciąża nie wkroczyła w ostatnią fazę. Zanim jednak ostatecznie wypłynęliśmy w kwietniu, dwukrotnie odkładałem nasz wyjazd pod pretekstem, że Atlantyk nadal jest niespokojny. W końcu pan Gallagher zapowiedział, że jeśli po raz trzeci przesunę termin podróży, Kerry będzie musiała zostać w Bostonie do narodzin dziecka. Ostatnią rzeczą, jakiej bym pragnął, było narażenie jej zdrowia na niebezpieczeństwo, zależało mi przy tym, żeby mój syn przyszedł na świat w Cashelmarze, toteż zebrałem całą odwagę i zdecydowałem się wracać do domu.

Wcześniej wuj David napisał, że zawita do Cashelmary w połowie marca, ale przed wyjazdem więcej wiadomości od niego nie otrzymałem.

— Wszystko będzie dobrze — powiedział wuj Thomas, obejmując mnie na pożegnanie, i mimo że rozpaczliwie próbowałem mu uwierzyć, nie potrafiłem. Byłem przekonany, że wcale nie będzie dobrze. Nie umiałem sobie wyobrazić, żeby tak się sprawy mogły ułożyć.

I strasznie się bałem.

V

Matka nie wiedziała, że Kerry jest w ciąży. Ciotkę Madeleine poprosiłem, aby utrzymała tę wiadomość w tajemnicy, a nawet jej bym nie informował, gdyby Kerry bardzo nie nalegała.

— Dlaczego nie chcesz, żeby twoja matka dowiedziała się o dziecku?
— zapytała Kerry, ja zaś wyjaśniłem krótko, że sam pragnę ją powiadomić o tym radosnym wydarzeniu.

Kerry się tym zadowoliła. Prawdę powiedziawszy nie bardzo miałem pojęcie, dlaczego chciałem to utrzymać w tajemnicy, dowiedziałem się jednak niebawem — zaraz po przybyciu do Cashelmary, kiedy matka zeszła na dół, aby nas powitać, i zauważyła kształty Kerry. Wystarczyło mi jedno spojrzenie na minę matki, by uzyskać potwierdzenie moich przeczuć: nie była to dla niej radosna wiadomość.

— Właśnie tego należało się spodziewać — rzekła. — Ale muszę powiedzieć, że jak na rodziców, jesteście obydwójcie absurdalnie młodzi.

Sytuację uratował Drummond, który ucałował Kerry i oświadczył, że z pewnością wszystkich ogromnie to ucieszy. Był na tyle mądry, że nie wyciągnął do mnie ręki, lecz pogratulował mi uśmiechem. Zanim matka odzyskała mowę, John i dziewczynki zbiegli na dół, aby się z nami radośnie przywitać. Obstąpili Kerry, ja zaś odwróciłem się do matki i otworzyłem usta, by powiedzieć, co myślę o jej powitanii.

Dopiero wtedy zauważyłem, że jest w czerni. Nie było jej w tym kolorze do twarzy, cerę bowiem miała ziemistą.

— Ned! jak cudownie, że już wróciłeś! — zawołała Eleanor, zarcując mi ręce na szyję.

Uściskałem ją, uświadamiając sobie równocześnie, że ona także jest ubrana na czarno. I już Jane tańczyła wokół mnie.

— Neddy, wiesz, co się stało? Ozymandias i Percival mają nową rodzinę. Ochrzciliam kociaki nazwami kolorów moich farb. Mają na imię Lazur, Kobalt i Lazuryt. Wszystkie są białe z rudymi łapkami...

Jane miała na sobie czarną plisowaną sukienkę, a kiedy podskakiwała przede mną, widziałem halki fruujące nad czarnymi pończochami.

Wszyscy ubrani byli na czarno.

— Ned, kochanie — odezwała się matka — chodź ze mną do saloniku. Muszę ci coś powiedzieć na osobności.

Przeszliśmy do saloniku. Byłem zupełnie spokojny. Głosem zrównoważonym i czystym zapytałem, gdzie jest wuj David.

— Och, Ned... — Jej twarz się wykrzywiła, brzydkie głębokie zmarszczki zdeformowały rysy, do oczu napłynęły łzy.

— Gdzie on jest? — powtórzyłem, nadal idealnie spokojny. — Co tu się stało?

— Ned, on... on... — Słowa nie mogły jej przejść przez gardło.

— Nie żyje — dokończyłem. Rozejrzałem się po pokoju, jakbym spodziewał się znaleźć wyjaśnienie tego wypisane na ścianach. Znowu popatrzyłem na matkę, lecz w jej twarzy nie widziałem nic prócz żalu.

— Tak — wyszeptwała. — Nie żyje.

I przytuliła się do mnie, jakby nie miała nikogo innego, do kogo mogłaby się zwrócić. I płakała tak, jakby nie była w stanie znieść ogromu swego cierpienia.

ROZDZIAŁ ÓSMY

I

Matka zaczęła opowiadać cicho, urywanym głosem:

— Przyjechał dwa tygodnie temu i prawie od razu zaczął się skarżyć na zdrowie... niewydolność jelit... Jak wiesz, David miał zawsze kłopoty z układem pokarmowym... Nie przejmowałam się tym, potem powiedział, że czuje się lepiej. Ale następnego dnia znowu się rozchorował. Mówił, że mu dokucza ból w prawym boku... Na nieszczęście doktor Cahill akurat wyjechał... poprzedniego dnia do Dublina... Ściągnęłam Madeleine. Kiedy się dowiedziała, jakie są objawy, stwierdziła, że to wygląda na zapalenie otrzewnej, poważną infekcję będącą skutkiem zapalenia wyrostka robaczkowego... Później doktor Cahill potwierdził jej diagnozę. Okazało się, że David miał wcześniej jeden czy dwa ataki i jakiś londyński specjalista zalecił mu operację... Tylko że operacja jest zawsze nieprzyjemna i ryzykowna, więc... David postanowił najpierw próbować przepisanej diety.

Zapytałem o pogrzeb.

— Odbył się w ostatni poniedziałek. Ciało zostało przewiezione do Surrey. Madeleine pojechała, żeby wesprzeć na duchu jego żonę... Wysłaliśmy telegram do Thomasa. Ciebie nie powiadaliśmy, bo było za późno, wyjechaliście już z Ameryki. Zamierzaliśmy poczekać na wasz powrót, ale... jego żona nie chciała odkładać pogrzebu... tyle ją to kosztowało zdrowia... Powiedziałam, że to zrozumiesz. Bardzo chciałam jechać, ale wstrząs... rozchorowałam się w końcu... Wciąż myślałam o Marguerite, nadal o niej myślę, dniem i nocą... Ona tak bardzo kochała Davida!... Był jej ulubieńcem.

— Diagnoza nie budziła żadnych wątpliwości?

— Nie, kochanie, najmniejszych.

II

— Diagnoza nie budziła żadnych wątpliwości, prawda, ciociu?

— Nie, skarbie — odparła ciotka Madeleine, która właśnie wróciła z Surrey. — Najmniejszych. Powiedziałam doktorowi Cahillowi, że przebieg dolegliwości wskazywał na zapalenie wyrostka.

— Ciociu, czy wuj David sam ci o tym powiedział?

Zawahała się na sekundę, nie dłużej. Jej spojrzenie było jasne, czyste, błękitne.

— Tak, skarbie.

— Rozumiem... Wybacz, ciociu, ale wydaje mi się dziwnym zbiegiem okoliczności, że mój ojciec i wuj David umarli z podobnymi objawami...

— No nie, tych dwu przypadków nie można porównywać. Były zupełnie różne.

Zapadła cisza. Wyraz oczu ciotki Madeleine ani na moment się nie zmienił.

— Ciociu...

— Tak?

— Czy doktor Cahill nie proponował, żeby zrobić sekcję zwłok?

— Nie, skarbie. Powiedziałam mu, że w tych okolicznościach naprawdę nie uważam tego za konieczne. Oczywiście Thomas może się domagać sekcji, kiedy tu przyjedzie. Ale decyzja należy do niego, nie do mnie.

— Ale...

— Musimy poczekać, aż Thomas wróci — oświadczyła. — Napisałam do niego prosząc, żeby wracał natychmiast. Teraz, mój drogi, naprawdę nie masz się czym martwić. Thomas i ja zajmujemy się wszystkim. Dopóki on nie wróci, żadne z nas nie może zrobić nic więcej.

— Ty wiesz, prawda? — odezwał się po chwili.

— Co wiem?... Drogie dziecko, nie mam pojęcia, o czym mówisz! Wiem tylko, że to nie twoje zmartwienie, nie musisz się kłopotać, z czasem wszystko się ułoży...

— Ciociu, nie traktuj mnie jak dziecko.

— Ned, traktuję cię jak ukochanego bratanka, który ma tylko siedemnaście lat, a spadają na niego zmartwienia i obowiązki, o jakich większość jego rówieśników może nawet nie słyszała. Masz dosyć własnych problemów, więc proszę, zostaw tę sprawę mnie i Thomasowi.

— Ale...

— Nie ma o czym mówić.

— Chcę z tobą porozmawiać, ciociu...

— Później, skarbie. Po powrocie Thomasa. Nie teraz.

Wyszedłem.

III

Natychmiast po powrocie z Clonareen zamknąłem się w swoim pokoju i napisałem do wuja Thomasa: „Proszę, nie zważaj na list ciotki Madeleine. Nie ma potrzeby, żebyś wcześniej wracał do domu. Jestem absolutnie przekonany, że wuj David zmarł śmiercią naturalną. Nawet doktor Cahill uznał, że sekcja nie jest konieczna. A wiesz, że gdybym podejrzewał morderstwo, zaraz bym ci o tym powiedział...”

Napisałem więcej, lecz nie pamiętam już pozostałych kłamstw. List był nieskładny, wiadomość jednak w pełni czytelna. Skończywszy go, pojechałem konno do Leenane, żeby list zabrała najbliższa karetka pocztowa do Galway.

Potem zastanawiałem się, cóż ja wyczyniam, ale w głowie kołatała mi tylko jedna myśl: ciotka Madeleine wie. Kiedy porozmawia z wujem Thomasem, zacznie się domagać ekshumacji i sekcji; Drummond zostanie oskarżony, a razem z nim moja matka, i okaże się, że przez te wszystkie miesiące na darmo trzymałem usta zamknięte na kłódkę. Nie mogłem do tego dopuścić. Już sama myśl o tym była nieznośna. Musiałem więc nadal osłaniać matkę. Nie miałem wyboru. Musiałem trzymać wuja Thomasa z dala od tego możliwie jak najdłużej. Musiałem zyskać na czasie.

Nie wiedziałem jednak, co mógłbym zrobić, a po pewnym czasie nawet myśleć o tym nie potrafiłem.

Niebawem przyszedł list od wuja Thomasa.

„Drogi Nedzie, na początek pozwól, że podziękuję ci za miły i troskliwy list. Wieść o śmierci brata była dla mnie strasliwym ciosem, ponieważ byliśmy sobie bardzo bliscy. Bez niego ten świat będzie mi się wydawał zupełnie inny.

Pragnę cię zapewnić, że myliłeś się co do treści listu Madeleine. W ogóle nie wspomniała o morderstwie: po prostu nalegała, abym wrócił do domu, by utulić w żalu ciebie i Sarę oraz zająć się biedną Harriet. Mógłbym wyjechać natychmiast, lecz zrezygnowałem z tego zamiaru z trzech powodów: Harriet napisała do mnie błagając, żebym przypadkiem nie wracał wcześniej tylko ze względu na nią, ponieważ zamieszka z rodzicami; ty zapewniłeś mnie, że nie ma żadnych podstaw, by żyć jakiegokolwiek podejrzenia; Sara doniosła mi, że wszyscy w Cashelmarze dochodzą do siebie po szoku i że byłoby z jej strony samolubstwem prosić mnie o powrót do domu i odgrywanie roli podpory rodziny. Rozważywszy te trzy listy, doszedłem do wniosku, że powinienem pozostać tu i dokończyć rozpoczęte studia. Gdybyś jednak potrzebował mojej pomocy, daj znać, a natychmiast przepłynę Atlantyk.

W odpowiedzi na twoje pytanie przyznaję, że David istotnie cierpiał na dolegliwości żołądkowe, lecz nigdy nie słyszałem, żeby się to wiązało

z wyrostkiem robaczkowym. Coś takiego mogło jednak wynikać w ostatnim czasie, już po moim wyjeździe do Ameryki, a David może to przemilczał w listach.

Zgadzam się z tobą, że raczej mało jest prawdopodobne, by został zamordowany, mimo nietypowych okoliczności jego wizyty w Cashelmarze. Po prostu trudno mi sobie wyobrazić, żeby Drummond był aż takim głupcem. Gdyby David rzeczywiście znalazł jakieś dowody, sądzę, że Drummond raczej chciałby się z nim dogadać — na przykład wygodne życie w Clonagh Court w zamian za rezygnację z posady zarządcy i wystąpienie twojej matki z rady rodzinnej. Drummondowi bardziej by się przydał David żywy, natomiast zabicie go byłoby wyjątkowo niebezpieczne i nieroztropne. Poza tym nie sądzę, by Drummond zabił kogokolwiek, chyba że byłby absolutnie pewien bezkarności. Toteż jestem przekonany, że David umarł śmiercią naturalną. Bardzo to tragiczne, ale możemy się pocieszać, że żaden z nas nie mógł temu zapobiec, wobec czego żaden z nas nie ponosi winy.

Mimo tego, co napisałem wyżej, nie mam zamiaru po raz drugi popełniać takiego samego błędu. Teraz będę się domagał sekcji zwłok, zarówno dla spokoju sumienia, jak i z zawodowego obowiązku. Ale nie obawiaj się, że nie dochowam sekretu. Dzięki znajomościom w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych i Scotland Yardzie, instytucjach, które podejmują decyzje o ekshumacji, gdy wynikają jakieś podejrzenia, a także ze względu na moje doświadczenie w tych sprawach, ufam, że potrafię wszystko załatwić nie tylko dyskretnie, ale wręcz w absolutnej tajemnicy. Nie mogłem tego zrobić w przypadku twojego ojca, ponieważ jest pochowany w Irlandii, a tam nie znam nikogo w odpowiednich urzędach.

Omówimy to wszystko dokładniej, kiedy wrócę do domu we wrześniu. Tymczasem przesyłam pozdrowienia dla ciebie i całej rodziny..."

Spaliłem list w kominku w moim pokoju, później rozsypałem popiół, aby mieć pewność, że każdy skrawek papieru został zniszczony. Pod wpływem rozważań wuja Thomasa przyszło mi do głowy, czy nie mógłbym zawrzeć z Drummondem kolejnej umowy: nie będzie sekcji zwłok, jeżeli zrezygnuje z posady i przeprowadzi się z matką do Clonagh Court. Tyle, że takie rozwiązanie niczego nie ułatwiało. Życzyłem sobie, żeby Drummond, jeśli zabił także wuja Davida, zawisł na szubienicy. Tego samego oczywiście życzyłby sobie wuj Thomas. Tylko moja matka...

Zawsze matka!

— Chcę z tobą porozmawiać, Ned — powiedziała w pewien majowy poranek, jasny i słoneczny, kiedy dzieci odeszły już od stołu i poszły się bawić do ogrodu.

Kerry jadła teraz śniadania w łóżku, ja zaś tego dnia zmusiłem się i dołączyłem do reszty rodziny w jadalni* Natychmiast po wyjściu Drummonda matka odprawiła służbę i poprosiła, żebym został.

— Proszę, nie wykręcaj się — dodała szybko. — Wiem, że ostatnio próbowałeś mnie unikać. Jak widzisz, nie jestem tak zupełnie nieczuła. I o tym właśnie bardzo bym chciała z tobą porozmawiać. Proszę, to dla mnie bardzo ważne.

— Oczywiście, mam — odparłem. Podnosiłem się już od stołu, lecz opadłem z powrotem na krzesło. Przede mną stała pusta filiżanka. Czekałem, co matka powie.

— Zachowywałam się bardzo niemądrze — oświadczyła — i chcę cię i Kerry przeprosić.

Spojrzałem na nią bez wyrazu. Ubrana była w śliczną bluzkę, która : • do koric? krywała zmarszczki na jej szyi. Ujrzawszy te zmarszczki uświadomiłem sobie, jak bardzo matka się zmieniła, odkąd wyjechaliśmy z Cashelmary. Jej włosy nie miały już lśniącego ciemnobrązowego koloru, który tak uwielbiałem, lecz były matowoczarne — z pewnością je farbowała, aby się odmłodzić, co dawało efekt wręcz przeciwny, ponieważ barwa nie wyglądała na naturalną. Niekorzystnie wpłynęły też na cerę, podkreślały bowiem jej oliwkowy odcień tak bardzo, że skóra wydawała się ziemista, mimo że matka próbowała to ukryć pod grubą warstwą pudru. Makijaż, przesadny i dla mnie wstrętny, sprawiał, że jej twarz przypominała maskę. I choć wytężałem wzrok, nie potrafiłem pod nią dojrzeć znajomej, tak bardzo kochanej osoby.

— Nic dziwnego, że czuliście się urażeni i zachowywaliście się wobec mnie tak chłodno — mówiła. W przeciwieństwie do wyglądu, jej głos brzmiał uspokajająco niepewnie, przepełniało go szczere uczucie. — Jakże byłam niemądra, że nieprzychylnie przyjąłem wiadomość o waszym dziecku! Źle postąpiłam. Nie sądz, że nie zdaję sobie z tego sprawy, bo bardzo się wstydę. Ale od dzisiaj, kochanie, wszystko się zmieni. Przywykłam już do myśli, że zostanę babką, i jestem pewna, że pokocham to dziecko, kiedy przyjdzie na świat. Zawsze kochałam dzieci, dobrze o tym wiesz. Nie pojmuję, dlaczego byłam taka niemądra. Może... — Zamilkła.

— Proszę, mam, nie musisz mówić nic więcej. Rozumiem.

— Nie, nie nie rozumiesz. To dlatego, że byłam zazdrosna o Kerry... Bo widzisz, ona jest taka młoda i szczęśliwa, i ma przed sobą całe życie, nosi dziecko kochanego mężczyzny... Kiedy wróciliście z Ameryki i zobaczyłam ją, poczułam taki smutek, jakby dla mnie wszystko już się skończyło, jakbym nie miała już nic do ofiarowania. Byłoby inaczej, gdybym mogła mieć jeszcze jedno dziecko, Maxwella, ale po urodzeniu Jane lekarz powiedział mi...

— Tak — przerwałem jej.

— Nie rozumiesz, co czuje kobieta, która nie jest już młoda. Trudno mi wyrazić to poczucie niepewności, strasznego lęku przed starzeniem się, przerażenia, że stracę urodę i przestanę się podobać Maxwellowi...

Wstałem. Moja serwetka sfrunęła na podłogę.

— Nie odwracaj się ode mnie, Ned — powiedziała matka. — Taka byłam samotna przez kilka ostatnich tygodni, kiedy nie odzywałeś się do mnie słowem!

Nagle ujrzałem ją inną — taką jak wtedy, gdy dawno temu czekała, aż zejść ze statku w Nowym Jorku: jej twarz była napięta bolesnym pragnieniem, aby znowu mnie zobaczyć. Przez głowę przemknęły mi kolejne odległe wspomnienia: cudowne, rozświetlone słońcem dni w pokoju dziecinnym, potem dni mroczne, kiedy kochająca mnie matka żyła w strachu przed MacGovanem, jej wieczne poświęcenia, dopóki... na jej życie nie padł cień Drummonda. Skoro jednak nie winiłem już ojca za Hugh'a MacGovana, nie mogłem też winić matki za Maxwella Drummonda.

Wspomniałem to, co niegdyś Drummond powiedział o woli Boskiej, jedyne wytłumaczenie, które pozwalało mi wybaczyć obydwójgu rodzicom. Uświadomiłem sobie, że po raz pierwszy od wielu lat jestem w stanie tak samo kochać i ojca, i matkę. Nie musiałem już wybierać, po czyjej stanać stronie, ponieważ liczyła się tylko jedna: moja.

— Ją też muszę prosić o wybaczenie, mamó — powiedziałem całując ją. — Nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo cię zasmuciłem.

— Możemy więc zacząć od początku? Och, czuję się znacznie lepiej! Nie wracajmy więcej do przeszłości, pomówmy o przyszłości, o waszym dziecku. Zauważyłam, że jesteście obydwójce przekonani, że to będzie chłopiec. Jak mu dacie na imię?

— Obawiam się, że raczej nie będziemy się silić na oryginalność. Chyba powinniśmy podtrzymać tradycję i nazwać go Patrick Edward.

— Ach, tak. Cóż, to bardzo miłe. Czy będzie się na niego wołać Ned, jak na ciebie?

— Nie, Patrick, jak na mojego ojca.

Zapadła cisza. Zmierzałem już do drzwi, lecz zatrzymałem się i obejrzałem.

— Kerry chciała, żeby to było irlandzkie imię — odezwałem się w końcu. — Toteż Patrick będzie jak najbardziej odpowiednie.

— O, tak, oczywiście — przyznała matka.

— Cóż, wybacz, mamó...

— Tak, tak, proszę bardzo — rzekła i zająkując się, dodała: — Miło będzie znowu mieć w domu niemowlę. Nie zdajesz sobie nawet sprawy, jaka to będzie dla mnie przyjemność...

IV

Mój syn przyszedł na świat 28 czerwca o czwartej po południu.* Zobaczyłem go wkrótce po urodzeniu.

Najpierw jednak zobaczyłem Kerry. Poród trwał tylko osiem godzin, ale była bardzo wymęczona. Odezwała się sennie:

— On jest śliczny... śliczny... Spodoba ci się na pewno.

Ucałowałem ją, po czym udałem się do sąsiedniego pokoju, gdzie konferowali ciotka Madeleine, doktor Cahill, niania i nowa piastunka sprowadzona z Londynu.

Kiedy wszedłem, usłyszałem miaukliwy głos jak kociaka i ujrzałem coś filigranowego, zawiniętego w duży szal.

— Piękne niemowlę — powiedziała życzliwie ciotka Madeleine. — Jest niemal tak piękne, jak ty po urodzeniu. Podejdź tu, popatrz na niego. Nie ugryzie cię.

Przysunąłem się ostrożnie, nie mogąc uwierzyć, że coś tak małego może być człowiekiem.

— Duże, zdrowe dziecko — rzekł doktor Cahill, szczerząc zęby w uśmiechu, jakby to on był jego ojcem. — Waży co najmniej osiem funtów.

— Osiem funtów i dwie uncje, panie doktorze — wtrąciła niania.

— No i jak? — zawołała ciotka Madeleine. — Czyż nie jest cudowne?

Dziecko znowu zamiauczało. Miało czerwoną twarzyczkę i zaciśnięte oczy.

— O, tak — przyznałem. — Jest bardzo miły.

— Chciałbyś go potrzymać? — zapytała ciotka.

— Och, lepiej nie. Mógłbym go upuścić.

— Nie bądź niemądry — odparła ciotka energicznie i wcisnęła mi dziecko w ramiona.

Miauczenie ustało. Mój syn usnął. Kiedy ponownie popatrzyłem na jego twarz, ujrzałem na niej spokój i błogość, bezrozumną ufność, że ten świat będzie dla niego dobrym miejscem do życia. I moja dotychczasowa strusia taktyka w jednej chwili przestała mieć jakikolwiek sens. Wyciągnąłem głowę z piasku, a kiedy nowym spojrzeniem ogarnąłem świat, któremu tak beztrąsko przysporzyłem kolejnego mieszkańca, uświadomiłem sobie, że ów świat jest dla mnie teraz nie do zniesienia.

Pamiętam, że pomyślałem bardzo jasno, jakbym wypowiadał te słowa na głos: w tym miejscu się zatrzymam, w tym miejscu przestanę odwracać wzrok.

V

Była to kwestia tego, co ważniejsze. Pisząc do wuja Thomasa, myślałem o tym bez przerwy. Kochałem matkę, jednakże na pierwszy plan musiałem wysunąć Kerry i dziecko. Matka będzie bardzo cierpiała, lecz to stawiałem w drugim rzędzie — wuj Thomas był przekonany, że mając dobrego adwokata, otrzyma uniewinnienie. Po procesie wróci do Cashelmary i zostanie tu, póki nie dojdzie do siebie po ciężkiej próbie, a potem możliwie łagodnie przeniesie się ją do Clonagh Court.

„Drogi wuju, proszę, zapomnij o wszystkim, co napisałem w poprzednim liście. Błagam, żebyś bezzwłocznie wrócił do Anglii...”

Nie mogłem czekać następne trzy miesiące. Nie było chwili do stracenia. Morderca, który zabił dwa razy, może zabić po raz trzeci, jeśli więc nie zrobię co należy, stanę się jego współnikiem, a poza tym... nie potrafiłem dłużej żyć pod jednym dachem z człowiekiem, który zamordował mojego ojca i wuja.

„Jestem przekonany, że wuj David został otruty...”

Próbowałem wytłumaczyć, dlaczego kłamałem w pierwszym liście, lecz wypadło to bardzo chaotycznie. Wiedziałem bowiem tylko, że śmierć wuja Davida wywołała we mnie taki wstrząs, że straciłem zdolność racjonalnego myślenia. Po prostu chciałem odsunąć w czasie konsekwencje udając, że w ogóle ich nie ma.

Skończyłem pisać list, a następnego ranka pojechałem konno do Leenane, by dostarczyć go pocztylionowi. Potem poczułem się tak słaby, jakbym zużył ogromną ilość energii na jakieś nadludzkie zadanie. Po powrocie do domu zamierzałem odpocząć w swoim pokoju, jednakże w holu zaczęła się na mnie Jane.

— Och, Neddy! Stała się rzecz straszna! — zawołała. — Biedny Ozymandias jest śmiertelnie chory, a nikt nie chce posłać po doktora Cahilla. Nikt nie rozumie, nikt nie chce pomóc!

Ugłaskałem ją najlepiej jak potrafiłem i poszliśmy do jej pokoju, gdzie ten paskudny zwierzak leżał wyciągnięty w swojej skrzyneczce. Było oczywiste, że zdycha: miał szkliste oczy i oddychał z trudem. Smród kocich wymiocin był tak wstrętny, że musiałem się wycofać na korytarz.

— To trutka na szczury — wyjaśniła Jane z twarzą zalaną łzami. — Wiedziałam, że nic dobrego z tego nie wyniknie. Ciągłe jest porozstawiana w spodeczkach na strychu. Byłam pewna, że jeśli biedny Ozymandias ucieknie mi na górę, pomyśli sobie, że to coś do jedzenia. Nie wiem tylko, po co nam była potrzebna trutka na szczury. To straszna zniewaga dla moich kotów! Jakby były za głupie, żeby łąpać myszy! A to przecież nieprawda. Podobno wujek David narzekał na myszy, ale musiał się pomylić, bo ja nie widziałam w domu ani jednej od czasu, gdy Ozymandias był kociątkiem...

— Zaraz, zaraz — wtrąciłem. — Jesteś pewna, że trutka została sprowadzona w czasie, kiedy był tu wuj David?

— No jasne, że jestem pewna! Myślisz, że bym zapomniała, kiedy moje koty zostały tak znieważone? To było trzy dni po przyjeździe wuja. Jak zaczął się skarżyć na myszy, w domu akurat nie było trucizny, więc trzeba ją było ściągnąć* z lecznicy. Ciocia Madeleine zawsze trzyma trutkę, bo ma problemy z myszami. Sama sobie jest winna, nie chce przecież słyszeć o kotach... Gdyby miała kota takiego jak Ozymandias...

— Jane — przerwałem jej znowu — pamiętasz, kto przywiózł truciznę z lecznicy?... Flanning? Czy O'Malley? A może... pan Drummond?

— Och, nie, nie pan Drummond — odparła Jane z żarem, podnosząc na mnie zażawione oczy. — On zawsze był miły dla moich kotów i mówił, że sprytnie łapia myszy. Nie, to mama powiedziała, że potrzebujemy trucizny, i ona pojechała do lecznicy pożyczyć trochę od cioci Madeleine...

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

I

Powiedziałem sobie: później o tym pomyślę, później rozważę, co to wszystko znaczy. Wiedziałem, że znajdzie się jakieś proste wytłumaczenie, ale w tej chwili byłem zbyt zmęczony. Miałem pustkę w głowie. Później nie będę mógł się nadziwić prostocie rozwiązania i z niedowierzaniem będę się zastanawiał, jak mogłem być taki tępy. Później, nie teraz.

Ozymandias zdechł. Wykopałem mu grób w zaroślach na uboczu, John zbił krzyż, a Eleanor napisała na nim węglem: ŚP. OZYMANDIAS. 1885—1891.

Dzieci szczebiotały przy grobie. Słyszałem je, lecz byłem tak daleko, że nie rozróżniałem ich głosów.

— Nie mogę żałować go wiecznie. Jestem za młoda, żeby się zdecydować na samotność, ale kiedy umrę, znajdziecie imię Ozymandiasa wyryte na moim sercu.

— Jane, na twoim sercu nie ma tyle miejsca. „Ozymandias” to słowo o wiele dłuższe niż „Clais”...

Przeszukałem wcześniej strych i odkryłem, że wszystkie spodeczki z trutką na szczury usunięto, zostawiono tylko jeden, najwyraźniej przez przeoczenie. „Nie mogę winić matki za niedbalstwo służące” — usłyszałem z daleka swoje słowa.

Cóż, nie winiłem jej, ale...

Dzieci znowu zaczęły się kłócić. Powiedziałem Jane, żeby pod żadnym pozorem nie wspominała matce o truciznie, ponieważ świadomość, że choćby bezwiednie przyczyniła się do śmierci Ozymandiasa, byłaby dla niej bardzo bolesna. Nie chciałem, by matka się domyśliła, że wiem o trutce przywiezionej z lecznicy.

— Tak, musimy mamie tego oszczędzić... Pomyśl tylko, jak strasznie by się czuła, gdyby wiedziała. — To mówiła Eleanor.

— Nigdy by sobie nie wybaczyła — zgodziła się Jane, wążąc chmurnie tę myśl. — No więc dobrze, oszczędzimy jej tego.

Zaszedłem do biblioteki. Byłem sam, a w głowie ciągle miałem taką pustkę, że w ogóle nie mogłem myśleć.

Minęło dużo czasu. Kiedy zaczęło zmierzchać, rzekłem sobie: oczywiście zupełnie postradała zmysły. To stwierdzenie ułatwiło mi sprawę, podobnie jak myślenie o wstrząsających występkach w kategoriach woli Boskiej. Nienormalna. Nieodpowiedzialna. Można tylko litować się nad nią i starać się jakoś pomóc.

Usiadłem za biurkiem, zapaliłem lampę i próbowałem sobie wyobrazić, co się wydarzyło. Najpierw pomyślałem o ojcu. Dlaczego nigdy nie przyszło mi do głowy, że zabiła go moja matka? Przecież to ona miała powody, nie Drummond. Rzecz jasna Drummond musiał się o tym dowiedzieć... po fakcie. Nie, nie należy go oczyszczać. On także jest mordercą. Być może nie zabił mojego ojca ani wuja, lecz zamordował MacGovana, tego byłem pewien. Ze względu na niego zresztą, byle zatrzymać przy sobie jego i dzieci, matka poważyła się zabić. Toteż ponosił taką samą winę jak ona, może nawet większą. Zamierzałem dopilnować, żeby on odpowiadał za wszystko. Nie wiedziałem wprawdzie, jak tego dokonam, byłem jednak przekonany, że jeśli dobrze się zastanowię, opracuję jakiś plan.

Roztrząsałem to bardzo długo.

Najważniejszym problemem było, jak ratować matkę. Powoływanie się w sądzie na jej chorobę umysłową nie byłoby dobrą metodą, ponieważ obłąkanie w sensie prawnym jest czymś innym niż w sensie medycznym, choć istniał precedens: sprawa McNaghtena, w której orzeczono, że wszystko zależy od tego, czy oskarżony wiedział, że to, co robi, jest złe. Wuj Thomas tłumaczył mi to kiedyś i powiedział wówczas, że to surowa zasada i że część środowiska lekarskiego jej nie aprobuje. Możliwe, że moja matka była obłąkana w sensie prawnym, w co jednak wątpiłem, toteż postawienie jej przed sądem stanowiłoby zbyt duże ryzyko. A zatem nie może być procesu. Muszę wobec tego nagiąć anglosaskie prawo, jak by powiedział Drummond, i wynaleźć właściwe rozwiązanie.

Powinno się to odbyć zgodnie z prawem. Wypadek? To bardzo trudne. Samoobrona? Jeszcze trudniejsze, bo jak sprowokować Drummonda, żeby przypuścił na mnie śmiertelny atak? Ale może nie musiałbym tego ja zrobić? Może mógłby to być ktoś inny?

Przez jakiś czas rozważałem kilka planów. Zaakceptować mogłem tylko całkowicie bezpieczny, który by zawierał dokładną odpowiedź na pytanie: jak oczyścić z zarzutów siebie i matkę, a winą obciążyć wyłącznie Drummonda? Musiałem być ostrożny i przemyśleć każdą ewentualność.

Po pewnym czasie uzmysłowiłem sobie, że na dworze jest już zupełnie ciemno, ja zaś wciąż nie mam pojęcia, w jaki sposób zdobyć broń.

Jakaś broń miał MacGovan. Kiedy został zabity, był uzbrojony w dubeltówkę, potem znalazł się jeszcze rewolwer, którym zaopiekował się Drummond. Wiedziałem, że to prawda, ponieważ mi go pokazywał. Niedługo interesowałem się bronią, a kiedy mieszkaliśmy w Ameryce, Drummond nauczył mnie strzelać.

Zastanawiałem się, co zrobił z bronią MacGovana. Mógł ją dać komuś z O'Malleyów, ale żaden z moich przyjaciół z tego rodu nigdy nie wspominał, żeby któryś z jego krewniaków odziedziczył rewolwer Hugh'a MacGovana. Może Drummond zachował go na pamiątkę po «woim wrogu? To by pasowało do jego charakteru. Tylko gdzie go ukrył? Prawdopodobnie nie w swoich pokojach; zapewne schował rewolwer gdzieś z dala od mojej matki i wścibskich oczu swojego nowego służącego. Wiedziałem też, że nie ma go w zamkniętej na klucz komodzie na tyłach domu, gdzie trzymał własną broń palną. Musiał jednak być gdzieś w Cashelmarze. W którym pokoju Drummond lubił szczególnie przebywać?

Mój pradziadek, Henry de Salis, uśmiechnął się do mnie nieśmiało ze swojego miejsca nad kominkiem. Zegar w kształcie słonia tykał znacząco. Lampa rzucała miękka, spokojną poświatę na pokój, w którym Drummond palił cygara i zagłębiał się w księgi rachunkowe majątku.

Rewolwer leżał w dolnej szufladzie biurka. Wyjąłem go i trzymałem w dłoniach. Różnił się od broni Drummonda, ale wkrótce udało mi się dostać do bębena. Były w nim trzy naboje. Zamknąłem bębenek, włożyłem rewolwer do szuflady i zasunąłem ją.

Drżały mi ręce, czułem się bardzo źle.

Minęło sporo czasu, nim zdołałem dojść do siebie. W końcu pomyślałem: nie mam wyboru. Nie mam! Umrze albo ona, albo on, a jeśli zostawię to w rękach wymiaru sprawiedliwości, moja matka zostanie powieszona.

Następnego dnia o świcie, po bezsennej spędzonej nocy, osiodłałem konia i pojechałem do Clonareen w odwiedziny do moich przyjaciół z rodu Joyce'ów.

II

— Sytuacja tak wygląda — rzekłem — że wuj Thomas niedługo wraca z Ameryki, żeby się postarać o sekcję zwłok wuja Davida. Znaczy to, że wykopią ciało i dowiedzą się, w jaki sposób umarł. Lekarze umieją to robić. Przypuszczam, że wuj został otruty i... chyba nie muszą wam mówić, kto jest sprawcą?

— Ten podły nikczemnik, Maxwell Drummond! — zabrzmiał zgodny chór.

Uśmiechnąłem się, lecz nie skomentowałem tego, powiedziałem natomiast:

— Sami widzicie, w jakim niezręcznym jestem położeniu. Nie mogę nic zrobić, dopóki nie mam dowodu, czyli dopóki nie poznam wyniku

sekcji. Poprosiłem wuja Thomasa, żeby mi wysłał telegram, jak tylko czegoś się dowie, ale to trochę potrwa. Minie co najmniej tydzień, zanim mój list dotrze do wuja, potem jeszcze tydzień, nim opuści Amerykę i następny tydzień zajmie podróż do Anglii. W sumie może to więc zabrać nawet ze sześć tygodni. Do tego czasu mam związane ręce, bo muszę mieć oficjalny dowód, żeby cokolwiek zrobić.

— Zabijemy go za ciebie! — zaproponowali ochoczo w porywie zapału. — Skoro masz związane ręce, my cię zastąpimy! — A ktoś przezorny dodał: — Potem będziesz nam tylko musiał załatwić przejazd do Ameryki.

— Nie, nie! — sprzeciwiłem się przerażony. — Morderstwo wykluczone! Przypuszczam, że wy byście uszli cało, ale pomyślcie, w jakich ja byłbym tarapatach, gdyby się policja dowiedziała, że zrobiliście to za moim podszeptem. Człowiek o mojej pozycji nie może zamawiać morderstw, jakby to były butelki szampana.

Wyglądali na zawiedzionych.

— Wszystko musi się odbyć zgodnie z prawem — oświadczyłem stanowczo.

— Nie mamy żadnego pożytku z anglosaskiego prawa! — burknęli wojowniczo moi przyjaciele, wierni swoim przekonaniom.

— Tylko dlatego, żeście nigdy nie potrafili z nich korzystać—odparłem. — Zawsze tak bardzo was pochłania walczenie między sobą, że stajecie się bezbroni wobec ludzi takich jak MacGowan czy Drummond, którzy naginają prawo do swoich interesów. Gdybyście choć na chwilę przestali zwracać uwagę na to, czy dany człowiek nazywa się O'Malley, czy Joyce, uświadomilibyście sobie, że wcale nie musicie być męczennikami. A teraz posłuchajcie: mam zamiar pozbyć się Drummonda w sposób zgodny z prawem. Zostanie oskarżony o morderstwo i usunięty z Cashelmary. Tymczasem jednak potrzebuję waszej pomocy, żeby nie wymknął mi się z rąk. Nie ma potrzeby go mordować, czyż tego nie widzicie? Po co używać młotka do rozbicia jajka, skoro można je zgnieść w dłoni?

Zaintrygowałem ich wystarczająco, aby zapytali, jak mogą mi pomóc.

— Obawiam się, że Drummond czmychnie do Ameryki, jak się dowie, co jest w telegramie o wynikach sekcji — powiedziałem. — A dowie się na pewno, bo telegram to nie list, a on ma wszędzie szpiegów. Toteż chciałbym, żebyście mi pomogli go aresztować, zanim ucieknie. Zrobimy to późno w nocy, kiedy będzie w łóżku i bez broni. Wtedy nikomu nic nie będzie grozić.

Byli podekscytowani. Ktoś zapytał, czy powinni poprosić Bractwo o broń.

— W żadnym razie — odparłem. — Broń ma ten brzydki zwyczaj, że wypala przypadkowo, a ja nie chcę, żeby ktokolwiek został zabity.

Możecie zabrać noże, ale wolno je użyć tylko w samoobronie. Macie aresztować człowieka, a nie posiekać go na kawałki.

Kiedy ochłonęli już z radosnego uniesienia, któryś przypomniał sobie o O'Malleyach.

— Jak się dowiedzą, że przyłożyliśmy do tego ręki, pozabijają nas! — zauważył Paddy Joyce.

— Nonsens — odrzekłem. — Kiedy Drummond zostanie usunięty z doliny, wrócą tu jego synowie. Znam nieźle Maxa i Denisa i wiem, że nie będą szukać odwetu. A skoro jego synowie nie będą z wami walczyć, możecie być pewni, że jego kuzyni też tego nie zrobią.

Przekonałem ich. Potem kazałem im jeszcze przysiąc, że dochowają tajemnicy. Rozstałem się z nimi obiecując, że przyślę po nich w odpowiedniej chwili.

Potem wróciłem do Cashelmary i czekałem na depeszę od wuja Thomasa.

III

Najpierw otrzymałem od niego list. Pisał, że natychmiast wraca do Anglii, gdzie narodzi się potajemnie w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych i na policji, o wszystkim zaś powiadomi mnie telegraficznie, jak tylko będzie mógł.

Wreszcie nadszedł telegram następującej treści:

„Podejrzenia potwierdzone. Wyjeżdżam natychmiast do Cashelmary. Odwagi. Thomas.”

Spaliłem depeszę i posłałem wiadomość do przyjaciół.

Było to w piątek.

Myślałem o wyczyszczeniu broni, ale ponieważ nie znałem jej, wolałem w niej nie grzebać. Postanowiłem jedynie sprawdzić, czy działa prawidłowo. Wybrałem się zatem na odległe wzgórze przy Devilsmother i tam oddałem na próbę jeden strzał. Wtedy dopiero zrozumiałem, na czym polega różnica między tą bronią a coltem Drummonda: był to rewolwer powtarzalny, w którym pociągnięcie za spust powodowało automatyczne uderzenie w spłonkę. Miałem nadzieję, że jakoś potrafię z tego strzelać. Zostały mi tylko dwa naboje. Musiały mi wystarczyć, choć żałowałem, że nie ma ich więcej.

Wróciłem do Cashelmary. Kerry i ja bawiliśmy się później w naszych pokojach z dzieckiem. Mały był bardzo ruchliwy, a Kerry dużo chichotała. Zapytała, czy źle się czuję, lecz odparłem, że nie, że jestem tylko zmęczony, bo nie spałem ostatniej nocy.

— To straszne, że cierpisz na bezsenność — powiedziała zatroskana. — Powinieneś pójść do doktora Cahilla i zapytać, czy można coś na to poradzić.

Kerry sypiała bardzo dobrze, lecz przez pierwsze tygodnie po urodzeniu dziecka, gdy trzeba je było często karmić, poznała moje dziwaczne nocne obyczaje.

Nadeszło popołudnie. John pielili ogród, panna Cameron pilnowała dziewczynek, które malowały, a matka w salonie na górze grała mazurki Szopena. Kerry i dziecko odpoczywali, ja zaś czekałem, siedząc na brzeżku kanapy w bibliotece.

Później zjadłem z Kerry obiad w naszych pokojach, a kiedy się położyła, jak zwykle poszedłem powiedzieć dobranoc matce i Drummondowi.

— Wyglądasz na bardzo zmęczonego, Ned — z niepokojem zauważyła matka, gdy ją pocałowałem.

— Jak się jest ojcem, trzeba ciężko pracować — rzucił Drummond. Gdy spojrzałem na niego, uśmiechnął się wyzywająco.

Odniosłem wrażenie, że ziemia rozstępuje mi się pod nogami. Usiłowałem myśleć, jak bardzo go nienawidzę, lecz nienawiść ze mnie opadała, wyraźnie słabła. Zrozumiałem, że była tylko złudzeniem, które pozwalało mi ukrywać przed sobą samym świadomość winy matki. Raz jeszcze spróbowałem sobie przypomnieć dawne urazy, ale pamiętałem jedynie jego zycżliwość w chwilach, gdy czułem się zagubiony, troskę okazywaną mi, kiedy wcale nie musiał się mną przejmować, pomocną dłoń, którą mi podał, gdy dorastałem i wszyscy odwrócili się ode mnie.

Jakiś głos w mojej głowie powiedział: nie mogę tego zrobić.

Wiedziałem jednak, że muszę. Nie miałem wyboru.

— Dobranoc, skarbie — rzekła matka, uśmiechając się do mnie.

— Dobranoc, mamó — odparłem. — Dobranoc, sir.

I wyszedłem.

O jedenastej poszli spać. Pół godziny później pędziłem tylnymi schodami, by odryglować drzwi pomywalni.

Stawili się wszyscy: Sean, Paddy i Nial.

— Pamiętacie, co mówiłem o używaniu noży — przypominałem w ciemności.

Któryś zapytał nerwowo:

— A co, jeśli nam się wyrwie?

— Nie martw się. Mam broń. Kiedy pójdziecie go aresztować, ja będę stał na straży w galerii. Jeśli zdoła się wam wyrwać i wybiegnie z sypialni, natknie się na mnie.

— Przecież powiedziałeś...

— Nie zamierzam do niego strzelać — zapewniłem — ale byłbym marnym przyjacielem, gdybym na wszelki wypadek nie zagwarantował wam ochrony.

— Nie chodzi o to, że się go boimy — rzekł któryś ostrożnie. — Bez niczego poradzimy sobie z tuzinem Maxwellów Drummondów, ale...

Wiedziałem, że dla Drummonda to żadni przeciwnicy, nie wyprowadziłem ich jednak z błędu. Zapaliłem świecę i poprowadziłem ich na górę. Wszyscy ciężko oddychali, a lekki odór świń i potu unosił się wokół mnie, kiedy dotarliśmy do okalającej hol galerii.

Wskazałem na drzwi sypialni mojej matki, potem na kotarę za nami u szczytu schodów, mówiąc:

— Stanę tutaj. Nic się nie bójcie, będę was osłaniał.

Raz jeszcze w pamięci przebiegłem plan: Drummond zamierza czmychnąć do Ameryki, trzeba go zatrzymać, walka, moi przyjaciele pokaleczeni, Drummond zastrzelony, bo stawiał opór, nie chciałem go zabić, ale... musiałem bronić przyjaciół i pojmać mordercę mojego ojca.

Postawiłem zapaloną świecę na stoliku przy balustradzie, rozchyliłem długie kotary i wszedłem między nie, kryjąc się w ich cieniu.

Przez szparę pod drzwiami sypialni matki wciąż sączyło się światło. Wielki zniekształcony cień chwiał się na ścianach, kiedy moi przyjaciele skradali się na ustalone pozycje. Obejrzel się na mnie, czekając na sygnał. Broń w mojej dłoni była lodowato zimna. Uniosłem rękę, kiwnąłem głową. Sean z hukiem otworzył drzwi na oścież i cała trójka runęła przez próg.

Rozległ się krzyk matki. Drummond coś wrzeszczał, nie rozróżniałem jednak słów. Usłyszałem tylko Seana, jak wołał:

— Jesteś aresztowany za zamordowanie...

Nie zdążył dokończyć. Oczywiście Drummond miał broń — nie colta, który zniknął po powrocie do Irlandii, lecz rewolwer typu Smith-Wesson, przechowywany w zamkniętej na klucz komodzie na dole. Nie wiedziałem, że otrzymywał pogrożki, bo nikt mi o tym nie wspomniał. Nie wiedziałem, że w związku z tym nocą miał broń przy łóżku — o tym także nikt nie wspomniał. Nie przyszło mi do głowy, że ktoś mógłby go aż tak przestraszyć.

Słyszałem czyjś krzyk, lecz nie wiedziałem czyj. W pokoju zapanowało zamieszanie. Próbowałem się ruszyć z miejsca — nie mogłem. Coś się stało z moimi nogami.

Udało mi się rozchylić zasłony i podnieść dłoń z rewolwerem dokładnie w chwili, gdy Drummond wypadł z pokoju. Jego broń jeszcze dymiła. Za drzwiami w kałuży krwi leżał Sean, a Paddy, z twarzą wykrzywioną wściekłością, rzucał się z nożem w rękę na Drummonda.

Ten bez wahania wymierzył do niego z rewolweru.

W uszach huknął mi strzał, a wysoko pod sklepieniem holu wszystkie kryształowe ogromnych żyrandoli zadrżały po raz drugi w pełnym cieniu mroku.

Teraz dymiła moja broń.

SUSAN HOWATCH

Drummond obrócił się na pięcie. Od framugi drzwi, w której utkwiła kula, odpadł kawałek drewna. Celował do mnie z broni, nie strzelił jednak.

Ja także nie strzeliłem. Miałem jeszcze jeden pocisk, lecz nigdy go nie wykorzystałem.

Spojrzałem na Drummonda. Byłem świadom, że wszystko zrozumiał. Potem jakaś mgła litościwie zasnęła mi oczy, tak że nie widziałem, jak Paddy wbił mu nóż w plecy. Usłyszałem wszakże krzyk Drummonda. Usłyszałem trzask poręczy, kiedy jego ciało opadło na nią ciężko, usłyszałem łoskot rewolweru, który wysunął się z martwej dłoni, i na koniec, po długiej, dręczącej ciszy, usłyszałem uderzenie jego ciała o marmurową posadzkę daleko w dole.

Przez chwilę nic się nie działo. Później moja matka wypadła z pokoju i zaczęła krzyczeć jak oszalała.

Byłem z Kerry w naszej sypialni. Nie wiedziałem, jak się tam znalazłem. Ktoś mówił moim głosem:

— Nie mogłem tego zrobić, nie mogłem, nie mogłem...

Kerry przytuliła mnie mocno. Jej piersi były duże, ciepłe i kojące.

— Mimo to zrobiłem — mówił dalej ten ktoś, wciąż posługując się moim głosem — i już po wszystkim. Ale spłacę, co jestem mu winien. Spłacę mu poprzez jego synów.

— Ned... — szepnęła Kerry.

Nagle rozpoznałem człowieka, który używał mojego głosu, i znowu wiedziałem, kim jestem.

— O Boże! — jęknąłem i rozpląkałem się jak chłopiec. — Boże!...

Padł na nas jakiś cień.

— Cicho, cicho, Ned — powiedziała niania. — Wypij to. Przyniosłam ci pyszne gorące mleczko. Zawsze je lubiłeś.

Kerry odezwała się energicznie rozsądnym dorosłym głosem:

— Dziękuję, pani Gray. Proszę zawiadomić mnie natychmiast, jak przybędą panna de Salis i doktor Cahill.

— Tak, milady — odparła niania.

— Czy Sean Joyce ma zapewnioną opiekę?

— Tak, milady. Ala mocno zabandażowaną rękę i leży na kanapie w buduarze.

— Dobrze. Proszę dopilnować, żeby panna Cameron zatrzymała dzieci w pokojach. W żadnym razie nie mogą jeszcze zejść na dół.

— Słucham, milady.

Cień poruszył się i odpłynął. Zostaliśmy z Kerry sami.

— Czy ja zemdlałem? — spytałem, patrząc na filizankę z parującym mlekiem.

— Nie, kochanie. Nie pamiętasz? Byłeś taki opanowany, dzielny i rzeczowy. Powiedziałeś każdemu, co ma robić. Wszyscy usłyszeli strzały i zbiegli się w galerii, a ty kazałeś niani zająć się rannym Seanem i posłałeś

Flannigana po ciotkę Madeleine i doktora Cahilla. Zebrałeś dzieci i wyprawiłeś je na górę z panną Cameron, a potem zaniósłeś matkę z powrotem do sypialni...

— Czy coś do mnie mówiła? Co robiła? Co się z nią działo?

— Kochanie, ona zemdłała, nie pamiętasz? Była nieprzytomna. Kazałeś pokojówce zostać z nią, a potem zobaczyłeś mnie i powiedziałeś, że chcesz usiąść. Wtedy przyprowadziłam cię tutaj.

Nadal przyglądałem się parującemu mleku.

— Jestem taki zmęczony — odezwałem się w końcu.

— Musisz natychmiast się położyć.

— Ale ktoś powinien wszystkiego dopilnować...

— Ja się tym zajmę. Dalejże, pomogę ci się rozebrać.

Zasnąłem błyskawicznie i spałem szesnaście godzin. Kiedy się przebudziłem, była czwarta po południu, a przy moim łóżku siedziała ciotka Madeleine.

IV

— Nigdy sobie tego nie wybaczę, nigdy! — powiedziała ciotka Madeleine. — Zrobiłam rzecz straszną, nikczemną...

Oczy miała przepełnione żalem. Ujrzałem łzy spływające po jej pulchnych policzkach.

— Ciociu... — Byłem bardziej zakłopotany niż poruszony. Ciotka po raz pierwszy wydała mi się ludzka. Zawsze uważałem ją za apodyktyczną świętą, która nie ma żadnych problemów z wyborem tego co dobre i trzymaniem się raz podjętej decyzji, bez względu na konsekwencje.

— Co zrobiłaś? — wyszeptalem.

— Skłamałam. Uczyniłam to w dobrej wierze. Postąpiłam, jakbym była Bogiem, i Bóg mnie pokarał. — Wyjęła cieniutką koronkową chusteczkę, otarła nią policzki i znów podjęła próbę wyjaśnienia. — Ta ostatnia choroba twojego ojca... Wiedziałam, że coś jest nie tak. Nie wiem, kiedy przypomniałam sobie o arseniku, i wtedy zrozumiałam... Twoja matka prosiła mnie o niego wkrótce po powrocie do Cashelmary. To było oczywiście na długo przed śmiercią twojego ojca. Wtedy była tu istna plaga myszy. Sara wzięła duży zapas, żeby na dłużej wystarczyło... Wiedziałam więc, że w Cashelmarze był arsenik. Zaraz pomyślałam o syropie, który mu przyniosła. Sprawdziłam, ale nawet go nie tknął. Znalazłam za to słoje, takie, jakich używają w nielegalnych gorzelniach... I kiedy zobaczyłam ten słoje, nagle zrozumiałam, co się stało: Sara przemyciła go w koszu z prezentami. W samogonie była trucizna. Syropu mogłoby wypić najwyżej łycalek, ale człowiek z jego nałogiem nie

SUSAN HOWATCH

zostawiłby nie dopitego samogonu... O Boże, nie wiedziałam, co począć!...

Przyglądałem się ciotce, której na chwilę odebrało mowę. Znowu otarła policzki i ciągnęła drżącym głosem:

— Próbowałam sobie wyobrazić, co będzie, jeśli Sara zostanie zdemaskowana, ale nie potrafiłam o tym myśleć. Czwooro dzieci... Tyleście już wycierpieli!... A ja byłam oddana Sarze. Przypuszczam, że pamiętasz tylko nasze kłótnie, ale kochałam ją szczerze. Patrzyłam, jak cierpiała przez te ostatnie lata z Patrickiem. MacGovan był okropnym człowiekiem. Wiedziałam, przez co przeszła. Wydawało mi się niedopuszczalne, żeby miała cierpieć jeszcze bardziej... Była przecież taką kochającą matką, więc... więc zasługiwała w końcu na odrobinę szczęścia... Patrick był moim bratem, ale wierz mi, Ned, i tak nie pożyłby długo. Cierpiał już na dolegliwości wątroby, a dawki alkoholu, jakie spożywał codziennie, były naprawdę śmiertelne... Powiedziałam więc sobie: żywi są ważniejsi niż umarli. Powiedziałam sobie, że mam obowiązek ochraniać was, dzieci. I przemilczałam morderstwo.

— Ciociu... — Nie mogłem wykrztusić nic więcej. Ująłem jej dłoń i trzymałem w swojej.

— To było takie łatwe: umyłam ten słój po samogonie i powiedziałam doktorowi Cahillowi, że Patrick cierpiał na zaawansowaną marskość wątroby, że nie ma wątpliwości co do przyczyny zgonu. I doktor Cahill uwierzył mi oczywiście. Bo czemu nie? Pracowałam z chorymi od trzydziestu lat i widziałam w Irlandii mnóstwo umierających pijaków. Doktor Cahill miał do mnie pełne zaufanie. A potem... — Jej oczy znowu wypełniły się łzami. — Potem zmarł David. Wcześniej Sara poprosiła mnie o arsenik i mimo wahań, dałam jej w końcu. Z wielu powodów. Najmniej istotny to ten, że nie chciałam wzbudzić jej podejrzeń odmową. Poza tym doskonale wiedziałam, że w Cashelmarze naprawdę ciągle były problemy z myszami. Przede wszystkim jednak dałam jej arsenik dlatego, że ani przez moment nie przypuszczałam, że mogłby jeszcze być ktoś, kogo chciałaby zabić.

— No i kochała wuja Davida.

— Właśnie. Jak mogłam przewidzieć, że będzie chciała go zabić? Ale potem... kiedy już wiedziałam... Ned, nigdy nie zrozumiesz, jakie przeżyłam męki. Będzie cierpiała do końca moich dni. Gdybym wcześniej wyjawiała to, co wiedziałam, byłabym uratowała Davidowi życie.

— Zrobiłaś to, co uznałaś za najlepsze, ciociu. Nie mogłaś zrobić nic więcej.

— Nie wystarczy robić tylko to, co leży w ludzkiej mocy. Człowiek powinien robić to, o czym wie, że jest dobre. Nie powinnam była myśleć o ochronie dzieci. Należało zaufać Bogu, że będzie miał was w opiece. A ja nie ufałam Bogu, taka jest prawda. Przez całe życie głosiłam słowo Boże, przez całe życie spełniałam powołanie, do jakiego Bóg mnie

przeznaczył, ale kiedy stanęłam wobec strasznego dylematu, wiara mnie zawiodła.

Pozwoliłem jej przez chwilę płakać, po czym rzekłem:

— Wiedziałem, że się domyśliłaś o Davidzie.

— Nie mogłam z tobą rozmawiać. Czułam, że wolno mi mówić o tym jedynie z Thomasem. Taka byłam przygnębiona... zdruzgotana... nie-swoja...

— Wuj Thomas zrozumie. Jak przyjedzie...

— On już tu jest. Przyjechał przed godziną i wiem, że chce z tobą jak najszybciej porozmawiać. Powiem mu, że się obudziłeś.

— Znakomicie.

Usiadłem na łóżku, wyciągnąłem ręce i pocałowałem ją.

— Najdroższy Ned — powiedziała, tuląc mnie do siebie. — Jaki straszny krzyż musiałeś dźwigać!

— Ale teraz jest już po wszystkim, ciociu — rzekłem. — Minęło.

Wiedziałem jednak, że nie wszystko jeszcze skończone.

V

— Inspektor okręgowy chce z tobą porozmawiać, kiedy poczujesz się dobrze, Ned — powiedział wuj Thomas, uściskawszy mnie. — Ale nie masz powodów do obaw. Ustaliliśmy z Madeleine, co należy mówić. Uważamy, że za to, co się stało, winą trzeba obciążyć Drummonda.

Zamilkł i spojrział na mnie, lecz ja się nie odezwałem.

— Musimy tylko ujawnić, że w Cashelmarze był zapas arszeniku. Reputacja Drummonda załatwi resztę. Pomyślą, że to on zabił najpierw twojego ojca, aby go nie wyrzucił z wygodnej kryjówki z Cashelmarze, a potem Davida, bo odkrył prawdę.

— Czy matka powiedziała coś na temat wuja Davida?

— Nie odezwała się słowem do nikogo. Jest w stanie szoku.

— Chcę, żeby dla policji było absolutnie jasne, że ona nie ponosi żadnej winy za to, co się stało.

— To nie będzie trudne teraz, kiedy Drummond nie może nam przeszkodzić. Zgodnie z twoimi przewidywaniami.

Zapadło milczenie.

— Spróbuj o tym opowiedzieć, Ned — rzekł wreszcie Thomas. — To by było najlepsze.

Potrząsnąłem głową.

— Nie mogę.

— Jeśli nie wyrzucisz tego z siebie teraz, zostanie z tobą na lata. Dla spokoju twojego ducha radziłbym...

— Nie mogę — powtórzyłem. — Kiedyś wszystko ci opowiem i wyjaśnię, ale teraz nie potrafię o tym nie tylko mówić, ale nawet myśleć.

— Rozumiem. Chciałbym jednak... nieważne. Nie powinienem cię zmuszać. Nawiasem mówiąc, do tego, co się stało ostatniej nocy, inspektor nie ma żadnych zastrzeżeń. Twój przyjaciele powiedzieli mu, że postanowiłeś zatrzymać Drummonda, bo się bałeś, że ucieknie, zanim policja go aresztuje, i jego gwałtowna reakcja zmusiła was do takiego, a nie innego działania. Nie wysuwają też oskarżeń przeciwko Paddy'emu Toyce'owi. Zrozumiałe jest, że zabił Drummonda w obronie brata

Przerwał. Na długą chwilę zapadła cisza. Za oknem świeciło słońce, a ja poczułem ogromne pragnienie, aby uciec z domu.

— Ned...

— Tak?

— Jeśli nie czujesz się na siłach, możemy o tym nie mówić. Obawiam się jednak, że musimy się zastanowić nad przyszłością twojej matki.

— Nie ma się nad czym zastanawiać — odparłem. — Wiem, co zrobię.

— Ned, rozumiesz chyba, że nie możesz tak po prostu zostawić jej w spokoju i pozwolić, żeby żyła, jakby nigdy nic. Powinna się znaleźć w bezpiecznym miejscu pod opieką medyczną...

— O tym pomówimy później — przerwałem mu. — Teraz nie mogę. Przykro mi.

— Mnie także. Biedny Ned... — powiedział wuj. Ujął moją dłoń i przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu, myśląc o mojej matce.

VI

Musiałem zobaczyć się z matką. Rozpaczliwie pragnąłem uciec z domu, lecz nie mogłem tego zrobić, póki jej nie zobaczę.

Chcę napisać, jak się odbyło nasze spotkanie, ale to bardzo trudne. Od tego dnia upłynęło wiele lat, żyję teraz w innym świecie, nawet w innym wieku, nadal jednak nie potrafię myśleć o chwili, gdy wszedłem do pokoju matki, która wtedy po raz pierwszy od śmierci Drummonda zdecydowała się przemówić.

— Zejdź mi z oczu;.. Zabiłeś go. W rzeczywistości to ty wbiłeś mu nóż w plecy. I ani mi się waży kłamać, że nie planowałeś jego śmierci... Nigdy więcej nie chcę cię widzieć.

To właśnie powiedziała. Wciąż jeszcze widzę jej twarz, kiedy wymawiała te słowa.

— Zrobiłem to wszystko dla ciebie, mamó — odparłem, lecz nie słuchała. Powtarzała tylko na okrągło, jak bardzo kochała Davida.

— Ale on się dowiedział — słyszałem jej głos. — Podszedł mnie podstępem. Biedny David! Jestem pewna, że uważał się za bardzo przebiegłego, bo wymyślił tę niedorzeczną historyjkę. Powiedział, że póki mogę, muszę się ratować, bo pewnego dnia wróci Patrick i oskarży mnie o usiłowanie zabójstwa. Nie wiedziałam, co u licha ma na myśli, byłam skonsternowana. Powiedziałam: „Ależ Patrick nie żyje”, a David, biedny niemądry David, który tak uwielbiał opowieści detektywistyczne, rzekł: „Nie widziałaś ciała, prawda? Jeden ze służących widział, jak Drummond zatrąwa syrop, i w porę ostrzegł Patricka.” Och, gdybym wtedy przez moment pomyślała! Ale wpadłam w panikę i zanim zdążyłam się ugryźć w język, powiedziałam: „Ależ trucizna nie była w syropie. Dodałam ją do samogonu!” — Ty dodałaś do samogonu?!” Zrozumiałam, że spodziewał się innej odpowiedzi, bo myślał, że to zrobił Maxwell. Dobry Boże! Nie wiem, kto był bardziej wstrząśnięty, on czy ja... W końcu powiedział, że zatrzyma tajemnicę przy sobie, ale przecież nie mogłam tego tak zostawić! Wiedziałam, że zwierzy się Thomasowi, a Thomas jest taki bezwzględny i... niewyrozumiały... i nagle zrozumiałam, że moja przyszłość znowu jest zagrożona. Moja i Maxwella, tak samo jak wtedy, kiedy Patrick próbował odebrać mi dzieci i wyrzucić nas z domu... Gdyby tak się stało, byłby to koniec wszystkiego, bo Maxwell by odszedł, a ja zostałabym zupełnie sama, pozbawiona miłości dzieci... Ned, rozumiesz to, prawda? Ja nikogo nie chciałam zabić! Nie mogłam tylko znieść myśli o życiu bez Maxwella i dzieci. To wszystko.

Spojrzała na mnie, ale szybko odwróciła wzrok, jakbym w jakiś sposób uosabiał jej nieznośne lęki.

— Wkrótce poczuję się lepiej — dodała normalniejszym głosem. — Już czuję się lepiej. Przykro mi, że powiedziałam ci tyle ohydnych rzeczy, kiedy wszedłeś do pokoju. Pewnie wydało ci się to zupełnie bez sensu, ale jak widzisz, teraz jestem spokojna i wiem, że potrafię być silna. Przeżyłam niegdyś okropności, więc spodziewam się, że przetrwam i tę. Maxwell powiedział kiedyś, że jestem najdzielniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek spotkał.

Napomknąłem o domu opieki, cichym miejscu na angielskiej wsi, gdzie przy troskliwej pomocy mogłaby dojść do siebie po szoku.

— O, nie, to nie będzie konieczne — odparła szybko. — Miło, że o tym pomyślałeś, skarbie, ale nie ma potrzeby, żebym opuszczała Cashelmarę. Zrozum, nie zniosłabym rozstania z dziećmi! Nie mam już Maxwella, więc tylko one mi zostały.

Powiedziałem jej, że moim zdaniem w tej chwili najważniejsze jest, żeby znalazła się pod dobrą opieką medyczną.

— Nie potrzebuję opieki medycznej — odrzekła. — Dlaczego wciąż mówisz o domu opieki? Och, pewnie myślisz, że z rozpaczy po Maxwellu

mogłabym popełnić samobójstwo? Tego nie zrobię. Samobójstwo to akt tchórzostwa, zawsze tak uważałam, a ja jestem dzielna. Maxwell stale powtarzał, że jestem dzielna.

— Wiem, mamu. Jesteś wystarczająco dzielna, żeby wytrzymać kilka miesięcy w domu opieki. Jak podreperujesz nerwy, wystarczy ci odwagi, żeby zacząć wszystko od nowa. Wierzę w ciebie.

Uśmiechnęła się niepewnie.

— Wszystko od nowa?

— Tak. Pomyślałam, że kupię ci domek w Anglii, w jakiejś wiosce w Surrey albo w Hampshire. Wiem, że zawsze lubiłaś Anglię. Nie będziesz tam samotna, bo zatrudnię ci miłą panią do towarzystwa, możesz mieć nawet pielęgniarkę, żeby zajęła się tobą, gdybyś się źle poczuła.

— Och, kochanie! jakie to miłe!... Ale naprawdę nie mogę wykorzystywać twojej wielkoduszności: przecież to takie kosztowne! A poza tym John nie zechce zostawić tego ogrodu...

— Właśnie chciałem cię zapytać o Johna. Czy mogłabyś wyrazić zgodę, żeby zamieszkała z nami? Nie wiem, co pocznę, jeśli nie będzie się zajmował tym ogrodem.

— Ale ja... — urwała. Nie potrafiła na mnie spojrzeć. W końcu powiedziała tylko: — No cóż... będzie mi bardzo brakowało Johnny'ego. Ale będą ze mną dziewczynki, prawda?

Nie odpowiedziałem.

Po dłuższym milczeniu rzekła:

— Chcesz zabrać mi dzieci. Nie pozwolisz, żebym je przy sobie zatrzymała.

— To rozwiązanie tymczasowe, mamu. Nie czujesz się teraz dobrze, a ja proponuję, że się nimi zaopiekuję, aż wrócisz do zdrowia.

— Nie zostawię ich! — odparła zawzięcie. — Raczej umrę!

— Doprawdy? — zapytałem. — Chcesz powiedzieć, że niepotrzebnie zabiłem Drummonda i że gotowa jesteś iść na szubienicę?

Zbladła jak kreda, potem straciła nad sobą panowanie i zaczęła na mnie krzyczeć. Milczałem, dopóki nie przestała. Dopiero wtedy zrozumiałem, jaką jest bezsilna. Patrząc, jak odsuwa się znad krawędzi hysterii, pojąłem, że pewnego dnia w odległej przyszłości wyzdrowieje i znowu będzie sobą.

— Czy będziesz mnie odwiedzać? — wyszeptwała.

— Oczywiście, mamu. Będę przyjeżdżał do ciebie raz w roku, a co tydzień będę pisał.

Zalała się łzami.

— A dzieci... wnuki...

— Będziesz widywała wszystkich — obiecałem. — Kiedy wyzdrowiejesz.

Zdołała powstrzymać łzy, lecz gdy znowu na mnie spojrzała, jej oczy miały dziwny zalękniony wyraz.

— Co się stało, mamó? — zapytałem łagodnie.

— Nie jesteś już moim Nedem — powiedziała— ale nie jesteś też obcy. Widziałam cię dawno, dawno temu, kiedy byłem dzieckiem, a Marguerite miała siedemnaście lat. Zawsze się trochę ciebie bałam i teraz wreszcie wiem dlaczego.

Pochyliłem się i pocałowałem ją.

— Jesteś bardzo zmęczona i podenerwowana, mamó. Spróbuj się jeszcze przespać.

— Nie jestem obłąkana. Wiem, że tak myślisz, ale nie jestem.

— Mamó, przetrwałaś. Ja też przetrwałem. Nic poza tym nie ma w tej chwili znaczenia.

Znowu ją pocałowałem i wyszedłem.

W korytarzu panowała ciemność, a hol był lepki od wspomnień. Zszedłem niepewnie po schodach, przemierzyłem marmurową posadzkę i zajrzałem do trzech pokoi, zanim sobie uświadomiłem, że szukam Kerry. Zerknąłem przez okno małego saloniku i ujrzałem ją wtedy: bawiła się z dzieckiem na trawniku, a za nią rozległa rabata olśniewała cudownym letnim kwieciami.

Otworzyłem boczne drzwi i pomachałem do niej ręką, a kiedy odpowiedziała mi wesoło, nareszcie wyrwałem się posępnosci domu i wszedłem do zalanego słońcem ogrodu mojego ojca.